

MARTA OBUCH

METODA
NA
WNUCZKĘ



FILIA

MARTA OBUCH

METODA
NA
WNUCZKĘ

FILIA

Moim rodzicom!

Adam Gryziewicz, z racji wydatnych siekaczy i talentu stomatologicznego nazywany przez znajomych Grizzly, siedział pewnej lipcowej środy na ławeczce przystanku autobusowego przy ulicy Sokolskiej i w tych okolicznościach na kilka przedziwnych chwil zapomniał języka w gębie.

Zupełnie go zatkało.

Tym bardziej że jego język był sprawny nie tylko komunikacyjnie; inne opcje użycia Adam miał również obcykane, a że zwykł szlifować umiejętności, żadna z jego dotychczasowych partnerek nie mogła narzekać. To przeświadczenie sprawiało mu niekłamaną satysfakcję. Kobiety bywały w jego towarzystwie po prostu zadowolone. Albo... spełnione. Taka sytuacja, taka umiejętność i fluencja, co robić. Czar miało się po tatusiu – również dentyście – który co prawda zramolał, ale i teraz, kiedy dobiegał sześćdziesiątki, nie wyglądał na inkasenta. Raczej na ministra. Adam również nie mógł narzekać, natura obdarzyła go hojnie. Głównie owłosieniem, stąd jego znakiem rozpoznawczym była szopa powiewających na wietrze ciemnych loków, co upodabniało go nie do lekarza stomatologa, ale do tajemniczego artysty, który potrafi wywijać pędzlem, że ho ho.

Kobiety to uwielbiały.

Ale czekająca obok dziewczyna...

Kiedy usiadła na ławeczce, obrzuciła go tak samo „przejętym” spojrzeniem jak drepczącego opodal gołębia, który przed chwilą narobił na chodnik. Takie spojrzenie zwykło się określać mianem beznamiętnego. I ta beznamiętność trochę Adama zbiła z tropu. Bo, przyzwyczajony do damskiej uwagi, nawet w śledzienie czuł, że brak zainteresowania nie jest udawany. Dziewczyna o czekoladowych jak nutella oczach wyglądała na głęboko zamyśloną i przy tym całkowicie odporną na jego wdzięk.

Niebywałe.

Tylko dlatego zaczął ją ukradkiem obserwować.

Może nie tylko dlatego, należy dodać również, że pozbawiony na cały dzień auta (przegląd techniczny) Adam czekał na pojazd komunikacji miejskiej i zwyczajnie się nudził. Nigdy przecież nie gustował w bojowniczkach o prawa zwierząt czy w wegankach, dla których jajko jest synonimem martyrologii drobiu hodowlanego. Bał się wszelkich nawiedzonych stworów i omijał je szerokim łukiem.

A złotowłosa wyglądała właśnie na kobietę z misją.

Miała co prawda śliczną buzię ozdobioną piegami, które w zestawieniu z brązowym kolorem oczu nasuwały skojarzenie z orzechową posypką na pralinach Ferrero Rocher, a jej rozświetlone słońcem włosy przypominały puch na kurczątku, rozkosz, aż się chciało dmuchnąć i pogłaskać, ale reszta była absolutnie fatalna. Wszystko pozasłaniane, ukryte, żadnego dekoltu, talii czy nóg, nic, jak u ameby. Workowate spodnie w kolorze klepiska, plecaczek z liściem marihuany, a do tego

obrzydliwe aseksualne trampki (jeden czerwony, drugi czarny!)... Słowem, *handmade* łamany przez Wszystko po 4 złote. Zero elegancji, nawet nienachalnej, zero szyku.

Czysta ekologia.

Aż się wzdrygnął.

Tyle że wypadki, które potem nastąpiły, zmieniły jego sposób rozumienia kobiecości o sto osiemdziesiąt stopni...

Zaczął się od tego, że do grupki oczekujących, którzy usiłowali skryć się przed upałem nawet w najpłytszym z kątów przystanku, podeszła kobieta, na oko licząc pięćdziesięcioletnia. Z takich, które wtapiają się w uliczne tło. Kolor ubrania mysi, kolor włosów mysi, wszystko mysie. I pozostając przezroczysta, tak się przez chwilę wtapiała w okolicę i wtapiała. W międzyczasie zdążył przejechać Polski Bus, następnie powiał wiaterek, ale był to jeden z tych podmuchów, które robią ludzi w balona, bo żar wciąż zalewał centrum Katowic, a potem w kobiecinę coś wstąpiło i przestała się wtapiać.

Przeszła na opcje aktywne.

– Szczęść Boże! – oznajmiła z rozanielonym uśmiechem, stając dokładnie na wprost staruszka w czapeczce z napisem Chicago Bulls, aż byk na czapce wystawił ostrzegawczo rogi.

Ale staruszek jakby się gapił przez okno, nawet nie drgnęła mu powieka, choć gołąb wydał mu się nagle arcyciekawym ptakiem.

W tym momencie Adam zrozumiał. Był czwarty w kolejce, tuż po złoto-orzechowej pannie! Ups. Właśnie dlatego nie przepadał za transportem publicznym. Pełno w nim świrów, a latem... Nawet trudno to opisać słowami. Latem autobusy i tramwaje wypełniał tak zastanawiający fetor (choć nikt nie musiał przecież do kąpieli czerpać wody ze studni głębinowej!), że Adam już dawno odpuścił. Na dłuższą metę nie był w stanie kontynuować eksperymentu socjologicznego, za pierwsze większe pieniądze kupił samochód.

Teraz ciekawość jednak zwyciężyła; czekał, co będzie dalej.

Głoszącej dobrą nowinę ten niezbyt obiecujący wstęp wcale nie zraził. Stała dla odmiany przed puszystą damą ściskającą baniak żywca zdroju, której mina zaczęła nagle falować jak rozhuśtana tafla wody w błękitnej bańce. Na jej szyi mignął Adamowi krzyżyk. Czyli powinna się cieszyć, przyjaciele Jezusa to jedna wielka rodzina.

– Szczęść Boże!

Puszysta, cała spocona, zerknęła pospiesznie na sąsiadów, jakby szukała u nich wsparcia, ale religijny obowiązek zwyciężył.

– Szczęść Boże – odpowiedziała, jednak bez żaru, z jakim adoruje się hostię. I to samo: gołąbek, jaki śliczny gołąbek!

Tymczasem próbie wiary została poddana kolejna osoba.

Złotowłosa.

– Szczęść Boże! – rzuciła kobieta i Adam wstrzymał oddech.

Siedział tuż obok, więc dokładnie zarejestrował chwilę, kiedy w brązowych oczach pojawiła się tak niewiarygodna mieszanka bystrości i głębi, że prawie otworzył usta. Wcześniej dawał orzechowej może dwadzieścia lat, ale patrząc z bliska, musiał zmienić zdanie. Przy oczach odnotował pierwsze zmarszczki mimiczne. Czyli trzydziestka.

Z trzydziestką na karku czy nie, dziewczyna również przyglądała się scenie, ale pozostała spokojna. A nawet na jej ustach zagościł uśmiech. Zdawkowy, ale... ludzki. Tak właśnie by go Adam określił. Nie uprzejmy, à la „Idź serdeńko, bo cię trzepnę”, nie nerwowy, ale ludzki.

Miły.

– Dzień dobry – odpowiedziała dziewczyna swobodnie i Adam poczuł, że zostały w nim poruszone kolejne zmysły.

Tym razem chodziło o słuch.

Głos nieznajomej brzmiał, jakby od oseska zamiast mleka piła whisky z colą i popalała papierosy – bez filtra, oczywiście. Ale w tej ostrej i chropowatej mieszaninie dźwięków brzmiała ciepła, niemal magnetyczna nuta. Zupełnie jakby słuchał Janis Joplin, ale takiej rześkiej, przed dziabnięciem kilku skrętów. Kobieta prawie klasnęła w dłonie, tak bardzo ucieszył ją fakt, że ktoś w końcu żywo zareagował.

– Niewierząca? – zapytała z radością.

– Wierzę w Boga, nie w instytucje – usłyszeli rezolutną odpowiedź i zanim Adam zdołał sobie wszystko poukładać, zrozumiał.

Zaimponowała mu!

Czyli można nie chować głowy w piasek, można być sobą w każdej sytuacji.

Bo, wstyd przyznać, ale on również siedział tu spłoszony i w skrępowaniu zastanawiał się, jak potraktować kobiecinę. Raczej nie należała do świadków Jehowy i w sumie trudno określić, czemu ta rozmowa miała służyć, ale sąsiadka najwyraźniej nie zadawała sobie takich pytań.

Poszła na żywioł.

– Poza tym czy zawsze trzeba się określić? Katoliczka, muzułmanka, protestantka... Można być, kim się chce, a Bóg to i tak Bóg.

– Racja... Bóg to Bóg – powtórzyła w zamyśleniu kobieta, a potem bacznie przyjrzała się rozmówczyni. – Ty masz złote serce, kochana. Ja to widzę.

Adam już przestał udawać obojętnego, odruchowo usiłował namierzyć na złotowłosej wspomniany narząd wewnętrzny, zadowoliliby go nawet mostek, który teoretycznie powinny otaczać piersi, ale nic z tego. Płachty, wszędzie płachty, zupełnie jakby patrzył na remont budynku, przy którym dodatkowo postawiono zakaz przechodzenia.

Żadnej litości dla pieszych.

– Ja? Złote serce?!

Dziewczyna zarechotała, a przy okazji obróciła się i... spiorunowała Adama wzrokiem. W brązowych oczach, jak w nadzieniu czekoladki, pojawiła się naraz nowa nuta smakowa. Nieco gorzka, a jednocześnie paląca. Adam obstawiałby wariację na temat: „CHCESZ W RYJ?!”. I nagle jakby przeniósł się w czasie – znowu pocily mu się ręce, znowu przyłapano go w szkolnej szatni na przeglądaniu „Playboya”.

Tyle że dzisiaj miał trzydzieści trzy lata i nikt nie będzie go ciągnął do dyrektorki.

Wytrzymał spojrzenie.

– Złote serce, wiem, co mówię. Pani jest dobra dziewczyna – perorowała kobieta, zerkając przy okazji na Adama, a jej uśmiech stawał się coraz szerszy i coraz bardziej dwuznaczny.

Coś się kroilo!

Jak gdyby nigdy nic wyciągnął więc szyję i w zakrytym budynkami fragmencie ulicy usiłował dostrzec autobus. Bez skutku. Nic nie chciało jechać.

– Raczej nie bardzo – sprostowała przepaszającym tonem sąsiadka. – Zamiast serca mam kamień – dokończyła i Adam uznał, że komunikat był skierowany do niego, gdyż w ostatnich słowach zabrzmiała aż nadto czytelna złośliwość.

Zaczął złotowłosej wierzyć, jednak kobieta okazała się optymistką.

– Może i kamień. Czasem trzeba być twardym. Ale jak kamień, to... bursztyn – oznajmiła i tu Adam z uznaniem pokręcił głową.

Ładnie powiedziane, naprawdę ładnie.

– Kochani... – Kobieta najwyraźniej już ich połączyła. – A nie macie kilku drobnych na bułkę?

Aha!

Ale pomimo transakcji wiązanej, Adam nie potrafił się rozgniewać.

Ot, na koniec dnia pracy taka perełka, to znaczy bursztyn...

Dlatego sięgnął do kieszeni i wyskoczył z pięciu dych, co odnotowano na przystanku prawie ze wstrząsem. Spokojna pozostała jedynie złotowłosa. W kącikach ust zagościł jej ironiczny uśmiech, po czym wyłuskała z portfela trochę bilonu.

– Dziękuję bardzo! – zagruchała kobieta z wdzięcznością.

Na odchodnym nie omieszkała jednak złożyć im życzeń:

– Wszystkiego dobrego. Będzie z was piękna para!

– Tak, z niektórych zesła para... Niezły gest – oceniła tymczasem blondynka. – Taki efektowny...

Zanim Adam zdążył sklecić jakąś sensowną ripostę, na przystanek zajechał

z piskiem opon autobus. W końcu! Jednak dziewczyna na widok trzydziestki nie zareagowała, więc może wybierali się w tym samym kierunku?

– Słucham?

– Prawie się wzruszyłam. Normalnie facet wyjął pięćdziesiąt złotych i mnie oszołomił... – W tym miejscu teatralnie otarła łezkę, podła.

I co miał powiedzieć?

Owszem, czasem szybciej działał, niż myślał. Owszem, kiedy indziej nie wysupłałby nawet złotówki, zwykle posyłał żebraków do diabła, nużyli go, ale Bóg... Nie, nie chodziło o Boga. Chodziło o nią. Ta oryginalna baba w jakiś niewytłumaczalny sposób go ciekawiła. I chyba chciał się popisać.

Wielkie rzeczy.

– Prawie. Czyli muszę dalej próbować... – podchwycił prowokująco, zaglądając jej w twarz.

Bliskość była wręcz obezwładniająca i widział, że dziewczyna chciała się odsunąć, ale nie ustąpiła. Uniosła brodę i znowu spróbowała sztuczki z chłasnieniem go oczętami.

– Palisz? – ubiegł więc atak.

Z niezłym skutkiem.

Zmarszczyła nos, a piegi poruszyły się na jej skórze jak groszki na wzorzystej tkaninie.

– Znaczy że co? – natarła. – Papierosy?!

– Znaczy: że marychę.

– Jaką marychę?

Oj, tu wyczuł prawdziwe oburzenie, balans na krawędzi mógł wszystko zepsuć.

– Pytałem, czy palisz marihuanę. Masz na torebusi...

– Marihuanę?! – ofuknęła go i pokręciła głową. – Oczywiście! Typowe... Do twojej wiadomości, kolego... Na PLECAKU mam liść konopi indyjskich. Czyli *Cannabis indica*. W niektórych pospolitych kręgach ta roślina jest kojarzona tendencyjnie. Ale gdyby jeden młot z drugim, zamiast puszczać dymka, trochę poczytał, toby się dowiedział, że marihuaną można leczyć niepokonaną dotąd padaczkę...

– ...nadcisnienie, jaskrę, a nawet mówi się o raku – wszedł złościcy w słowo i przyjemnie było zobaczyć, jak z kolei to ją zatyka. – Kannabinoidy. Organiczne związki chemiczne, one są wszystkiemu winne. A koncernom odpowiada, że marihuana robi za narkotyk. Za dużo ludzi mogłoby się na nich wypiąć.

Przez krótką, bardzo krótką chwilę dochodziła do siebie.

Punkt dla niego.

– Jesteś lekarzem? – Zmrużyła oczy, a pytanie zabrzmiało tak, jakby sprawdzała, czy jest nosicielem wirusa HPV.

Coś mu mówiło, że zanim odpowie, powinien zbadać grunt.

– A wyglądam?

– Na szczęście nie.

– Czemu na szczęście?

– Bo... sama jestem lekarzem. Prawie, jeszcze nie skończyłam specjalizacji, ale już mam dosyć swojego pokopanego środowiska.

– Pokopanego? Jesteś psychiatrą?

W końcu się uśmiechnęła i poprzednie napięcie gdzieś odeszło.

Na przystanku wręcz przeciwnie – ludzi przybywało, upał szalał, a nerwowa atmosfera z chwili na chwilę gęstniała. Autobusy w kierunku Chorzowa jakoś nie chciały jechać i kiedy indziej Adam pewnie pomstowałby razem z pasażerami albo wziął taksówkę, ale dzisiaj...

Dzisiaj ta przymusowa pauza bardzo go cieszyła.

– Proszę cię! – sapnęła adeptka medycyny. – Jestem zwykłym internistą.

– I co? Interniści są tacy źli? – dopytywał, usiłując się nieco wyluzować i jednocześnie wyeksponować klatkę, nad którą pracował cały sezon.

– Mówię ogólnie, że mam dosyć. Harówka jak w pegeerze, w szpitalu i w przychodni tłumy jak w pegeerze...

– Ale płaca jak w banku.

To chyba nie była zbyt fortunna uwaga, więc czym prędzej się poprawił:

– Ale co prawda, to prawda. Ostatnio byłem u dentysty... Tłumy jak w Afryce przy studni!

I znowu czekała go niespodzianka.

– Fakt. Płaca jest nie najgorsza, trochę mnie poniosło – przyznała z niewyraźną miną. – Jestem ostatnio przemęczona... – westchnęła i próbując wyjrzeć na ulicę, musnęła go kolanem. – Coś musiało się stać. To przez upał, w upalne dni na izbie przyjęć jest tragedia, sprawność psychomotoryczna leci na łeb na szyję... A wracając, najgorsi są właśnie dentyści.

Jak to najgorsi?!

Dentyści są najlepsi!

– Tak?

– Najczęściej spośród lekarzy chorują na depresję i popełniają samobójstwa.

– Tu bym polemizował. Dentyści to weseli kolesie. Naprawdę, znam kilku. – Uśmiechnął się zachęcająco, ukazując nadzwyczaj białe siekacze, ale dziewczyna jakby nie słuchała.

– Są beznadziejnymi mężczyznami.

– Czemu?!

– Wszystko przez asystentki.

Asystentki?!

Ależ asystentki jego ojca – na razie pracowali razem – były świetne!

– Mogę wiedzieć, co do tego mają asystentki?

– Jak to co? Są z lekarzami wiele godzin. W jednym małym pomieszczeniu. I jak z kimś pracujesz na okrągło, blisko i go lubisz, bo chyba do własnego gabinetu nie zatrudnia się wrednych kreatur, to oczywista sprawa. Nie ma siły, w końcu musi zaiskrzyć. A pokaż mi faceta odpornego na elektryczność.

Argument był faktycznie trudny do odparcia, właśnie z takiego powodu zakończyło się małżeństwo jego rodziców...

– Lech Wałęsa. Podobno elektryka prąd nie tyka – próbował pokryć zakłopotanie wątpliwym żartem.

– A ty? Kim jesteś z zawodu, jeśli można wiedzieć?

– Artystą... – Już chciał rzucić sprawdzoną formułkę („artysta uśmiechu” budził cieplejsze skojarzenia niż chirurg stomatolog), ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. A właściwie dostosował się do sytuacji. – Artystą plastykiem – powiedział ku swojemu zaskoczeniu. – Jestem artystą plastykiem.

Cóż, w końcu regeneracja kości i niektóre robótki podchodziły pod sztukę, trudno zaprzeczyć. Miało się wrodzony talent manualny, ot co.

– Poważnie? – Otworzyła szeroko roześmiane oczęta i Adam stwierdził, że czekolada ma wyjątkowo dużą zawartość kakao. – Jesteś plastykiem?

– Tak, jestem bardzo... plastyczny. Zdziwiona?

– Czemu zdziwiona, po prostu nigdy dotąd nie poznałam żadnego artysty. To znaczy, nie znamy się...

– Adam Gryzewicz – wykazał się refleksem i już ścisnął jej dłoń.

Dotyk.

Faza kontaktu cielesnego była... chyba najprzyjemniejsza.

Dziewczyna miała malutką i bardzo delikatną rękę, zupełnie jakby kobiecość zamieszkała w jej nadgarstku, skórze czy gdzieś między kosteczkami, nieważne. Fakt pozostawał faktem.

Od wewnątrz zalało go potworne ciepło.

– Ewa... Po prostu Ewa – zdradziła z wahaniem swoje imię. Chrypka jeszcze chwilę seksownie wibrowała, a żołądek Adama zwinął się w twardy supeł.

– Adam i Ewa rozmawiają na przystanku autobusowym o... Bogu. Dobrze! – Cmoknął z lubością.

– O, przepraszam, ja rozmawiałam o Bogu, ty tylko podsłuchiwałeś.

– Przysłuchiwałem się. Przysłuchiwałem! Musisz przyznać, że to różnica.

– Niech ci będzie.

Z trudem zebrał się w sobie i ruszył do ataku.

– I co z tym zrobimy? – spytał zawadiacko, pamiętając, że jeśli chodzi o miękkość i żar, kobiety wołają zdecydowanych brutalni. Przy koleśkach, którzy w razie potrzeby nie potrafią złamać przepisów i przejść na czerwonym, nie czują się bezpieczne.

– Z czym?

– Adam i Ewa. Protopłaści rodu... – zaczął nieco bredzić, ale towarzystwo dziewczyny sprawiało, że świat wirował, zupełnie jak po wypiciu czegoś mocniejszego. – Nie mów, że nie ma w tym ręki przeznaczenia czy tam Bożego palca, kwilenia słowików, pardon: gruchania gołębi... Gołębie też są w klimacie. I ogólnie tej, no, wzniosłości...

– Ty naprawdę jesteś artystą. – Zachichotała. – Ale konkretnie jakim? Rzeźbiarzem, grafikiem?

Adam wrócił wspomnieniami do niedawnego remontu, rzecz jasna prace budowlane wykonywali fachowcy, jednak on pomalował garaż! A konkretnie drzwi.

To mało?!

– Zostańmy przy artyście plastyku. Malarz, zwykły malarz. Chociaż nie... Niezwykły! – Trochę podniósł głos, gdyż właśnie coś wymyślił. – Zamierzam zostać słynnym malarzem. Malczewski to będzie przy mnie pikuś!

– Malczewski? – Ewa żywo się zainteresowała. – Czemu akurat Malczewski?

– A lubisz go?

– Ogromnie... – rzuciła jakby do siebie, ciszej. – Znasz się na Malczewskim? Jacku?

– Pewnie, że się znam! – kłamał jak najęty, ale przecież zawsze wychodził z założenia, że jeśli już coś robić, to nie jak robot. Serce. We wszystko należy wkładać serce. – Na Malczewskim się wychowałem, Malczewskim się inspirowałem. Kocham gościa, po prostu go kocham. Tylko Malczewski. To mój idol.

– Dobrze wiedzieć.

– I powiem ci... Że bardzo chciałbym namalować twój portret – palnął z rozpędu, truchlejąc na myśl o ewentualnej odmowie. – Już cię widzę w konkretnej pozycji.

– W czym?

– Yyy... W pozie. Widzę cię w konkretnej pozie. W baśniowej scenerii, takiej wiesz... – zająknął się, szukając odpowiednich słów. Nie powinien przecież mówić jak dentysta, raczej jak koleś na lekkim haju. Co oni tam pili w Młodej Polsce? Nie absynt czasem? Dobra, będzie jak po absyncie. – W odrealnionej scenerii. Ale w takiej wysmakowanej, może z twoją torebą... z plecakiem, wśród liści, wiadomo jakich, do tego deszcz kannabinoidów, helisa DNA, protony, neutrony, jądra... – rozkręcał się coraz bardziej, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– W porządku, zgadzam się.

– Zgadzasz się?!

– Tak, chcę mieć portret. Od dawna o tym myślałam.

– Będziesz zachwycona! – zapewnił gorąco.

– Jasne. Zapiszę ci mój numer, musimy się jakoś umówić. – Wydobyła z plecaka wygniecioną kartkę i pospiesznie nabazgrała na niej rząd cyfr. Zadzwoń!
– rzuciła na pożegnanie, widząc żółte cielsko pięćdziesiątki, do której z bojowym okrzykiem na ustach ruszyła właśnie połowa przystanku.

Ta środa była najjaśniejszą środą tego lata.

Później jednak okazało się, że los okrutnie z Adama zadrwił.

A może nie los?

Może zadrwił z niego wredny, a do tego tchórzliwy babsztyl?...



Władze umysłowe odebrało Ewie trzy razy w życiu i było tego o trzy razy za dużo.

W pierwszym przypadku niemal oblała maturę, tak bardzo ją wzięło, w drugim – obiekt zarywał również do jej koleżanki z roku, co obie zainteresowane odkryły dopiero po kilku miesiącach, ale dzięki kobiecej solidarności chłopiec został ukarany, a nawet publicznie napiętnowany. Zemsta była słodka. Wraz z koleżanką odwiedzały go codziennie na Wydziale Prawa i Administracji i robiły tam małą szopkę z wyznaniem miłości. Któregoś razu zabrały nawet gitarę... O wielkim uczuciu dwóch nawiedzonych wariatek dowiedzieli się więc bez

wyjątku wszyscy studenci oraz wykładowcy, a sprawca na ich widok w końcu zaczął dostawać nerwowych drgawek i podobno przeniósł się do Wrocławia. Tam miał czystą kartę, mógł czarować inne naiwniaczki. O trzeciej wpadce nawet nie chciało się Ewie myśleć, dwa lata wyjęte z życiorysu, totalna porażka.

Wtedy postanowiła, że będzie traktować facetów tak, jak oni traktowali kobiety.

Zimno.

I z wyrachowaniem.

Małe bzykanko? Czemu nie. Była otwarta na kreatywne projekty. Jeśli kandydat nie miał na czole napisu: „W pakiecie orgazm w dwie minuty i opryszczka narządów płciowych”, a do tego był inteligentny i kulturalny... Mogła nawiązać relację. RELACJĘ. Relacja to nie związek. Związek oznaczał zaangażowanie, kanapki do pracy, wspólnego kota i całą masę kłopotów. Kłopoty nie były kreatywne, na kłopoty Ewa nie miała na tym etapie ani wytrzymałości nerwowej, ani czasu. Na internę poszła przecież nieprzypadkowo. Oczywiście, medycyna pod strzechy i tak dalej, chciała pomagać bliźnim, a jeśli przy okazji tego pomagania wybuduje sobie dom... Wspaniale byłoby mieć swoje cztery kąty, gdzie nikt by się do niczego nie wtrącał (mieszkała z babcią i dziadkiem), gdzie nie musiałaby się z niczego tłumaczyć. Tyle że to marzenie oznaczało harówkę, więc własna rodzina na razie odpadała, zresztą rozsądnych kandydatów na stanowisko męża Ewa spotkała zero.

Słownie i cyfrą.

Zero.

Metoda wypełniania pustki niewinnymi flirtami okazała się strzałem w dziesiątkę, tym bardziej że jeśli Ewa nie życzyła sobie czyichś zalotów, proszona o numer telefonu podawała... zamiar na dziadka, w którym od lat miała oddanego powiernika. Przypalany żelazem nie zdradziłby żadnego sekretu, a telefony od absztyfikantów stanowiły jego największą rozrywkę, oprócz polowań, rzecz jasna (dziadek był zapalonym myśliwym).

Ale w tym przypadku...

Ewa wcale nie zamierzała wysłać nowo poznanego artysty na drzewo.

Miała wobec niego bardzo konkretne plany, a konkretnie chciała z nim odbyć rozmowę na temat malarstwa. Zważywszy, że ostatnio na gwałt potrzebowała gotówki (jej brat zaczął bredzić o ożenku!), artysta znajdujący się na Malczewskim był wręcz zrzędzeniem losu. Numer dziadka podyktowała zupełnie odruchowo, z czego zdała sobie sprawę w drodze, więc było już za późno. Poza tym celowo wsiadła w autobus, który wywiózł ją na Oblatów, nie na Dąb, bo z tego, jakie numery przepuszczał Adam, zorientowała się, że jadą w tym samym kierunku. A pierwsza zasada uwodzenia brzmiała: towar limitowany bardziej pożądanym. Rozmawiała z nim, ile trzeba. Nie dwie rozwleczone godziny, w ciągu

których zdąży zdechnąć każda tajemnica, ale kwadrans, w sam raz, żeby zaostrzyć apetyt. Ewa postanowiła skrócić spotkanie także i z innego ważnego powodu. Dosyć wstydlivego. Chodziło o nią.

Kiedy się zbytnio rozgadała...

Coś jej się w środku przestawiało, mówiła i mówiła, dosłownie wyciekał z niej potok słów, w dodatku zawsze były to słowa kompromitująco szczere. Tak szczere, że często zdarzało się jej obrazić rozmówcę. Zachowywała się zupełnie jak babcia, która była kochana, ale przerażająco brutalna. A Ewa za wszelką cenę nie chciała być brutalna, w związku z czym musiała kontrolować sytuację.

O, proszę, o wilku mowa!

Ledwie wysiadła z autobusu i ruszyła Stęślickiego w dół, żeby dotrzeć do Chorzowskiej, zaburczała komórka.

– Ewa, gdzie ty jesteś, dziecko?!

Głos babci brzmiał jak z zaświatów, do tego wibrowała w nim bojowa nuta, co mogło oznaczać tylko jedno.

Awanturę.

Ewa westchnęła i jednak nadstawiła uszu.

– Będę niedługo, za jakiś kwadrans – poinformowała. – Zaraz wsiadam w tramwaj, jestem pod Silesią.

Nie zamierzała dopytywać, co się stało, ponieważ otwarcie pewnych tam oznacza w przypadku babci pięć metrów powyżej poziomu morza. Wody huczą, fale niszczą wszystko, co napotkają na swojej drodze, i kataklizm gotowy. Tak, jeśli miałyby porównać babcię do jakiegoś współczesnego morskiego potwora, rekin byłby w sam raz.

Gdyby tak ktoś wynalazł spray na rekiny...

– Wiesz co się tutaj DZIEJE?! – wykrzyknęła nestorka rodu już pełną piersią.

– Niech zgadnę – rzuciła dosyć cierpko Ewa. Wokół wciąż panował niezdolny skwar, aż zaczynało jej pulsować w skroniach. Oby ten dzionek nie skończył się migreną. – Kłócisz się z dziadkiem?

– Jakie kłócisz?! Żeby ten staruch potrafił się chociaż kłócić. Kłócić, czyli odpierać argumenty. A ten zdziadziały satyr potrafi tylko burknąć NIE. Nie, bo nie! Rozumiesz? Przecież mnie zaraz coś trafi. Jak tu w ogóle rozmawiać?! No, sama powiedz. Przecież ja jestem osobą racjonalną. Wszystko rozumiem, można spokojnie...

– Babciu... – usiłowała dojść do słowa.

– ...wysłuchać czyichś racji. Można docenić czyjaś troskę. Przecież ja nie z żadnej złośliwości, ale kto to widział...

– Babciu!

Zadziałał dopiero jej ostry ton, ale oczywiście i to babcia potrafiła obrócić

przeciwko niej.

– Właśnie. Moja rodzona wnuczka też się do mnie pięknie odnosi. Czy ja sobie latami skakania wokół was zasłużyłam?! Wszystko mieliście. Jestem na każde wasze zawołanie, na każde skinienie. Jak pies. Lata wiernej służby, lata...

– Moment! – Ewa postanowiła ustalić fakty. – Gdzie teraz jest dziadek?

– A skąd ja mam... – zaczęła naburmuszona babcia, ale posłusznie dokończyła: – W ogrodzie. Przy tych swoich pomidorkach, co to je tak pieści i pieści.

– Dobrze. Więc już nic do niego nie mów, zgoda?

– A czy ja do niego coś mówię? Ja już mu wszystko powiedziałam, co myślałam. Wygarnęłam mu, aż mu w pięty poszło. Ale dzwonię do ciebie, bo nie mogę wytrzymać. Z krzywdy! Rozumiesz? Z krzywdy i żalu!

– Właśnie, babciu, żeby cię z żalu nie zanosło do szklarni. Dobrze? Zostaw go.

– Dziecko, ja robię obiad. Do jakiej szklarni? Do tego składowiska gratów?!

– Babcia wspomniała pomieszczenie, w którym dziadek faktycznie trzymał nawet przenośny telewizor sprzed dwudziestu lat, i Ewa wyobraziła sobie jej zdeglustowany wzrok. Uspokoiła się. – Moja noga tam nie postanie. Nigdy! Niech sobie tam twój kochany dziadziuś zgnije, niech się w tych foliach i pomidorach zakopie na wieki wieków...

– Amen! Czy ja mogę powiedzieć, że jestem strasznie głodna?! – Ewa spróbowała z innej beczki.

– Głodna?! To wracaj szybko do domu. – Babcia zaczęła rozmowę zupełnie innym tonem, a w tle dało się słyszeć przyjemny brzęk pokrywki. – Robię pierogi z jagodami. Polane masłem i śmietaną. Mogą być?

Ostatnia wiadomość była wręcz elektryzująca.

Czy mogą być?!

Babcia gotowała najlepiej na świecie.

– Z jagodami? To ja pędzę jak na skrzydłach!

Tyle że skrzydła opadły Ewie najpierw w tramwaju, gdzie panował potworny ścisk, a ostatnie piórka straciła w okolicy furtki, czyli pośrodku ulicy Wiejskiej na Dębie, skąd rozpościerał się miły widok na buzujący zielenią ogród i czerwieniejące pośród niego dwa niewielkie budyneczki z niemieckiej cegły.

W domu z białą werandą mieszkała babcia z wnuczką, dziadek przeniósł się na stare lata do chlewików, które przerobił na parterowy domek. Jednak widziane zza płotu podwórko tylko pozornie było zadbanym obejściem ze stylową ławeczką pod jabłonią, z krzewami i kwiatami, nad którymi uwijały się pijane od pyłku pszczoły – przez jego środek biegła najprawdziwsza linia demarkacyjna. Przed czterema laty, kiedy doszło do otwartej wojny i dziadek wylądował z walizkami na zielonej trawce, rozpoczął remont budynków gospodarczych i jeszcze tego samego

dnia zasadził pośrodku podwórka rząd słoneczników o szerokości metra. Podzielił tym samym posiadłość na dwie części i bacznie pilnował respektowania granicy.

Od tamtego czasu życie Ewy zmieniło się w piekło.

Dziadek z babcią nie przeżyli nawet kilku godzin bez utarczek i dogryzań, nie przeszkadzała im w tym ani odległość – przecież można drzeć się przez okno na całą dzielnicę – ani wiek. Oboje mieli wciąż mnóstwo siły i zaparcia.

Szczególnie zaparcia.

Znaleźć dwoje tak upartych staruszków było naprawdę trudno.

– Kto inny by podziękował, ale to trzeba być tępakiem... – Na Wiejskiej pobrzmiwał sopran wzburzonej babci i Ewę oblał rumieniec.

W okolicy skwerku pojawiła się właśnie sąsiadka wyprowadzająca psa, niby uśmiechnęła się na powitanie, ale Ewa widziała jej badawczy wzrok, którym obejmowała to podwórko, to biedną wnuczkę, która doświadcza przemocy domowej.

A niech sobie baba patrzy!

Ewa była daleka od układania swojego życia pod dyktando sąsiadów, ale wymierzona w nią w słoneczny dzień kpina raczej nie nastrajała pozytywnie. W dodatku czekała ją zaraz niezła przeprawa. Tak nakręcona babcia zaleje ją pretensjami, będzie żądała opowiedzenia się po jej stronie, będzie robić z siebie ofiarę, a na koniec dostanie ataku serca.

Po prostu szczyt marzeń.

– Zawrzesz w końcu buzię, kobieto?! Ileż można ujadać?! Ujada i ujada, ta-ta-ta i ta-ta-ta. Głowa puchnie, chociaż mieszkam osobno! – zadudnił wyprowadzony z równowagi dziadek i Ewa zrozumiała, że jest gorzej, niż myślała.

Dziadkowi nerwy puszczały tylko w ostateczności.

Ciekawe, o co poszło tym razem...

Babcia nie zawiodła, zalała wnuczkę potokiem słów już w drzwiach, ale trudno było doszukać się w tej paplaninie sensu.

– Jesteś! No i popatrz. Słyszałaś, jak on do mnie mówi?! Zamknij ryj! W końcu mam świadka. Czy tak powinien się odnosić do żony mąż?

– Dziadek wspominał coś o zawarciu buzi. I powiedział „kobietę”, więc moim zdaniem trzeba się cieszyć. A tak w ogóle to słysząc was już na światłach, pod kościołem... – próbowała zahaczyć o wartości wyższe, ale jeśli chodziło o wzbudzenie poczucia winy, babcia nie miała sobie w tej dyscyplinie równych.

– I co z tego?! A niech się wszyscy dowiedzą, jaki ze Strzegomskiego CHAM! – Ostatnie słowo zostało specjalnie zaakcentowane i rzucone przez okno z taką mocą, że w kuchni zrobiło się jeszcze goręcej.

Ewa poczuła, że klei się do niej bluzka, spodnie, a nawet skarpetki.

Babcia leżała chwilę przewieszona przez parapet, jej wzorzysta spódnica wyglądała w tej pozycji jak wystawiona do wietrzenia poduszka, ale od domku

dziadka tym razem nie rozbrzmiała żadna smakowita odpowiedź. Niepocieszona wróciła więc do czynności kulinarnych, wymachując przy tym starą łyżką cedzakową, która wyglądała w jej dłoni niczym halabarda.

– Inny by docenił, że żona się o niego martwi, że coś dla niego robi, a ten niewdzięcznik...

– Czy ja się w końcu dowiem...

– Zamiast już na dzień dobry pyskować, lepiej byś umyła ręce! – Babcia znowu machnęła orężem kuchennym, aż zafalował na niej biust i Ewa mimo wszystko się uśmiechnęła.

Dość niemrawo i w duchu, ale jednak.

Babcia skończyła niedawno siedemdziesiąt trzy lata, ale było w niej coś takiego, że człowiek musiał zaliczyć ją do płci pięknej, a nie do gatunku: staruszka. I wcale nie chodziło o wygląd, bo nawet nie farbowała włosów. Nosiła siwą, krótko przystrzyżoną fryzurę, a zmarszczki na jej twarzy układały się w skomplikowane wzory: raz była to fikuśna koronka (kiedy babcia się uśmiechała), a raz pajęcza sieć – gdy słała światu groźne spojrzenia. Figurę miała natomiast Waleria Strzegomska lepszą niż niejedna pięćdziesięciolatka: cieszyła się dość obfitymi kształtami, za to w świetnych proporcjach, na co zżymała się nawet Ewa, na próżno poszukująca u siebie seksownie zaznaczonej talii. Poza tym babcia trzymała się prosto, jak carski oficer, a w jej ruchach była taka władczość, taka siła, że ktoś mniej energiczny mógł się nawet przestraszyć.

– Umyj u dziadka. – Ewa jednak w ogóle się babci nie bała.

Rzuciła niedbale torbę na krzeselko i z powrotem wystartowała do drzwi.

– Jak: u dziadka? Co, u nas nagle zabrakło wody? – natarła babcia.

– Zanim powiesz, co się stało, dostanę apopleksji – wyjaśniła przytomnie wnuczka, nie siląc się na delikatność. – Ręce umyję przy okazji, dziadek ma fajne mydło. Oliwka z lawendą. Kiedy pierożki? – zapytała z uczuciem, jak gdyby nigdy nic.

Ten sposób, przetestowany już setki razy, był na babcię najlepszy.

Jedzenie! Babcia kochała jedzenie, jedzeniem kochała też sprawiać radość innym. Jedzenie z pewnością zajmie uwagę babci na dłużej.

– Pierożki... – burknęła pod nosem, ale wróciła do garnków. – Tylko nie siedź tam pół dnia! Pierogi już wyjmuję, pospiesz się, bo będą zimne. I zaraz mi wszystko powtórzysz, ten stary dziad na pewno będzie na mnie nadawał. Już ja go znam!

Dziadek musiał chyba obserwować podwórko, gdyż ledwie Ewa podeszła do domku, czerwone drzwi zapraszająco skrzypnęły.

– Krzyż pański z tą kobietą... – Dziadek sapnął już na wstępie, ale cicho, jak spiskowiec, który wpuszcza sojusznika do swojej kryjówki.

I od razu otoczył ich znajomy zapach suszonych jabłek.

– Dziadku, powiesz, co się stało? – spytała z troską Ewa, zatrzymując się na środku sporego pokoju zastawionego przeróżnymi sprzętami.

Lubiła tu zaglądać, choć z trudem znajdowała w tym bałaganie miejsce, żeby choć usiąść: w kącie dumnie sterczała zabytkowa prasa do owoców, pod oknem i na krzesłach tłoczyły się numery „Łowca Polskiego”, segment po lewej stronie zawałwały rozmaite narzędzia i starocie (w tym prześliczna mosiężna waga z wykutym na brzegu niemieckim napisem), a ze wszystkich ścian spoglądały smętnie szklane oczy zabitych przez dziadka zwierząt, które nazywał trofeami. Sarenki, daniela, dziki, a nawet jelenie – biegały kiedyś chyżo po lasach i puszczech, a dziś były tak zwaną ozdobą. Czyli kawałkiem wypchanej i pokrytej kurzem skóry.

Smutne.

Po pokoju skakała właśnie w najlepsze Bomba i Ewa nie umiała powstrzymać uśmiechu. Bomba była teoretycznie psem myśliwskim, w praktyce rudowłosą i zaokrągloną jamniczką, która chadzała na polowania wyłącznie w celach konsumpcyjno-rozrywkowych. Flirtowała tam na potęgę z kawalerami, a także jadała zastrzelone ptactwo, zamiast je posłusznie przynosić, co doprowadzało dziadka do szewskiej, nie łowieckiej, pasji. Ale w domu była najukochańszą sunią.

– Już, już... – Ewa rzuciła się ją głaskać. Lubiła zwierzęta, rozumiała je, a nawet od czasu do czasu leczyła, o czym wiedział już cały Dąb. – Moja malutka. Dziadku? – Nie zapomniła jednak, po co tu przyszła. – Babcia szaleje. Oświecisz mnie z jakiego powodu?

– Tak, szaleje, dobrze powiedziane. Ta kobieta najadła się szaleju! Masz, czytaj... – Roztrzęsiony dziadek położył na stole jakiś papier.

– Co to jest?

Ewa zerknęła na kartonik rozmiarów zeszytu, który przedstawiał Matkę Boską. Obok, jak na dyplomie, widniał wykaligrafowany tekst:

MISYJNE

Msze Święte Wieczyste

Codziennie odprawiamy siedem Mszy Świętych z podziękowaniem za otrzymane łaski, z prośbą o zdrowie duszy i ciała (tu ktoś powyżej dopisał „oraz UMYŚLU!”), dary Ducha Świętego, wzrost wiary, nadziei i miłości, opiekę Matki Najświętszej oraz Boże błogosławieństwo w dalszym życiu.

Andrzej Strzegomski

ul. Wiejska 7

Katowice

*Ma w nich udział od dnia 11 lipca.
Bóg zapłać za złożoną ofiarę.*

– O, tu, zobacz, tu! – Wzburzony dziadek pokazał palcem na kolejny dopisek autorstwa babci: „Opamiętaj się, Andrzej, póki czas. Nie wiadomo, kto z nas pierwszy!”.

Ewa w zdumieniu prawie zagwizdała.

– W mordę! – wyrwało się jej.

– Właśnie.

Dziadek zaczął krążyć po pokoju, nie przeszkodziły mu w tym ani spory brzuszki, ani zadyszka. Ściągnął okulary, co chwilę je przecierał i z chwili na chwilę robił się na twarzy coraz bardziej czerwony. Ewa dawno nie widziała go w takich emocjach. Biedak. Od zarania dziejów był zatwardziałym ateistą i na tym tle również dochodziło między nim a fanatycznie wierzącą babcią do zatargów. Normalka. Dlaczego więc dziś tak się uruchomił?

– Co za złośliwe... kobiecisko! Już mi sił brakuje, mówię ci, Ewuniu... Znosiłem to przez tyle lat. Przez tyle lat ustępowałem, wysłuchiwałem obelg... Ale takie coś?!

– Po prostu babcia ci dobrze życzy. Modli się za ciebie – bąknęła.

– Dobrze życzy? – powtórzył prześmiewczo. – Ona dobrze życzy tylko obcym! Albo tobie i twojemu bratu. Mężowi taki numer wywinąć... Moje nazwisko w ich bazach danych! Rozumiesz?! Takie świństwo mi zrobiła... Już mnie mają! – Dziadek nie pozwolił sobie niczego wytłumaczyć.

Kościół katolicki traktował jako wcielenie wszelkiego zła, a przeciwstawianie się księżom i ich polityce uważał za swoją życiową powinność. Żony nie próbował już uświadamiać, ale sądził, że Polska byłaby aktualnie na zupełnie innym etapie rozwoju, gdyby nie musiała przez wieki płacić daniny – szeroko rozumianej, jak podkreślał.

– Jakie: mają? – Ewa usiłowała za nim nadążyć, ale czuła, że sprawa jest przegrana.

Dziadek, niegdyś wojskowy technik radiologii, miał lekką obsesję na tle archiwów, dokumentów i wszelkiej działalności śledczej. Odwieść go od raz rzuconych podejrzeń było praktycznie niemożliwe.

– A co! Czarni to najlepszy wywiad świata. I proszę, już mają moje nazwisko!

– Dziadku, przesadzasz... A chrzest mamy? Mama była przecież chrzczona.

Ewa wspomniała swoją rodzicielkę, która na początku lat dziewięćdziesiątych zwinęła manatki i wyjechała z ojcem do Wiednia, a ją i brata zostawiła u rodziców. Niby na kilka miesięcy, niby na chwilę, ale chwila trwała już

ponad dwadzieścia lat. W sumie nieźle się złożyło, mama pod pewnymi względami była jeszcze gorsza niż babcia.

Dziadek usilnie coś analizował.

– Namaszczona? – spytał w końcu z osobliwym wyrazem twarzy i Ewę olśniło.

Przecież dziadek niedosłyszysz! Chyba znowu rozregulował mu się aparat, trzeba się tym jak najszybciej zająć.

– Chrzczona. Powiedziałam, że mama była chrzczona.

– Aaa, chrzczona... Ale mnie przy tym nie było! – zastrzegł pospiesznie, przysiadając obok wnuczki.

W oczach miał przerażającą bezradność.

– Nieważne, czy byłeś – tłumaczyła cierpliwie. – Twoje imię i nazwisko zostało zanotowane w księgach już wtedy... Znowu paliłeś fajkę? – spytała groźnie, gdyż w jego oskrzelach usłyszała coś niepokojącego.

– Oj tam... I wiesz jeszcze, czego się dzisiaj dowiedziałem? – Dziadek zerknął na swój brzuch, a potem umknął spojrzeniem w bok. Zaczynała mu też drzeć broda, co Ewę zawsze rozstrajało. – Że jestem tłusty wieprz. Do grubasów już się przyzwyczailem. Do tępaków również. Ale dzisiaj jeszcze mi oznajmiła, że nadaję się tylko do obsługi pługa albo żniwiarki...

– Jakiej żniwiarki?! – wyraziła zdumienie Ewa.

Dziadek spojrział z nostalgią na prasę do owoców.

– Chodzi o to, że nie znam się na Androinach i innych komputerach... Że jestem niedzisiejszy. Stary wapniak. Zlasowane wapno...

– I to wszystko przy okazji msz... mesz?... – Ewa, nagle rozbawiona, nieco się zaplątała.

– Mszów? – Dziadek do niej dołączył, a koniuszki wąsów mimowolnie mu drgnęły. Wnuczka szybko wykorzystała więc okazję i położyła swoją dłoń na jego ręce: pomarszczonej, ale zadziwiająco twardej. Była ciepła.

– Mszy świętych.

– Tak czy siak twoja babcia potrafi przejść od różańca świętego do wyrzutni rakiet, które opchnie Czeczenom za korniszony. Żaden problem. Oberwałem, bo ośmieliłem się zaprotestować przeciwko wycieraniu mojego nazwiska po kaplicach. Po prostu grzech śmiertelny! – znowu się uniósł, po czym patrząc Ewie głęboko w oczy oznajmił:

– Ewuniu, chyba poproszę cię o pomoc.

– Ale w czym?

– Bez ciebie nie dam rady. Nie wiem, jak się do tego zabrać, a ty jesteś lekarzem...

– Jeszcze nie do końca – ucziwie zaprotestowała.

– Jesteś, jesteś. I to najlepszym.

– Zamiłowanie do medycyny mam po dziadku.

– Tak, ale mój romans z medycyną to czas przeszły. A czas teraźniejszy jest taki, że wszystko się pozmieniało. Teraz się leczy ludzi inaczej, zupełnie inaczej... Słowem, bez ciebie ani rusz. Chodzi o to, że muszę przejść na dietę... – w końcu wykrztusił z siebie komunikat, a Ewa z uciechy aż klasnęła w dłonie.

– Super!

– Super – powtórzył, niezbyt przekonany. – Tak myślałem, żeby zrzucić parę kilo i znowu wrócić do gry, żeby babci opadła sztuczna szczeka. I jeszcze... Pomożesz mi kupić telefon komórkowy i laptopa, a potem mnie tego diabelstwa nauczysz? Bo miarka się przebrała. Twoja babcia nie będzie mnie więcej poniżać... Co o tym wszystkim sądzisz? – spytał na zakończenie.

Ewa wyobraziła sobie minę babci, kiedy dziadek śmiga w nowiutkich adidasach na poranny jogging, i szatańsko się do tych myśli uśmiechnęła.

– Sądzę, że to najlepszy pomysł, na jaki ostatnio wpadłeś.

– Poważnie?

– Bardzo poważnie.

– Czyli szafa gra? – Dziadek, już w zupełnie innym nastroju, puścił do niej oko.

– Gra i buczy.

– Tylko babci na razie o tym ani słowa...

– Ma się rozumieć.

– Obiad! – usłyszeli za oknem okrzyk nabrzmiały od pretensji i oboje pomyśleli o tym samym. Niektóre kobiety potrafią wyrazić urazę na kilkanaście różnych sposobów. – Ewa, słyszysz? Ile mam wołać?! Inni też mogą przyjść, ja idę na górę. Nałóżcie sobie, chyba macie ręce...



Dziadek oddał się swojej małej obsesji, czyli zaczął zamykać za sobą wszystkie zamki w drzwiach, mimo że do babci miał parę kroków, a jedzenie obiadu zajmowało około kwadransa, natomiast Ewa pomiędzy domkiem a werandą zdążyła wejść w konflikt.

Z babsztylem, który wyrósł nagle nieproszony na ścieżce.

Dosyć tego dobrego!

Łażą takie po okolicy, zaglądną w każdy kąt i naciągają starszych ludzi.

Zaledwie wczoraj pogoniła kolesia, który usiłował namówić babcię na zmianę dostawcy prądu. Dobra zmiana. Akurat. Ilość włóczących się po domach

osób proszących o pomoc, bo spaliło się im mieszkanie, bo mają jedną pensję i sześcioro dzieci, była naprawdę zatrważająca. Statystyki zmieniło dopiero pięćset plus, ale i tak nie odnotowały tygodnia, żeby ktoś nie przyszedł po prośbie. Obie z babcią pomagały, jasna sprawa, jednak dzieliły się tylko jedzeniem. A i tak niektórzy byli na tyle bezczelni, że odmawiali chleba! Woleli gotówkę. A teraz wtarabania się tu babsztyl, który od pierwszego wejrzenia podział na Ewę jak płachta na byka. Kobieta miała w sobie coś zdecydowanie agresywnego. W dodatku ten wygląd...

Włosy w kolorze matowej czerni à la wpałam niechcący do zsypu, skóra „z czerniakiem mi do twarzy” albo *I live in a solarium*, a wyraz oczu... Jakby handlowała na ryneczku niemiecką chemią. Do tego na wiekowym tyłku spódniczusia jak u sześciolatki, we włosach plastikowa opaska, co w całości naprawdę prezentowało się niezbyt świeżo, ponieważ baba liczyła sobie coś ponad czterdziestkę i teoretycznie powinna rozumieć, że sentymentalne czasy liceum, pardon, zawodówki, już dawno przebrzmiały.

– A pani to się czasem zbyt nie rozpędziła? – Ewa wcale nie zamierzała sypać na jej powitanie kwiatów.

Przy furtce znajdował się dzwonek, wystarczyło przyłożyć paluszek z tipsem w odpowiednie miejsce, a nie pakować się komuś bez zaproszenia na podwórko.

– Słucham? – Kobieta otworzyła w zdumieniu oczy.

Niebieskie jak kolorowana woda w spłucze.

– Dlaczego pani nie zadzwoniła?

– Ale do kogo?! – warknęła.

– Do czego. Do furtki!

– Słucham?

– Czy ja naprawdę zadaję trudne pytania? Włazi tu pani jak do siebie...

– Jakże włazi?! – Baba się nastroszyła, przez co zbrzydła jeszcze bardziej. – Ja nigdzie nie włożę, przyszłam do Pawełka – padła niepokojąca odpowiedź i Ewie zrobiło się dla odmiany zimno. Jej osobisty starszy o pięć lat braciszek otrzymał od rodziców dokładnie to samo imię. Nie! Na Boga, nie... – I dzwoniłam. Do Pawełka. Mieliśmy się tu spotkać.

– Pawełek?!

– Paweł Schneider, mój... narzeczony.

– Chrzczony? – Dziadek, mając w pamięci niedawną rozmowę z wnuczką, pojawił się tuż obok i Ewa zyskała na czasie.

Usiłowała oprzytomnieć.

Brat o przyszłej pani Schneider wypowiadał się w samych superlatywach i tak sugestywnie, że w głowie Ewy powstał jej niepokalany obraz. Bo jeśli ktoś jest piękny, mądry, dobry, seksowny, błyskotliwy i zdolny (Monika potrafiła swoimi paluszkami wyplatać kosze wiklinowe!), to może inni członkowie rodziny

zaczynają się czuć jak nedorobione sieroty, które potrafią jedynie założyć cewnik i odróżnić odurę od różyczki. Ewa zastanawiała się, jak zmienią się układy z bratem, z którym zawsze wiązała ją silna więź, po zapowiedzianym przez niego w ostatni weekend ożenku, ale takie coś...

Monika.

A więc to była MONIKA?!

Ten dobrotliwy anioł, ta słodycz lukrowana w niebiańskiej chmurce...

– A nie jest chrzczony? – podłapała tamta z podejrzliwą miną, aż jej prostowane czarne kłaki stanęły dęba. – Bo my chcemy wziąć ślub kościelny i to może być problem...

– Że co, że co? – Do dziadka powoli zaczęła docierać powaga sytuacji. – Pani powtórzy od początku. Jaki ślub? Z kim?!

– Chcemy wziąć ślub kościelny. Z moim narzeczoną, a z kim? – odburknęła tamta i Ewa w jednej chwili zniecierpiała swoją przyszłą bratową na mur, beton oraz amen.

Stała więc w szyku bojowym tuż obok dziadka.

– Może trochę grzeczniej?

– A pani to w ogóle kto? Pani pierwsza była niegrzeczna. Włazi! Ja nigdzie nie włożę. Byłam zaproszona...

Dziadek w końcu usłyszał, co trzeba, i połączył fakty.

– Pani do Pawła?

– Przecież od początku mówię!

– Pani Monika? – Spojrzał zza okularów, nie kryjąc oszołomienia, a następnie poszukał wzroku wnuczki niczym koła ratunkowego na wzburzonym morzu.

– A to takie dziwne? Monika...

– Monique! – Zza rogu wypłynął tymczasem sprawca zamieszania.

Paweł, zwany w domowym zaciszu pieśczośliwie Pawciem (w przedszkolu notorycznie reagował na szpinak odruchami wymiotnymi).

Tyle że teraz wyglądał jak nie on.

Nadal był rumianym, pociesznym blondynem, od którego biła serdeczność i tężyzna fizyczna, ale twarz mu się zmieniła, jakby dostał gorączki czy dyfterytu. Albo... gorączki w dyfterycie. W dodatku Ewie odruchowo przemknęła przez głowę myśl o tracheotomii, gdyż brata jakby zatchnęło. Najpierw wstrzymał oddech, a później zachłysnął się uwielbieniem. Wzrok miał już nawet nie błędny, ale rozedrgany miłością i zachwytem tak bardzo, że Ewa czuła się całkiem skołowana. Padło mu na mózg, jak nic padło braciszce na mózg, nie było innego wytłumaczenia, ponieważ na ścieżce stał, dygając nóżką, nie słodki Kopciuszek, ale jego zła i brzydka siostra.

Tylko kretyn mógł tego nie widzieć!

Monika łaskawie pozwoliła się przez chwilę wielbić, po czym została niemal porwana na ręce i zaniesiona do królestwa babci.

Czyli dobrej, ekhm, wróżki.

To dopiero numer!

Dziadek z Ewą spojrzeli na siebie porozumiewawczo, po czym ruszyli za Pawłem i jego wybranką. Nie mogli sobie przecież darować, musieli być świadkami tego wiekopomnego zdarzenia.

Pierwsze spotkanie.

Cud narodzin wzajemnej sympatii...

– Babciu! – darł się na dole rozochocony Paweł. – Mamy gościa!

– Jakiego gościa?! – W głosie babci dało się wyczuć niebezpieczną nutę.

Ale i ciekawość.

– Odwiedziła nas Monika!

– Monika?! Twoja Monika?

– Pewnie, że moja. – Paweł dumnie przyciągnął do siebie narzeczoną, aż starowince przekrzywiła się na głowie opaska.

Powinien uważać. Zważywszy na występującą między nimi różnicę wieku (dziesięć lat), Monika mogła już mieć początki osteopenii!

– No, chyba żartujesz?! Tak mnie zaskakiwać? – Na górze zaszurał fotel i Ewa już widziała, jak babcia w popłochu przegląda się w szafie. Jak wprawnymi ruchami wpina grzebień z tyłu głowy, jak podekscytowana wciąga powietrze.

Narieczona Pawełka!

Fajowo, będą razem obchodzić Dzień Babci.

– Już, już, tylko się ogarnę. Robiłam obiad. No, tak mnie zasko...

Po chwili na schodach zobaczyli najpierw szerokie, zielone buty zwane crocsami, przypominające z boku paszczę krokodyla, a zaraz potem dał się słyszeć łopot spódnicy i ich oczom ukazała się pani tego domu w całej swej imponującej okazałości. Minus chochła, co Ewa odnotowała z niejakim zawodem. Za to na stopniach znalazł się Saper – bury kocur, który nienawidził obcych. Jego wrogi miauk pozwalał mieć nadzieję...

Monika zdążyła jednak przybrać najbardziej kaloryczny z uśmiechów, jakim dysponowała, i ukłoniła się niczym pensjonarka, co z boku wyglądało mniej więcej tak, jakby Jola z *Big Brothera* usiłowała wmówić publiczności, że ma piętnaście lat, a „penis” to nazwa gry zręcznościowej, której nigdy nie miała w rękach.

I babcia to kupiła!

A przynajmniej takie sprawiała wrażenie.

Kiedy Ewa zobaczyła pośród zmarszczek uśmiech, owszem, nieco powściągliwy, ale jednak, zwątpiła we własne geny. A może nie jest dzieckiem swoich rodziców, może podmieniono ją w szpitalu? W komunizmie różnie bywało. I Paweł, jej ukochany brat, na co dzień przecież łebski i wrażliwy facet, jej brat

w roli zadurzonego idioty!

Tragedia.

Jedynym wsparciem okazał się dziadek (Saper obwąchał gościa, fuknął i uciekł na piętro), który popatrywał na Monikę jak na farbowanego lisa, zażenowany cmokał i w końcu, żeby unormować sytuację, nieśmiało napomknął o obiedzie.

Nieśmiało.

Jakby po jego poprzedniej złości na małżonkę nie został nawet ślad.

– Walerka, a może podasz nam pierogi? Pięknie pachną... Z jagodami?

Tyle babci wystarczyło.

W sekundzie wróciła do żywych.

– Teraz to mam ci podać pierogi, tak?! – rozkręcała się, nie bacząc na towarzystwo. – Walerka?! Ty się tak ze mną nie spoufalaj, łotrze, bo tyle jadu, co dzisiaj w podziękowaniu za moje dobre serce na mnie wylałeś... – Pogroziła dziadkowi.

Ewa westchnęła w zażenowaniu, ale Monika wyglądała tak, jakby codziennie uczestniczyła w podobnych scenach. Zlustrowała kuchnię, po czym umościła się wygodnie za stołem.

Pod ścianą, na jej miejscu!

– Zjedzmy jak ludzie. Nie jesteśmy... sami. – Dziadek mimo wszystko usiłował rozładować atmosferę.

Z pewnością jego wysiłki spełzłyby na niczym, gdyby nie... Monika. Otrzymawszy od babci parujący talerz, zaczęła opowiadać, jak to trzy miesiące temu (szmat czasu!) poznała Pawełka. Chociaż nikt jej o żadne szczegóły nie prosił. Brat przyjął wspominki z zadowoleniem, które przewyższało radość z pałaszowania pierogów, choć pierogi z jagodami należały do jego ulubionych dań.

Zastanawiająca sprawa z tą miłością.

Ludzie całkiem od niej ślepną.

Ewa stwierdziła, że to się powinno leczyć ambulatoryjnie.

– Ja już wiedziałam, że coś się wydarzy, bo we wtorek płakałam na powtórce *MasterChefa*... – zaczęła arcyciekawym wstępem Monika, a babcia uniosła w odpowiedzi brwi. Powściągliwość nie leżała w jej naturze, więc Ewa uspokoiła się, że z babcią jednak jest wszystko w porządku. Po prostu z jakichś przyczyn nie chciała ujawniać swojej dezaprobaty.

– To ty jesteś wrażliwa dziewczyna – rzuciła tylko, przekrajając pieroga z zastanawiającą pieczołowitością na dwie równe części.

Nóż załśnił w jej drobnej ręce, a jagody rozlały się na talerzu ciemną purpurą niczym popsuta krew.

– Dziewczyna... – mruknęła z ubolewaniem Ewa, jednak opowieść toczyła

się dalej.

Nie, wcale nie chciała traktować bratowej lekceważąco.

Ale kiedy starsza pani szukała porównania, opowiadając, jak to razem z Pawełkiem ślicznie wyglądają, idąc ulicą...

– Wyglądamy jak... Jak...

– Jak *jin* i *yang* – podsunęła skwapliwie, na co Monika wystawiła do suszenia górne jedyńki i jednak przyjęła podpowiedź z wdzięcznością.

– Dzięki. Słyszałam, to o półówkach, chociaż po chińsku, nie?

– Yhy. Zwłaszcza *jin*. Bo *yang* też może być po angielsku. I... Jednak nie. – Udała zmartwioną. – To chyba do was nie pasuje, bo *young* w tłumaczeniu z angielskiego znaczy...

– Poproszę dokładkę! – Braciszek wszedł jej w słowo i nie omieszkał przy tym upomnieć siostry wzrokiem. – Pierogi psychota. A jak w szpitalu? – Ostatnie pytanie było skierowane właśnie do niej.

– Masakra. Upał daje się we znaki, zwłaszcza osobom starszym. Serca nie wytrzymują. A właśnie... Jak u pani z ciśnieniem?

Monika wpakowała sobie do ust kawałek pieroga i pokiwała w podziękowaniu głową. Zupełnie nie zrozumiała aluzji!

– Fofrze, a femu?

– Ewa jest lekarzem i każdego traktuje jak pacjenta. – Paweł znowu się wtrącił, a jego mina była ewidentnym ostrzeżeniem.

Tymczasem bratowa, nakarmiona i napojona, nagle zapragnęła zacieśnienia więzi.

– Fóf mi Fonika... Fędziemy fecief nieflugo fodzina... A do pani mogę do mówić „babciu”? – Dziabnęła Walerię Strzegomską pytaniem niczym lewym sierpowym.

– A nie za wcześnie na takie wielkie słowa? – Babcia wyprostowała się i odsunęła talerz.

– Czemu wielkie? – Monika nie sięgnęła jednak do swojego życiowego doświadczenia. Nie czytała z mowy ciała, a ciało babci zaczynało mówić.

Mówiło na przykład, że jeszcze chwila – a przy stole zacznie się dziać...

– Monika jest numerologiczną piątką! – Paweł, dla odmiany wyćwiczony w mowie ciała, zwłaszcza swoich najbliższych, rzucił bezcenną informację.

Waleria Strzegomska była kiedyś nauczycielką matematyki, co na emeryturze zaowocowało niecodziennym hobby: numerologią. I tak babcia na przemian coś pichciła, modliła się albo tworzyła portrety numerologiczne. Oczywiście dziadek nie rozumiał, jak osoba wierząca może uprawiać New Age, numerologię bezpardonowo nazywał szarłataństwem, jednak jego żony zupełnie to nie zrażało. Twierdziła, że światem rządzą cyfry, a cyfry nie są wymysłem człowieka, tylko siły wyższej. Żadnej sprzeczności pomiędzy religią a swoją pasją

nie widziała.

Paweł uderzył więc w czułą nutę, tyle że nuta zabrzmiała w uchu babci z lekka fałszywie.

– Piątki to neurotyczki... – zaczęła nestorka rodu.

– Ale mówiłaś, że piątka to cyfra ludzi ciekawych świata. – Paweł ruszył Monice na odsiecz, ale starowinka sama umiała o siebie zadbać.

Słodycz plus maselko spłynęły z jej ust, a w beznamiętnych oczach odmalowała się znana już Ewie niechęć.

– Że niby mam coś nie tak z głową?

– Jeśli już to z systemem nerwowym – poprawiła dla ścisłości babcia, w której zawsze pulsował nerw nauczycielski.

– Babcia mówi ogólnie. O piątkach. – Usiłując zagadywać, Paweł podstawił Monice pod nos półmisek. – Jeszcze pierożków?

– Nie. Trochę to jednak dla mnie za tłuste...

Gdyby wzrok babci potrafił uśmiercać, Monika siedziałaby teraz nie na taborecie, ale na krześle elektrycznym.

Tyle że znowu nie zajarzyła.

– Odchudzam się – dodała, bo jednak wszyscy wbili w nią wzrok pełen nagany. – Dzięki wielkie. Pierogi rewelacja... A ta piątka? Paweł tłumaczył, że pani lubi liczyć... Wychodzi mi coś fajnego?

Ciekawość w babci zwyciężyła.

Poprosiła o pełną datę urodzenia Moniki i jej nazwisko, obiecała, że zajrzy do cyfr, ale nie teraz. Teraz musi pozmywać. Paweł doskonale rozumiał, że był to subtelny sygnał do zakończenia wizyty, dlatego pozbierał talerze, cmoknął babcie i dziadka w policzek i rozentuzjasmowany zabrał swoje szczęście do parku, na przejażdżkę kolejką linową.

Może pojedą na odkrytym krzeselku i czupiradło wypadnie?...

Snucie rozkosznych wizji przerwała Ewie babcia. Kiedy dziadek wyszedł, stanęła pośrodku pomieszczenia, przywarła stroskanym wzrokiem do wnuczki i zabiła jej prawdziwego ćwieka:

– Ty wiesz, że ta Monika to WDOWA? Wdowa! Dopiero dzisiaj mi Pawcio powiedział. Przez telefon! I ma pięcioletniego synka. To przechodzi ludzkie pojęcie. Przez telefon, rodzonej babce... I co teraz zrobimy?! Przecież ta cała Monika to przy naszym Pawciu sylur, dewon, karbon i perm. Czy jak tam teraz mówicie... Stara, zdezelowana dorożka. No, co, mam rację czy nie?...

Babcia miała rację.

Coś należało wymyślić, i to szybko!

Nie oddadzą przecież Pawła w ręce Czarnej Mamby – tak w duchu Ewa nazwała Monikę.

I czy w podobnych okolicznościach przyrody można pamiętać o poznanym

dziś artyście? Ewie aż huczało w głowie od gorąca i niewesołych myśli, dlatego nie ucięła sobie z dziadkiem szczerzej pogawędki i nie uprzedziła, że gdyby dzwonił miły facet znający się na Malczewskim...



Miły facet teoretycznie znający się na Malczewskim cierpiał bardzo.

Zaledwie Ewa wsiadła do autobusu, poczuł się, jakby bez uprzedzenia otrzymał cios w żołądek. Z tęsknoty aż go ścisnęło. I tak na przemian raz go

ściskało, a raz dziwiło, bo nigdy wcześniej takiego wariactwa nie doświadczył. Przynajmniej w tak powalającym stopniu. Trudno w jego wieku nigdy nie być zakochanym, czysta karta jest tylko kartą pacjenta przed pierwszą wizytą, różne tematy się przerabiało, ale zniknięcie Ewy w autobusie odczuł niemal jak ból fizyczny. Wzięło go jak diabli!

Nie było jej oczu.

A w nich blasku i życia.

Nie było jej ślicznych ust i zadziorności, którą cała emanowała.

Dlatego trzymając fason, odczekał dwa upiornie długie dni, ale już w piątek nie zdzierzył, około południa wystukał numer. O dziwo, stacjonarny. Jakież było jego zdumienie, kiedy w słuchawce usłyszał... męski głos! Ku jego radości brzmiący niezbyt młodo. Może odebrał jej tata?

– Dzień dobry, z tej strony Adam Gry... – Przy nazwisku jednak ugryzł się w język. Artysta, w porządku, tyle że jeśli ktoś wpisze w wyszukiwarce Gryziewicza, wyskoczy mu cała paleta jego stomatologicznych przodków na czele z nim samym grzebiącym w ustach jakiejś pannie (sesja promująca gabinet). – Chciałbym rozmawiać w Ewą.

– Dzień dobry, dzień dobry. A z jakiego działu pan sobie życzy? – padło zaskakujące pytanie.

– Słucham?

– Tak, tu Tauron. – Tym razem odpowiedź w słuchawce była jeszcze dziwniejsza, a mężczyzna jakby zmienił ton rozmowy z roztargnionego na figlarny.

Co się tutaj wyprawia?!

– Ewa dała mi ten numer... – Tu Adam z niejasnym przeczuciem klęski odczytał cyfry z karteczki, którą nosił od środy w portfelu.

Jak najbliżej serca.

– Wszystko się zgadza, ale od jakiej Ewy? – usłyszał. – Bo my tu mamy kilka pań o tym imieniu. Tauron Polska Energia. Dodzwonił się pan do biura obsługi klientów. Pan jest klientem?

Czy jest klientem...

Tak, jest klientem.

Złapał się na promocję jak ostatni naiwniak!

Zdruzgotany więc przeprosił, powiedział coś bez ładu i składu na do widzenia, a z kartki zrobił kulkę. Chciał ją wrzucić do kosza, ale spudłował. W tej samej chwili do sali weszła asystentka i Adam zmieszał się jak przyłapany na gorącym uczynku. Co za głupota, przecież nikt tej żenady nie słyszał. A nawet gdyby, nie wiedziałby, o co chodzi.

On w sumie też nie wiedział.

Dlaczego dziewczyna – może wcale nie miała na imię Ewa – tak paskudnie z niego zadrwiła? Nie chciała się spotykać, w porządku. Ale po co te głodne

kawałki, że chce portret, że zawsze o tym myślała... W tym miejscu Adam zreflektował się, wspomniawszy własne kłamstwo i dał spokój.

Ale niesmak i żal wciąż nie chciały go opuścić.

Natomiast papierowa kulka leżała sobie jak gdyby nigdy nic za koszem, przy czym wczesnym popołudniem zmieniła położenie. Niechcący kopnięta przez asystentkę potoczyła się na korytarz, a tam – mała i skoczna – wirowała jakiś czas między nogami pacjentów, strzeliła nawet kilka bramek, aż wreszcie została bezlitośnie zmiażdżona białym sportowym butem.

Spalony!

W ten oto sposób trafiła w pewne ręce.

Mocno nieuczciwe ręce.



Ewa zaczęła się zastanawiać w okolicach piątku.

W czwartek miała potwornie ciężki dyżur, następnego dnia wróciła do domu nieprzytomna i spała przez kilka rozkosznych godzin. Było to możliwe, ponieważ dziadek z radością studiował instrukcję telefonu komórkowego, który kupiła w drodze powrotnej, a babcia wyszła o poranku, szepcząc coś o ważnej misji. Czego misja dotyczyła, Ewa nie odnotowała – padała z nóg, w związku z czym wyłączyły się jej i oczy, i uszy.

Koniec błęgiego spokoju nastąpił wraz z wybiciem szesnastej, kiedy na dole ktoś łupnął drzwiami i w całym domu rozległ się sopran wzburzonej babci:

– Ewa, dziecko! Gdzie jesteś?!

– A gdzie mogę być po nocce w szpitalu – mruknęła, odrzucając z irytacją prześcieradło. – Pewnie na dyskotecę? Na dichu sobie poszłam i jeszcze nie wróciłam...

Jej pokój znajdował się na końcu korytarza, z dala od salonów babci, i stanowił swojego rodzaju azyl. Sama urządziła każdy jego kawałek. Było ciasno, ale miło, choć Ewa nie przestawała marzyć o własnej szafie. Niestety, rozmiary pokoju wykluczały podobne szaleństwa. Musiała wybierać: książki albo ubrania. Postawiła więc na książki, które wypełniały każdą wolną przestrzeń; piętrzyły się nawet na parapecie. Było to o tyle kojące, że zawsze otaczały ją czyjeś mądre słowa, gdyż kupowała tylko takie lektury, które chciała przeczytać więcej niż jeden raz.

Po gwałtownym przebudzeniu nieco złagodniała, wystarczyło spojrzeć na tłuściutki rząd literatury o tematyce zielarskiej (była za holistycznym podejściem do medycyny), a zaraz potem pomyślała, że chyba z jej kobiecością jest coś nie tak, bo w ogóle nie odnajdowała w sobie chęci do kolekcjonowania ubrań – zajmowały zaledwie trzy nieduże półki. Zresztą po co jej tony ciuchów? Miałaby każdego poranka rozmyślać, co na siebie włożyć? Ludzie codziennie umierali, cierpieli w hospicjach, a ona ma analizować, czy odpowiednio dobrała do stroju skarpetki?!

Jeszcze czego!

Najważniejsze, że nie chodziła umazana ketchupem.

– Ewa! Odezwij się!

– Czy ja mogę spokojnie oprzytomnieć?! – zakrzyknęła, jednak babcia już pędziła na górę.

– Wstawaj! – Wtargnęła do pokoju, jak zwykle bez pukania i ze wzburzonym włosem wyhamowała tuż przed wnuczką.

– Babciu, czemu ty nigdy nie pukasz?

– Słuchaj...

– A gdybym tu odstawiała dzikie harce z jakimś...

– Co?! – Babcia była naprawdę przejęta. – Jakie harce? Odstawiaj sobie, dziecko, z kim chcesz i co chcesz, tylko nie lataj po domu z gołym tyłkiem, tego akurat nie wytrzymam. Już dawno mówię, że powinnaś sobie kogoś znaleźć... Wiesz, gdzie byłam?! – Wróciła do głównego wątku i aż oblizwała usta.

– Nie wiem, ale zaraz się dowiem.

– U Moniki! – wypaliła, siadając tuż obok, a w jej wypłowiałych oczach było tyle podekscytowania, że gdyby wybrała się teraz do ZUS-u, wywalczyłaby każde świadczenie. Choćby dożywotnią rentę.

To już Ewę obudziło.

– Byłaś u Moniki? U Moniki Pawła?!

– U tej samej. Znaczy, nie byłam u Moniki, ale na przeszpiegach. W jej

bloku i w warzywniaku. Kochana! – Babcia wydała z siebie obiecujący pomruk i zdaje się, że ten warzywniczy to była jakaś Mekka czy inny Rubikon.

– Ale skąd miałaś adres?!

– Ha! – Babcia czuła się jak ryba w wodzie. Co najmniej jak śliski i sprytny węgorz. – A wiesz, że kolega z podstawówki Pawcia jest listonoszem? A koledzy Pawcia...

– Wiem, są twoimi kolegami – dokończyła z przekąsem Ewa.

Paweł przy wyborze nowego miejsca zamieszkania podjął dość niefrasobliwą decyzję – kupił dwupokojowe mieszkanie na sąsiednim osiedlu Tysiąclecia. Jako pierwszy wyrwał się ze szponów babci, jednak w praktyce upragniona samodzielność nie wyglądała kolorowo. Z racji niewielkiej odległości babcia odwiedzała wnuczka regularnie, nosiła mu obiady i przy okazji zacieśniała więzi z okoliczną ludnością.

Co było do przewidzenia.

Dlatego Ewa marzyła o domku w Kieleckiem.

W grę ewentualnie wchodziły Mazury.

– Więc poszłam na pocztę i mówię mu, że szukam Moniki, przecież opowiadała, że poznali się na osiedlu, w sklepie, czyli że mieszka niedaleko... – trajkotała babcia, a Ewa wykorzystała ten słowotok i się przebrała. – I faktycznie! Nie musiałam nawet nic wymyślać, to bardzo sympatyczny chłopak, zaraz podał mi adres. Mieszka Pierwszego pięć! Mieszkania dwanaście.

– Babciu, jesteś lepsza od KGB...

– Ależ tu chodzi o przyszłość twojego brata! Mam siedzieć z założonymi rękami?!

– Ależ skąd. Już jej zamontowałeś podsłuch?

– Co?

– Nic, nic. I co dalej?

Babcia z dumą kontynuowała:

– Oczywiście odwiedziłam sąsiadów i zadałam kilka dyskretnych pytań.

– Dyskretnych. Oczywiście...

– To jest niezwyklejsza morderczyni! – Babcia, przekazując wiadomość, aż się zapowietrzyła. – Sąsiedzi mi poddali trop, a resztę usłyszałam w Witamince.

– Czyli w warzywniaku? – Ewie niejasno zaświtała w pamięci blaszana budka, była tam kiedyś na zakupach z Pawłem.

– Cudowne miejsce!

– Ja myślę...

– To jest wręcz wywiadownia. Nawet lepiej! Kupiłam kilo fasolki szparagowej, dwa twarde kalafiory; nasze, polskie...

– Do rzeczy, babciu... Jaka wywiadownia, jaka morderczyni?! – Ewa zaczynała tracić cierpliwość.

Jeśli była podobna do Walerii Strzegomskiej, a tak zawsze powtarzał jej brat, powinna się zabić na miejscu.

Własną pięścią.

– W Witaminie sprzedaje pani Aniela, przemiła osoba, mówię ci, przemiła! Muszę tam wrócić, jakie ta kobieta ma porzeczeki!... Nie żebyśmy plotkowały, rozumiesz, myśmy się od razu polubiły...

– Babciu!

– Dziecko! – Babcia złapała się nagle za serce, a jej policzki straciły zwykły, pąsowy kolor. – Monika zabiła własnego męża! – oznajmiła wreszcie z całą mocą, po czym zamilkła. Ale tylko na moment. – Tak wszyscy o niej mówią. Czarna Wdowa.

Od Czarnej Mamby do Czarnej Wdowy było niedaleko, Ewa połknęła haczyk.

– Jak to?

– To jest cała afera. Jej mąż popełnił samobójstwo. Podobno otruł się gazem, ale nikt w to nie wierzy. Osiem miesięcy temu!

– Ile temu?! – Informacja rzeczywiście robiła wrażenie.

Szybka ta wdówka.

– Osiem miesięcy, dasz wiarę?! – ekscytowała się babcia. – Przecież on jeszcze nie ostygł, a ona już się prowadzi!

– Babciu...

– Co?! No, nie ostygł, wiem, co mówię. Osiem miesięcy?! Co to jest osiem miesięcy! Na pewno go zabiła. Podobno było dwóch świadków tego rzekomego samobójstwa, jego kolegów z pracy, tyle że... Oni też nie żyją. Nie żyją! I też samobójstwo. Miesiąc po nim. Masz pojęcie?! Dwa samobójstwa. Z mężem w sumie trzy! Co za przypadek, prawda?... Jeden ze znajomych wpadł pod samochód, drugi skoczył z mostu.

– Chyba nie do Rawy?! – Ewa wyobraziła sobie dwa metry głębokości i zwątpiła.

Skok do Rawy oznaczał co najwyżej złamaną nogę i smołę pod paznokciami.

– Nie, on podobno nie z Katowic. Nie wiem, gdzie skoczył, ale nie żyje. Dwóch świadków! I obaj sztywni. Czy to nie dziwne? A może ja jestem dziwna, że nie wierzę w takie bajeczki...

– Hm... – Ewa wydała z siebie pomruk pełen zastanowienia. – Nie wygląda to najlepiej. A Paweł wie o tej historii?

– No, przecież dzwoniłam do niego, do pracy, zaraz jak tylko wszystko usłyszałam! – Babcia wzniosła ręce do nieba.

– I?

– I mnie opieprzył... – wyznała z pretensją. – Że słucham głupot. Bo śledztwo nic nie wykazało. I podobno to z mojej strony nieładnie. Nieładnie!

Przecież nieładnie jest się troszczyć o własnego wnuka, prawda? No, sama powiedz... Tylu ludzi mi powiedziało. Sąsiadka z góry mówi, że ta Monika to latawica! Jak tamten zmarł, faceci tylko się podobno w tych drzwiach mijali. Jak taksówki! I to poważna osoba ta sąsiadka, też nauczycielka, rozmawialiśmy pół godziny...

– Dyskretnie. – Ewa weszła babci w słowo.

Nie pałała do Moniki szaloną sympatią, z pewnością wolałaby mieć inną szwagierkę, ale przecież trzeba zachować jakiś umiar. Paweł nie zamierzał się wyprowadzać, a po tych „przeszpiegach” niezłą ma teraz na dzielni reklamę...

– A co ty uważasz, że ja co? Że weszłam tam z trąbą jerychońską?! – Babcia się oburzyła. – Już ja potrafię z ludźmi rozmawiać, nic się nie bój. To czemu w takim razie Paweł nic nam o tym samobójstwie nie powiedział? Tylko że wdowa? Co?! A o tej wdowie w ostatniej chwili i półgębkiem...

Akurat z tym trudno było Ewie polemizować.

– Nie mam bladego pojęcia.

– A właśnie! A jak człowiek nie ma pojęcia, zwykle chodzi o seks. Albo o pieniądze.

– Hm... – Od jakiejś chwili myśli Ewy zaczęły podążać mniej więcej w podobnym kierunku. – O pieniądze?

– A jak inaczej?! – Babcia cała się trzęsła. – Przecież ona na sto procent leci na mieszkanie twojego brata. Na wikt i opierunek! Bezrobotna przecież, wynajmuje kawalerkę, a dziecko woła jeść. Taki architekt to łakomy kasek. Mnie takich rzeczy nie trzeba tłumaczyć, ja znam życie...

Ewa, niestety, również знаła życie.

Poczuła bezradność.

– Nie wiem, może trzeba się dowiedzieć z jakiegoś oficjalnego źródła? – zaczęła.

– A ja to niby jestem jakie źródło? – Babcia ujęła się pod boki. – Może zatrute?!

– Oficjalnego, mówię – Ewa nie dała się zbić z tropu.

– Oficjalnego... Oficjalnie to ci powiedzą, że nie twoja sprawa, i tyle! A ludzie wiedzą wszystko, zwłaszcza jak ktoś mieszka obok. Zapewniam cię. Wszystko! A jak nie wszystko, to przynajmniej wiedzą, co w trawie piszczy, a resztę, jak ktoś jest niegłupi, sam sobie dośpiewa. Normalna sprawa. Wiedza o społeczeństwie w praktyce.

– Dobra, spróbuję uruchomić jakieś znajomości...

– A próbuj, próbuj – Babcia, lekko obrażona, wzruszyła ramionami. – Ale ja swoje wiem. My musimy naszego Pawcia chronić.

– Jak?!

– Jak, jak... Trzeba mu tę Monikę obrzydzić!

– Babciu... – Ewa nie miała złudzeń. – Ona już jest paskudna, a on uważa, że złapał za nogi Miss Śląska. To jak obrzydzić?! Bardziej się nie da.

– Zawsze coś się da. – Babcia nie byłaby sobą, gdyby tak łatwo odpuściła. – Spróbuj może z nim porozmawiać. Jak siostra.

– Spróbuję, ale nie sądzę, żeby Paweł dał się przekonać. Wiesz, jaki jest uparty.

– Jak dziadek, wiem... A swoją drogą jak to możliwe? – zastanawiała się babcia. – Żeby tak nic nie widzieć? Co ten Paweł, oślepl?

– Takie cwaniary są operacyjne w łóżku – wyraziła swoje podejrzenia Ewa. – Gdzieś muszą nadrabiać. Założę się, że Monika jest w sypialni skuteczniejsza niż halny. Pewnie dmucha jak...

Babcia w akcie protestu uniosła rękę.

– Tylko bez takich! No, dobrze. To może trzeba by kogoś zatrudnić?

– Kilerą? – podsunęła usłudnie wnuczka z miną aniołka.

Babcia w końcu zaczynała mówić do rzeczy.

– Jakiego kilerą?

– Zawodowego mordercę – wyjaśniła Ewa ze smakiem. – Żeby tę zawodową morderczynię...

– Ale co też opowiadasz! – obruszyła się babcia, a potem rzuciła coś, co Ewę głęboko zastanowiło: – Raczej jakiegoś detektywa trzeba wynająć czy może uwodziciela, już sama nie wiem...

Uwodziciela?!

Ewa przypomniała sobie naraz burzę ciemnych loków, tę irytującą pewność siebie i błyszczące w samczym zadowoleniu oczy.

Artysta plastyk.

Dlaczego Adam do tej pory nie dzwonił?!

Musi jak najszybciej porozmawiać z dziadkiem.



Waleria.

Piękne imię.

Dzisiaj już prawie niespotykane.

Kiedyś kojarzyło mu się ze stokrotkami i watą cukrową, na którą zabierał do parku dziewczynę o wspaniałych blond włosach – mogła godzinami słuchać jego opowieści o Marii Skłodowskiej-Curie, o jej pracy na Sorbonie i o odkryciach. Mówił też o skandalu, jaki wywołała po śmierci męża, romansując z młodszym mężczyzną, oraz o tym, że to właśnie ona odkryła promieniowanie, nie jej mąż, a Waleria w rewanżu zaraziła go bakcyłem matematycznym, konkretnie: liczbami

pierwszymi. Nawet próbowali rozwikłać ich zagadkę, oczywiście bez powodzenia, ale co tam, liczyło się, że robili coś razem. Razem. Wtedy zgadzali się we wszystkim. Wspaniałe uczucie, tak kroczyć u boku drugiej osoby ze świadomością, że jest się rozumianym i docenianym.

„Wszystko” pokomplikowało się jednak po urodzeniu córki, kiedy to tylko Walerka wiedziała, jak małą karmić, przewijać, a potem jak wychowywać, jak wybrać córce szkołę, męża... I tak dalej, i tak dalej. W zasadzie Walerka zawsze wszystko wiedziała najlepiej. Po pięćdziesięciu latach wspólnego... poligonu Andrzej Strzegomski miał już z imieniem żony zupełnie inne skojarzenia.

Waleria, czyli WALIĆ GŁOWĄ W MUR.

Ale nie ma ideałów, każdy ma swoje za uszami.

Jednak przez całe życie wmawiał sobie, że zalety żony przewyższają jej wady, a właściwie że przewyższają tę jedną, najbardziej dotkliwą. Zalet było przecież dużo, dużo więcej. Dużo, dużo więcej to niby więcej niż jeden, tyle że jeden może czasem przeważyć szalę. Jeśli na przykład jedynka rozrasta się i zyskuje wagę setki. Bo przecież średnia matematyczna jest dobra w szkole, przy wystawianiu ocen, nie w uczuciach, uczucia liczy się inaczej.

Zupełnie inaczej.

Waleria o nich dbała, nie można powiedzieć. Była wręcz idealną gospodynią. Dobrze zorganizowaną, oszczędną, a gotowała tak, że... Ten brzusek nie urósł mu przecież od suchego chleba! Ale i to mu zabrała. Zdarzało się, że zapomniała krzyknąć „obiad!” albo wołała cichutko jak myszka, jakby nagle zabrakło jej sił, a kiedy przyszedł do kuchni, jedzenie było już całkiem zimne. Myszka. Akurat. Koń pociągowy miał przy Walerce mniej siły i zaparcia.

Złośliwa baba i tyle.

Człowiekowi zmienia się na starość charakter, bez dwóch zdań.

Sam widział więcej, więcej rozumiał, a już na pewno częściej się wzruszał, nawet Walerka zauważała, że ślimaczy się jak dziecko. W porządku. Mężczyźni na starość dziecinnieją, niech będzie. Za to kobiety... Nie chciał nic mówić o zawziętych wiedźmach, ale ze swoją małżonką nie mógł już ostatnimi laty wytrzymać, no, nie mógł wytrzymać i tyle. Całe szczęście, że mieszkali osobno. Kłóciła się o byle co, obrażała, wyzywała go, zrządziła, rozkazywała, niczego nie pozwalała sobie wytłumaczyć.

Niczego.

Jej zdanie musiało być zawsze na wierzchu.

Owszem, na przekór wiekowi starała się nie zostawać w tyle, komputer opanowała już po narodzinach Ewy i zawsze miała komórkę, czym biła na głowę swoje rówieśniczki. W porządku, w takim razie on też udowodni, że nie wypadł sroce spod ogona. Coś tam niby zerkał, kiedy Waleria śmigła palcami po wyświetlaczu, ale jego palce były grube i nieporadne. Przystudiował co prawda

instrukcję obsługi, jednak to płaskie, srebrne pudełeczko (nie do wiary, jak teraz wyglądają telefony!) zwyczajnie go przerażało. A jeśli coś zepsuje?...

O, na podwórku pojawiła się Ewunia!

Wstał, żeby ją zawołać przez okno, ale wnuczka z impetem wpadła między słoneczniki, sprawnie rozgarnęła je rękami i już łomotała do drzwi.

– Idę, idę...

Wraz z Ewą do pokoju zajrzało jakby więcej światła: miękkiego i rozproszonego. Wnuczka była ożywiona, jej skóra połyskiwała od opalenizny, a jasne włosy fruwały zabawnie wokół piegowatej buzi. Młodość, aż miło było popatrzeć.

Ale słoneczników nie uszanowała.

– Tak, wiem... Linia Maginota... Sorki, ale bardzo się spieszę – paplała, wycierając o spodenki gruszkę, którą przed chwilą podniosła z trawnika. – Dziadku, dzwonił do mnie ktoś na twój stacjonarny?

Telefon, Ewa musi mu pomóc z telefonem.

– Nie, nikt nie dzwonił. Ewuniu, chyba sobie z tym nie poradzę...

– Z czym?!

Pokazał na stół, gdzie wszystko leżało ładnie poukładane. Telefon, ładowarka, papiery, a nawet słuchawki. Chociaż z tych ostatnich przez wzgląd na aparat słuchowy będzie musiał chyba zrezygnować.

– O, widzisz, o tym też zapomniałam! – Ewa pokręciła głową. – Paweł, dieta, telefon... I jeszcze musimy oddać twoje ucho do regulacji. Rany, ale jestem głodna! – Zatopiała zęby w owocu.

– Babcia już wróciła?

– Tak, wróciła, ale o obiedzie możemy zapomnieć – oznajmiła z niewesołą miną. – Babcia jest w akcji.

W akcji. A cóż to mogło oznaczać? Nabożeństwa majowe jakoś przetrzymał, był przygotowany, ale w lipcu? Znowu coś nadawali w kościele w odcinkach?

– Chyba nie nawiązała współpracy z Watykanem?

– Dba o przyszłość Pawcia.

– Masz ci los! Czyli jeszcze gorzej...

Naprawdę się zmartwił.

Może i ta cała Monika nie była najlepszą kandydatką na żonę – jakaś taka sucha i nieprzyjemna w obyciu – jego również nie ujęła, ale jeśli Waleria weźmie się za sprawy sercowe Pawła, tragedia gwarantowana. Wnuczek miał do babci słabość, owszem, ale jeśli chodziło o jego życie prywatne, nikomu nie pozwolił się wtrącać.

Ewa potwierdziła jego obawy.

– Obawiam się, że tak.

– Ale co znowu wymyśliła?!

– Hm... – Wnuczka zdjęła z krzeselka przygotowane do wypastowania pantofle i usiadła. – W sumie muszę przyznać, że babcia wymyśliła całkiem niegłupio. Tylko te jej metody...

– Metody babci znam akurat bardzo dobrze. Pięćdziesiąt lat testów na żywym organizmie!

Ale co mógł zrobić?

Mógł sobie tylko westchnąć.

Z Walerią jeszcze nikt nie wygrał.

– Jesteś głodna? Dobrze się składa, bo widzisz, twój dziadek to znany w całym Dębnie mistrz parówek! – Zaśmiał się, nagle rozpogodzony, a Bomba szczerknęła z entuzjazmem i już siedziała pod kuchenką.

Tak, zapasy.

Jak się jest mężem nieprzewidywalnej kobiety, trzeba robić zapasy, choć czasem śmierć głodowa to najlepsza z ewentualności. W pokoiku miał jednak niewielką lodówkę, a w niej do wyboru, do koloru. Frankfurterki, jedyńki, parówki cielece, parówki z indyka... Żyć nie umierać! Nie żartował, naprawdę był mistrzem, potrafił przyrządzić parówki na dwadzieścia sposobów – kiedyś to policzył.

Z zadowoleniem musnął wąsa.

– Chcesz parówki po nonszalancku z musztardą, majonezem i cynamonem czy łowieckie?

Ewa głośno się roześmiała.

– Dziadku, jesteś udany egzemplarz, naprawdę...

Ewunia miała w głosie rozkoszną chrypkę (po nim!), a jej śmiech był szalenie przyjemnym dźwiękiem. Tak się jakoś z Walerką podzielili, że Paweł lgnął do babci, a Ewa, od małego żywe srebro, najlepiej rozumiała się z dziadkiem.

Ale mieszkać wolą w pałacu, jak nazywał swój poprzedni dom.

Szkoda, byłoby im tu razem nieźle.

– A udany. Bo powojenny!

– A jakie to są paróweczki łowieckie? – Ewunia, chichocząc, poprawiła się na miejscu.

– O, widzisz... I to się nazywa dobry wybór.

Podszedł do meblościanki i chwycił za swój ostatni nabytek, czyli tubę do wabienia jeleni Faulhaber. Niemiecka robota, coś pięknego, całe trzysta złotych. Ale było warto. Modulowała ryki tak realistycznie, że pękał z dumy. Żeby zademonstrować spektrum jej możliwości, podszedł do okna i zaryczał. Bomba wraz z nim. Tęsknie i przeciągle...

Jak można było przypuszczać, w kuchennym oknie ukazała się głowa Walerii.

Biała i groźna.

– Czyś ty już całkiem zdurniał?!

Małżonka miała ściągnięte czoło i brzydko zmarszczony nos.

– Tak, zdurniałem, a nawet oszalałem. Dla ciebie, Walerciu, oszalałem! – odkrzyknął rozochocony.

– Tu ludzie mieszkają, jakbyś nie wiedział. Nie jesteś u siebie w lesie! Stary wariat...

– Może i stary, ale jary. A już na pewno młody duchem! Nie to co jojczące...

– Dziadku...

A tak, parówki!

– Już, już.

– Bo ja czekam na telefon. Od pewnego artysty... – wyznała Ewa, choć z oporami.

– Jakiego artysty? Ty mnie nie strasz. Poznałaś jakiegoś aktora?!

Jego zdaniem Ewunia powinna znaleźć sobie kogoś mądrego, statecznego... Kogoś, kto by docenił jej żywiołowy charakter i go nie stłamsił. Przy jakimś szalonym aktorze z pewnością robiłaby za tło, a jego wnuczka na tło nie nadawała się absolutnie.

– Raczej artystę plastyka – uściśliła.

– Czyli malarza?

– Właśnie, malarza.

– A to czasem nie jakiś błękitny ptak? – spytał, nie potrafiąc ukryć podejrzliwości.

– Dziadku, myślę o naszym obrazie. – Ewa wydeła usta. – Chciałam coś z nim w końcu zrobić, przecież to niewykorzystany potencjał.

– Aha, obraz...

– Przyszło mi do głowy, jak Paweł bredził o ślubie. Jeśli nasz *Portret kobiety z biegunką* to oryginał, mogłabym go wypożyczać na różne wystawy. Zawsze trochę gotówki by wpadło.

Kobieta z biegunką!

Waleria dostała wspomniany obraz od matki, a co się o nim przez te wszystkie lata nasłuchała... Podobno dzieło mistrza Malczewskiego, który zachwycił się spotkaną u wód teściową, uwiecznił cholerę na tle wierzb z jakimś kozłem czy tam faunem przygrywającym sobie na fujarce, nieistotne. Dość, że paskudztwo wisiało nad jego głową w sypialni, odkąd pamiętał. I odkąd pamiętał, miał przez tę wysoką sztukę męcząco niskie sny.

Nie to co pod porożem łosia.

Walerka na dźwięk wymyślonego przez niego tytułu dostawała piany na ustach, ale teściowa naprawdę wyglądała na portrecie, jakby cierpiała na przypadłość żołądkową, choć w rzeczywistości była z niej niczego sobie kobieta. W końcu żona podarowała dzieło Ewie na trzydzieste urodziny i, jak widać,

wnuczka wiedziała, jak obrócić prababcią.

Wyborny pomysł, wyborny!

– I co z tym malarzem?

– Poprosiłabym go o konsultację. Podobno zna się na Malczewskim. Nie wiem, jaka jest oficjalna droga, jak to jest z ekspertyzą i tak dalej. Może Adam coś doradzi...

– Adam?

– Tak ma na imię. Jakby dzwonił, nie spławiaj go, dobrze?

– Jak sobie życzysz. – Włączył piecyk, wrzucił do garnka parówki, a następnie wyciągnął kiełbasę z dzika, której kawałki zamierzał udusić wraz z cebulką oraz papryką. Plasterek rzucił Bombie. Uwielbiała dziczyznę.

Ale nie było im pisane uraczyć się wykwintnym daniem.

– Ewa! – W oknie naprzeciwko stanęła kobieta z chochlą. – Ugotowałam kalafiora! Chcesz?!

Odmowa oznaczałaby śmiertelną obrazę, oboje doskonale o tym wiedzieli.

Znowu westchnął i wyłączył gaz.

– I możesz powiedzieć swojemu dziadkowi, że dla niego też starczy. Starczy. Uwiad starczy... A to mi się udało, hy, hy... Idziecie?!



Już prawie uporał się z zamkami w drzwiach, kiedy na podwórku niemal równocześnie rozbrzmiały dwa dźwięki. Warkot kosiarki do trawy, którą uruchomił sąsiad, oraz telefon. Oba były na tyle głośne, że nawet z niedosłuchem można było nerwowo drgnąć.

Ewa zatkała uszy.

– Idź, powiedz babci, że zaraz przyjdę. – Postanowił zawrócić i odebrać.

Jeśli w ten sposób mógł się przyczynić do zniknięcia portretu teściowej, nawet na jakiś czas, był gotowy wrócić do domu choćby z centrum...

I proszę, jak na zawołanie w słuchawce usłyszał bardzo miły męski głos.

Tyle że kosiarka była spalinowa i wyjątkowo głośna. Nie pomogło nawet zamknięcie okien.

– Dzień dobry – odpowiedział uprzejmym tonem, ponieważ z tamtej strony już na wstępie padło słowo „wnuczka”. – Tak, jestem dziadkiem. Andrzej Strzegomski. Wnuczka przed chwilą o panu opowiadała! Pan jest malarzem?

– Yyy... Tak ...estem malarzem.

– Pan Adam?

– Tak, to ja. Witam ser... Dostałem ten numer od pana ...uczki.

– Panie Adamie, dobrze, że się pan odezwał. Bo my tu mamy jeden obraz, najprawdopodobniej Malczewskiego! – krzyknął.

Sąsiad musiał przycinać trawę tuż przy jego domku, rzeźnienie było trudne do opisanego.

– Niemożliwe! Tego ...skiego?! – Pan Adam przyjemnie się zdziwił.

– Mam nadzieję, że tego! Właśnie o to chodzi. Żeby pan do nas zajrzał i coś doradził! Może podam adres, nic nie słyhać, sąsiad odpalił kosiarkę.

– ...obrze. Proszę śmiało ...awać. Już ...otuję!

– Wiejska siedem, na Dębie. Dom jest jednorodzinny, bardzo łatwo trafić, w zatoczce, przy głównej ulicy. Tylko proszę się kierować do tego większego budynku.

– A macie tam państwo jakieś ...czenia?

– Świadczenia? – nie zrozumiał.

– ...czenia!

– Nie słyszę, proszę powtórzyć!

– ZA-BEZ-PIE-CZE-NIA!

– A, zabezpieczenia... A po co? Wie pan, tu nie ma złodziei. Poza tym moja żona to najlepsze zabezpieczenie. Niby mamy psa, ale tak pomiędzy Bogiem a prawdą, to groźniejszy jest Saper, kocur małżonki.

– Licho nie śpi. A taki obraz... jest bardzo ...enny – przestrzegł pan Adam. – Proszę na ...ość ...yśleć o jakimś ...larmie!

– Proszę pana, alarm to ja mam tu każdego dnia. Moja żona umie postawić na nogi umarłego. Dobrze, muszę kończyć. W takim razie zapraszamy!

– Będę!...

Kosiarka wreszcie zamilkła, pan Adam również, ale w jego ostatnich słowach zabrzmiała taka gorliwość, taki żar, że Andrzej Strzegomski odetchnął.

Czasami życie bywa znośne.

Miał w końcu upragnionego samsunga. Owszem, cudo techniki wywoływało w nim ambiwalentne uczucia, ale co nagle, to po diable. Da radę, wszystko opanuje, dlaczego niby miałyby nie opanować, nie święci przecież garnki lepia. Poza tym zaraz zje coś pysznego, wieczorem spotka się z kolegami od strzelby, a Ewunia...

Może Ewa zakocha się w kimś sensownym?...



Kochani staruszkowie, nigdy go nie zawiedli.

I jak tu nie obstawiać demencji...

Kamil Kościkiewicz, w środowisku zwany Pigularzem, wpadł na to chyba pierwszy w Polsce (miał wtedy dwadzieścia pięć lat!) i z dumą wspominał swoją autorską metodę „na wnuczka”, a teraz, kiedy na rynku pojawili się żałośni

naśladowcy, błysnął intelektem i wymyślił coś jeszcze lepszego. „Policjantów ścigających wnuczka”. Dziecinnie proste, chciałoby się powiedzieć. Ale wszystko opierało się właśnie na genialnej prostocie, czyli na przygotowaniu do roboty i znajomości kilku praw psychologicznych. Do tego dochodziła ekipa składająca się z odpowiednich ludzi. Odpowiednich, czyli nie łasych na forszę półdidiotów, ale zdyscyplinowanych, pozbawionych uczuć zimnych drani, dla których pieniądze były jedynie środkiem płatniczym, a nie ścierką do wytarcia brudnego sumienia.

Jego ludzie nie mieli sumienia.

Po prostu zarabiali na życie.

Tak jak on.

Najpierw zarabiał, żeby po śmierci ojca utrzymać pogrążoną w rozpacz matkę, która nigdy wcześniej nie pracowała i wobec tragedii stanęła bezradna jak dziecko, później nie potrafił się już wycofać. Pieniądze płynęły szerokim strumieniem, wręcz zalewały go niczym ocean, a on stawał się coraz grubszą rybą. Jako człowiek przewidujący doskonale wiedział, że proceder ma szansę powodzenia, jeśli nie trwa zbyt długo, pięć lat to kawał czasu, powoli musiał więc myśleć o wyjściu z piaskownicy lub co najmniej o zmianie wiaderka na grabki, ale właśnie wtedy sprawy zaczęły się komplikować. Po pierwsze, zaczęła mu deptać po piętach policja. Uruchoił różnorakie formy perswazji, z których najskuteczniejsza okazała się forsa, ale później matka wywinęła mu numer i znalazła sobie adoratora.

I to było znacznie gorsze.

Adorator miał kasy jak lodu, więc przynajmniej nie musiał go utrzymywać, ale rodzicielkę wzięło na amory. Zakochała się po uszy, adorator również i wymyślili ślub. Wszystko pięknie, matka się wyprowadziła, on niby zyskał swobodę, ale na tym nie koniec. Jego nadgorliwy ojczym uwielbiał urządzać ludziom życie i kiedy poczuł, że jest mężem i panem na włościach, postanowił uregulować sprawy rodzinne.

Między innymi wziął sobie za punkt honoru znaleźć pasierbowi prawdziwą pracę.

To, że pasierb nie narzekał na brak pieniędzy – z wykształcenia był farmaceutą, miał legalną firmę i prowadził w Internecie sklep zielarski (specjalność: *Elesdeus dopalacis*), okazało się nieistotne. Apteka, z jego chemicznym talentem powinien prowadzić aptekę, apteka i apteka i tak dookoła Wojtek. Bez problemu pozbyłby się upierdliwego starucha, tyle że matka naprawdę tego durnia kochała. A i on miał na jej punkcie autentycznego bzika, co się chwali – ze swoim majątkiem mógł wyrwać każdą nastoletnią dziunię i do końca życia łożyć na podpaski. Tymczasem wygrała menopauza. Dla świętego spokoju przyjął więc dar ojczyma (apteka na Ligocie), w końcu czy to ważne, skąd się handluje dragami? Grunt to operatywność.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Czy mogę prosić wnuczka? – zagaił do słuchawki grzecznym głosem, ponieważ rzucone na początku przez rozmówcę „halo” od razu zdradziło jego wiek.

Trafiony, zatopiony!

Pytaniem chciał rozeznąć sytuację, a starszycy uwielbiali takich poukładanych i akuratnych chłopczyków. Robili się wtedy nad wyraz rozmowni. A, jak wiadomo, starsze osoby zwykle nie mają z kim zamienić słowa...

– Dzień dobry. – Z tamtej strony coś niemiłosiernie zapierdziało, zawyło, i połączenie straciło upragnioną jakość. Ale, jak się okazuje, nie ma tego złego... – Tak, jestem dziadkiem – usłyszał. – Andrzej Strzegomski. Wnuczka przed chwilą o panu opowiadała! Pan jest malarzem?

He, he.

Zależy, jak na to spojrzeć, ale fakt pozostaje faktem, niejedno w życiu zmalował.

– Yyy... Tak, jestem malarzem – podchwycił z wdzięcznością, bo podszywanie się pod innych traktował jak rodzaj sportu.

Dawno nie trafił mu się tak uprzejmy dziadzio.

– Pan Adam?

Tu już zaczęło być ciekawie.

Nie przypadkiem przecież zauważył, że z gabinetu opatrzonego tabliczką „Adam Gryziewicz – lekarz stomatolog” coś wyleciało. Niby zwykły śmieć. Ale kiedy podniesiona w poczekalni kulka okazała się zgniecionym kawałkiem papieru, na którym ktoś zanotował numer... Miałby tego nie sprawdzić? Akurat tak się składało, że wszystko, co miało związek z osobą Adama Gryziewicza, budziło jego wielką ciekawość.

Wnuczka?!...

– Tak, to ja. Witam serdecznie – zakwilił i odtąd szedł już na pewniaka. – Dostałem ten numer od pana uroczej wnuczki.

– Panie Adamie, dobrze, że się pan odezwał. Bo my tu mamy jeden obraz, najprawdopodobniej Malczewskiego! – padła kolejna smakowita informacja i jego umysł ruszył pełną parą.

– Niemożliwe! Tego Malczewskiego?! – zachęcił starszycy do dalszych zwierzeń.

Ale zachęta wcale nie była potrzebna.

– Mam nadzieję, że tego! Właśnie o to chodzi. Żeby pan do nas zajrzał i coś doradził! Może podam adres, nic nie słyhać, sąsiad odpalił kosiarkę.

– Dobrze. Proszę śmiało podawać. Już notuję!

– Wiejska siedem, na Dębie. Dom jest jednorodzinny, bardzo łatwo trafić, w zatoczce, przy głównej ulicy. Tylko proszę się kierować do tego większego budynku.

Wiejska, na Dębie.

Pasowało!

Dzielnica była stara, nie musiał się chyba obawiać żadnych technologicznych nowinek.

– A macie tam państwo jakieś zabezpieczenia? – zadał pytanie głosem pełnym troski.

– Świadczenia?

– Zabezpieczenia!

– Nie słyszę, proszę powtórzyć!

– ZA-BEZ-PIE-CZE-NIA!

– A, zabezpieczenia... A po co? Wie pan, tu nie ma złodziei. Poza tym moja żona to najlepsze zabezpieczenie. Niby mamy psa, ale tak pomiędzy Bogiem a prawdą, to groźniejszy jest Saper, kocur małżonki.

Świetnie, czyli zamiast trucizny, piesek otrzyma smakołyk.

– Licho nie śpi. A taki obraz... jest bardzo cenny – pogroził, dla lepszego efektu. – Proszę na przyszłość pomyśleć o jakimś alarmie!

– Proszę pana, alarm to ja mam tu każdego dnia. – Dziadzio raczej się nie nudził. – Moja żona umie postawić na nogi umarłego. Dobrze, muszę kończyć. W takim razie zapraszamy!

– Będę!...

O, tak.

Nie omieszka złożyć wizyty na Wiejskiej.

Kto wie, może jeszcze dzisiaj w nocy?



Ewa spędziła drugą część dnia nad wyraz pracowicie.

Najpierw zrobiła dziadkowi przyspieszony kurs obsługi telefonu, później przekopła się przez książki dotyczące zdrowego odżywiania i ułożyła na najbliższe dni dietę odchudzającą dla osoby starszej, a potem zaczęła kombinować. Obrzydzić komuś ukochaną to jedno, ale wypełnić powstałą pustkę i działać na kilku planach, żeby osiągnąć cel, to drugie.

Dalszy plan miał na imię Klaudia i na widok Pawła zawsze dostawał pomieszania zmysłów. Brat przeciwnie, w ogóle nie dostrzegał koleżanki Ewy, głównie z tej przyczyny, że Klaudia – znajoma ze studiów, okulistka – przy Pawle

całkiem się rozplywała. Zważywszy, że na co dzień już i tak była delikatna i wrażliwa, w towarzystwie brata zupełnie traciła ostrość. Stawała się słodka jak zagęszczone mleko w puszcze i miękka jak gumisie, coś nieprawdopodobnego. Ewa ją lubiła, jednak z trudem znosiła te objawy ogłupienia, naprawdę. Dlatego przestała ją zapraszać, widywały się tylko na uczelni albo w pubie. Koleżanka przeżyła zmianę układów towarzyskich, owszem, przez kilka dni chodziła jak struta, ale, ku radości Ewy, przełknęła tę pigułkę z godnością. Nie domagała się wyjaśnień, nie rozpaczała, tylko czasami, bardzo cichutko, pytała, co u jej brata.

Chyba była dla Klaudii niesprawiedliwa.

Proszę, jak się wypaczenia charakteru na człowieku mszczą.

Ewa napluła sobie rzetelnie w brodę, rzuciła nawet pod swoim adresem kilka niecenzuralnych słów, po czym wybrała odpowiedni numer.

– Cześć, Klaudia. Żyjesz? – spytała wesoło na dzień dobry.

– Ewa, to ty? Ale mnie zaskoczyłaś! – Klaudię telefon najwyraźniej ucieszył.

– Żyję, oczywiście, że żyję. I tyję... Dwa kilo ostatnio przybrałam, wyobrażasz sobie?

– Co to jest dwa kilo, daj spokój. Może to zapasy wody. Zresztą i tak jesteś wygrana, idzie ci w biust. Słuchaj, nie wybrałaś się ze mną na spacer?...

– Masz rację, powinnam się więcej ruszać.

– Piwo w parku?

– Kiedy?

Ewa się nie wahała.

– Choćby teraz.

– A za półtorej godziny? Czytam ciekawy artykuł o jaskrze.

– Jak o jaskrze, to wiadomo, nie ma pośpiechu. W takim razie o dwudziestej, pod żyrafą.

Do spotkania zostało Ewie trochę czasu, co wykorzystała na prysznic i inne czynności toaletowe. Później coś ją podkusiło. Otworzyła laptopa i wpisała w wyszukiwarkę nazwisko, które padło na przystanku autobusowym, na ulicy Stawowej, kiedy słońce paliło jej skórę, a na ławeczce obok siedział mężczyzna o bezczelnym, ale, musiała to przyznać, pociągającym spojrzeniu.

Adam Gryziewicz.

Tak się przedstawił.

Ewa pracowała z ludźmi, przez jej ręce przewijały się codziennie dziesiątki osób, dlatego miała pamięć do nazwisk znacznie większą niż do schorowanych twarzy, które pod koniec dnia zlewały się w jedno, tak samo stroskane oblicze. Jednak TEJ twarzy nigdy by nie zapomniała, ale TA TWARZ...

Patrzyła na nią teraz z ekranu, a jej artysta plastyk...

Wsadzał paluchy do buzi jakiemuś dziewczęciu.

To znaczy?! Gumowe rękawiczki, lekarski kitelek, wiertło... Może był

modelem? Może pozował do zdjęć jako...

LEKARZ STOMATOLOG?!

Ewa w zdenerwowaniu przestudiowała dokładnie stronę, a później przekopowała cały Internet, żeby po dziesięciu minutach poszukiwań stwierdzić, że została idiotycznie oszukana. Idiotycznie, przecież po cholere jakiś facet miałby ściemniać, że jest malarzem, skoro tak naprawdę był... dentystą?! To dlatego wiedział, co to są kannabinoidy, szubrawiec jeden, oszust i kłamca...

Powietrza, potrzebowała powietrza!

Bo kiedy próbowała odtworzyć, o czym rozmawiali, w myślach usłyszała swoje komentarze. Że dentyści są spośród lekarzy najgorsi, że cieszy ją, że Adam nie wygląda na stomatologa... Że zdradzają i w ogóle są z nich buraki pastewne. Tego oczywiście nie powiedziała, ale sugerowała, dlatego najpierw poczuła ulgę – to całe kłamstwo przestało w końcu wyglądać tak niedorzecznie – ale zaraz potem zalała ją fala wściekłości. Rewelacja, znowu jakiś młotek chce ją zrobić w konia! Znowu sztuczki i podchody. Gierki zamiast prawdy, wnyki, pułapki oraz wabienie zwierzyny.

Dobrze, w takim razie ona zastawi pułapkę na niego.

Na tego wilka w owczej skórze.

Na farbowanego lisa...

Bo jeśli on sądzi, że ona jest gęsią, to się grubo myli.

Wody, potrzebowała wody!

A może... piwa?!

Z furią usiłowała zawiązać sznurowadło, kiedy w torebce rozległ się sygnał telefonu.

– Halo! To ja dzwonię. – Rozpoznała pękający od dumy głos dziadka. – Z nowej komórki.

Przysiadła na schodach.

– Widzisz, dziadku?! Mówiłam. Już zaczynasz wymiatać... Co tam?

– Jesteś numer jeden. Na mojej liście kontaktów. I... w ogóle jesteś numer jeden – dokończył nieporadnie, aż Ewę zatkało ze wzruszenia.

Zatkałoby ją całkiem, gdyby nie złość, którą wciąż czuła kotłującą się na dnie duszy.

– Ty, dziadku, też jesteś numer jeden – powiedziała mimo to. – I też w ogóle.

– Dobrze, dobrze. – Dziadek wrócił do swojego zwykłego tonu. Swobodnego i żartobliwego. Taki ton lubiła u niego najbardziej. – Co do numeru dwa... To przypomniało mi się, że pan Adam dzisiaj dzwonił. Przepraszam, że dopiero teraz mówię, ale ta moja skleroza...

– Dzwonił?! – Pal licha dno duszy. Jej serce! Ewa poczuła, że jej serce gwałtownie przyspiesza i szybuje do góry. – I co powiedział?

– Niewiele, kosiarka przeszkadzała. Ale żeśmy się dogadali, że nas odwiedzi

najszybciej, jak się da.

– Nas?!

– No, ciebie. Że ciebie odwiedzi najszybciej, jak się da. Powiedział, że na pewno. Podałem mu adres.

Na pewno!

W takim razie ona NA PEWNO się do tego spotkania przygotowuje.

I Pan Gumowa Rękawiczka będzie zaskoczony.

Ekstrakcja bez znieczulenia!



Ewa doskonale wiedziała, że rozciągnięte szarawary, znaczy spodnie, plus znoszony T-shirt i sportowe buty to strój do Biedronki, i to osiedlowej, a nie seksowny *look*, który powoduje u facetów zwarcia w systemie. Wiedziała również, że faceci potrzebują tych zwarc, styki muszą się przepalać, a adrenalina krążyć, bo to jak z dziadkiem i jego polowaniami – ktoś musi wyciągnąć blaszaną rurę i porządnie w nią zadać. Tak to już z nimi jest. Tylko wyraziste komunikaty obrazkowe. Plus dotyk. Zły czy dobry, obojętnie.

Byleby obiecywał finał.

Owszem, Adam zobaczył ją w okolicznościach naturalnych, na co dzień nie zawracała sobie przecież głowy anturazem. Musiało jej być wygodnie. Natomiast randki – tak, randki to co innego, na randkę potrafiła się odstrzelić, panowie aż spadali z krzesel. Ale w zwykły dzień? Jeździć pół godziny pędzlem po twarzy, tylko po to, żeby kupić w Tesco selera?...

I co jeszcze!

W porządku, Adam widział ją nieumalowaną, spoconą, a nawet wycieńczoną, nie wyglądała super turboatrakcyjnie, więc dlaczego tak się pchał z tym portretem i propozycjami? Nie umiała pojąć. W dodatku, dla fantazji, a co, pomieszała w środę dwie różne pary trampek, więc w zestawieniu ze swoimi tekstami o marihuanie musiała sprawiać wrażenie lekko pomyłonej. Zresztą, kto powiedział, że ma być nobliwą panią doktor? Wcale nie chce być nobliwa, nadęta i sztuczna. Będzie żywym człowiekiem, bez względu na pracę. Bez względu na wszystko! Żywym i wyrazistym. Nie musi się podobać każdemu. Nawet nie chce. Jak ktoś się podoba wszystkim, nie podoba się nikomu.

Ma się podobać sobie.

Tylko sobie.

A Gryziewicz zrobioną czy naturalną zapewne rwał każdą kobietę, jak leci!

– Ale że... Nie rozumiem – wyznała koleżanka, po tym jak Ewa opowiedziała jej o Monice, sztywnym małżonku i matrymonialnych planach Pawła.

Z Klaudią spotkały się pod rzeźbą żyrafy, która była w Katowicach popularnym punktem orientacyjnym. Jeśli ktoś umawiał się w parku, to najczęściej właśnie tutaj, gdzie można było podjechać autobusem lub tramwajem. Dlatego pod kończynami betonowej konstrukcji robiącej za afrykańskie zwierzę zwykle plątało się spłoszone stadko oczekujących.

Klaudia przycupnęła pod ogonem.

Po dotarciu na miejsce Ewa czym prędzej ją stamtąd wydobyła i bez żadnych wstępów i spacerów zaprowadziła prościutko do pubu Hawaii, gdzie postawiła koleżance złote pszeniczne, z pachnącą słodem pianką. Do tego dostały grubaśne i pyszne frytki.

Słońce już zachodziło, świeciło z ukosa, ale w powietrzu i tak czuło się żar.

Usiadły na miejscach dla niepalących, z widokiem na wspaniale rozłożystą wierzbę, bardzo starą. Rosła pośrodku zielonej polany skąpanej teraz w pomarańczowym blasku, nieco przygaszonym, ale wciąż gorącym i mimo to nad wyraz przyjemnym.

Trzeba ten blask zapamiętać i wydobyć spod powiek zimą...

– Czego nie rozumiesz? – Ewa zajrzała Klaudii w oczy.

Jasne i łagodne, żeby nie powiedzieć: naiwne.

– Dlaczego o tym wszystkim mówisz. Przecież nie chciałaś, żebym się spotykała z twoim bratem...

Celna uwaga.

Ewa poprawiła nerwowo włosy.

– Skoro już sobie tak rozmawiamy, muszę ci się do czegoś przyznać – zaczęła niemal szeptem, czując w środku nadciągającą falę. – Jest mi strasznie głupio. Zachowałam się wobec ciebie samolubnie. Jestem świnią, która nie umiała się oderwać od koryta, wredną małą, debilną po prostu...

– Przestań.

Łatwo powiedzieć.

Niestety, Ewie włączył się słowotok, którego dostawała w sytuacjach stresowych. Na co dzień opanowana, pod wpływem silnego napięcia wyrzucała z siebie całe frazy, bez oddechu, bez kontroli i, ku swojemu przerażeniu, nie potrafiła tego cholerstwa zatrzymać. Po prostu coś w niej gwałtownie eksplodowało i, nie było siły, musiało znaleźć ujście na zewnątrz. Dlatego teraz cała poczerwieniała ze wstydu, ale kości zostały rzucone.

To znaczy słowa.

Jak zwykle w takim przypadku, nad wyraz szczere.

– Nie to, że coś do ciebie mam... To znaczy mam. To znaczy bardzo cię lubię, ale dostawałam szału, kiedy robiłaś maślane oczy, kiedy tak obrzydliwie Pawłowi nadskakiwałaś. To było ohydne. Nie znoszę takiego włożenia do... Przepraszam! – Próbowała zatkać sobie dłonią usta. Klaudia również robiła się z chwili na chwilę coraz bardziej purpurowa. – Nie chodzi o to, że jestem zazdrosna o brata w ten... rozumiesz... chory sposób. Nie jestem! Byłam zazdrosna po siostrzanemu, o to że będę się musiała nim w końcu podzielić. Ale mi już przeszło, bardzo cię przepraszam. Nie traktuję cię jak narzędzia. Chociaż to może tak wyglądać...

– Właśnie tak wygląda – bąknęła Klaudia i pospiesznie wpakowała do ust frytkę.

Odwróciła oczy i próbowała się uspokoić, ale nawet jej włosy wyglądały na wzburzone – falowały, mimo że powietrze wisiało nad parkiem ciężkie jak torba zakupów. I nie było żadnych promocji, żadnego, nawet najłżejszego, wiatorku.

Ewa postanowiła dobrnąć do końca.

– Wiem i okropnie się z tym czuję! Dlatego po prostu... Po prostu cię zawiadamiam, że jeśli przypadkiem chciałabyś jeszcze o Pawła zawalczyć... Możesz liczyć na moją pomoc! – Po ostatnim słowie walnęła się w pierś, którą omal nie wybiła oka sąsiadowi, po czym, ku pokrzepieniu, wypła duszkiem połowę piwa.

Ależ było gorąco!

Na małym nosie Klaudii zebrały się kropelki potu, widać było, że okulistka walczy z gorączkowymi myślami.

– Czy to znaczy, że mogę liczyć na twoją pomoc? – spytała bezpośrednio, choć głos nadal jej drżał.

– Chyba znam własnego brata? Wiem, co lubi i czego mu potrzeba...

– Ale, ale... – Klaudia również sięgnęła po piwo. – W miłości chyba o to chodzi, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć samemu?

Ewa aż jęknęła.

– Z ciebie to jest straszna idealistka, naprawdę...

– Chcesz powiedzieć, że jestem frajerką?

Znowu to wewnętrzne piknięcie, znowu coś w niej rośnie.

Zaczerpnęła tchu, teraz powinna być nad wyraz delikatna...

Delikatna i taktowna.

– Czy ja cię namawiam do wydania kumpli z Al-Kaidy?! Albo do zamachu na Osamę bin Ladena?

– Osama nie żyje.

– Nieważne, to był przykład. Chcę ci jedynie pomóc w zdobyciu mojego brata. Pomóc! Przecież nie wezmę się za ciebie do roboty.

– Ale to powinno być spontaniczne. – W Klaudii protestowało już wszystko.

Bardzo chciała podzielać entuzjazm Ewy, bardzo, ale... nie potrafiła.

– A czy ja mówię, że nie będzie spontaniczne? Spontanizujcie się, wasza sprawa. Ale najpierw musi do tych spontanów dojść. On musi się tobą zainteresować.

– Ale to jest jakieś takie... sztuczne.

– Sztuczne! To są prastare, babskie sposoby! A te korale – pokazała na szyję koleżanki, którą otaczał wianuszek błękitnych kamieni – nie są sztuczne?

– Nie wiem, kupiłam w Parfois... – Broniła się, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– A po co je założyłaś?!

– Bo mi się podobają. – Klaudia, cała w lęku, dotknęła niebieskich kulek, jakby miała je zaraz stracić.

– Podobają. Właśnie o to chodzi. Co zrobić, żebyś się podobała. To źle?!

– Nie wiem. Tak mi to jakoś przedstawiasz... Jestem całkiem skołowana.

– Bo ty wszystkich przepraszasz, że żyjesz! – Z Ewy znowu się wylało. –

Jesteś dla facetów za miła, za słodka i za mdła! Dlatego cię nie widzą. We wszystkim im przytakujesz, nie masz zupełnie swojego zdania. Taka jesteś naprawdę? I tak całe życie będziesz przed nimi machać ogonem? Jak piesek?! Ja tego kompletnie nie rozumiem! Co ty, ojca sadystę miałaś, że jesteś taka wytresowana?!...

Tu już Klaudii całkiem puściły nerwy.

Nie bacząc na ściśnięte przy stolikach towarzystwo, wybuchnęła płaczem: początkowo głośnym, później chlipała już cichutko, lecz przeraźliwie, jej drobne łzy wpadały do miseczki z sosem pomidorowym, a wraz z procentowym wzrostem zawartości wody w keczupie, w Ewie tężało poczucie winy.

Delikatna, miała być delikatna!

– Przepraszam, nie powinnam tego mówić...

Klaudia wyprodukowała z siebie jeszcze kilka szlochów, po czym wytarła nos w serwetkę i niewyraźnie wymamrotała:

– Miałam ojca ...ika.

– Lotnika?

– Alkoholika.

– Aha, alkoholika...

– I... – Klaudia znowu zaczęła pociągać spuchniętym nosem. – On nas z mamą ciągle rozstawiał po kątach. Jak wracał z knajpy wściekły, bo potem kumple już mu nie chcieli stawiać, to nieważne, co miał pod ręką... Dopiero dwa lata temu zmarł, na marskość wątroby. Dlatego chyba masz rację. Dziękuję, że mi to uświadomiłaś. Nie miałam pojęcia, że to tak z boku wygląda...

– Jakie „dziękuję”?! – zaprotestowała Ewa. Jej również zaczynało się zbierać na płacz. – Proszę cię. Zmiotłam cię z powierzchni ziemi, byłam brutalna. I wulgarna. Jak wiejska, tłusta świnia, jak małpa tępa i głupia...

W Klaudię coś nagle wstąpiło.

– Małpy wcale nie są głupie. Ani tępe – zapewniła żarliwie, a w jej oczach jakby ktoś włączył silnie świecącą lampkę. – A tego, co usłyszałam, nikt mi dotąd tak wyraźnie nie powiedział. Bolało, ale to mi bardzo pomoże.

– Szaleństwo...

– Wcale nie. To się nazywa iluminacja. I... Jak myślisz, jeśli zacznę być sobą... Bo ja wcale nie jestem tylko słodka i miła – wyznała i faktycznie, w jej gestach pojawiła się nowa jakość. – Paweł zwróci na mnie uwagę?

– Tego nie mogę obiecać. W ogóle nie mogę niczego obiecać. I nie wiem, jaka jesteś, kiedy jesteś sobą – odpowiedziała Ewa. – Ale możemy nad tym trochę popracować.

Klaudia pociągnęła spory łyk piwa.

– Chcę nad sobą pracować! – zadeklarowała i co do tego nie było żadnych wątpliwości.

– W takim razie... Zaczynamy?
– Tak jest!
Zapowiadało się długie i ciekawe lato.



Inni ludzie żyją z innymi ludźmi w zgodzie, a ona zawsze musiała coś

chlapnąć.

Ewa rozważała nawet, czy, podobnie jak sportretowana przez Malczewskiego prababka, nie ma biegunki, tyle że słownej – Adelajda Piekarska, mama babci Walerii podobno również była nad wyraz bezpośrednia, przez co nieustannie pakowała się w kłopoty – ale jak dotąd nie zarejestrowano podobnej jednostki chorobowej. Biegunka słowna o zaostrzonym przebiegu szczerości... Brała też pod uwagę zespół Aspergera, odmianę autyzmu. Jednak uczyła się dobrze, szkołę lubiła, a kontakty międzyludzkie, cóż, zawsze ktoś przy niej był. Nie miała może tysiąca koleżanek, zaledwie kilka, za to sprawdzonych, które wiedziały, do czego jest zdolna, i nawet sobie tę jej przypadłość ceniły. Bo nikogo nie obgadywała, zawsze waliła prawdę między oczy i przynajmniej było wiadomo, czego się spodziewać.

Teraz też.

Po wyjaśnieniu z Klaudią wszystkich niejasności okazało się, że mają mnóstwo wspólnych tematów, co ustalały przy kolejnych piwach mniej więcej do północy. Tamy puściły, zwierzenia również, było naprawdę miło. Później Klaudia zadzwoniła po taksówkę, a Ewa, mimo że Wiejska znajdowała się kwadrans drogi od parku, wpadła na genialny pomysł.

Przenocuje u brata.

Zdarzało jej się to przecież wiele razy, co prawda zwykle wcześniej uprzedzała, ale dziś nie chciała wkurzać babci późnym powrotem, poza tym, powiedzmy sobie szczerze, czy bycie rodziną nie daje pewnych praw? Jednak kultura zwyciężyła. A może chodziło o coś innego: przeraźliwie bała się, że drzwi otworzy jej roznegliżowana Monika.

Rany na umyśle długo by się po takim widoku goiły...

Dlatego Ewa wydobyła z plecaka komórkę.

– Czego tam? – dało się słyszeć po kilku sygnałach.

Paweł był bardzo udanym egzemplarzem brata, więc jego niezbyt mile brzmiący głos musiał coś znaczyć. Na przykład to, że kiedy przyprowadził Monikę na obiad, jego nieudany egzemplarz siostry nie powitał narzeczonej chlebem i solą.

– Wody! Albo herbaty, może być z cytryną.

– Piłaś?

– Ociupinkę. Kilka browarków. Jestem niedaleko i wnoszę podanie o nocleg. Mogę obiecać, że spędzę kilka godzin w ubikacji, bo strasznie chce mi się siku. Nie będę przeszkadzać.

– No, nie wiem... – Paweł przez chwilę udawał niezdecydowanego. – W takim razie nocleg w kibelku. Może być?

– Nawet w przedpokoju.

– Na przedpokój nie zasłużyłaś, pijaczko...

Ewa zarechotała, wysłała babci wiadomość i pobiegła na ulicę Tysiąclecia

czterdzieści jeden, gdzie w bloku zwanym „wypychem” (od sposobu wznoszenia budynku), znajdowało się dwupokojowe mieszkanko. Czyli według stanu jej wiedzy: przestrzeń, na której aktualnie nie występowała Czarna Mamba.

– Nie śpisz? – upewniła się tuż po tym, jak cmoknęła brata na powitanie.

– Właśnie wchodzę w fazę REM. A ty? – odpowiedział, włączając czajnik.

Już w przedpokoju czekała Ewę niespodzianka.

Kapciuszki.

– Najwyraźniej właśnie się obudziłam. Co to za badziewie? – Skinęła na stojące przy drzwiach kapcie, różowe jak landrynka. Nic tylko ssać. Albo splunąć i wyrzucić do kosza. – Gościłeś w swojej twierdzy Króliczka „Playboya”?

– Ewa... – Brat przestał być żartobliwie uprzejmy, co dobrze nie wróżyło. – Czep się może kogoś innego. Z Moniki, bardzo cię proszę, zjeżdź.

Tak, musi pilnować jęzora!

Koniecznie.

Nie może teraz niczego chlapnąć.

A może właśnie chlapnąć?

Wizyta u brata wbrew pozorom wcale nie wypadła spontanicznie. W stanie lekkiego upojenia alkoholowego Ewa pomyślała przecież o pewnym ważnym dla jej przebiegu szczególe. Whisky! Paweł uwielbiał whisky. W związku z czym zapobiegliwa siostra dotarła pod żyrafę, choć z pubu miała na ulicę Tysiąclecia bliżej, a następnie odwiedziła całodobowy sklep monopolowy.

Z widocznym skutkiem.

– Ha! – Wyszarpała z plecaczka połyskującą złotem butelkę. – I co ty na to? Napijesz się z ukochaną siostrzyczką?

– Chyba żartujesz. – Paweł niby wzgardliwie odwrócił wzrok, ale w jego oczach Ewa zdążyła dostrzec błysk zainteresowania. – Już jesteś sztywna, a ja mam rano pracę.

– Pracę! Chyba płacę. Masz nienormowany czas i pracy, i płacy, poza tym jutro jest sobota. Nie ściemniaj, tylko szykuj szklanki. I lód!

– Jesteś nieznośna.

– Od czego ma się rodzinę! A whisky przyniosłam zimną, tak jak lubisz. Wzięłam z lodówki. I coca-colę też!

Tak jak przypuszczała, Paweł złamał się przy coli, za którą również przepadał.

– Jest dwunasta w nocy. – Jeszcze próbował marudzić, ale szkło już trzaskało mu w rękach. – Tylko szklaneczkę! – zastrzegł.

Nie chlapnąć jęzorem, tylko nie chlapnąć jęzorem! – Ewa afirmowała w myślach jak mantrę i powtarzanie pomogło. Tym bardziej że stanęła jej w oczach Klaudia, której rzuciła dziś tyle przykrych słów.

– Słuchaj... – zaczęła więc dopiero przy drugiej dolewce, kiedy Paweł

włączył płytę swojego ulubionego wykonawcy, Jasona Mraza. – Ja cię chciałam przeprosić.

– Przeprosiny przyjęte. Twoje zdrowie!

Jej brat, kochany, wznosił toast i spojrzał z taką serdecznością, że trochę się zmieszała, ale robiła to przecież dla niego. A żeby mogła robić więcej, musiała wiedzieć więcej. Na trzeźwo by przecież niczego z tego amatora luksusowych alkoholi nie wyciągnęła.

Paweł był roslym blondynem o wesołych oczach, które zupełnie traciły temperaturę, kiedy ktoś próbował wypytywać o jego sprawy. Zawsze tak było. Jeśli sam czuł potrzebę, wtedy owszem, dowiadywały się z babcią o różnych dziewczętach, które przewinęły się mniej lub bardziej glibko przez jego życiorys, tyle że zwykle zyskiwały tę wiedzę, dopiero kiedy Paweł zostawał sam. To, że przyprowadził Monikę na obiad, wiele znaczyło.

Niebezpiecznie wiele.

– Przecież nie wiesz, co chciałam powiedzieć – zaprotestowała.

– Doskonale wiem.

– Tak?

– Chciałaś mnie niby przeprosić, a tak naprawdę przysłała cię babcia. Żeby mnie wpytać. Obie jesteście niezłe!

To gnojek.

– Paweł!

– A co, może nie?

Nie było sensu udawać.

– To prawda, babcia się zamartwia, ja zresztą też. Ta twoja... Monika wcale mi się nie podoba.

– Bo nie jest taka jak wy!

– Czyli?

– Daj spokój. – Paweł poczuł, że się zagalopował, i usiłował zmienić temat.

Nie z nią takie numery.

– Słucham. Jakie jesteśmy?! No, proszę... Może w końcu się dowiem, co sądzi o mnie mój własny brat.

– Ewa...

– Co: Ewa?! – Piwo, a teraz whisky w końcu zrobiły swoje. Ewa zaczynała się rozkręcać. A może, dla odmiany, to ona powinna usłyszeć coś bezlitośnie prawdziwego? – Słucham.

– Nie chcę się kłócić.

– Nie masz odwagi?!

– Zaczynasz być agresywna.

– To twoja Monika jest agresywna. I niemiła!

– Bo na nią naskoczyłaś! – Paweł wyprostował się w fotelu i odstawił

szklanę.

– Poskarżyło się biedactwo?! – Zatrzepotała rzęsami. – Ja przynajmniej nie zabiłam swojego męża!

– Najpierw trzeba go mieć.

– Jakbym chciała, tobym miała!

– Akurat. Najpierw musiałabyś wyparzyć ten swój jęzor. Albo go sobie uciąć. Z takim jęzorem nigdy nikogo nie znajdziesz!

Zabolało.

– Ewunia, przepraszam. – Paweł usiadł w popłochu obok i dotknął jej ręki. – Naprawdę nie chciałem. Ale wpadasz w środku nocy, naciągasz mnie na zwierzenia i próbujesz deptać to, co dla mnie ważne. W dodatku słyszę, że już przeprowadziłyście z babcią wywiad.

Nie zamierzała się rozplakać, wręcz przeciwnie – za wszelką cenę próbowała powstrzymać napływające do oczu łzy. Ale... Procentowa zawartość wody w whisky rosla.

Paweł wpadł w panikę.

– Posłuchaj... To nie tak, jak myślisz. Monika to dobra dziewczyna, zapewniam cię. Może jest trochę szorstka, ale nie miała łatwego życia. Ten mąż wcale nie był dla niej dobry, dlatego po nim nie rozpacza.

– Poznałeś jej syna? – Paweł bardzo się starał, więc pozwoliła sobie zadać pytanie.

– Nie poznałem. Monika nie chce go niepokoić.

– Niepokoić?! Przecież planujecie ślub! Dowie się o tobie, jak będzie miał czterdziestkę?

Paweł nie dał się sprowokować.

– Ten mały... On jest ogromnie podobny do ojca. Fizycznie i psychicznie, widziałem zdjęcia, co jest dla Moniki bardzo trudne. Więc oddała go teściowej, która go zresztą uwielbia. Oddała nie dlatego, że sama jest złą matką. To dzielna kobieta, wiele przeszła. I to mi się w niej podoba. Że jest twarda... Bezpośrednia. Konkretna. A jednocześnie delikatna.

Wszystko ładnie, ślicznie, tylko dlaczego w towarzystwie Moniki Ewa czuła coś wręcz przeciwnego? Żywą antypatię. A tymczasem jej brat bredził takie głupoty, jakby opisywał Matkę Teresę z Kalkuty.

I kto tu zwariował?!

Nie, zaraz, chwileczkę. Jeśli wszystko w niej krzyczy, że właśnie grają fałszywy kawałek, nie zamierza zatykać uszu. Bezpośrednia? Konkretna? A kiedy ona usiłowała przedstawić bratu swój punkt widzenia, jak to podsumował?

Że ma niewyparzony jęzor.

Czyli biegunka słowna, odmiana o zaostrozonym przebiegu szczerości.



Tauron.

Adam postanowił, że tak łatwo nie odpuści.

Rzadko dostawał kosza, więc, ot tak sobie, sprawdził podany przez Ewę numer w sieci i okazało się, że numer nie figuruje na liście kontaktów firmy. Zastanawiające. Na upartego Ewa mogła się pomylić i na przykład przekreślić jedną z cyfr, ale skąd w takim razie u mężczyzny w słuchawce ten frywolny ton?

To zadowolenie wciąż brzęczało mu w uszach.

Dlatego kiedy jedna z pacjentek odwołała wizytę, Adam wsiadł w samochód i popędził na Lwowską, do siedziby spółki. Mógł zadzwonić, ale wtedy jego czar działałby tylko na kanale fonii, a wizja... Wizja zdecydowanie działała na jego korzyść. Młodziutka brunetka z recepcji podzielała tę opinię, okazała się nad wyraz skłonna do pomocy i po kwadransie robienia do niej maślanych oczu był już pewien.

Tauron nie miał w systemie takiego numeru.

Teraz pozostawało więc tylko jedno.

Komisarz Piotrek Marchewka, czyli jego zaprzyjaźniony pacjent.

Wszystkie te firmy w Internecie zajmujące się identyfikacją numeru to była jedna wielka ściema. Opłaty, SMS-y, a w efekcie wyświetlały się tylko miasto i operator. Szkoda czasu. A u Piotrka Marchewki miał zaległą przysługę. A nawet kilka przysług, facet był w porządku, więc stosował wobec niego inny cennik.

Poznali się niedawno, kiedy Marchewka przyproceedził do gabinetu przyjaciela z wybitą jedyką, a ostatnimi czasy ich znajomość uległa zacieśnieniu, gdyż pan komisarz chciał się żenić, w związku z czym postanowił zafundować sobie nowy garnitur... zębów. Leczył i wymieniał niemal wszystko, więc widywali się kilka razy w tygodniu. I prowadzili rozmowy. Tak, jak się jest dentystą, zna się dużo ciekawych osób, które potrafią podziękować za ładny uśmiech.

– Dzień dobry, z tej strony Adam Gryziewicz... – Już chciał się przedstawić obszerniej, ale został rozpoznany.

W końcu rozmawiał z policjantem.

– O, pan doktor! – Marchewka się ucieszył. – Witam, mój most już jest gotowy?

– Jeszcze musi pan trochę poczekać, będziemy dzwonić... Bo ja właściwie kontaktuję się z panem prywatnie.

– Prywatnie? – Komisarz zawiesił głos i od razu zrozumiał. – W porządku, przekręcę do pana z innego numeru.

Jasna sprawa, z innego numeru, przecież nie będzie prosił o kradzież informacji przez telefon służbowy.

Komisarz oddzwonił zgodnie z obietnicą i od razu przeszedł do konkretów.

– No, jestem. Co tam się u pana powyprawiało? Jakiś mandat?

– Na szczęście nie... Kobieta.

– Ale że pan przejechał?!

– Nie, skąd?! – Zaśmiał się, rozbawiony. – To raczej ona przejechała mnie. I zostawiła na miejscu wypadku.

– No, no? – Marchewka na szczęście łapał niuanse językowe.

– Powiem w skrócie. – Adam zaczerpnął powietrza, bo mu było głupio. Ale co tam. Najwyżej znowu wyjdzie na kretyna, w końcu to jego specjalność. – Poznałem bardzo ciekawą kobietę, dała mi numer telefonu i byłbym wdzięczny,

gdyby mi pan pomógł ustalić adres. Wiem, że to bezczelność...

– Panie doktorze... Pan podyktuje te cyferki, adres wyślę panu SMS-em.

Może być?

– Dziękuję.

– Ja również.

Adam z ulgą zakończył połączenie i otarł pot z czoła.

Chyba tak muszą się czuć na fotelu jego pacjenci...

Po godzinie otrzymał wprawdzie obiecaną wiadomość, jednak znowu miał o czym myśleć, bo na wyświetlaczu pojawił się komunikat:

Andrzej Strzegomski, ul. Wiejska 7, Katowice.

Andrzej?

Chyba nie była mężatką?!



Ewa nie umiała się długo gniewać, choć brat zranił ją do żywego.

Z takim jęzorem nigdy nikogo nie znajdzie!

Nigdy, nikogo...

Od dawna rozmyślała, czy to się już czasem nie działo, czy nie jest starą panną, skończyła przecież trzydzistkę. I nieważne, że czasy się zmieniły, nastawienie społeczeństwa również i teraz to się nazywało „singielka”. Jej koleżanki rodziły dzieci w takich ilościach, jakby celowo chciały doprowadzić do przeludnienia planety (choć już było za ciasno), trzęsły się nad mężami lub partnerami (częściej) i w ogóle można było z nimi rozmawiać tylko na jeden temat.

Kupki, ząbki oraz pluszowe misie. I tak w kółko, aż do porzygania. Wręcz można było dojść do wniosku, że jak człowiek zakłada rodzinę, od razu zwęża mu się horyzont umysłowy. Świat nagle zamiera, wszystko przestaje istnieć, liczy się tylko DZIECKO.

Dziecko, dzieciątko!

Niby przyroda tak to wykombinowała, żeby promować przetrwanie, ale jeśli Ewa miała się spotkać z nowo upieczoną mamą i przez godzinę wysłuchiwać jej zachwyków nad rączką, pupką, stópką... Uprzejmie dziękowała. Tak, była w swoich sądach kategoryczna, może nawet niesprawiedliwa, mimo że mechanizm macierzyństwa był jej przecież znany, choćby z powodów zawodowych. Ale co innego wiedzieć, a co innego rozumieć.

Może też kiedyś tego doświadczy.

Może.

Ale jeśli doświadczy, nie przestanie się rozwijać – to sobie obiecała.

Rozwój, liczył się rozwój.

Tymczasem jej rozwój przebiegał jakoś tak, że kiedy w łazience brata zerknęła do lustra – Paweł miał tragicznie szczere, powiększające lustro – zobaczyła ohydny wersję nierozwiniętej siebie. Albo raczej niedorozwiniętej.

Szerokie usta, szeroki nos i w ogóle gęba płaska jak naleśnik. Przypalony, bo z nosa zaczęła jej schodzić opalenizna, podobnie na czole, ramionach... Dlaczego była tak ohydna? Piegi, mnóstwo piegów. I jeszcze te włosy. Od lat rozjaśniane, traciły miękkość następnego dnia po umyciu. Wiecheć, nie włosy. Na głowie miała żółty wiecheć. Albo kupkę siana. Tylko bociana brak, żeby uwił sobie w tych kołtunach gniazdo. Ciekawe, czy bociany robią do własnych gniazd?...

Koniec z głupotami!

Będzie myśleć zadaniowo. Myśleć, a nie rozmyślać, z rozmyślań zwykle nic konstruktywnego nie wynika. Lepiej robić, niż myśleć. Tak! Ewa przywołała się więc do porządku, umyła twarz zimną wodą, po czym poszukała kremu.

I natrafiła na leżące obok pralki... klucze.

Breloczek w postaci różowego puszku nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Klucze należały do Moniki, pewnie dorobiła dla narzeczonego. I czy nie lepiej działać? Ewa wklepała w wysuszoną skórę krem Nivea (zamiast żelastwa baba mogła zostawić chociaż jakiś alternatywny kosmetyk), po czym oprzytomniała i rozejrzała się za mydłem. Nie w celach higienicznych.

Raczej w celach... śledczych?

Była przecież wnuczką Walerii Strzegomskiej. A babcia na widok kluczy do jaskini wroga nie zajmowałaby się poranną toaletą, babcia wzięłaby się do pracy! Przecież lepiej takie klucze mieć, niż ich nie mieć. Nie wiadomo, do czego się przydadzą, ale że się przydadzą, Ewa wiedziała na pewno. Paweł, sobek jeden, po przeprosinach zakręcił butelkę whisky i tym samym jakby zakręcił cały dostęp do

informacji. Powiedział, żeby nie wsadzała nosa w nie swoje sprawy, zakwaterował ją w małym pokoju i cmoknął na dobranoc. Znała go aż nadto dobrze, wiedziała, że odtąd będzie milczał jak głaz.

Jak głaz...

Tyle że ona właśnie potrzebowała czegoś miękkiego.

Tyle razy widziała na filmach, jak odciska się klucze w mydle, że ciekawiło ją, co by w tej sytuacji powiedział reżyser. Bo najpierw trzeba dysponować mydłem w kostce, a nie jego płynnym odpowiednikiem! A ona tak długo trwała bratu, że powinien przestrzegać zasad higieny, że macane mydło jest ohydne, że dla świętego spokoju w łazience i kuchni zainstalował dozowniki... Tak że mydła w kostce na pewno w tym mieszkaniu nie uświadczy. Na własne żądanie. Jasny szlag!

Ewa zaczęła gorączkowo myśleć. Dochodziło wpół do ósmej, Paweł zaraz się obudzi, nie miała zbyt wiele czasu. Coś miękkiego, ale nie do końca. Coś, co może stąd wynieść i ten fakt nie zostanie zauważony. Coś... I wtedy doznała olśnienia.

Masło!

Zrobi odcisk w maśle, przecież Paweł nie urządzi awantury z powodu kawałka tłuszczu, najwyżej pomyśli, że wyszło. Całe szczęście, że posłuchał jej również w temacie izomerów trans i nie jadał margaryny. Ewa zakradła się więc z duszą na ramieniu do lodówki, gdzie, ku swojemu zadowoleniu, znalazła potrzebny produkt. Raz dwa dokonała dzieła, zatarła po sobie wszelkie ślady, napisała bratu pożegnalną karteczkę, po czym cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Była już na przystanku, kiedy zadzwoniła babcia.

– Boże, Ewa, przyjeżdżaj!

Nadgorliwi dziadkowie chcący wynagrodzić wnuczkom nieobecność rodziców...

Tylko że ci ostatni ciągle dzwonili, przyjeżdżali na każde święta, a na co dzień rodzeństwo cieszyło się przecież miłością dziadków. Nawiasem mówiąc było jej znacznie więcej od babci i dziadka niż od mamy robiącej karierę naukową (profesor bakteriologii) czy od ojca, któremu do szczęścia było potrzebne tylko jedno: sprawny komputer (analityk danych). Ale kto by się nad tym zastanawiał, w każdym razie choroby sieroczej ani ona, ani Paweł u siebie nie stwierdzili.

– Dziecko!

– Jestem.

– To co nic nie mówisz?!

– Bo mnie zawsze uczyłaś, że mówi tylko jedna osoba.

– Okradli nas! – krzyknęła w odpowiedzi babcia i Ewa, znajdująca na wrywki wachlarz jej tonów i półtonów, w jednej chwili zrozumiała, że jest źle.

– CO?!

– Ukradli obraz, w domu wszystko poprzewracane do góry nogami, jak u Cyganów. Matko kochana! Dopiero wstałam, musieli być w nocy. Jak mogłam nie słyszeć?! Nie wiem, co u dziadka, boję się wyjść...

Ewa poczuła, że nie tylko masło może za chwilę zmienić konsystencję.

Zaczęły jej mięknąć kolana.

– Ale nic ci nie jest?!

– Co ma mi być, nic mi nie jest, tylko co z Malczewskim... I Andrzej... Próbowałam wołać z okna, ale nie odpowiada.

– Babciu, dzwonić szybko na policję! Ja dzwonię do dziadka i już pędzę!

– Dzwoniłam, ale nie odbiera.

– A komórka?

– Jakby siedział w komórce, toby słyszał. A szklarnia pusta, widzę.

– Ale komórka w sensie: telefon.

– Jaki telefon?! – Babcia się obruszyła.

– Komórkowy. Kupiłam mu wczoraj.

– Kupiłaś komórkę? Dziadkowi?! To czemu ja nic nie wiem?! Dzwoni do niego natychmiast! Ma tu zaraz przyjść! Jezusie Nazareński, chyba nie leży tam gdzieś zalany krwią... I za co mnie to wszystko spotyka, za co...

Ewa bardzo starała się nie zarazić paniką, choć kiedy wyobraziła sobie szczegóły odmalowane przez babcię, cała ścierpła. Nie było czasu. W domu działo się coś bardzo złego, w dodatku musiała jak najszybciej zabezpieczyć odcisk kluczy. Paweł! Bardzo potrzebowała teraz opanowania brata a także... jego samochodu. Zawróciła więc i co sił w nogach pobiegła z powrotem.

Wybudzony ze snu Paweł najpierw nie zrozumiał, co wykrzykuje jego siostra, a kiedy w końcu styki się zwarły i impuls przepłynął, bez słowa narzucił na siebie dzinsy, koszulkę i pognął do samochodu. Ewa za nim. W drodze usiłowała połączyć się z dziadkiem, który odebrał dopiero przy trzeciej próbie.

– Dziadku!

– Ewunia, a co ty masz taki głos? – Dziadek wręcz tryskał energią, nie leżał nigdzie zalany. A jeśli już, na pewno nie była to krew.

– Tak się martwiłam... Okradli nas, w domu było włamanie, gdzie jesteście?!

– No, zatrzymałem się na noc u Bogusia, bo żeśmy trochę wczoraj przesadzili ze śliwowicą... Co ty mówisz, jakie okradli?!

Dziadek również się przestraszył, tym bardziej kiedy zapewniła go, że babcia raczej nie wyolbrzymiała. Ale kradzież obrazu przyjął ze stoickim spokojem, wręcz się ucieszył. Naprawdę nie lubił patrzeć na skrzywioną minę teściowej.

– W porządku, w takim razie zwijam manatki i zaraz wracam, tylko że Boguś raczej mnie nie podrzuci. Jestem w Olkuszu, więc to trochę potrwa.

Ale sprawy przybrały dość nieoczekiwany przebieg.

Przed wszystkim babcia stanęła na nogi. Kiedy dotarli z Pawłem na

miejsce, czekała przed bramą, a po jej niedawnej hysterii nie został nawet ślad. Przemierzała skwerek w tę i z powrotem, wyraźnie w bojowym nastawieniu, kręciła głową i co chwilę zaglądała do trzymany w ręku zapisków.

– Wszystko już wiem! – zawiadomiła, gdy tylko zaparkowali. – Zginął portret mojej mamy, telewizor, odtwarzacz DVD...

– Nie! – To Ewą targnęło, oglądanie filmów było jej sposobem na stres.

– Tak. A do tego maszyna do szycia, mój laptop...

– A mój? – spytała w napięciu.

W komputerze miała mnóstwo opracowań medycznych, to by była tragedia, gdyby musiała je na nowo gromadzić.

Babcia, już w swojej zwykłej pozie, spojrzała w ulicę Dębową.

Krótko i z niezadowoleniem.

– I gdzie ten dziadyga?!

– Dziadek jest w Olkuszu, u pana Bogusia. Został tam na noc, chyba nie najlepiej się czuł... – wyjaśnił z zakłopotanym uśmiechem Paweł, który doskonale słyszał przebieg samochodowej rozmowy, ponieważ dziadek miał przez telefon wyjątkowo donośny głos.

– Tak, do mnie w końcu też łaskawie zadzwonił. Ze swojej nowej komórki...

– Babcia posłała Ewie pełne urazy spojrzenie. – A twój laptop jest cały i zdrowy, leży pod łóżkiem.

– Boże, jestem genialna! – triumfowała Ewa, ciesząc się, że po raz pierwszy jej bałaganiarstwo na coś się przydało.

– I co to w ogóle za pomysł z tą komórką?! Paweł! – Babcia zaczęła musztrę, w czym wcale nie przeszkadzały jej okoliczności.

Pawłowi również – stanął pośrodku skwerku jak rażony gromem. Właśnie, może o to chodziło! Może braciszek w głębi duszy potrzebował generała w spódnicy, a do tego okopów, menażki i kałasznikowa, przecież całe życie był na rozkazy babci. A Monika na zwykłego szeregowego z pewnością nie wyglądała.

Trzeba to uświadomić pewnej wrażliwej okulistce.

– Ja nic nie wiem – wydukał po chwili, wzruszając ramionami.

– A do Olkusza wiesz, jak dojechać?

– Babciu...

– To jedź po tę sierotę, bo tu dotrze za tydzień. A my się z Ewą wszystkim zajmujemy.

– A policja? – Paweł wykonał ruch, jakby chciał iść do domu, ale babcia go powstrzymała.

– Co, twoim zdaniem, ja nie umiem wezwać policji?! Jedź, na co czekasz?! Przywieź dziadka, policja zaraz tu będzie. Damy sobie radę. Po prostu nie wolno niczego dotykać, wielkie rzeczy. Masz, to jest jego... nowy numer. Komórka, też coś!



Paweł jeszcze się ociągał, ale faktycznie doszedł do wniosku, że bardziej przyda się w terenie. Dlatego zadzwonił do dziadka, wsiadł do samochodu i tyle go widziały.

Masło! Ewa musiała w końcu dotrzeć do lodówki. Tyle że najpierw zahaczyła wzrokiem o babcię i zmartwiała.

Babcia bywała zadowolona z siebie dosyć rzadko, zazwyczaj wtedy, kiedy

skutecznie dopiekła dziadkowi. Teraz też: rozjeżdżały się jej w uśmiešku usta, a w wyblakłych oczach błyszczała radość, ale taka cicha, jakby ktoś do szczypty satysfakcji dodał trzy worki złościwości.

– Babciu ty coś wykombinowałaś... – stwierdziła Ewa z lekką pretensją.

– Kochana!

Czyli trafnie odczytała sygnały.

Ale teraz ważniejsze było co innego.

– Muszę pędzić do kuchni, bo coś przyniosłam. Niestety, będziesz ze mnie dumna. W środku jest naprawdę tak źle?...

Ewa otworzyła drzwi i wyhamowała, odpowiedź nie była już potrzebna.

Cały dół wyglądał jak po przejściu tajfunu albo jak po żywiołowej awanturze dwojga małżonków, ale takich temperamentnych. Meble przewracane, rzeczy wywleczone z szafek na podłogę, wszystko razem na jednej kupie. Ubrania, naczynia, papiery... I żałośnie pomiaukujący na tym poboju Saper. Krajobraz jak po przemarszu wojsk pruskich. Nic dodać, nic ująć. Świetnie, teraz czekały je gruntowne porządki.

Ewa załatwiła sprawę masła i napełniła miseczkę Sopera – jedzenie zwykle go uspokajało.

– Już dobrze, wcinaj. Dobry kotek, zaraz tu posprzątam... Kiedy przyjedzie policja?

– Policja, policja... Po kim ty jesteś taka nerwowa? – Babcia patrzyła na swoją ukochaną kuchnię, ale już nie dostawała spazmów.

Najważniejsze, że talerze i garnki były całe, przetwory w kredensie również.

– Babciu, zawiadomiłaś policję? – spytała Ewa, tym razem nie ukrywając podejrzliwości.

– Czekaj, przecież możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Tak sobie pomyślałam... – zaczęła babcia, obejmując łakomym spojrzeniem widniejący za oknem domek. – Skoro jest włamanie, a dziadek ma u siebie nieprawdopodobny bałagan ...

Ewa już zaczynała rozumieć.

Nieźla z babci aparatka.

Wręcz Lady Makbet.

Babcia od wielu lat nie potrafiła pogodzić się z podejściem małżonka do... estetyki. A konkretnie, dziadek gromadził, co tylko mógł, czym doprowadzał swoją połówkę do szewskiej pasji. Nigdy niczego nie wyrzucał, każdy kabelek, każdy drucik, koło od roweru, cegła, prasa do owoców... Wszystko, absolutnie wszystko mogło się kiedyś przydać. Wszystko było święte i cenne. Zdaje się, że to po nim Ewa odziedziczyła zadatki na zbieracza, ale kolekcjonowała jedynie książki i gazety. No, może jeszcze bilety do kina, jeśli zdarzyło się jej pójść na film z kimś ciekawym. Natomiast dziadek sobie nie żałował. Komplet sztucznych choinek

z ostatnich pięćdziesięciu lat, proszę bardzo, na stryszku leżały wszystkie, łącznie z bombkami. Dalej... Przerdzewiałe rury, deski, nie działające radia, a nawet rozebrany na części zabytkowy kominek, podobno z dworu Zamoyskiego. A już szklarnia...

Brakowało w niej jedynie czołgu.

To Ewa musiała przyznać.

– Ale że co w związku z tym? – spytała ostrożnie.

Dziadek był do tych rzeczy niezwykle przywiązany.

A gromadzone latami gruchoty w przedziwny sposób dawały mu poczucie bezpieczeństwa.

– Wywieziemy to wszystko w cholerę, a jemu powiemy, że ukradli! – Babcia nie mogła się już doczekać realizacji pomysłu. – I wtedy możemy dzwonić na dziewięć-dziewięć-siedem. A nawet na straż pożarną.

– Czyli nie zadzwoniłaś do tej pory na policję?!

– Ewa, jak ty nic nie rozumiesz... Przecież to okazja! – przekonywała. – Całe życie z nim walczę. Całe życie się użeram. Wszędzie bałagan, wszędzie graty. Czy nie zasłużyłam na odrobinę porządku? Boże! Jak to wspaniale, że on już ze mną nie mieszka...

Właśnie.

– Skoro dziadek ma swój dom, to co ci, babciu, przeszkadza? Czemu się tak uparłaś?

– Zobaczmy, czy będziesz taka mądra, jak sama założysz rodzinę i chłop ci wstawi do salonu piec hutniczy. Śliczny, jedyny w swoim rodzaju – zakpiła. – Do tego zabytkowy dyszel, dwumetrowy... A w sumie, czy ja muszę z tobą dyskutować?! – Babcia straciła cierpliwość i już biegła do furtki. – Chodź! Idziemy!

– Gdzie?!

– Zorganizować transport. Co ty myślisz? Że ja to będę sama dźwigać?! Akurat. Wiesz, ile waży taka prasa do owoców?! Przydałby się jakiś rozsądny, młody człowiek...



Adam podszedł do sprawy rozsądnie.

Stwierdził, że zanim złoży popołudniową wizytę na Wiejskiej, nie zaszkodzi najpierw mały rekonesans. Ten Strzegomski mocno go gryzł, a kiedy Adama Gryziewicza coś gryzło... Czy to nie ironia losu? Musi to wyjaśnić, tym bardziej że zamierzał przecież kupić kwiaty i wjechać tam z pompą i przytupem. Przecież nie wpakuje się do życia kobiety zamężnej. Nie ma mowy. Podobne układy już przerabiał i omal nie nabawił się przy tym nerwicy. Ostatni z małżonków nie pochwalał fascynacji jego żoną, pojawił się w gabinecie i ogłosił ten fakt wszem wobec, nazwał Adama „ciulem”, co spowodowało, że komunikacja obrała formę

znacznie bardziej intymną – mąż poczuł zaskakującą bliskość jego pięści. Od skierowania sprawy do sądu uchroniła go przytomna reakcja ojca, który zafundował małżonkowi drutowanie szczęki. Plus wybielanie zębów metodą nakładkową.

Stare dzieje.

Ale żony...

Za cudze żony Adam odtąd się nie brał i już.

Poza tym Ewa wcale nie musiała mieszkać pod wskazanym adresem, co należało po prostu sprawdzić, i to w miarę dyskretnie. Szanse na dyskrecję ocenił jednak jako duże. Pora dnia pracowała na jego korzyść, o dziewiątej w sobotni poranek nikt nie zawracał sobie głowy głupotami, ruch na ulicy był prawie żaden, więc Adam ze spokojem zaparkował na końcu Wiejskiej i jak gdyby nigdy nic wybrał się na spacer. Miał dziś wolny dzień. Luzik.

Tyle że Wiejska na spacerzy nadawała się średnio.

Była, delikatnie mówiąc, krótka. W linii prostej stały przy niej zaledwie cztery domy, za zakrętem wpadała do Dębowej i tyle. Pośrodku znajdował się co prawda skwerek, a raczej jego namiastka – trochę ziemi pokrytej chodnikiem, kilka ławek, krzewów oraz parę obsikanych drzew – ale trudno nazwać te okoliczności potencjałem wywiadowczym.

Adam był jak ten kotlet na patelni.

Widoczny i przyrumieniony, gdyż z chwili na chwilę zaczynało się robić coraz goręcej.

Niedobrze...

Rozejrzał się dookoła zakłopotany, przy czym zarejestrował, że do interesującego go ogrodu z tabliczką siedem przylega podwórko. Podwórko należało do kamienicy, ale brama była otwarta, a w głębi Adam odnotował kilka blaszanych garaży i... krzaki! I to takie gęste, rozrośnięte, obiecujące chwile upojnego odosobnienia. Wszedł więc pewnym krokiem przez furtkę, na wszelki wypadek rozejrzał się w poszukiwaniu czynnika ludzkiego, ale czynnik ludzki nie wystąpił, więc uspokojony, dał nura pod płot, w listowie.

Pachniało miętą.

Tak, czuł do Ewy miętę – podobała mu się cała. O ile ją dobrze pamiętał, ale spojrzenie tych czekoladowych oczu... Pełne temperamentu i jakby z drugim dnem. A może i z trzecim, czwartym...

Nieoczywista, zaskakująca, tajemnicza.

Po prostu wiedział, że u boku takiej dziewczyny może przeżyć prawdziwą przygodę.



Ewa wraz z babcią od kwadransa próbowały ruszyć z miejsca zabytkową prasę do owoców, ale przedsięwzięcie okazało się wręcz karkołomne.

Prasa liczyła sobie półtora metra wysokości, przypominała wielki żeliwny gar i bez męskiej ręki faktycznie miały marne szanse, żeby wyciągnąć potwora na zewnątrz. U góry maszyny widniał solidny tłok z rzeźbionymi rączkami i obie próbowały za niego ciągnąć, żeby choć żelastwo przewrócić, ale jak dotąd ich wysiłki nie odniosły skutku.

Prasa ani drgnęła.

– Co za uparte bydlę! – Babcia przyznała się do porażki.

Była już nieźle zmęczona.

Najpierw poranne emocje, później poszukiwania kogoś, kto by im pomógł, co zakończyło się fiaskiem – wiadomo, większość ludzi poszła do pracy, inni jeszcze spali, mogły liczyć jedynie na pijaczków, którzy raz dwa donieśliby o wszystkim dziadkowi – a teraz jeszcze włamanie do domku.

Z tym ostatnim było sporo zabawy, bo dziadek miał fioła na punkcie zabezpieczeń. Zamontował w drzwiach trzy zamki, każdy nowej generacji. Za namową żony dorobił wprawdzie zapasowy komplet kluczy, ale co z tego. Klucze rozdzielił i poukrywał na terenie podwórka, więc musiały się nieźle nagłówkować, żeby je znaleźć, ponieważ... babcia zapomniała, gdzie są schowane. Ale nie ma przecież żadnej sklerozy, jaka skleroza, każdemu może się zdarzyć!

Ostatecznie jeden z kluczy Ewa znalazła w gumowcach rzuconych przy kupce kompostu, za szklarnią. Drugi leżał w starej klatce po królikach, w komórce, gdzie również należało się włamać, gdyż dziadek zamknął ją przed wyjściem (Ewa weszła przez okno), trzeci znalazła sama babcia. W ostatniej chwili skojarzyła, że był przyklejony plasteliną do parapetu, od spodu.

Ewa prezentowała się więc po tych poszukiwaniach nie najlepiej.

Chyba że komuś bliska jest stylistyka *Zmierzchu*.

Seksowna pajęczna sieć (wszędzie, wszędzie), brud za paznokciami, brud na ubraniu, a we włosach pełno śmieci i rozmaitego badziewia. Tylko wampirzych zębów brak, co za niefart, naprawdę...

– Ty, babciu, też jesteś uparta – odważyła się powiedzieć, usiłując jednocześnie nie myśleć o chłodnej kąpielu. – Nie możemy wynieść czegoś innego? Tych choinek na przykład, które wypominasz dziadkowi od zerówki. Mojej, oczywiście.

– A co mi po choinkach, leżą na strychu! Tu trzeba zrobić porządek – fuknęła babcia, trącając nogą leżące pod oknem numery „Łowca Polskiego”.

Pokój jak zwykle wypełniał słodki aromat jabłek, Ewa musiała jeszcze raz zaprotestować. Choćby dla przyzwoitości.

– To przecież dom dziadka. Jakby tak ktoś w naszym...

– A jak jest w naszym? Wszystko poprzewracane, rozszabrowane...

– Ale to zrobili złodzieje.

Babcia czym prędzej podchwyciła.

– Widzisz! Czy złodzieje połaszczyliby się na stare choinki? Chyba żartujesz! A to jest zabytkowe. – Zerknęła z obrzydzeniem na prasę, gdzie przy brzegu widniał wygrawerowany napis: „1867. Kattowitz”.

– A skąd to w ogóle mamy? – zainteresowała się Ewa.

– Ten grat zawsze tu stał. To jeszcze po moim teściu, Feliksie, ojcu dziadka.

– Babcia odpowiedziała dość niechętnie. Nie lubiła wracać do tamtych czasów. – A stary Feliks dostał od swojego ojca.

– I nie żal, ci, babciu, pozbywać się takiego przedmiotu?! Przecież to ma związek z rodziną.

– Z rodziną! To ma taki związek z rodziną, że co lato na rozkaz teścia musiałam drylować tony wiśni. Sama! I wyciskać soki. A twój dziadek nawet nie kiwnął palcem. Ma to po tatusiu...

– A prababcia Matylda?

Twarz babci złagodniała, ale tylko na chwilę.

– W przeciwieństwie do Feliksa to była złota kobieta. Przyjęła mnie tu jak córkę. Kochana... Szkoda, że tak szybko umarła. Dobrze, że Andrzej ją trochę przypomina.

Ewa od razu wyłapała sprzeczność, bo w końcu po kim dziadek odziedziczył charakter, ale babcia i tak nie dałaby sobie niczego powiedzieć.

– Czyli na początku małżeństwa mieszkaliście razem z pradziadkiem Feliksem i jego żoną Matyldą? Nieźle wtedy ludzie nosili imiona...

– Przecież już o tym opowiadałam. Setki razy.

– Ale to ciekawe. – Ewa próbowała naciągnąć babcię na zwierzenia, co jednak rzadko kończyło się sukcesem.

Chyba musiał być z tym związany jakiś uraz, pradziadek Feliks cieszył się w rodzinie sławą despoty. Czyżby trafiła kosa na kamień?

– Ciekawi to są żywi ludzie. – Babcia już zmieniła temat. – Policzyłam w nocy Monikę.

– W sensie: zrobiłaś portret numerologiczny?

– A o czym ja mówię? O zeznaniu podatkowym? Dlatego poszłam późno spać. I jak policzyłam, to się tak zdenerwowałam, że musiałam wziąć relanium! I jeszcze piszesz mi w środku nocy SMS-a, zamiast dzwonić jak człowiek... Może to przez relanium? Dlatego nie słyszałam, jak się włamali?

– Pewnie tak. I co z tym portretem?

Babcia była naprawdę wzburzona.

– To jest numerologiczna piątka! – oznajmiła takim tonem, jakby zapowiadała legalizację prostytucji.

– Wiem. I co?

– Jak to: co, przecież Paweł to siódemka. Wiesz, co się dzieje, jak piątka spotka siódemkę? Nawet nie chcę myśleć.

Zarówno Ewa jak i dziadek, czy tego chcieli, czy nie, od kilku lat byli uczestnikami intensywnego kursu numerologicznego. Wiedzieli, że aby stworzyć czyjś portret, trzeba najpierw zsumować wszystkie cyfry daty urodzenia, a potem zredukować wynik przez dodanie elementów tak, żeby została pojedyncza cyfra. Każda z nich, od jedyńki po dziewiątkę, opisywała konkretny typ człowieka.

Niby proste, ale potem sprawy się komplikowały.

I to chyba w numerologii babcia uwielbiała najbardziej.

– Nie znoszę piątek! – zakrzyknęła, podchodząc do lodówki. – Nie znoszę!
– Lepiej tam nie zaglądać... – próbowała ją uprzedzić Ewa, ale było za późno.

Babcia szarpnęła drzwiami i spoglądała właśnie na elegancko ułożone w lodówce kiełbasy, rozmaite paróweczki i co tylko.

Bank mięsny, czyli zapasy dziadka na czarną godzinę.

– Co to jest?! – spytała lodowatym głosem, a w jej wyblakłych oczach Ewa ujrzała...

Śmierć?

– Yyy...

I co miała powiedzieć?

Że dziadek postanowił nie umrzeć z głodu, bo małżonka ze zwykłej złośliwości nie wołała go na obiad? Żadne takie, nie zamierzała się wtrącać. Kara więzienia przy awanturze urządzonej przez babcię wydawała się pobytym na Karaibach.

– Bomba bardzo lubi parówki – wyjaśniła więc cicho. Przecież nie kłamała, Bomba za parówkę była skłonna oddać własny ogon. – Babciu, ciągle przerywasz, a ja chcę wiedzieć, o co chodzi z piątką i siódmką.

– Jedyńki! – Babcia z ogniem w oczach gmerała w lodówce, gdzie natrafiła na kilkadziesiąt parówek o numerologicznie wdzięcznej nazwie. Ale nie wyglądała na przekonaną. – Andrzej lubi jedynki...

– Bomba też.

– Jaka Bomba?! To twój dziadziuś! Ten stary klamot robi mi tu kontrabandę! Jedyńki! To ja stoję przy garach, tacham zakupy... A on woli parówki?! To dlatego zostawia...

Zaczęło się.

– Babciu, dziadek nie lubi zimnego. Gdybyś wołała go wcześniej...

– To znaczy kiedy? Jak idę do sklepu czy jak obieram ziemniaki? A może ja też powinnam kupić sobie jakiś róg? I za każdym razem w niego dąć, żeby ten głuchy dziad mnie słyszał! – nacierała i nacierała, aż Ewie zrobiło się duszno. – Co to ja jestem? Straż pożarna, że wszystko ma być dopięte na ostatni guzik? Nie wystarczy, że sprzątam i gotuję?!

– A propos parówek... Dowiem się, co z tą piątką i siódmką czy teraz do końca świata na tapecie będą tylko jedynki? I może zostawmy już tę prasę i ten cały kram, nic z tego nie będzie.

Ewa miała dosyć.

Chciała iść do swojego pokoju i ocenić straty, poza tym lepiła się od brudu. A babcia najpierw wymyśla jakieś idiotyczne sabotaze, a potem wszystko sprowadza do... jednego.

Czyli do kolejnej afery.

– Ewa, ty mi tu nie urządzaj przedstawień! – Babcia również ją znała, dlatego zaraz zmieniła ton. – Dobrze, zostawiam jedynki, ale z dziadkiem sobie porozmawiam – zastrzegła i wróciła na posterunek. – Jak piątka spotka się z siódmką, nie ma żadnych szans. Na nic. Tragedia goni tragedię. Toksyny, rozwody i śmierć. O chorobach psychicznych i uzależnieniach nie wspomnę. – Uniosła palec, który powisiał chwilę w powietrzu, a później trafił w kąt pokoju. – Czyli co, zabieramy się do roboty?

– Nie ma potrzeby. Zaraz to wyniosę sama, w zębach. – Ewa zaczynała tracić humor. – I tak nas zastanie dziadek, bo pozwolę sobie zauważyć, że zaraz tu będą. Graty, ktoś tu chciał wynosić graty. Liczba mnoga...

– Mnie wystarczy to bydlę – upierała się babcia, która w żelastwie chyba upatrywała przyczynę wszelkiego zła. – Chodź, jeszcze raz spróbujemy kogoś poszukać.

– Chyba w krzakach...

– Ewa! – Babcia znajdowała się już jedną nogą na zewnątrz, ale szybko ją cofnęła i dopadła bocznego okna, gdzie ukryła się za firanką. – Zerknij! Czy ja dobrze widzę? – spytała konfidencjonalnym szeptem.

– Dziadek?

– Jaki tam dziadek, młody chłopak... Prostata jak dzwon. Siedzi za płotem i się gapi. Chyba za potrzebą tam wlaź czy co? Ale nie kuca, tylko stoi...

– Może sika?

– Trzyma ręce na naszym płocie.

– To może sika w stylu wolnym?...

Komunikaty zaczynały mieć coraz bardziej groteskowy wydźwięk, ale faceci w krzakach jakoś Ewy nie intrygowali.

Babcię owszem.

– Dar losu! No, nie, przecież tak tego nie zostawię – mruknęła, machnęła spódnicą i już biegła do ogrodzenia. – Halo! Proszę pana... Proszę nie uciekać. Nic panu nie zrobię, mam jedynie małą prośbę, malutką. Potrzebuję męskiej pomocy!

Ewa wyszła na próg tylko przez ciekawość.

I okazało się, że faktycznie.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

W ogrodzie, w Katowicach, na całej kuli ziemskiej łącznie z króliczą norą prażyło tak nieznośne słońce, że trudno się dziwić, że niektórzy siedzieli w krzakach. Tyle że babcia przedzierała się przez maliny, sok plamił jej spódnicę, a za płotem, wśród gałęzi śnieguliczki, kiwała się czyjaś głowa.

Bardzo kształna.

Z włosami opadającymi ciemną grzywą, z lokami, których amatorowi chowanego mogła pozazdrościć niejedna kobieta. A spod burzy loków patrzyły na Ewę czarne jak jeżyny oczy.

Adam!

Adam Gryziewicz, perfidny kłamca i świniak.



Komary w Polsce nie znały litości, nawet o dziewiątej rano.

I były podstępne jak lisy.

Cwaniaki namierzały ofiarę, włączały jakiś dźwiękochłonny czy dźwiękoszczelny dinks i atakowały znienacka, w ogóle nie zdradzając swojej

obecności bzycczeniem. I wszystko pięknie, nie rozważał przecież transfuzji krwi, ale był alergikiem. I bardzo źle znosił dziabnięcia wszelkich skrzydlatych stworów. Po kwadransie spędzonym w krzaczkach już chciał się wycofać i pędzić do apteki po coś antyhistaminowego, bo na sąsiedniej posesji, oprócz dolatujących go niewyraźnych dźwięków jakiejś rozmowy, nic się nie działo, kiedy...

Zaczęło się dziać.

Z niskiego budynku, który przylegał do płotu, wyskoczyła jakaś starsza kobieta i wystartowała do niego z przyspieszeniem godnym Pendolino, aż się zdziwił. Jego ojciec był młodszy, a ruszał się mniej żwawo. Czyli pora na odwrót, takie staruszki bywają nieobliczalne. Co gorsza, starsza pani musiała go wypatrzeć, bo kiedy nerwowo się poruszył, zaczęła krzyczeć:

– Halo! Proszę pana... Proszę nie uciekać. Nic panu nie zrobię, mam jedynie małą prośbę, malutką. Potrzebuję męskiej pomocy!

Malutką, na pewno, czyżby miał skosić pole żyta?

I zaraz potem ją zobaczył.

Pszeniczne, płynne złoto.

Ewa!

Wyrzała z domku, a jej głowę otaczała aureola zabawnie odstających złotych włosów, jakby właśnie wyszła ze stogu siana, jakby była królową sianokosów albo zbożową boginią: leniwą i płodną.

Coś pięknego!

Ucieszył się tak, że we krwi musiały mu zajść jakieś zmiany, gdyż komary dosłownie się na niego rzuciły. Już widział te pulsujące od bólu bąble.

Ale teraz ważna była tylko ONA.

– Ewa! – Już do niej machał, już kłaniał się staruszce, zapewne babci królowej, więc nestorkę rodu również należało otoczyć czcią. – Dzień dobry!

– Dzień dobry! – Starsza pani uśmiechnęła się do niego serdecznie, ale Ewa...

Niewidzący wzrok, zastanowienie, szukanie w pamięci...

– My się znamy?

Te zimne słowa były gorsze od jadu komarów!

– Ewa, to ja!

– Jaki „ja”? Przepraszam, ale...

– No, przecież chłopak ci mówi po imieniu! Co ty?! – Babcia wymierzyła Ewie kuksańca, a jej bystre oczy spoglądały tak dobrotliwie, że od razu zapalał do niej sympatią. – A kto mi przed chwilą wmawiał sklerozę?

– Babciu, ja go nie znam... – broniła się Ewa i Adam odniósł wrażenie, jakby grał główną rolę w *Mamma mia* czy w innym gnioście, gdzie nieporozumienia są na porządku dziennym.

Komedia pomyłek, tak to się chyba nazywało.

– Środa, na przystanku autobusowym... – próbował jej przypomnieć i w końcu trafił na argument koronny. – Szczęść Boże!

– O, i do tego jeszcze wierzący! Szczęść Boże! – Babcia aż pojaśniała, natomiast Ewa skrzywiła się i słońce zaszło za wielką, ciemną chmurę.

– Hm... Dziwne – rzuciła, a potem ściągnęła w zamyśleniu brwi. – Zapamiętałam cię jako blondyna.

Proszę?

Jakiego blondyna, o czym ona mówi?!

Był brunetem, przystojnym i dorodnym, a jak go nawet zapewniano, był mężczyzną jedynym w swoim rodzaju. Był...

Malarzem?!

To ostatnie uzmysłowił sobie w lekkim popłochu, ponieważ aktualnie w ogóle nie wyglądał na ubogiego artystę. Ubrał się jak do pracy, czyli swobodnie i nonszalancko, acz ze świadomością, że brunetom jest nieźle w kremowych koszulkach oraz jasnych spodniach, nie mówiąc o eleganckim skórkowym obuwiu.

Słowem, miał przekopane.

– Jestem Adam, artysta malarz – powiedział na domiar złego i wbił się w liście, które pomagały zachować kamuflaż. – Umawialiśmy się na portret, dałaś mi numer telefonu.

Tyle dobrze, że z tamtej strony była widoczna tylko jego głowa.

– Tak, coś mi się kojarzy... – Ewa wyduła usta.

– Panie Adasiu, a może pan do nas przyjdzie? – Za to babcia promieniała gościnnością. – Artysta malarz, no, no...

Wspaniale, do ogrodu pchało go nie tylko serce, ale nogi i żołądek – ten ostatni zwinął się w rulonik, jakby mówił, że droga przez żołądek do serca jest zbyt długa.

Tylko jak pokazać się w tym stroju Ewie?

Czas, potrzebował czasu!

– Dziękuję, bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia. Tylko najpierw odwiedzę sklep. Nie wypada tak z pustymi rękami...

– Ale proszę sobie nie robić kłopotu – przekonywała babcia.

– To żaden kłopot. Będę za kwadrans! – obiecał i wycofał się rakiem.

Kwadrans.

I jak w kwadrans przeistoczyć się z poważnego stomatologa w romantycznego artystę plastyka?!

Żaden kłopot...

Z przejścia prawie dostał drgawek, ale za wszelką cenę starał się nie tracić zimnej krwi – już i tak niewiele jej zostało, komary nieźle go pocięły, co stwierdził, dotykając swędzącego czoła. Super, jeden podlec uciał go w sam środek, gdzie wyrastała właśnie urocza buła.

W porządku, może go uratować tylko chłodna ocena sytuacji.

Jak by nie patrzeć, tak naprawdę miał tylko dwa wyjścia: wrócić do domu, ale jego szafa nie skrywała ubrań właściwych kloszardom, albo poszukać na miejscu jakiegoś szmateksu. I ten ostatni pomysł zasługiwał na realizację, był genialnie prosty.

Adam ruszył więc z kopyta w Dębową, modląc się, żeby Opatrzność postawiła na jego drodze choćby mały sklepik. Malusi. Byleby znajdowało się w nim trochę kolorowych i lekko odjechanych ciuchów, w tym, kto wie, może jakiś malowniczy, upakowany farbą kombinezon?

Ale Opatrzność znalazła inny sposób na spełnienie jego marzeń.

Czas uciekał, a w miarę oddalania się od Wiejskiej Adam zaczynał dostrzegać prawidłowość. Że jak pada deszcz, ludzie nie mają parasolek. Ale niech tylko je wezmą, nie spadnie ani kropla. Tak było i teraz. Zwykle w mieście roiło się od przybytków z szyldami: Grosik, Odzież używana czy po prostu Second Hand. Ale dzisiaj Adam zyskał przekonanie, że mieszkańcy Dębu ubierają się w światowych stolicach mody. Paryż, Mediolan...

I tak, wlokąc się noga za nogą, omal nie wpadł na pewnego tubylca.

Tubylec wyskoczył z obskurnej bramy i ledwie zdążył wyhamować, ale trudno się dziwić: szedł od niego aromat swojskiego wina, które, jak wiadomo, nieco upośledza zdolności psycho-motoryczne.

Znaczy się, koneser.

Koneser liczył sobie coś około sześćdziesiątki i dwa promile, jednak był nad wyraz grzeczny.

– O, pardąsik... – przeprosił, ale jak na dzielnicowego magika przystało, od razu zwąchał okazję. – A szanowny pan ma może dwa złote? – wymamrotał, omiatając Adama mętym, lecz dość przytomnym spojrzeniem.

Dwa złote!

Przecież on mu da...

– A co by pan powiedział na dwadzieścia?

– Szefuniu kochany, jak dwadzieścia?! Za co? – Zdaje się, że ktoś tu wychodził z założenia, że w życiu nie ma nic za darmo.

Prawda.

Adam zaprosił go więc znaczącym gestem na stronę, bo już zdążył odnotować, że koszulka tubylca nie wygląda w żadnym względzie na produkt artystyczny (wyjąwszy kilka tłustych, abstrakcyjnych plam w okolicy pępka), ale z pewnością by na niego pasowała, natomiast spodnie... Spodnie stwarzały możliwości. Lepiły się od brudu, były postrzępione i jak na niego szyte. To znaczy jeśli mowa o obwodzie bioder, z długością by polemizował, pijaczyna był jakies piętnaście centymetrów niższy.

Niestety jego rozmówca jak na osobę „pod wpływem” wykazywał

ograniczone zainteresowanie współpracą, a nawet dość sprawnie negocjował. Pomysł odkupienia jego wytwornej kreacji przyjął na pierwszym etapie rozmów dość powściągliwie, rozpogodził się, dopiero kiedy rzucił słowem „wymiana”.

– Wymiana?! – Adam stwierdził, że musiał się przestyszeć.

– No, dajesz, szefuniu, swoje ciuchy, ja swoje. Normalnie.

– To może trzydzieści złotych?

– Szefie, co pan, w majtkach mam biegać? Po ulicy?!... Ale trzydzieści może być.

– Może być? – ucieszył się Adam.

– Może być. I wymiana.

Trudno, nie było rady, musiał przyjąć warunki.

Poziom absurdu sięgnął tego poranka dna, ale chodziło o Ewę, nie mógł się teraz wycofać. Dlatego zszedł po cichu z pijaczkiem do piwnicy i przystąpił do finału. Na dole śmierdziało okropnie stęchlizną (i nie tylko), jednak kandydat na malarza zacisnął zęby, zdjął mięciutką koszulę i wyciągnął ją w stronę współnika.

Było tu nieco ciemno, dlatego tamten nie zauważył gestu. Adam odnalazł więc jego rękę i wcisnął w nią ubranie.

– Hugo Boss – powiedział znaczącym tonem.

– Mietek Hajduk.

I to by było na tyle.

Sztuka wymaga poświęceń...

Kobieta też.



Ten Gryziewicz miał jednak tupet.

I dalej brnął w kłamstwa.

Początkowo Ewa zamierzała poddać próbie jego rozdmuchane ego, a potem nie zostawić na delikwencie suchej nitki, ale kiedy usłyszała słowo „portret”, przyszła jej do głowy myśl o wiele bardziej perfidna. A otóż ona bardzo chętnie popatrzy na jego artystyczne wysiłki i jeśli pan malarz będzie nadal zainteresowany, nawiąże z nim niezobowiązującą znajomość, z akcentem na niezobowiązującą. Jedno natomiast było pewne: Adam Gryziewicz długo tej znajomości nie zapomni.

Już ona się o to postara.

Tymczasem lato tryskało sokami, wieczory niepokojąco drażniły trzewia i uświadamiały człowiekowi, że niektórzy łączyli swoje ciała i umysły, przeżywali wzloty, a Ewa czuła to drażniące ssanie, tę przedziwną tęsknotę, ale siedziała w domu z babcią i dziadkiem i oglądała *Sekrety chirurgii*. Dlatego w jej obecnym stanie ducha wszystko wydawało się lepsze. A jeśli przy okazji utrze nos notorycznemu podrywaczowi...

Świat tylko zyska.

Tak że warto.

Zaczął oczywiście od wazeliny. Wrócił zziębnięty, spocony, ale z największymi bombonierkami, jakie mieli w pobliskim sklepiku – na upartego mógłby z nich zrobić parolnię! Babcia była zachwycona, ale Ewa... Wzięła na celownik jego artystyczny *image*.

Coś tu nie grało.

Adam wyglądał jak stylowy i zadbane Antonio Banderas wciśnięty w ubranka Louisa de Funèsa. Bazarowe kłapeczki (o parę numerów za małe!), finezyjnie ubrudzona koszulka z napisem GROSZEK, odkrywająca wypięgnięty brzuch, a do tego podarte i przykrótkie... spodnie. Chyba spodnie, nie: spodenki, bo nogawki sięgały mu do połowy łydek.

– Boże, skąd cię wypuścili? – postanowiła być bezlitosna. – Chyba że malarze tak po prostu mają? – dodała ze słodkim uśmiechem, zerkając znacząco w dół.

Adam przekazał babci pudełka i z zażenowaniem przyznał jej rację.

– Tak, chyba powinienem kupić coś innego. Te się trochę zużyły.

– Tak, wytarły się i skróciły... Może po prostu za bardzo orzesz piętami o chodnik?

Z opresji uratowała go babcia, która nie przestawała zerkać na telefon, dlatego w ogóle nie zauważyła, że ktoś bezczelnie robi je w balona.

– Panie Adasiu. – Zaprosiła siłą roboczą przed domek, a kiedy siła robocza ruszyła za nią, pociągnęła ją bezpardonowo za rękę, w wyniku czego doszło do niewielkich obrażeń (Adaś przygrzmocił czołem w futrynę, *yeah!*). – Może przeniesie pan pewien drobiazg... Tylko że trzeba to zrobić błyskawicznie.

Adam podszedł do prasy, spróbował ją poruszyć, po czym z niepokojem spytał:

– A... jak bardzo błyskawicznie?

– Z Katowic do Olkusza to ile będzie samochodem? – Babcia sprawiała wrażenie mocno skoncentrowanej. – Godzina?

Adam naciągnął koszulkę.

– Przez Dąbrowę Górniczą około czterdziestu minut, ale zależy, czy będą korki.

– Ale czterdzieści minut w jedną stronę?
– W jedną.
– No, to, panie Adasiu, niech się pan spręży, błagam! Musimy tego bydlaka wynieść.

Farbowany malarzyna zerknął na żeliwnego potwora i nie miał najszcześniejszej miny, więc Ewa już zacierała z uciechy ręce, ale nagle go olśniło.

– Macie panie jakiś koc? Z przenoszeniem może być kiepsko, ale kto powiedział, że... prasę? To jest prasa do owoców?... Że prasę trzeba przenieść? Mogę ją przecież stąd wyciągnąć.

Babcia, nie wiedzieć czemu, spojrzała na Ewę z taką satysfakcją, jakby mówiła, że świniopas to tak naprawdę księżę, w dodatku znajdujący się na etnografii i rzemiośle artystycznym.

– No, panie Adasiu, zadziwił mnie pan... To jest naprawdę prasa. I to zabytkowa. Tak, może pan wyciągać, proszę robić, co pan chce.

W tym miejscu ohydny oszust łypnął na Ewę tak obleśnie figlarnym wzrokiem, że musiała ostudzić jego zapędy.

– Lepiej pana Adama nie zachęcać do wyciągania. Bo nie wiadomo, czy ma się czym pochwa...

– Co? – Babcia zupełnie nie skojarzyła.

– ...lić. Nieważne. Ale coś mi się wydaje, że to się nie uda. Prasa waży tonę. Trzeba mieć mnóstwo siły...

– To może ja poproszę o ten koc – przerwał jej, po czym z fantazją zrzucił klapki i zaczął się prężyć. – Tylko uprzedzam, że może się potem do niczego nie nadawać.

– Nic nie szkodzi, już przynoszę.

Babcia pobiegła do domu, a między nimi zapadła cisza.

– Jak się masz? – Adam przerwał ją pierwszy i pytanie Ewę zaskoczyło.

Było zwyczajne, brzmiała w nim podejrzana serdeczność.

Poza tym Adam po zrzuceniu upiornych gumowych kłapeczek od razu zaczął wyglądać inaczej. Nawet w tych krótkich gaciach i koszulce, która przecież przyjemnie opinała jego mięśnie. Stopy też miał ładne i kształtne.

– Niezgorzej, dziękuję – odpowiedziała sztywnym głosem.

– Naprawdę mnie nie pamiętałaś?

Na ustach plątał mu się zadowolony uśmiezek i Ewę znowu ruszyło.

– A uważasz, że każdy musi cię pamiętać?

– Każdy nie. Ale może każda...

– Nie jestem każda!

– Chciałem dokończyć... – zaprotestował, jednak dosyć słabo i Ewa musiała przyznać, że ponoszą ją emocje.

– Ale upał – zmieniła temat. – Twoje czekoladki zaraz się roztopią.

– A ty?
– Co: ja?
– Też się zaraz roztopisz? – spytał przymilnie, a nawet okazało się, że znajdują się dość blisko siebie.

– Bez obaw. Umiem kontrolować temperaturę swojego ciała – rzuciła, spoglądając mu prosto w oczy.

Tego właśnie tacy jak on potrzebowali.

Króliczka, który zaśmieje mu się w twarz, a potem zniknie w kapuście.

Ale nie mogła przedobrzyć, króliczek powinien być pusiasty i miękki w dotyku, inaczej nie ma zabawy. Za Bugsem będzie się uganiał co najwyżej gej albo maminsynek. Natomiast Adam wyglądał na faceta, który ceni sobie kobiecość. Dlatego Ewa uśmiechnęła się dla odmiany zachęcająco, choć wciąż tajemniczo, czym odrobinę rozładowała napięcie, ale nie do końca – trochę musiało się go przecież telepać.

Jednak w stopniowaniu emocji najlepsza była babcia.

Stękając, przyciągnęła pod drzwi wózek, którym dziadek przewoził kompost, po czym wrzuciła do niego robocze rękawice i udając, że nie widzi skrępowania młodych, zakrzyknęła:

– Panie Adasiu, da pan tę kolubrynę tutaj, dobrze? Trochę zajeżdża gnojownikiem, ale co tam. A potem z Ewą zawieziecie to na złom czy coś? W każdym razie musicie się spieszyć, bo zadzwoniłam już na policję. Pieniądze są w całości dla was. Idźcie, dzieci, do kina albo do restauracji. Zabawcie się...



Komisarz Piotrek Marchewka wyszczerzył się w uśmiechu do lustra.

Spoglądał na niego zmęczony, chudy i, niestety, dość nijaki facet o wyglądzie molestowanego przez Śnieżkę krasnoludka, ale za to ZĘBY krasnoludek miał takie, że mógłby z powodzeniem zastępować w *Czerwonym Kapturku* wilka.

Były bielutkie i kształtne.

Aż w bijącym od nich świetle policyjny pokój wydał się nagle ciasną, obskurną kanciapą.

Trzeba przyznać, że Marchewka wyłożył na ten stomatologiczny cud

potworną ilość pieniędzy – miesiące zaciągania pasa i mnóstwo nadgodzin – jednak od zawsze marzył, że przyjdzie taki dzień, gdy olśni swoją kobietę powalającym uśmiechem, a kobieta roztopi się w jego ramionach. Skoro nie mógł dodać sobie wzrostu (był, delikatnie mówiąc, niski), dobre i to. Tak, znał teorię, Napoleon, rekompensata centymetrów i tak dalej, ale odległość od podłoża to istotna sprawa. Zwłaszcza dla mężczyzny.

Natomiast co do kobiet...

Jego Zuza na razie się nie roztopiała.

Z prostej przyczyny: zęby wybielił tydzień temu, a w ciągu ostatnich dni widzieli się tylko raz. Jego ukochana przygotowywała się do egzaminu na prawo jazdy (trzynaste podejście!) i była tym faktem tak przejęta, że spędzili trzy godziny w aucie; uczył ją parkować, więc bardziej liczyło się działanie sprzęgła niż stan jego zębów.

I bardzo dobrze.

Bo...

Marchewka nie potrafił się przyzwyczaić.

Zęby były piękne, bez dwóch zdań, tylko że... Chyba za piękne. I w porównaniu z ogólną miernotą jego osoby średnio pasowały do wizerunku małego, lecz twardego gliny. Wręcz można było pomyśleć, że sprawił sobie sztuczną szczękę. I czy to nie kretynstwo? Tyle wyrzeczeń, tyle godzin spędzonych na fotelu, a teraz Zuza zobaczy finalny efekt i upadnie, bynajmniej nie z wrażenia.

Będzie się tarzać ze śmiechu.

I gdyby chociaż miał pod ręką swojego najlepszego kumpla, Igłę, coś by razem wymyślili, ale Igła wziął urlop i teraz pewnie żeglował po Sniardwach, uśmiechając się jak prawie każdy Polak – poźółkłymi jedynkami.

– Piotrek, weź za mnie włamanie, co? – Do pokoju zajrzał zaprzyjaźniony nadkomisarz, więc Marchewka zwarł się i skoczył do szafy z segregatorami, jak najdalej od lustra. Jeszcze by tego brakowało, żeby mieli z niego polewkę w komendzie. – Jestem udupiony, Przepiórek mnie wezwała.

Tak, nikt ze śmiertelników nie śmiał zignorować pani prokurator. Komisarz rozumiał to aż nadto dobrze.

– Mogę wziąć, nie ma sprawy.

– Dzięki. Wiejska siedem, Katowice. Zwinęli jakiś cenny obraz, ale babka bredziła tak, że trudno było skumać, co się tam naprawdę stało.

Wiejska siedem?!

Proszę, proszę, czy nie o ten adres chodziło wczoraj Gryziewiczowi?

– Jadę! – Komisarz chwycił kluczyki, po drodze zawiadomił ekipę i po niespełna piętnastu minutach był na miejscu.

Dom stojący tuż przy głównej ulicy Dębu był wiekowy, ale bardzo zadbane, podobnie jak ogród – rosły w nim dorodne śliwy, grusze i jabłonie, a przy

ogrodzeniu schylały zmęczone głowy różne odmiany kwiatów, które, tak samo jak ludzie, modliły się o deszcz. Po lewej stał niewielki budynek gospodarczy, jednak firanki w oknach zdradzały, że przerobiono go na mieszkanie; dalej znajdowała się szklarnia, jakieś budy, komórki, a całość była skąpana w oszałamiającej zieleni. Przyciętej i wypielęgnowanej. Zresztą wszędzie czuło się wprawna rękę ogrodnika i aż chciało się przysiąc w cieniu i zapomnieć, że kilka przecznic stąd swoimi betonowymi płucami oddycha olbrzymie i hałaśliwe miasto.

Ale na dobrą sprawę hałasu nie brakowało i tutaj.

Przy stole osłoniętym drewnianą altaną, w głębi ogrodu, siedział posiwiasty wąsacz, a nad nim żołądkowała się energiczna staruszka. Na staruszce wszystko się trzęsło, a w staruszku wszystko opadało. Zależność była widoczna gołym okiem. Widział ją również wyjątkowo paskudny jamnik o pocziwym pysku, który leżał pod drzewem i przy każdym głośniejszym słowie unosił uszy.

– Jesteś zwyczajny krętacz! I drań! Mięcha tyle, że masarnię mógłbyś otworzyć. Nie wstyd ci? A ja stoję w kolejkach, dźwigam... Z moim kręgosłupem!

– Co ja ci poradzę? Ze mną nie chcesz chodzić, bo się wtrącam, a jak mówię, że pójde sam, to nie! I jak tu takiej dogodzić...

– Bo nie umiesz robić zakupów, kupujesz tonami, a potem to wszystko leży i się psuje. Śmieci do domu przynosisz, a nie jedzenie. Za grosz pojęcia... Konserwy! Kto to będzie jadł? To nie jest wojsko, to jest dom, tu mieszkają twoi najbliżsi, rozumiesz?! A Ewa mówiła o konserwach. I o rybach. Wiesz, jaki to jest syf?

– Jaki syf, kobieto... Ryby to samo zdrowie.

– Samo zdrowie to było kiedyś, pooglądaj sobie dokumenty, ignorancie... A w ogóle co ty mi tu mydlisz oczy?! Upokorzyłeś własną żonę parówkami! Parówkami! Nigdy ci tego nie zapomnę... Słyszysz?! Nigdy!

Parówki w połączeniu z upokorzeniem bardzo Marchewkę zaintrygowały i chętnie słuchały dalej, gdyż jego Zuza, co było zastanawiające, operowała podobnymi środkami wyrazu, jednak po chwili wyczuł go pies. Zerwał się z miejsca i, ujadając, podbiegł do ogrodzenia, po czym raptownie zamilkł; Marchewka dałby sobie głowę uciąć, że szelmowsko się do niego uśmiechnął.

– Dzień dobry! – zawołał więc na powitanie i, pamiętając o imponującej bieli, zacisnął usta.

A jamnik, a chyba raczej jamniczka, jeszcze szerzej rozwarła paszczę.

Czyżby śmiała się z niego?!

– Dzień dobry! – doleciała go odpowiedź i staruszka wystartowała do furtki.

Wąsacz również, ale tuż przy rzędzie słoneczników ostentacyjnie skręcił w prawo.

– Państwo zgłosili włamanie? – zapytał dla porządku Marchewka.

Staruszka usiłowała nie połamać sobie nóg, tak do niego pędziła,

a przebijając w powietrzu zielonymi klapkami, łapała się co chwilę dramatycznym gestem za serce. Ale udało się, dobiegła jako pierwsza.

– Panie policjancie... Co się tu WY-PRA-WIA! Cała się trzęsę!

Tak, tylko się babci nie dać. Na początku określić zasady, nie pozwolić się zagadywać, wciągać w dygresje...

Czekał go niezły ubaw.

– Komisarz Piotr Marchewka. To pani do nas dzwoniła?

Starszy pan także dotarł do bramy i przywitał go uściskiem dłoni.

Jak na swój wiek nadzwyczaj mocnym i twardym.

– Andrzej Strzegomski, a to moja żona, Waleria. Witamy, proszę dalej.

– Zaraz tu będą technicy, musimy zabezpieczyć ślady. Mogę obejrzeć miejsce zdarzenia? Ktoś tam wchodził, czegoś dotykał?

– Panie policjancie... – Gospodyni nie pozwoliła się zepchnąć na dalszy plan.

– Jestem komisarzem.

– Panie komisarzu, schodzę rano do kuchni, a tam Sodoma i Gomora! Wszystko w proszku. Powywlekane...

– To tu? – Marchewka zerknął na drzwi większego domu, pod który właśnie podeszli.

Drzwi były otwarte, więc pozwolił sobie zapuścić żurawia.

– Na dole nic nie zginęło, tylko bałagan zrobili. Z góry zabrali obraz, maszynę do szycia...

– Momencik – uciszył kobietę w pół słowa. Co za energia, za chwilę mu powie, jak powinien prowadzić śledztwo. Trzeba ją powstrzymać, i to teraz, póki nie zdążyła się rozkręcić. – Ja tu sobie zerknę, a później porozmawiamy. Spotkamy się w altanie, może być?

Spojrzał znacząco na Strzegomskiego, który doskonale wiedział, jaki posiada diament.

– Chodź, nie będziemy panu przeszkadzać.

– A czy ja przeszkadzam?

– Pan potrzebuje spokoju, zaraz nas wysłucha. Chodź, poczekamy. Zdązysz jeszcze wylać na mnie kubeł pomyj – kusił i Marchewka znowu nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że skaczący przy nogach pies puścił do niego oko.

– Co zdążę?! – Pani Strzegomska aż się zachłysnęła. – Jak ty się do mnie zwracasz?! I to przy ludziach!

Tak, a on zamierzał się żenić...

Jednak Marchewka wyznawał zasadę, że w pracy lepiej nie myśleć o życiu prywatnym, po co się rozpraszać, dlatego odgonił od siebie obrazek Zuzy zagląającej mu w zęby przed ołtarzem i obejrzał dokładnie drzwi. Potem zbadał kuchnię, wszedł na górę i po kilku minutach miał mniej więcej jasność. Tyle że

później pan Strzegomski zgłosił, że do jego domku również się włamano, i tu wynikła pierwsza zagwozdzka.

– Mogę pana prosić? – przywołał Strzegomskiego do siebie, na próg budynku, a jego żona zaczęła nasłuchiwać.

– Oczywiście. Coś się stało?

Strzegomski był gotów pomóc.

– Nie widzę śladów włamania. – Marchewka spojrzał z zastanowieniem na zamek. – Coś zginęło?

– Zabytkowa prasa do owoców. Pamiątka rodzinna.

– A poza tym?

Strzegomski zmarszczył krzaczaste brwi.

– Nic. Wszystko przejrzałem.

– A ta prasa? To był cenny przedmiot?

– Trudno powiedzieć. Była żeliwna, liczyła sobie prawie sto pięćdziesiąt lat.

– Umiałyby pan oszacować jej wartość?

– Nie wiem, nie chcę pana wprowadzać w błąd. Ale była bardzo ciężka, sam nie umiałbym jej ruszyć.

Aha, czyli mamy co najmniej dwóch sprawców...

– A jak to się stało? Pan tu był w trakcie włamania? – dopytywał Marchewka.

Strzegomski chrząknął.

– Nie, przed chwilą wróciłem. Byłem u przyjaciela, w Olkuszu. Pojechałem do niego wczoraj wieczorem, ale... Ekhm... Nadzwyczaj dobrze nam się rozmawiało.

– Rozumiem. I został pan u przyjaciela na noc?

– Tak jest. I dopiero niedawno wnuczka zadzwoniła, że było włamanie.

– Wnuczka?

– Mieszkamy z wnuczką, ale gdzieś poszła... Walerka, gdzie Ewa?

Pani Strzegomska nagle przycichła jak trusia, więc Marchewka zbystrzał i postanowił nie przerywać.

– Ewa poszła do kina. Z panem Adamem – padła lodowata odpowiedź.

– Z kim?! – Strzegomski nadzwyczaj się zainteresował.

– Z panem Adamem... Co się tak dziwisz?

– Z tym malarzem?!

– Z malarzem... A ty skąd znasz pana Adasia?!

Strzegomski uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Moja droga, skąd znam, to znam... Wczoraj do mnie dzwonił – zakończył potulnie, spiorunowany wzrokiem małżonki.

– Po co?!

– A po to, że Ewunia chciała, żeby zobaczył obraz.

Z rozmowy małżonków zaczynały wynikać różne ciekawe rzeczy.

– Nic nie rozumiem! – Pani Strzegomska znowu się uniosła. – Przecież Ewa mówiła, że go nie zna. Zaraz... – Na jej rumianym obliczu Marchewka zobaczył nagle tyle sprytu, tyle uciechy, że aż się przestraszył. – Tak myślałam. Przecież ona udaje!

– Co daje? – zdziwił się mąż.

– Jakie daje?!

– Mówisz, że Ewa daje...

– Święci Pańscy! Oszaleć można. Jak pień, głuchy jak pień... Panie komisarzu, czy pan słyszy? A on nie daje sobie powiedzieć...

– O, znowu daje! – ucieszył się Strzegomski.

– Dom wariatów!

Tak, Marchewka chętnie by przytaknął, jednak wszystko wskazywało na to, że będzie miał tu huk roboty. Należało się skupić.

– Za chwilę do tego pana Adama wrócimy. Proszę mi powiedzieć... – Spojrzał wymownie na swojego rozmówcę. – W jaki sposób dostał się pan dzisiaj do środka?

– Otworzyłem drzwi. Kluczami.

Czyli dobrze przypuszczała, coś mu tu zaczynało nie pasować.

– Jest pan pewien?

– Pan komisarz mówi, że masz sklerozę, i ja to mogę potwierdzić. – Pani Waleria zachichotała i Marchewka z przerażeniem pomyślał o instytucji teściowej.

Jak to było?

Praca i życie prywatne...

– Czy może pani nie przeszkadzać? – zapytał rzeczowo i przynajmniej na chwilę miał panią domu z głowy.

Odwróciła się do niego plecami, pełna nieskrywanego żalu.

– Na pewno drzwi były zamknięte? – ponowił pytanie, jednak Strzegomski potwierdził:

– Na pewno!

Marchewka jeszcze raz sprawdził okna, ale żadne nie było choćby uchylone.

– To, mówi pan, że ile ta prasa ważyła?

– Naprawdę nie chcę strzelać, ale była ciężka, nigdy jej nie przestawiałem. Stała tu, odkąd pamiętam. Tu kiedyś były chlewiki, a potem ojciec zrobił pralnię. I czasem nawet w tym garze gotowaliśmy bieliznę.

– Dziwna sprawa. – Marchewka schował ręce do kieszeni i stanął tak, żeby widzieć twarz pani domu. – Mówi pan, że prasa była bardzo ciężka, że nie potrafił jej pan przestawić, a tymczasem wyparowała. I to przy zamkniętych oknach i drzwiach... Pani Strzegomska, a co pani o tym sądzi?

Staruszka coś ukrywała, na sto procent ukrywała!

– Czemu mnie pan pyta? Przecież to pan jest policjantem. – Od razu przeszła do ataku i tym samym Marchewka zyskał pewność.

– Prawda. Tak tylko chciałem zasięgnąć opinii. – Westchnął. – W takim razie proponuję wrócić do poprzedniego tematu... Kim jest pan Adam?

Ale kwestia wyjaśniła się w dość nieoczekiwany sposób.

Przy bramie najpierw dało się słyszeć ujadanie Bomby (tak nazwała jamnika pani Strzegomska), a chwilę później na podwórku stanął... jego dentysta we własnej osobie.

Ale ta osoba była jakaś dziwna.

Ciągnęła za sobą niemożliwie upaprany ogrodowy wózek, w dodatku pan Gryziewicz, zawsze elegancki i zadbany, przypominał teraz bezdomnego, który spędził ostatnie dziesięć lat w slumsach i stracił prawo do zasiłku. Na myśl przyszedł również Marchewce wiejski poganiacz bydła: za krótka koszulka, podarte spodnie i klapki – o kilka rozmiarów za małe, jakby je zwędził jakimś dzieciakowi z basenu. Na podwórku dał się też wyczuć dość specyficzny zapach, wysoce organiczny i związany z... gnojówką.

Piotrek Marchewka był wstrząśnięty.

Tym bardziej że Gryziewicz na jego widok zbaraniał, potem zaczął stroić miny, jakby był opóźniony w rozwoju, a na koniec wyciągnął rękę i wydukał:

– Adam Kowalski, artysta malarz.



Adam Gryziewicz nie mógł uwierzyć.

Przykrótkie gacie i goły brzuch – w porządku, dzięki tej przebierance czuł się wolny jak perszeron w Puszczy Białowieskiej: nic nie musiał, za to mógł skubać trawkę, mógł czochrać grzywą o drzewa i zarywać do wybranej klaczy, co było ożywcze i fascynujące, ale policja?

Miała go ścigać POLICJA?!

Wyszli właśnie na Wiejską, gdzie usiłował okiełznać obciążony złomem wózek, ale ze względu na klapki i ich nikłą przyczepność do podłoża zadanie wcale nie było łatwe. Dlatego wyhamował przy swoim bmw, objął samochód czułym

wzrokiem i postanowił zagaić:

– Twoja babcia mówiła coś o policji, że zadzwoniła. O co jej chodziło? Nie żebym miał na pieńku ze stróżami prawa, ale wiesz... Raczej bym wolał nie mieć. Na pieńku – dokończył już w rozpaczy, bo Ewa źle zrozumiała jego manewr i...

Pociągnęła wózek z całych sił, w wyniku czego dyszel wymknął mu się z rąk, wirował chwilę w powietrzu majestatycznie niczym orzeł, po czym wylądował na ziemi, waląc przy okazji rączką w samochód.

Rysa!

Na psychice Adama Gryziewicza powstała rysa.

Wielka i ordynarna, w praktyce niemożliwa do usunięcia żadnymi środkami doraźnymi.

Przez chwilę jakby mu ktoś odciął dopływ powietrza, tak nim szarpnęło. Plamy, przed oczami widział plamy, rysy, wgniecenia...

– O cholerka! – Ewa zerknęła na niego najpierw w przerażeniu, a potem powiedziała coś, co go zaskoczyło.

A nawet nie mieściło mu się w głowie.

– Bmw... No, jasne! Bierny Mierny Wierny.

– Słucham?!

– Bierny Mierny Wierny. Siedzi taki w swojej beemce i w ogóle nie widzi świata. A ludzie jedzą na obiad kaszę gryczaną.

Jaką kaszę, do cholery, i jaki mierny?!

Jego wóz miał takie parametry, że czacha dymiła. Wysokoprężny silnik z technologią BMW EfficientDynamics, inteligentny napęd, regulator prędkości z funkcją hamowania... A do tego co za linia, co za lakier! Autko przypominało lśniące w słońcu chrabąszcza: było turkusowe, jednak w zależności od kąta padania światła mieniło się raz zielenią, raz granatem. Zgrabniutki, obłe, po prostu śliczne.

Rysa, co za gigantyczna rysa!

– Uważasz inaczej? – Ewa nie spuszczała z niego wzroku i w jej brązowych oczach dostrzegł coś niebezpiecznego.

– To znaczy?

– Co sądzisz o bogatych tłusciochach, którzy nie wiedzą, po ile są pieniądze? – nie przestawała naciskać.

Boże, ta kobieta szybowała myślami szybciej niż MiG-25 czy Nelson Mandela!

– A skąd wiesz, że ten... samochód... należy do tłusciocha? – Otarł z czoła pot.

Tak, miał ubezpieczenie, zgłosił szkodę, i to jeszcze dzisiaj, ale nie w tym rzecz.

Jego autko... cierpiało?

– Może należeć do chudzielca, wąsatego czy do łysego, żaden problem. Ale taki w ogóle nie wie, na czym polega prawdziwe życie. – Ewa parsknęła z pogardą.

– Nie wie?...

– A skąd ma wiedzieć?! Przecież nie robi zakupów na targu, ale w Piotrze i Pawle. Przejechałby się taki kilka razy tramwajem albo wpadł do nas, na Dąb, i postać w sobotę u rzeźnika...

– Czyli taki... tłusciuch nie ma prawa do ludzkich uczuć? – ośmielił się zapytać, bo czegoś tu nie rozumiał.

Pracował ciężko wiele lat, wciąż się uczył, od rana do wieczora pomagał ludziom, byli mu za to wdzięczni, więc gdzie tu przestępstwo?!

– Bogacze w ogóle nie mają kontaktu z rzeczywistością, żyją w jakichś bańkach. Odizolowani! A już politycy powinni obligatoryjnie przed wejściem do rządu walczyć przez rok za tysiąc złotych miesięcznie! Tutaj! – Ewa skinęła głową na skwerek i przyprószoną kurzem ulicę, po czym rozemocjonowana podniosła dyszel za rączkę i...

Adam Gryziewicz otrzymał cios poniżej pasa.

Tak mniej więcej się poczuł, spoglądając na kolejny ślad, który powstał dla odmiany nad zderzakiem.

Konał.

– Ja cię! – stęknęła, jednak wcale nie zabrzmiało w tym poczucie winy, już prędzej niefrasobliwość. – Dobra, spieprzamy! – oznajmiła, ale Adam wciąż był w szoku. – Pozujesz do pomnika czy co? Rusz się!

I kiedy myślał, że już nie może być gorzej, od strony skwerku, wymachując butelką piwa nadciągnął... Mietek Hajduk. Dostrzegł ich już z Dębowej i nie patrząc na samochody, przeciął ulicę, trawnik i z okrzykiem pełnym wzruszenia zawołał:

– Szefuniu!

Koszula nadawała się już tylko do reklamy Vizira, Zygmunt Chajzer by ich za nią wręcz ozłocił, ulubione spodnie Adama wisiały na pijaczku jak na strachu na wróble, a buty... Buty musiał pan Mieciu przehandlować. Szedł boso, słoneczko wyłączało bruzdy na jego twarzy i nie było wątpliwości, że oto spotkali najszcześliwszego człowieka w całym Dębie.



Tak, niezły był z tego Gryziewicza artysta.

Ewa wypatrzyła turkusowe bmw, jak tylko otworzyła bramę (trudno go było nie zauważyć, samochód był piękny) i od razu wiedziała, kto jest właścicielem. W dodatku wzrok ubogiego malarzyny... Jakby spoglądał na nowo narodzone dziecko, które kiedyś przejmie po nim te wszystkie plomby i wiertła, albo jakby właśnie posadził zagajnik dębów czy wybudował dwunastopiętrowy dom.

Wcale nie chciała podnieść ręki na jego samochód, to był czysty przypadek, natomiast ból tego ancymonka to zupełnie insza inszość – sprawił jej niekłamana satysfakcję. Nie udawała, rzeczywiście nie znosiła ciasnoty umysłowej, a bogactwo

czasem się z nią wiązało; oczywiście to nie była zasada, ale trudno, żeby pieniądze człowieka nie zmieniały. Musiały zmieniać. Ją pieniądze pewnie też zmieniają, bo przecież ich chciała, ale i w tej kwestii Ewa podjęła decyzję – jako osoba majątna będzie nad sobą pracować. Będzie kontrolować swój umysł i będzie dla siebie bezlitosna. Nie chce mieć forszy w portfelu, ani pustki w głowie.

Pytanie natomiast, co w swojej kędzierzawej łepetynie miał Adam Gryziewicz.

Rysę na drzwiach przyjął ze wstrząsem, omal nie wyskoczył z kłapeczek i coś Ewę podkusiło, żeby sprawdzić, jaki będzie dalszy przebieg choroby. Należało mu się za to odstawianie przedstawień. Za to robienie z niej kretyнки, za ten brak szacunku do kobiecej inteligencji.

A kreseczka przy zderzaku wyszła jej śliczna!

W każdym razie Ewa stwierdziła, że mogłaby to robić zawodowo.

Doprowadzanie facetów na skraj wytrzymałości nerwowej.

Po prostu BAJKA.

A potem z bajki zrobiła się prawdziwa komedia – na skwerku dopadł ich Mieciu Hajduk i doprawdy trzeba by być kompletną ciemnotą, żeby się w tym wszystkim nie połapać. Mieciu biegał po Dębowej w szatach Rockefellera (koszula pierwsza klasa, tak samo wiszące na chudych jak patyczki nogach spodnie), w dodatku był bosy i naprany jak perszing. Zważywszy, że na co dzień raczył się jedynie bełtami, butelka guinnessa zdradzała wiele.

Ktoś mu postawił.

Przy czym guinness występował w charakterze wisienki na torcie, pan Hajduk uprzednio wlał w siebie znacznie więcej. Od procentów aż przewracała mu się wątroba.

– Szefuniu! – zakrzyknął na widok Adama z taką czułością, że Ewa omal nie zakrztusiła się od tłumionego śmiechu.

Artysta plastyk natomiast prawie upadł i to ją ruszyło. Dobra, facet za chwilę straci na użyteczności publicznej, a prasę jednak należało przetransportować. Był jej potrzebny.

– Panie Mieciu, szukają pana – spróbowała więc podstęp.

– Pani doktor! – Pijaczyna uniósł w radosnym powitaniu już obie ręce i po chwili znaleźli się w obszarze rażenia broni biologicznej: na Wiejską zawitał smrodek, w którym wyczuwało się męski pot, chmiel i głęboką nutę zbożową.

– Dzień dobry. Szukają pana – powtórzyła.

– Kto?!

– Pana kumple. Szli przed chwilą, jeden szczerbaty, drugi ten, co ma krótszą nogę. – Ewa odmalowała sylwetki jego kompanów, którzy na pewno musieli go kiedyś szukać, a co za różnica kiedy; we trójkę tworzyli najślawniejszy zespół w okolicy, byli wręcz nierozłączni.

– Szukają mnie?! Też ich szukam... Szefuniu! – Pan Mieciu znowu przypomniał sobie o dobroczyńcy i już chciał przejść do szczegółów, więc Ewa czym prędzej wskazała na zakręt Dębowej.

– Tam poszli. Musi się pan pospieszyć.

– Jurek! Ty stary pijaku... Wiesiu!

Po chwili Mietek Hajduk zniknął za rogiem, jednak Adam wciąż wyglądał, jakby go ktoś potrącił kosiarką.

– Musimy zawieźć to żelastwo do skupu, na Złotą – przypomniała. – Pan Mietek poszedł gdzie indziej, tak że luzy.

– Wesoło tutaj macie – wykrztusił z siebie Gryziewicz, żegnając się na odchodne z bmw z taką rozpaczą, jakby właśnie otrzymał wyrok dożywocia, a przy okazji zakwaterowanie w celi z pedofilem. – Czemu go okłamałaś?

Czyżby chciał ją zbić z tropu?

On, rasowy kłamczuch i łgarz?!

– To się nazywa fakty alternatywne. I oszczędne gospodarowanie prawdą – wyjaśniła bez zająknięcia.

– Aha. Nieźle to sobie wykombinowałaś.

– Ty zawsze mówisz prawdę? – rzuciła drwiąco.

Bardzo była ciekawa odpowiedzi.

Adam naciągnął koszulkę, zerknął na mijane po drodze podwórko, po czym nieznacznie się skrzywił. Tak, trzeba zapamiętać to skrzywienie jako materiał porównawczy.

Śmierć frajerkom!

– Pokaż mi kogoś, kto nigdy nie kłamie.

Dyplomata zakichany, ale przynajmniej się nie zarzekał.

– Tak? – zapytała, ukrywając kpinę, ale musiało jej chyba nieco skapnąć z ust.

Adam przeszedł do kontrofensywy.

– Wyobraź sobie, że zawsze mówisz ludziom to, co myślisz.

– Nie muszę sobie wyobrażać, zazwyczaj mówię. – Wzruszyła ramionami.

– Tak? Właśnie widziałem.

– Tak? A jak to jest z tobą? Zwykle nie mówisz tego, co myślisz?

– Po co mam wszystkim dowalać do pieca? Wszyscy kłamią, z uprzejmości.

Po co mam mówić asyistent...owi, że...

– Że się brzydsko umalował – weszła mu w słowo z bardzo poważną miną.

Asyistent, akurat!

– Czemu umalował? – Trochę go jednak zatkało.

– No, nie wiem... – Udała, że się zastanawia. – Malarze malują, tak?

– Chodziło mi o asyidenta na Akademii Sztuk Pięknych.

– A, no, chyba że. I co z tym twoim kłamstwem?

- Z jakim kłamstwem?!
- Mówiłeś, że zawsze kłamiesz.

Wił się, robaczek, wił...

Ale niektóre podziemne glisty tylko to potrafią.

– Mówiłem, że na drobne, nieszkodliwe kłamstwa jest przyzwolenie społeczne, niepisana zgoda – wyjaśniał. – Wszyscy to robią, cały czas. Ale co innego przemilczeć jakiś duperel, na przykład to, że... asystent przeprowadził beznadziejne ćwiczenia, a co innego świadomie mijać się z prawdą. Na przykład ty i ja...

– Yhy, yhy?...

– Gdybym chciał być teraz szczery do bólu, musiałbym powiedzieć, że jestem jednocześnie wstrząśnięty i oczarowany. Twoją osobą...

Ach, oczarowany i wstrząśnięty!

Powinna teraz upaść omdlona na chodnik czy co?

– Chwilka, cukiermistrzu. Otwórz w nowej karcie, załaduj ponownie i tak dalej. Czy to jest komplement, czy mi właśnie oświadczasz, że coś ze mną nie tak? – spytała.

Adam zaśmiał się w głos i tak na nią spojrzał...

Hm, bmw, podobnie patrzył na bmw, z pewnością był w tym jakiś wspólny mianownik i Ewa z zaskoczeniem odkryła, że przechodzi ją dreszcz. Przy temperaturze powietrza trzydzieści stopni! Dlatego czym prędzej przeskoczyła na tematy o wiele bardziej neutralne, zaczęła opowiadać o swojej pracy i... pytać o szczegóły życia artystycznego.

– Masz pracownię?

– Mam gab... gabarytowo bardzo fajny pokoik. Można go nazwać pracownią.

– W bloku?

– Mieszkam na Morelowej, to za Silesią. W domku. Jest mały, ale wygodny.

– To niedaleko!

– Niedaleko.

– To ty faktycznie musisz być niezły artysta, skoro stać cię na dom. Chciałabym zobaczyć twoje obrazy – zakwiliła.

Gryziewicz w jednej chwili zmartwił tak, jak osioł stojący nad przepaścią, więc cóż jej pozostawało. Nic, tylko trzeba było kłapouchego popchnąć, po co miał się męczyć, bidulek.

– Nawet zaraz! – okazała gotowość. – Sprzedamy tego grata, wrócimy z wózkiem i pojedziemy do ciebie. Co ty na to?

Zwykle nie wpraszała się mężczyznom do domu, w żadnym razie, ale tu była pewna swego – w ogóle nie było takiej możliwości, żeby mogła być taka możliwość.

Nie pomyliła się.

– Propozycja jest kusząca... – Adam musiał sobie wyobrazić szczegóły tego wodzenia na pokuszenie, gdyż jego oczy zrobiły się nad wyraz okrągłe, ale może to od wysiłku? Prasa swoje przecież ważyła. – Tylko mam w domu fatalny bałagan. Nie zaproszę cię do tej lepianki. To znaczy nie dzisiaj.

– A kiedy? Przypominam, że obiecałeś mi portret.

Pan malarz zatrzymał się, żeby zaczerpnąć tchu.

– Może być poniedziałek? Wieczorem, powiedzmy dwudziesta. Do poniedziałku zdążę... posprzątać.

Jego twarz była już tak czerwona, że Ewa odpuściła, w końcu się starał – nie pozwolił sobie pomóc, bohatersko ciągnął wózek, choć klapki nieustannie spadały mu z nóg. Przestała więc przeszkadzać i po wielu trudach dotarli do celu. W skupie Ewa zainkasowała porażającą kwotę dwustu pięćdziesięciu złotych, aż przemknęła jej przez głowę myśl, żeby zrezygnować i wystawić prasę na Allegro, ale wyobraziła sobie minę babci i dała spokój. Słońce paliło niemiłosiernie, oboje byli zmęczeni, a w drodze powrotnej Ewa otrzymała telefon ze szpitala, więc do Wiejskiej prawie się do siebie nie odzywali.

Jednak w domu nikt ich nie powitał.

Saper przechadzał się po ogrodzeniu ze wzgardliwą miną, Bomba buszowała wśród kwiatów i co chwilę na niego szczerkała, żeby sobie nie myślał, ale Saper nie myślał. Na widok Ewy miauknął rozzwierając, jakby ją przed czymś ostrzegał, czmychnął na drzewo, a stamtąd zeskoczył od razu na dach domku.

– Otworzę bramę. Chyba mamy gościa... – odnotowała, zaglądając na podwórko.

Przed domkiem stał chudziutki, poręczny facet w czarnym T-shircie i wojskowych spodniach, który od razu skojarzył się jej z małą, upierdliwą muchą. Ciągle się ruszał. Podchodził do drzwi, odchodził, wsadzał ręce do kieszeni, to znów je wyjmował. Dziadek coś mu cierpliwie tłumaczył, a babcia... Babcia była przerażona. I spłoszona. A przy tym próbowała trzymać fason i nadrabiać miną, więc Ewa naprawdę się zaniepokoiła.

Adamowi również się udzieliło.

Posłusznie wprowadził wózek do środka, spojrzał na facecika, zatrzęsło nim, jakby właśnie rozważał ucieczkę, a potem ni stąd, ni zowąd wystartował z autoprezentacją:

– Adam Kowalski. Artysta malarz.



Masz babo placek.

Babcia Ewy podała ciasto z owocami (zjadł już trzy kawałki, pycha!), starszy pan uśmiechał się do niego krzepiąco zza stołu, ale Adam przeżywał męczarnie – tym większe, że Ewa przestała go nagle zauważać. Tyle chociaż dobrego, że Piotrek Marchewka, a właściwie komisarz Piotr Marchewka, nie skompromitował go jednak przed tymi miłymi ludźmi, ale i nie ukrywał dezaprobaty. Spoglądał z ukosa, zaciskał zęby, w wyniku czego Adam bał się w ogóle odezwać. Z fragmentu rozmowy wywnioskował, że w nocy doszło tu do kradzieży, że zniknęło kilka sprzętów plus jakiś obraz.

Ale wciąż nie rozumiał, co miał z tym wszystkim wspólnego?!

Przeczekał inwazję techników, wysłuchał historii o jakiejś prababce chorej na permanentne rozwolnienie, z grzeczności ożywił się na dźwięk znajomego nazwiska – podobno prababcię sportretował właśnie Malczewski – i już chciał wszystkich przeprosić i pożegnać się z Ewą, kiedy w jego kierunku zaczęły padać zastanawiające sugestie.

– Czyli obraz nigdy nie był badany pod kątem autentyczności? – Marchewka chrząknął i zasłonił usta, co Adama zdziwiło.

Z racji zawodu zwykle wyłapywał takie gesty, mogły świadczyć o kompleksach związanych z uzębieniem, ale przecież jego pacjent nie miał ku temu powodów!

– Raz przyszedł do nas pan z Muzeum Śląskiego – poinformowała babcia. – Ale miał tak ohydnie tłuste włosy...

Jak na komendę obaj z Marchewką wstrzymali oddech.

– ...że go nie wpuściłam. Taki niechluj ma dotykać mojej matki?!

– I tu się pojawia pan Adam. – Strzegomski, dziadek Ewy, wskazał na niego uprzejmym gestem i zaczęło być jeszcze dziwniej.

– Bo pan Adam to CHLUJ – podkreśliła Ewa, a w jej zachrypniętym głosiku była aż nadto czytelna złośliwość. Ale zniósł to dzielnie, czekoladowe oczy w końcu się na nim zatrzymały.

Chyba miał słabość do temperamentnych piegusek.

– Kto? – spytał słabo Marchewka.

– Chluj.

– Chu...?! – zaczął wstrząśnięty dziadek, ale zgromiony wzrokiem małżonki, czym prędzej się wycofał.

Za to komisarz opadł na krzesło ogrodowe, chyba zaczynał mieć dość.

– Przepraszam bardzo. Czy można jaśniej?

Pan Strzegomski chlusnął sobie do szklanki kompotu.

– Chu...

– Andrzej! – wrzasnęła pani Strzegomska, a za jej plecami pojawili się wszyscy święci.

– Ale podejrzewam, że źle zrozumiałem – zastrzegł pospiesznie małżonek.

– Na litość boską! – Babcia była kompletnie załamana. – To jest niemożliwe. Panie komisarzu! I co ja mam zrobić z takim głuchelcem, żeby mnie chociaż posłuchał. Co za wstyd. Takie słowa...

– A co, może ich nie ma w słowniku? – Starszy pan uciszył swoją połówkę ruchem żyłastej dłoni i Adam pogratulował mu w duchu, że tak szybko odzyskał rezon. Marchewka był podobnego zdania, jednak wciąż dochodził do siebie. – Wracając do pytania. Ewunia chciała, żeby pan Adam zobaczył obraz i się wypowiedział. I wczoraj z nim rozmawiałem. Telefonicznie.

– Czy to prawda? – Marchewka obrócił się do Adama, a przy słowie PRAWDA Ewa uniosła swoje kształtne brwi i wyglądała w tym uprzejmym zdziwieniu tak uroczo, że co miał zrobić?

Przyznać się, że wydzwaniał po Tauronach jak ten głupi i podglądał ją z krzaków?

Wyszedłby na jakiegoś świra albo – co byłoby o wiele gorsze – na desperata!

– Tak, dzwoniłem – potwierdził, bo przecież dzwonił.

Tyle że później pan Strzegomski zaczął z nim pogrywać:

– I powiedziałem, że mamy obraz...

Mają obraz?!

Co ten człowiek wymyślał?

Przecież spuścił go po rynnę, udawał pracownika biura obsługi klientów! A teraz się uśmiecha i łyże, patrząc mu prosto w oczy. I do tego to drobne przejęzyczenie. Chluj, a potem... Pomyłka, Freud posikałby się ze śmiechu. To się Ewie trafił dziadziuś, nic, tylko pogratulować!

Dobrze chociaż, że miała babcię, na marginesie – wspaniałą osobę.

– Czy podczas tej rozmowy padło nazwisko Malczewskiego? – Marchewka już wrócił do żywych. Wyciągnął z kieszeni spodni notes i zaczął w nim pospiesznie gryzmolić.

– Jak najbardziej!

Tym razem to Adam opadł na krzeselku; musiał się zewrzeć i przyjąć w tym wariactwie jakąś taktykę. Ale jak by się nie zwierzał, jak by się nie układał i nie naginał, wiedział jedno.

Nie przyzna się publicznie do swoich podchodów.

Wkopałby przecież Marchewkę.

– A może mi uprzejmie wyjaśnisz, dlaczego do tej pory nie zostałam o tym wszystkim poinformowana? – Pytanie babci, niczym zatruta strzała, uderzyło wprost w kłamiwą pierś małżonka.

– Bo... bo... – Strzegomski niby się zmieszał, ale kto go tam wie.

– Nie wiedzieliśmy, czy pan Adam się zgodzi – pomogła dziadkowi Ewa.

– Ale się zgodził? – Marchewka znowu zerknął na niego z pretensją, więc Adam czym prędzej przytaknął:

– Zgodziłem się... yyy... pomóc.

– Pan Adam nawet sugerował, że powinienem pomyśleć o alarmie – dołożył podstępny staruch. – I pytał, czy mamy tu jakieś zabezpieczenia...

Komisarz już nie ukrywał swojej niechęci, czyli było naprawdę źle. Ewa również jakby się nad czymś zastanawiała.

Chyba nie sądziła, że jest złodziejem?!

– Co pan na to? – Marchewka domagał się odpowiedzi, a przy stole nagle wszyscy zamilkli.

– Chyba mnie pan nie podejrzewa?!

Marchewka całkiem go zignorował.

– Panie Strzegomski, kto jeszcze wiedział o tym obrazie?

Staruch rozłożył ręce.

– Oprócz kilku osób w muzeum i pana Adama nikt. Po co takie rzeczy rozgłaszać? A poza tym nie wiedzieliśmy, czy obraz jest prawdziwy. To znaczy... autentyczny.

Autentycznie odebrało mu mowę.

Bo Marchewka zacisnął usta i przypuścił ostateczny atak:

– Panie... Kowalski. Muszę zapytać, co pan robił ostatniej nocy i czy może to ktoś potwierdzić?...



Co ten Gryziewicz wyprawiał?!

Jeśli wplątał się w jakąś aferę, niestety, będzie musiał sobie radzić sam. On, Piotrek Marchewka, za swoje zęby uczciwie zapłacił i nie pozwolił sobą manipulować. Już i tak ryzykował – między nim a podejrzanym było powiązanie prywatne, pomógł mu, a nawet złamał regulamin, jak nic powinien przekazać sprawę komu innemu. Dlatego po spisaniu zeznań grzecznie pożegnał rodzinę Strzegomskich i... zaproponował artyście malarzowi transport.

Niech się facet otrząśnie!

– Rany boskie, panie Piotрку! – wysapał dentysta, jak tylko wszedł do

samochodu i uwalil mu klapkami fotel.

Zajechało stajnię.

– Panie Gryziewicz. – Postanowił, że nie będzie zbyt miły. – Pan jest w porządku lekarz i tak dalej, ale tu się toczy postępowanie wyjaśniające i, niestety, na tym etapie prowadzenia czynności jest pan podejrzany o dokonanie kradzieży.

– Panie Piotрку!

– Wolę jednak „panie komisarzu”, jeśli to nie sprawi panu różnicy. Jestem tu zawodowo.

– Panie Pio... komisarzu. Człowieku... Życie mi pan uratował! Dzięki!

– Obawiam się, że nieco się pan pospieszył.

– To ona!

– Jaka ona?

– Ewa!

– Pani Ewa ukradła obraz?

– Panie Pio... komendancie...

– Komisarzu!

– Komisarzu. To właśnie ona, o niej panu mówiłem. Prosiłem o telefon.

– Tak, właśnie pan Strzegomski poinformował, że pan dzwonił...

– Właśnie, ale to jest jakaś fatalna pomyłka!

– Albo fatalne zauroczenie – pozwolił sobie na dwuznaczność. – Wyjaśni pan, o co tu, do... jasnej chodzi?! Jaki artysta malarz, jaki Kowalski, panie Adamie! – zawołał. – Dałem panu adres. W jakiej mnie pan stawia sytuacji?!

– Już wyjaśniam. – Dentysta przeprosił i z ulgą zrzucił obuwie, po czym wypłynęła z niego historia o podłożu romantycznym.

Kiedy już Marchewka zrozumiał, dlaczego *image* lekarza odbiega dziś od normy (tak, on dla swojej Zuzy również porywał się na rozmaite szaleństwa!), mogli przejść do kwestii zasadniczej.

– A co z tym telefonem?

– Kłamię! – wystrzelił oburzony Gryziewicz. – Strzegomski kłamię. Rzeczywiście dzwoniłem i chciałem rozmawiać z Ewą, ale on strugał wariata. Udawał jakiegoś telefonistę z biura obsługi, zupełnie nie wiem po co. To jakiś walnięty staruszek. A do tej firmy pojechałem, żeby wypytać o numer, bo się zorientowałem, że to jakiś kawał. Rejestratorka może poświadczyć, na pewno sobie przypomni. O obrazie dowiedziałem się przed chwilą. Przysięgam! Nie jestem żadnym złodziejem, nie mam potrzeby. Co pan?!

Gryziewicz mówił prawdę.

Marchewka za długo był policjantem, żeby tego nie wiedzieć. Tyle że Strzegomski również nie wyssał swojej historii z palca. Czyli trzeba odłożyć na bok czynnik ludzki i po kolei przyjrzeć się elementom łamigłówki. Numery, bilingi

telefoniczne...

Materia rzadko mija się z prawdą.

– Ma pan przy sobie telefon?

– Jasne.

– Możemy razem obejrzeć wybierane numery i czas połączeń?

– Jasne.

– À propos „jasne”... A co by pan powiedział pacjentowi, który chciałby przyciemnić zęby?



Obiad zjedli w ogrodzie, ale dopiero po porządkach w kuchni – dziadek też im trochę pomógł, widocznie chciał odpokutować wpadkę z lodówką. Babcia nie przestawała do niej wracać, miętolić, wręcz przerobiła parówki na mielone, i przy drugim daniu Ewa miała już parówek po kokardy.

Kompletnie nie rozumiała takiego podejścia do życia.

Nie i nie, babcia zawsze była na nie.

Zawsze marudziła, zawsze była ze wszystkiego niezadowolona. Oszaleć można. Tuż po skończeniu liceum, kiedy Ewa zaczęła się uwalniać spod jej wpływu i myśleć samodzielnie, szybko odkryła, że coś jest nie tak.

Bo świat daje człowiekowi to, co człowiek ma w głowie.

I jeśli będzie przekonana, że spotka ją tylko najgorsze, tak właśnie się stanie. A potem, na złość babci, zaczęła czytać Biblię, choć już wtedy przystała do dziadka, dziękując Kościołowi za jego politykę kija i marchewki – Kościołowi, do Boga nic nie miała. A studiowała tę świętą księgę, żeby w odpowiednim momencie przywołać fragment i zasugerować, że prawdziwa wiara powinna wyglądać inaczej. Oczywiście nic z tego nie wyszło, babcia rozumiała wszystko po swojemu, ale za to do Ewy dotarło, co tak naprawdę znaczy historia o stworzeniu świata. Niesamowite, że już wtedy ludzie o tym wiedzieli! Bóg stworzył świat słowem. Słowem, czyli wypowiedzianą na głos MYŚLĄ, myślą w najwyższym jej energetycznym wyrazie.

Czyli...

Jeśli będzie myśleć dobrze, będzie dobrze!

To, że można swoim umysłem wpływać na świat, było dla Ewy przełomowym odkryciem i dokonała go sama, choć wcześniej słyszała banały o pozytywnym myśleniu. Od tej pory starała się nie wpuszczać narzekań babci do środka, żeby tam nie zostawały i jej więcej nie truły. Babcia nawijała, coś tam chodziło w tle, gdzieś leciały szумы, rozlegały się trzaski, ale jej wnuczka już potrafiła zamknąć drzwi. Słuchała, ale się nie godziła. I powoli zaczęła pracę nad sobą, nad usuwaniem czarnych nalotów, które zdążyły w niej osiąść. Praca była żmudna i wcale się nie kończyła, ale dziś Ewa miała zupełnie inny krajobraz wewnętrzny.

Nie bała się.

– Znowu mi zrobiliście kielecką wiochę. – Odłożyła z pretensją widelec i sięgnęła po kompot rabarbarowy, a babcia uniosła znad stołu niewinny wzrok jagniątką.

Albo żrebaczka, jak się okazało.

– A, widzisz, dobrze że mi przypomniałaś. – Cmoknęła. – Śnił mi się koń. Przed włamaniem. Rudy, ze złotą grzywą. Gdzie jest sennik?

– Sernik? – Dziadek się ożywił. – Będzie sernik?

Babcia, już najedzona, a przez to mniej agresywna, teraz jedynie westchnęła.

– Sernik! No, tak. Kiedyś to mu było w głowie tylko jedno. A teraz został wysoki cukier... I głuchota.

– W poniedziałek zaniosę aparat do regulacji – obiecała Ewa, która chętnie wróciłaby do porannych zdarzeń, ale wiedziała, że lepiej będzie im się rozmawiało, kiedy zostaną bez asysty.

Nie czekała długo, dziadek lubił sobie uciąć po południu drzemkę.

– Moje drogie, dziękuję za wspólny posiłek. Obiad pierwsza klasa. – Dziadek pochwalił wysiłki żony, ale ledwie zniknął w domku, umiłowana małżonka pogroziła za nim pięścią.

– Parówki! Już ja mu pokażę parówki.

– Babciu, przestań... A czemu Paweł nie przyszedł na obiad?

– Przywiózł dziadka i popędził do Moniki, nawet nie wysiadł z samochodu.

– Aha. – Ewa zerknęła na domek. – Powiesz, czemu tu się takie dziwne rzeczy odstawiały, jak wróciłam? Minę miałaś nielichą przy tym policjancie. Na czole wręcz widziałam wielki napis: WINNA.

– Ewa! – Przeskoczenie z roli w rolę zabierało babci nanosekundy. Teraz oczekiwała współczucia. – Dziecko. Ten policjancik to taki mały, wścibski typ. Wsadził nos do domku i ja nie wiem, jak to się stało, ale... – zaczęła mówić szeptem.

– Ale?...

– Ale nie będziesz się denerwować i takie tam... No... – zabrakło jej słów. – Skleroza! Nie będziesz mi wmawiać sklerozy? Chociaż tu się stało inaczej. Ja właśnie NIE zapomniałam zamknąć drzwi. Pamiętałam, ale...

– Babciu, mów głośniej.

– Ale się okazało, że dlatego pamiętałam, bo się bałam, że będziesz mi potem wypominać. I się pilnowałam. To przez ciebie i twoje marudzenie! Nie zapomniałam – dokończyła oskarżycielsko.

– Tak się właśnie domyślam. Że przeze mnie. Jak to dobrze, że tu mieszkam, prawda? Powinnam sobie przykleić na drzwiach karteczkę: kozioł ofiarny!... Ale nadal nie rozumiem. CO SIĘ STAŁO?!

– Dlaczego podnosisz głos?!

Ewa odsapnęła, napiła się kompotu i postanowiła trzymać język za zębami. Babcia to w końcu z siebie wydusi, trzeba tylko poczekać.

Poczekać...

– Przecież to jest głupota! Gdybym zapomniała, tobyś się teraz nie denerwowała. – Poprawiła wpadającą do oczu siwą grzywkę. – Ale nie zapomniałam i zaraz się zdenerwujesz.

– Jestem spokojna!!

– Widzisz?! I kto tu komu robi wodę z mózgu?
– Zwariuję w tym domu, niedługo zwariuję...
– Jakbym słyszała dziadka! We dwójkę tworzycie przeciwko mnie wspólny front. Nie myśl, że nie wiem.

– Babciu. – Ewa już ochłonęła, chociaż nie było łatwo. – Czego nie zapomniałaś? Wydusisz to z siebie wreszcie?

– Jak poszliście z panem Adasiem oddać prasę i wychodziłam z domku, nie zapomniałam zamknąć drzwi. Na klucz – wyrecytowała jednym tchem i pospiesznie zebrała talerze.

Ewa zaczęła analizować usłyszane słowa.

– Czy to oznacza?...

Babcia zerknęła z obawą na kłębiące się na niebie chmury.

– Obawiam się, że jednak oznacza... – mruknęła. – Będzie deszcz.

– Babciu! Ale dałaś ciała!

– No, dałam, dałam. – Przysiadła na brzegu krzesła. – Co teraz? – spytała cicho, ale musiała chyba usłyszeć samą siebie, gdyż zaraz wstała i rzuciła naczynia na stół. – A co to ja nie mam prawa decydować o tym, co znajduje się na moim podwórku?!

– Ciszej, dziadek usłyszy...

– Niech słyszy! – krzyknęła, jednak zaraz dała po hamulcach. – Masz jakiś pomysł?

– Wspaniale. Czteryście kilo się straciło przy zamkniętych drzwiach... Moja babcia złodziejka! Powinnaś pracować w zarządzie jakiejś spółki.

– Wiedziałam, wiedziałam... Pamiętam, źle. Nie pamiętam, jeszcze gorzej. I w dodatku pan Adaś jest oskarżony.

– Podejrzany – uściśliła automatycznie Ewa i również spojrzała w niebo.

Było chabrowo-granatowe, podświetlone żółcią; imponujące.

Jak wiadome bmw.

Owszem, o Malczewskim wiedziało niewiele osób i jeśli ktoś jest kłamcą, pewnie jest też zdolny do innych rzeczy, ale jakoś nie wierzyła, że Adam połaszczył się na jej prababcię. Dentyści są raczej majętni, za jedno koło takiego samochodu można by przez miesiąc poić pana Miecia. I to koniakiem. Gdzie przez miesiąc, zdecydowanie dłużej!

– Podejrzany – powtórzyła. – Zwykła procedura, ale nie wierzę, że mógłby być złodziejem.

– Pan Adaś, złodziejem? – Babcia zaśmiała się kpiąco. – Wykluczone. To bardzo miły chłopiec.

– Babciu, a co jest dla ciebie u mężczyzny najważniejsze? – spytała Ewa pod wpływem impulsu, bo jednak to niebo, zapachy drzew, gorąca ziemia...

Babcia nie zastanawiała się zbyt długo.

– Najważniejsze u mężczyzny... Już, moment. Jest takie coś, tylko mi uciekło. Na literę F.

– Fiu...

– Nie, nie, fiu na pewno też, ale nie... Wiem. Fantazja!

– Fantazja?! Po cholere mi u faceta fantazja? Mam swoją!

– Nie wiem, czy dobrze się wyraziłam – rzuciła z wahaniem babcia. – Chodzi o to, żeby mężczyzna nie był taki, wiesz... Kołkowaty. Grubo ciosany. Ale żeby był kreatywny, elastyczny, żeby potrafił się dostosować...

– Tak, lepiej od razu kupię sobie bandaż!

Babcia zachichotała.

– A prawda jest taka, że każda kobieta potrzebuje czego innego – powiedziała już zupełnie innym tonem. – Nikogo w tym temacie nie słuchaj, nikogo, nawet mnie.

To ci dopiero nowina!

– Babciu, dobrze się czujesz?

– Jakoś tak właśnie niespecjalnie – wyznała. – Chyba ciśnienie spada... Jestem dziwnie rozkojarzona.

– Jak to po włamaniu stulecia.

– Musisz się nade mną pastwić?

– Nie muszę, robię to z czystej przyjemności. Ale nie można tej sprawy zamieść pod dywan – stwierdziła stanowczo Ewa. – Bo skoro w domu były ślady włamania, a do dziadka ktoś sobie elegancko otworzył drzwi i wszedł, a potem za sobą zamknął, to ten policjancik... Jak mu tam?

– Marchewka.

– To ten Marchewka wie, że tu się zrobił groch z kapustą... Głupi nie jest. A po co Adam ma za to płacić? Już nie wspomnę, że w skupie złomu są kamery, a gdybym była takim szwarnym policjancikiem, to okoliczne punkty skupu to by była pierwsza rzecz, jaką bym sprawdziła.

– O Matko Boska! – Do babci w końcu chyba dotarło.

– Jeszcze nas oskarżą o utrudnianie śledztwa. – Ewa czarno widziała najbliższą przyszłość.

– Jak: utrudnianie?! Ja tylko sprzątam. Na własnym...

– Babciu, proszę cię. Czy ty w ogóle słuchasz? To się wyda, rozumiesz?! Na pewno się wyda, to tylko kwestia czasu – zapewniła.

– O Matko Najświętsza, jak: wyda?! Andrzej się dowie?...

– A jak inaczej?

Babcia wstrzymała oddech.

– Prasy swojego ojca to by mi jednak nie darował – stwierdziła jak na nią dość samokrytycznie.

Ewa musiała się zgodzić.

– To by się nawet kwalifikowało do rozwodu.

– Do rozwodu?! – powtórzyła z oburzeniem babcia. – Do jakiego rozwodu?! Co ty opowiadasz?! Wszędzie rozwód i rozwód. To właśnie twoje pokolenie tego nadużywa. Singli jak jakiegoś robactwa, żadnego poszanowania dla rodziny. Bo wy macie za dobrze! – krzyknęła. – Tu jest przyczyna. Ekonomiczna. Jak jest źle, ludzie chcą się łączyć, a jak wszystko mają, to mają też w nosie małżeństwo.

– Czy możemy wrócić do sedna? – Ewa starała się znowu nie wybuchnąć.

Za chwilę pewnie usłyszysz, że jak babcia miała trzydzieści lat, była już żoną, matką i posiadaczką ziemską. W wykazie figurował nawet koń. Szkoda, że nie buhaj.

– To nie wygaduj takich bzdur! Rozwód...

– Tak, a pokaż mi małżeństwa, które mieszkają osobno!

Może i to nie było miłe, ale babcia również niezbyt przejmowała się jej uczuciami.

– Widzisz, dziecko, jak ty nie znasz życia i nie znasz... Człowieka wszystko boli, nie umie sobie znaleźć w nocy miejsca...

– Tak, więc lepiej sobie wstawić łóżko do innego budynku – burknęła pod nosem, ale kiedy trzeba było, babcia miała doskonały słuch.

– Za smarkata jesteś, żeby mi prawić morały! Lepiej się zajmij panem Adasiem, tylko najpierw tego biedaka ubierz, bo wygląda jak... Jak... – Znowu szukała słowa, chyba faktycznie coś było nie tak z ciśnieniem.

– Jak Boeing-747 podparty grabiami – odpowiedziała ze smakiem Ewa, której już przeszła złość.

Babcia dmuchnęła w siwą grzywkę.

– Miałam raczej na myśli rumuńskiego pasterza, ale wychodzi na to samo. I pokaż mu miejsce, z którego może się rozpędzić. A wtedy, kto wie...



Adam wziął pospieszny prysznic, otoczony luksusem odżył, po czym przebrał się w coś normalnego i pojechał do centrum – środkami komunikacji miejskiej. Auto wciąż stało pod domem Ewy, gdzie zamierzał zająć, jak tylko zapadnie ciemność.

Na zewnątrz tymczasem panowała jasność.

I to oślepiająca. Wzmagał ją nieprawdopodobny upał, człowiek po wyjściu z klimatyzowanego autobusu miał wręcz wrażenie, że wpadł do gara z gorącą zupą,

gdzie robi za wkładkę. Powietrze można było kroić nożem, ludzie też jakby trzymali noże w kieszeni: byli podirytowani, rozdrażnieni, źli.

Adam wysiadł na Sokolskiej, odruchowo przywarł wzrokiem do przystanku po drugiej stronie ulicy, aż na jego usta wypłynął pełen czułości uśmiech, po czym ruszył schodami w dół. Ciężkie przejścia podziemnego, krótkotrwały chłodek, jeszcze jedno spojrzenie na pamiętną ławeczkę i do dzieła!

Przed wieczorem musiał załatwić sporo spraw.

Przy dworcu PKS zajrzał do ciucholandy, skąd wyszedł bogatszy o wrażenia estetyczne (w męskich spodniach grzebała dorodna blondyna) oraz o trzy efektowne tuniki, do których, jak go zapewniono, mamusia bez problemu dobierze mnóstwo ciekawych dodatków. Płachty były spore, w sam raz na hipopotama albo słonia morskiego, ale przynajmniej nie były ubzdurzone żadnymi idiotycznymi kwiatkami. W dodatku miały wielkie kieszenie. Wsadzi się tam farby, pędzle czy inne malarskie akcesoria i będzie w sam raz. Podniesiony na duchu Adam skoczył jeszcze do Galerii Katowickiej, gdzie zamierzał nabyć coś przyjemnie średnioklasowego (jakieś koszulki i spodnie *made in China*, buty w CCC i tak dalej), po czym stwierdził, że teraz czeka go najgorsze.

Alicja.

Alicja była koleżanką jego matki: ryczącą czterdziestką, lekko stukniętą babą, która miała na jego puncie fioła. Podejrzewał, że tych punktów i fiołów w życiu Alicji było sporo, bo leciała nawet na jego staruszka. Szaleństwo było jednak niegroźne, Alicja nikogo nie prześladowała, po prostu na widok Adama robiła słodkie oczy i przyglądała mu się oblesnie jak... facet! Próbowwała się ocierać, prawiała komplementy, zapraszała na kawę, no, coś ohydneho. Tyle tylko że Alicja, jak nikt z jego znajomych, znała się na sztuce i prowadziła galerię na Mariackiej. A jak się chce być artystą malarzem, który tworzy w swojej pracowni arcydzieła, trzeba się poświęcić.

– Cześć pracy! – zawołał, u góry rozległ się dyskretny brzęczek i z głębi nadciągnęła ona, kobieta z klockami na szyi.

I to nie była żadna metafora.

Na szyi Alicji spoczywał dziwaczny naszyjnik wykonany z klocków LEGO. Na pewno LEGO, Adam bawił się tym w szkole podstawowej, kochał to, rozpoznałby klocki wszędzie, zresztą w garażu... W garażu stały dwa kartony i gdyby je ktoś otworzył, znalazłby tam prawdziwe cacka.

– Adaśku, to ty?!

Nie, jego tatuś, tylko trzydzieści lat temu.

– Przechodziłem obok i pomyślałem, że cię odwiedzę, bo potrzebuję rady.

– Nie wierzę. Ty?! Potrzebujesz rady?! Chodź, niech cię ucałuję...

Alicja – korpulentna szatynka o świdrujących oczach i karminowych ustach – wiała się po posadzce jak wygłodniały wąż, a z jej naszyjnika wysunęła się nagle

kierownica i Adam został ubezwłasnowolniony.

Albo wciągnięty na ulicę jednokierunkową.

Na szczęście uścisk trwał tylko chwilę, ale i tak służówki zdążyły mu się przekrwić, gdyż Alicja używała tak słodkich i ciężkich perfum, że brygada antyterrorystyczna powinna poszerzyć swoją listę środków rażenia bezpośredniego, po czym przeszli dalej.

– No, mów, mów, co tam u ciebie! – Wzięła go za rękę i pociągnęła na piętro, do kącika, gdzie stał zabytkowy sekretarzyk, krzesła, a pod ścianą... rozpierała się wielka, fioletowa kanapa.

Ileż tu się musiało przelać historii – kiedy o tym pomyślał, aż nim zatrzęsło.

– Wszystko po staremu, nic się nie dzieje, ale ty się, widzę, rozwijasz. – Pokazał na ściany pełne obrazów, na wyeksponowane rzeźby i przedziwne instalacje, które w skupie na Dębie poszłyby raz dwa.

Rojenia chorego na dwubiegówkę.

Ale Alicja pękała z dumy.

– Tak, nie narzekam, na malarstwo jest coraz większe zapotrzebowanie. Napijesz się kawki? – zaszcebiotała, wysuwając nogę w czerwonej szpilce, a Adam poczuł się jak w sylwestra w dziale mięsnym, gdzie została już tylko podsuszana krakowska.

– Z przyjemnością.

– Usiądź sobie na kanapce, będzie ci wygodnie...

– Dziękuję, pooglądam sobie obrazy.

– Tam masz Fałata. – Alicja popchnęła go w stronę okna i zamruczała: – Adam Gryziewicz, no, no, kto by pomyślał...

– Nie spodziewałaś się mojej wizyty?

– Unikasz mnie jak ognia, więc dlaczego miałabym się spodziewać – wytknęła mu z lekką pretensją, jednak, trzeba przyznać, nie należała do marudzących bab. – No, mów, Adasiu, co cię sprowadza. Jestem bardzo ciekawa.

Zastanawiał się, jak powinien przedstawić historię, ale po dzisiejszym dniu miał już serdecznie dosyć kłamstw.

– Dzieła – powiedział najprościej, jak potrafił. – Sprowadzają mnie dzieła. Wpakowałem się w niezłą kabałę.

– W jaką znowu kabałę? – Alicja złożyła czerwone usta i już szła do niego z filiżanką, ale na szczęście nie oblizwała łyżeczki.

Odebrał napój, ze spokojem przyjął muśnięcie po policzku i dobił do sekretarzyka jak do bezpiecznej przystani.

– Nie chcę cię zanudzać, ale sprawa wygląda tak, że na poniedziałek potrzebuję kolekcji obrazów.

– W jakim sensie? – Zrzuciła szpilki i umościła się na kanapie, choć wąska spódnica jej tego nie ułatwiała.

– Możliwe, że ktoś myśli, że jestem malarzem...

Alicja uśmiechnęła się jak sułtańska kokota.

– Ja zawsze wyczuwałam w tobie wrażliwość.

– Tak, jestem wrażliwy na pleśnie. I na pyłki, szczególnie topoli – obrócił jej słowa w żart. – Ale wracając... Powiedzmy, że doszło do nieporozumienia i ktoś sądzi, że nie jestem dentystą, ale artystą malarzem. I powiedzmy, że jeszcze nie chcę... nie mogę... nikogo wyprowadzać z błędu.

– Kobieta, wyczuwam kobietę! – Alicja uruchomiła swoje radary.

Ale skoro postanowił nie mijać się z prawdą, konsekwentnie brnął w opowieść.

– Zgadza się. Spotkałem kobietę.

– Szczęściara.

– To raczej ja jestem szczęściarzem. Tylko żeby się wszystko udało, muszę urządzić w swoim domu pracownię – podsumował, nie kryjąc zmartwienia.

– Malarską?

– Malarską. I muszą tam być obrazy, w miarę jednolite, żeby było widać, że stworzyła je ta sama osoba. I muszę namalować portret. Przy niej... – Ostatnią informację wymamrotał dość niewyraźnie, ale Alicja miała dobry słuch.

– No, to, Adaśku, rzeczywiście wdepnąłeś w niezły pasztet – stwierdziła z zatroskaną miną.

– Wiem. I dlatego pomyślałem o tobie.

– Dobrze, w takim razie pomyślmy. – Wysunęła różowy język i Adam nieco się przestraszył. Ale Alicja nieprzypadkowo zarządzała galerią, miała do tego prawdziwą smykałkę. – Powiedzmy, że znam pewnego bardzo... zdolnego młodego człowieka. – Zachichotała i w tym chichocie Adam wyczytał płomienny romans. – I powiedzmy, że mam powody przypuszczać, że kiedy go o to ładnie poproszę – znów chichocik – mój przyjaciel wypożyczy swoje płótna.

– Byłbym wdzięczny.

Alicja uspokoiła go leniwym skinieniem wypielęgowanej dłoni.

Czyżby za szybko się cieszył?

– Powiedzmy, bo przecież cały czas rozmawiamy hipotetycznie – zawiesiła głos, wyłożyła się na fioletowym oparciu, a Adama przeszedł paraliżujący dreszcz.

– Tak?

– W takim razie co otrzymam w zamian?

W zamian?!

A co on jej może dać w zamian? W panice przemknął Adamowi przez głowę płatny seks i inne bezceństwa, do których aktualnie nie byłby zdolny, i poczuł narastającą bezradność. Tym większą, że jego zwykły w takich sytuacjach argument, czyli pełna obsługa stomatologiczna, również odpadał – Alicja miała tyle pieniędzy, że mogłaby stworzyć własną klinikę.

Ale... kto inny może jej zaoferować dwa pudła pełne klocków LEGO?!

I to tych najbardziej wypaśnych, ojciec kupował je przecież w Niemczech. Strażackie kaski, wieżyczki, dachówki, choinki, semafony i inne szwabskie duperanse...

Dlatego Adam Gryziewicz odetchnął z ulgą, uśmiechnął się i już zwykłym, pewnym siebie głosem oznajmił:

– W zamian miałbym pewną artystyczną propozycję. Sądzę, że ci się spodoba i jednak podpiszemy umowę o... dzieła.



Dziadek na propozycję odrobaczania zrobił minę, która nie zachęcała do współpracy.

Przynajmniej tak zapalonego lekarza jak Ewa Schneider.

A przecież sam prosił o pomoc!

– Ewuniu, ty chcesz mnie zamęczyć? Jakie odrobaczanie? Znowu?! A nie możesz mi po prostu napisać na kartce, co mam jeść i o której? I żebym to kupił w spożywczym...

W Ewie aż się zagotowało.

– I kto to mówi?! Dietę trzeba zacząć od porządków, a nie na łapu capu. Poza tym pracowałeś z lekarzami, nie wiesz, dlaczego się odrobacza zwierzęta?

– Bo wyjadają ze śmietnika resztki? – Puścił do niej oko, ale Ewie nie było do śmiechu.

– Dziadku, nie nabijaj się. Ludzie też powinni robić porządek we flakach i regularnie się odrobaczać. Byliby o wiele zdrowsi. I nie udawaj ignoranta, proszę cię, bo jak cię dwa lata temu przeleczyłam zentelem, od razu przestał cię boleć żołądek. Robale dają mnóstwo objawów i lekarze, zamiast się człowiekiem zająć, leczą skutki. Choroby lokomocyjne, ADHD, depresje, bóle głowy, alergię...

– Dobrze, już dobrze.

– Ale tym razem będziesz pić zioła. Nie ma co przesadzać z chemią.

Dziadek okazał niepokój, a kręcąca się wokół lodówki Bomba przysiadła na miejscu i cichutko zapiszczała.

– Spokojnie, będziemy czyścić twojego pana, ty już dostałaś lekarstwo – uspokoiła ją. – Bardzo proszę. – Wyciągnęła z plecaka saszetki z ziołami. – Kora dębu, wrotycz, piołun i kora kruszyny. My z babcią też będziemy pić, to musi zrobić jednocześnie cała rodzina, żebyśmy się nawzajem nie zakażali.

– Czym zakażali? Chyba dżumą?!... A nie lepiej najpierw zrobić jakieś badania? – Dziadek zaczął się targować, bo powąchał jedną z torebek i tak mu się zakręciło w nosie, że niemal kichnął. – Może wcale nie mam żadnych robaków?...

– Masz. Wszyscy mają, noworodki już się rodzą z lamblami, osobiście pobierałam na oddziale płyn trzustkowy. – Ewa nie pozwoliła się zbić z tropu. – Po co tracić czas? Laboratoria rzadko badają materiał metodą dekantacji, raczej się w to nie bawią i w efekcie z tych badań niewiele wynika.

– Lekarz w domu, masz ci los...

– Marudzisz jak babcia. Odrobaczymy cię, przeczyścimy labirynty i od razu będziesz chudszy. A potem probiotyki i odpowiednia dieta. To trzeba zrobić z głową. I przez tydzień będziesz brał leki odczulające, bo te świnię zaczną zdychać i wyrzucać jad. Żebyś nie dostał od toksyn wstrząsu anafilaktycznego.

– Anafilaktycznego... Ech! Ale o odchudzaniu... – Dziadek spojrział zza okularów i nie musiał kończyć.

– O odchudzaniu nic babci nie mówiłam – zapewniła.

– Kamień z serca. – Westchnął i w końcu się poddał. – To co z tym świństwem?

– Łączysz zioła razem i wsypujesz do słoika. A potem zalewasz na noc pół łyżeczki od herbaty połową szklanki wrzątku, przykrywasz i pijesz na czczo. Rano. Dopiero po pół godzinie można coś zjeść. I tak przez siedem dni. Pół łyżeczki, nie więcej, bo wrotycz jest trujący, możesz mieć po nim koszmary.

– Odkąd nie śpię pod teściową, nic mnie nie rusza – oznajmił.

– Pół łyżeczki, nie żartuję!

– Ja też nie mówię niepoważnie.

– Tylko, dziadku, nie zniechęcaj się, bądź dzielny – poprosiła. – To jest najohydniejsza mieszanka z najohydniejszych.

– Kto ma wytrzymać, jak nie ja? – Dziadek poprawił wąsa i sięgnął po telefon. – Ewuniu, a słuchaj... Tu mi napisali, że mogę dzwonić za darmo na cały świat.

O, Matko!

– Kto ci napisał?!

– No, w moim nowym telefonie. – Dziadek ujął samsunga pomarszczonymi rękami i w jego ruchach Ewa wyczytała niemal składaną cześć. Chyba zaczynało mu się podobać.

Tylko czy ona to wytrzyma?...

– Aha, w nowym. A w starym ci nie pisali?

– No, ja mam już dwie apki! – pochwalił się. – Boguś mi pokazał, jak ściągać. Słuchaj. „Dzwoń w kraju i za granicę za...” Tu dolar i zero. „Niezależnie, od tego gdzie jesteś!” Widzisz, na Wiejskiej też. „Dzwoń teraz”!

– Dziadku, nigdzie nie dzwoń. – Ewa się przestraszyła. – Oni szukają łosia!

Łoś do dziadka, doświadczonego myśliwego, najwyraźniej przemówił.

– Każdy szuka łosia.

– Właśnie. Dlatego nigdzie nie dzwoń.

– To po co mi komórka?!

– Mówię o łosiach. Nie daj się naciągać... I lepiej wymyślmy jakąś wymówkę dla babci, bo jak chcesz stosować dietę, nie możesz jeść obiadów. To znaczy możesz jeść, ale nie wszystko i babcia będzie robić afery.

– Oj, to czekają mnie trudne chwile. O tym nie pomyślałem. – Dziadek nagle się zafrasował.

– Emocje spalają tłuszcz. – Ewa próbowała go pocieszyć. – Na dobrą sprawę, babcia ma na ciebie działanie odchudzające.

– O, to na pewno... Co jej powiemy? Może właśnie problemy żołądkowe?

Ewa nie była przekonana.

– To jest dobre na kilka dni, a co potem?

Znak zapytania zawisł w powietrzu, aż Bomba wyłapała powstałe napięcie. Szczerze mówiąc, miała już dość całej tej paplaniny. Podeszła do dziadka, odbiła się od podłogi i po chwili siedziała mu na kolanach.

W jej ogromnych oczach błyszczała żałość.

I prośba.

– Ty spryciuło, myślisz, że jak jest Ewa, to coś dostaniesz? – Podrapał pupilkę za uchem i nagle zaśmiał się uradowany. – Mam! Przecież my z babcią, oprócz soboty i niedzieli, rzadko jemy razem. Daje mi znać, jak już skończy. Mogę zabierać jedzenie ze sobą i przynosić Bombie. Będzie wilk syty i owca cała!

Wilk i owca.

Ewa również się uśmiechnęła. Cmoknęła dziadka na pożegnanie i pobiegła spotkać się z Klaudią.

Kurs obsługi dźwigu.

Część pierwsza.



Jest towar, jest i cena.

Nie może być inaczej.

Jak się chce być pięknym i szczupłym, trzeba się wysilić. Dlatego Andrzej Strzegomski posłusznie przesypał zioła do litrowego słoika, kichnął, aż mu Bomba powiedziała „na zdrowie!”, po czym wyobraził sobie minę Walerki, kiedy stanie przed nią szczupły, młody i ponętny.

Małżonkę, tego był pewien, trafi grom z jasnego nieba.

Ten obrazek spodobał mu się tak bardzo, że poczuł niemal nadprzyrodzoną moc i postanowił zmienić coś już dzisiaj. W kącie, gdzie dotąd rozpierała się prasa

do owoców, zrobiło się dziwnie pusto. Aż poczuł ucisk w klatce piersiowej. A gdyby tak zrobić małe przemeblowanie? Po prostu wstawi na to miejsce szafkę spod okna, gdzie zwykle trzymał gazety, a wtedy pod okno może trafić przywieziona od Bogusia stara maszyna do pisania, którą tymczasowo umieścił na strychu. Olimpia. Piękny okaz. Pomysł był wyborczy, więc, żeby się rozruszać, pan Andrzej wykonał kilka skłonów, potem jeszcze parę przysiadów, a następnie przystąpił do dzieła.

Zaczął od oględzin i oględziny okazały się co najmniej owocne.

Prasa do owoców, z racji swojego ciężaru, była jedynym sprzętem w domku, który stał bezpośrednio na betonie – na reszcie podłogi podczas remontu położyło się parkiet. Teraz, ze zwykłej ciekawości, Andrzej Strzegomski przyjrzał się z bliska patynie historii i co zobaczył?!

W posadzce odznaczało się pęknięcie.

Na pierwszy rzut oka!

Na drugi rzut, o wiele uważniejszy, oko Strzegomskiego wychwyciło w pęknięciu regularność, dlatego, nie myśląc wiele, chwycił za dłuto i młotek, a po kilku minutach wyteżonej pracy już otwierał...

Głęboką, metalową skrzynkę!

Przejęło go to nad wyraz, ponieważ skrzynia zawierała prawdziwe skarby: złote zegarki (jeden po ojcu!), inkrustowane papierośnice, monety, pierścionki, perły i korale, srebrne kieliszki, figurki, brosze i spinki, czego tam nie było! Trzymał w ręku nawet ukochaną bransoletkę swojej matki.

Z wrażenia aż usiadł na podłodze i uronił kilka łez.

Żegnajcie kłopoty, żegnajcie stresy. Zawartość skrzynki ważyła ze trzydzieści kilo, to się dopiero nazywało spokojna starość. Ze wzruszeniem pomyślał, że starczy tego nie tylko dla Ewuni i Pawełka, ale także dla ich dzieci. A jeśli dzieci będą mądrze gospodarzyć, spuścizna jego rodziny zapewni byt kolejnym pokoleniom.

Ciśnienie musiało mu skoczyć chyba do dwustu – czym prędzej rzucił się więc do wody i zaczął planować. Dom, wybuduje Ewuni dom. Walerce kupi zmywarkę, wyremontuje jej kuchnię, a resztę schowa. Albo najlepiej podzieli to i schowa już teraz – jak przed podróżą pociągiem.

Bo przecież...

Nie kładzie się dwóch grzybów w barszcz.



Pub Fox na ulicy Dyrekcyjnej nawiązuje stylistyką do ekscytujących lat PRL-u, ale tylko jeśli chodzi o wnętrze. Zatrudniony tam kucharz trzyma kulinarną klasę i jest posiadaczem rewelacyjnych kubków smakowych; nie serwuje gościom potraw o smaku ściery – jego dania są dowodem szacunku do jedzenia i ludzi. A już krem z buraka... Ewa się zajadała. Podawano go z chrupiącym chlebem wypiekany w LOKAL-u na Oblatów, który nacierano czosnkiem i polewano aromatyczną oliwą, dosłownie orgazm w locie!

Ewa siedziała z Klaudią na kanapce pod ścianą ozdobioną miniaturkami alkoholi i podlewała okulistkę piwem, ale dziewczyna wciąż nie rozumiała sprawy

najważniejszej.

– Dlaczego kurs obsługi dźwigu?

– A jak wygląda dźwig? – Ewa, zmęczona tłumaczeniami, postanowiła przejść na metodę pokazową. Swobodnie położyła rękę na stole, a później gwałtownym ruchem ją uniosła, nie odrywając przy tym łokcia od blatu. – Łapiesz?

Klaudia splonęła rumieńcem i powstrzymała chichot.

– A nie? – Ewa również starała się nie wybuchnąć śmiechem. – To jest główna zasada działania. Mówię ci! Dopiero potem dołącza mózg, ale do tego służy osobny guzik i obowiązkowo najpierw wajcha idzie w górę. Bez tego nic się nie zdarzy. – Na zakończenie znowu wykonała kilka sugestywnych ruchów i spanikowana Klaudia zarzuciła jej na rękę sweterek.

– Przestań, bo nas stąd wyrzucą!

– I widzisz, ty się wszystkiego boisz. W tym rzecz. A w Biblii jest trzysta sześćdziesiąt pięć razy napisane „Nie lękaj się!”. Różnymi słowami.

– Ty czytasz Biblię?! – Klaudia była zdumiona. – Myślałam, że jesteś niewierząca.

– A co ma śmigło do wiatraka?... Ucho do śledzia? – Ewa miała już nieco alkoholu we krwi, ale daleko jej było do upojenia. Po prostu cieszyła się nietuzinkową rozmową. – Koran też jest fajny, jeśli fanatyzm nie zaleje ci styków.

– Przeczytałaś całą?!

– Całej jeszcze nie. Ale możesz mi wierzyć, trzysta sześćdziesiąt sześć... Przeczytałam u Agnieszki Maciąg, w *Pełni życia*. To dopiero świetna rzecz. Powiadam ci. – Uniosła palec i zachichotała. – Trzysta sześćdziesiąt sześć...

– Mówiłaś pięć.

– O rok chodzi. Na każdy rok... Dzień roku. Wiesz, co to znaczy? Że nie wolno się bać. Pod żadnym pozorem! Bo do dupy taka energia. I my jesteśmy takie grzeczne, takie ułożone i lękliwe. Dziewczynka musi być grzeczna, dziewczynce nie wypada... – zaczęła z obrzydzeniem powtarzać zasłyszane w przeszłości słowa i z każdą chwilą rosła w niej złość.

Co gorsza, te kretyństwa wygadywały kobiety!

– Ciągłe to słyszałam – zgodziła się Klaudia i chlapnęła sobie z satysfakcją piwa. – W domu, a nawet w przedszkolu. W szkole oczywiście też.

– Otóż to! I potem chodzą po Polsce takie bezwolne gazele i czekają na białego jelenia, który je spektakularnie puknie...

– Ale to nie miało być o księciu i białym koniu?

– Jeleń czy koń, obojętne. Chodzi o ten durny mit romantycznej miłości! – przekonywała Ewa. – Przecież miłość i seks to dwie różne sprawy. To znaczy super, jeśli występują razem, to jest ideał, ale mogą też występować osobno. I mamy prawo się tym cieszyć albo przynajmniej próbować. To takie dziwne?

– Yyy...

– A ty? Z iloma facetami spałaś?

Klaudia zamrugła zielonymi oczętami.

– Nooo...

– Z całą reprezentacją piłki nożnej? – odpowiedziała ochotczo Ewa.

– Z całą może nie, ale znalazłby się jeden rezerwowo...

– Jeden?!

Klaudia w poczuciu winy omal nie schowała się pod stół.

– Jeden tak całkiem, ale potem był jeszcze Darek...

– A z nim tylko połowę? – zachnęła się Ewa. – I to jest właśnie to. Baby czekają na romantyczną wielką *love*. Tylko, dlaczego, ja się pytam, sobie tego czekania nie urozmaić i nie wykorzystać na naukę? Żeby potem już coś umieć, jak się trafi ten docelowy. Ja nie mówię, że należy się bzykać na prawo i lewo, z dostawcą pizzy i ze śmieciarzem, ale my też mamy potrzeby!

Klaudia wpatrywała się w nią w ogromnym napięciu.

– Mamy?

Teraz to dopiero Ewa poczuła wiatr w żaglach!

– To jak z zespołem muzycznym. Wyobraź sobie, że chcesz założyć zespół. Ale taki profesjonalny. Bębny, skrzypce, gitara, perkusja... – wyliczała z zapalem.
– Dużo różnych instrumentów, bo związek to przecież mnóstwo różnych warstw, które powinny ze sobą grać.

– I?...

– I czeka cię kłapa.

– Ale dlaczego?

– Bo wcześniej dmuchałaś tylko w JEDNĄ trąbkę! I to w swoim małym pokoju. Nie masz pojęcia, co powinni robić inni muzycy.

– ...

– W dodatku ten jeden jedyny, męczyzna marzeń, koleś w białym mersiu, zanim się w jego życiu pojawi, to myślisz, że co? – Ewa kontynuowała, nie zważając, że w narożniku obok jakby przycichło. – Trzyma rączki tylko na swoim flecie? Akurat! Tam odchodzą takie fugi wydzwaniane na trójkacie, że hej! Plus solówka na waltorni, a potem...

Do stolika podszedł bardzo grzeczny pan, właściciel lokalu.

– Czy paniom coś jeszcze podać?

– Sole trzeźwiące! – Klaudia zarechotała, widocznie waltornia przemówiła jej do wyobraźni.

Jednocześnie spod okna, gdzie świętowało damskie towarzystwo, rozległy się głosy protestu:

– Proszę nie przeszkadzać!

– Chcemy posłuchać...

Ewa pomachała swoim sąsiadkom, zupełnie niespeszona. Proszę bardzo,

kobiety powinny się jednoczyć, jak to niegdyś bywało, w czasach jaskiniowych wspólnot. Tylko że tamte babki miały mniej więcej taką samą ilość zasobów i chyba właśnie tu leżała przyczyna. Musiały działać razem, inaczej by nie przeżyły.

Może jednak babcia i ta jej gadanina o ekonomii...

Może to nie takie głupie?

Właściciel w odpowiedzi wyjaśniał od dyskretnego uśmiechu i pomaszerował za kontuar, ale widać było, że i on strzyże uszami.

– Tak, bo kobieca seksualność to dla nich zagrożenie! – doleciało Ewę z boku.

– Jak nie, jak tak?! – ochoczo poparła głos. – Właśnie dlatego chce się z nas zrobić grzeczne panienki. Bo jakby kobiety przestały się bać, faceci dopiero mieliby się z pyszna! Ale nie ograniczajmy się do seksu, nie o to chodzi. Mówię ogólnie, o kobiecej odwadze. Powinniśmy przestać się bać!

Klaudia była bardzo podekscytowana.

– Normalnie tu się zrobił jakiś wiec!

– No, ja myślę. Dobra... – Ewa wróciła do koleżanki. – Czyli mogę uznać, że słowo wstępne mamy za sobą?

– Tak, będę niegrzeczna! – zapewniła okulistka i ta wizja musiała jej się nad wyraz spodobać, gdyż w zielonych oczach aż buzowało od rozmaitych planów.

– Przynajmniej spróbuj. Jak się chodziło całe lata na smyczy, łatwo nie będzie. Ale na początku zawsze jest chaos. I pamiętaj, Paweł wcale nie jest wyjątkowy.

– Jak to: nie jest?!

Ewa znowu pokazała zasadę działania dźwigu.

– A, w tym sensie... – Klaudia najpierw się uspokoiła, ale zaraz potem zobaczyła kolejną przeszkodę. Tak wielką, że opadł z niej cały entuzjazm. A przynajmniej jego połowa. – Tylko to bez sensu, on jest zakochany w Monice i nie zwróci na mnie najmniejszej uwagi.

Ale Ewa już sobie wszystko przemyślała.

– A co to za problem? Ty też będziesz mieć jakiegoś Cześka czy innego Brajana.

– Jak?!

– Przekaz ustny. Bajki i legendy, klechdy domowe... Jak zwał, tak zwał. Szepnę braciszкови słowo, nic się nie martw – uspokoiła koleżankę, po czym zajrzała do karty. – Może strzelimy sobie jakąś sałatkę? Mają z pieczonym kurczakiem, kapitalna.

Klaudię jednak interesowało zupełnie inne menu.

Uczuciowe.

Pewnych dań ze swojej osobistej karty jeszcze nigdy nie serwowała, płocha

kuchareczka.

– Ale po co to wszystko? Jaki Brajan?!

– Paweł ma dziewczynę, tak? – tłumaczyła Ewa. – Czyli z kim może się spoufalić? No, z kim? Tylko z kimś zajęтым! Wtedy będzie się czuł bezpieczny. Proste! Oczywiście spoufalenie na początku będzie niewinne, ale dla nas liczy się tylko to, żeby połknął haczyk. Żeby cię do siebie dopuścił.

– I... i... – Klaudia znowu spuściła nos na kwintę, aż Ewa musiała ją przywołać do porządku.

– Jaka masz być?

– Eee... Niegrzeczna.

– No! Nikt nie zastuka do twoich drzwi i nie powie: „Klaudia, na dole zorganizowaliśmy dla ciebie fajowy bankiet”. Nie. Flaszki, żarcie i muzykę musisz skołować sama. Tylko wtedy jest szansa, że dostaniesz to, co lubisz. Sama! Musisz o siebie zadbać sama.

– Sama?!

Ewa okazała swojej uczennicy łaskawość.

– Ciocia Ewa ewentualnie ci pomoże. Ale tylko na początku – zastrzegła.

– A potem?

– Co: potem? Potem sobie radź. Ja mam dość problemów. W każdym razie jutro jest niedzielny obiad i zaczynamy. A teraz posłuchaj...



Babcia zawsze wiedziała, kiedy zadzwonić.

Dźwięk komórki rozległ się akurat wtedy, kiedy Ewa włożyła jedną nogę do mierzzonego właśnie kombinezonu (Adam upadł na sztalugę), a drugą trzymała w swoich znoszonych spodenkach.

– Ewa, przyjeżdżaj! – Znajomy wrzask słyhać było pewnie aż przy kasie.

Kombinezon leżał kusząco – na piersiach siedziały Ewie wzorzyste papugi, z łona wyrastały palmy. Ale pomijając ekscytujące detale, całość wyglądała niezgorzej. Wdzianko było koloru czarnego, jak heban, natomiast wzór dżungli tworzyły kontrastujące z sobą czerwienie, zielenie i żółcie. Przy jej jasnych

włosach, szął ciał!

– Ktoś się znowu bawi we włamanie? – spytała z przekąsem.

– Dziecko, ty sobie nie rób żartów. Przyjeżdżaj!

– To będzie trudne. Właśnie wskakuję w powalający kombinezon.

– Nie kombinuj, tylko wracaj. Nie uwierzysz!

– Babciu!

– Moja teściowa do mnie przemówiła... – wyznała wzruszona babcia i Ewa podjęła decyzję.

Jednak weźmie rozmiar mniejszy.

Niech się wszystko opina, niech jej biodra tańczą, a piersi odstawiają pod szyją fikołki, nawet niech jej wybiją zęby. A ten ćwok, Gryziewicz, niech dostanie oczopląsu. Albo zaburzeń o podłożu sensorycznym.

– Co to znaczy „przemówiła”? – okazała powściągliwe zainteresowanie.

– To nie na telefon. Proszę cię, przyjeżdżaj. Nie do wiary! Matylda Strzegomska!

Znowu prababcia?

Prababcia Adelajda, prababcia Matylda, ależ się ostatnio tych przodkiń wokół nich płała. Ewa czuła do mamy dziadka szczerą sympatię, choć kiedy patrzyła na jej zdjęcia, gołym okiem było widać, że przy kobietach ze strony babci Matylda Strzegomska była jak ta woda źródłana przy ogniu piekielnym.

Spokojna i rezolutna, podobno pochodziła z arystokracji, ale nie robiła z tego wielkiego halo. Elegancka, nieco puszysta i kruczowłosa podbiła serce swego przyszłego męża i popełniła dla niego megalomanię, gdyż dziadek był zwykłym górnikiem. Czym ujął ją Feliks Strzegomski, nie wiadomo, jednak ojciec i matka nigdy jej tego nie wybaczyli. Podobno prababcia otrzymała olbrzymi posąg, ale jednocześnie została odsunięta od rodziny. Bardzo z tego powodu rozpacziała i po odchowaniu syna rzuciła się w wir życia publicznego. Zakładała towarzystwa dla kobiet, organizowała przytułki, domy sierot, a nawet przekazała sporą sumę na rozbudowę Dębu. Niestety, w wieku niespełna pięćdziesięciu lat odeszła z tego świata, pozostawiając w nieutulonym żalu męża, syna i synową.

Rak płuc.

– Dobra, już jadę – uległa Ewa.

Prababcia Matylda jednak ją zaintrygowała.

– Tylko nic nie mów dziadkowi!

– Jacha, że oczywista, jakżeby inacha.

– Co ty tam mówisz?

– Głos pokolenia osiemdziesiąt, które zaczyna się starzeć...

– Ewa, jedziesz tutaj czy nie?!

Trudno, już i tak miała dość chodzenia po sklepach. Ostatnie dwie godziny spędziły w Silesii z Klaudią, szukając dla niej stroju wyuzdanej pensjonarki (jej

braciszek był jednak zboczeńcem), więc w poczuciu spełnionego obowiązku Ewa zapłaciła za tropikalne oszołomienie, zajrzała jeszcze do parfois, gdzie dobrała kolczyki, i ruszyła na przystanek.

Na podwórku natknęła się na dziadka, który doglądał malin, ale tylko jej pomachał, był czymś mocno przejęty. Zupełnie nie miał ochoty na pogaduszki, więc Ewa rzuciła zakupy na kuchenny stół, napełniła wodą miseczki Bomby i Sopera i pognęła na górę.

Babcia siedziała zamknięta w sypialni.

Na jej widok zadrżała i bez słowa wyciągnęła przed siebie zmartwiałą rękę, w której trzymała list. Nad głową babci, w przybrudzonym kurzem prostokącie, gdzie do tej pory wisiał *Portret kobiety z biegunką*, widniały jakieś maleńkie drzwiczki.

Ewa skoczyła na łóżko i zajrzała do środka.

Zapachniało stęchlizną.

– Co to jest?!

– Rury. – Babcia chlipnęła. – Za rurami było wciśnięte to. – Skinęła głową na kołdrę, gdzie leżała zabrudzona tekturowa teczka.

Wyblakła, nieco zbutwiała i pokryta brązowymi nalotami.

– Ożeż!

– Mówiłam, przyjeżdżaj...

– To jest list od prababci Matyldy? Tutaj go znalazłaś? – Ewa jeszcze raz spojrzała na dziurę w ścianie.

Zadziwiająca!

– Sprzątałam – zaczęła rzewną opowieść babcia. – Pomyślałam, że zajrzę, nigdy tych drzwiczek nie widziałam, nie ruszałam przecież portretu mamy, zawsze tu wisiał... I podważyłam nożem, a za rurami była wciśnięta teczka. Co za teściową miałam, to się nie zdarza! – Otarła łzę. – Masz, dziecko, czytaj, bo może ja jestem głupia...

– O, chyba powinnam to zanotować.

– Nie pozwalaj sobie! – zaprotestowała, jednak dość niemrawo. – Albo notuj, ja już poległam. I powiedz, czy dobrze rozumiem... To się w głowie nie mieści!

Głos zza grobu?...

Ewa się ożywiła. Usiadła obok babci i odebrała od niej cieniutki jak bibuła list. Ledwie mogła odczytać wyblakłe słowa, prababcia Matylda używała chyba nie najlepszego atramentu. Albo to upływ czasu.

Walerko, Moja Droga Synowo!

Byłaś mi zaw... wsparciem, Moja Ty Wojowniczo, w tym domu pełnym

mężczyzn. Bogu wciąż dzięk..., że losy Twoje i Andrzejka skrzyżował, bo on jest chłopiec dobry, tyle że jak i ja, mało temperamentny, co jest zaletą, ale i czasem bywa wadą. Trzeba mu kobiety ...icznej, a Tobie energii zawsze starczy, nawet za dwoje, tego je... pewna.

Z tej choroby, Walerko Moja Koch..., to ja już nie wyjdę. Wiem to aż za dobrze, ale taki los. Krwią pluję, ...ączka mnie coraz większa dopada, sama widzisz, więc póki jeszcze mam siły, ...yśleć muszę o Waszej przyszłości. Feliks – mąż mój kochany, gwałto... jest przecież mężczyzną i na zapas nie zwykł się martwić. Zresztą i tak by wszystko na polowaniach z kolegami przehulał, a do tego i jeszcze zachęcił Andrzeja, więc Ty się losem nasz... rodziny zajmij. Ty rozdysponuj to, co zostało, gospodaruj, inwestuj, a się nie przyznawaj, dopóki można. Drogocенności wszystkie dawno temu w metalowej skrzyni w pralni ukryłam, biżuterię i różne klejnoty, będzi... za to dobrze żyć, rysuję plan. List do Ciebie za portret Twojej matki wkładam, bo Andr... go nie ruszy i najpewniej Ty pierwsza go znajdziesz. Przed Feliksem też doch... tajemnicy, żeby mi za złe nie miał. Wszak chodzi tu o rozsądek, nie o nieposłuszeństwo żony względem męża. Nie każdy mąż pieniądze umie przytrzymać, a o głowie i szyi pisać nie muszę, swój rozum masz.

Żyćcie mądrze, moje najdroż... dzieci, szanujcie się, kochajcie, a duchem zawsze będę z Wami...

Matylda

– To jest jakieś *Downton Abbey* – szepnęła na zakończenie Ewa, porażona zetknięciem z przeszłością. – Jestem w szoku!

Babcia się obruszyła.

– Down... Jaki Down?!

– Nic. Taki serial. Albo *Nad Niemnem* czy *Trędownata*... Normalnie kosmos!

– Kosmos, kosmos – przytaknęła, nieco uspokojona. – Takich ludzi już nie ma. Taka teściowa mi się trafiła. Takie szczęście, takie miałam szczęście... – znowu zaczęła lamentować i Ewa powstrzymała się, żeby własnej babci nie walnąć między żebra.

– Tak, babciu, spotkało cię wielkie nieszczęście, że cię spotkało szczęście.

– Co za niewyparzony jęzor. Po dziadku! A właśnie... Tylko żebyś mi przed nim nie puściła pary z ust! – Pogroziła wnuczce palcem.

Ewa jeszcze raz zerknęła do listu, interesował ją plan.

– Przecież to domek dziadka! – stwierdziła zaskoczona, przyglądając się rysunkowi.

– Tym bardziej.

– Ale to są kosztowności jego rodziny! – Ewie nie chciało się wierzyć.

Przecież to jest jakiś cholerny zamach stanu, jakiś Amber Gold pomieszany z aferą Rywina i nie wiadomo z czym jeszcze.

Jak można było robić komukolwiek takie świństwo?!

– Małżonków łączy wspólnota majątkowa – wyrecytowała formułkę babcia, po czym rzuciła się zamykać drzwiczki. – Mam upoważnienie teściowej, poza tym się nie znasz. Nie miałaś męża, więc nie wiesz, jak to jest. I nie utrudniaj, dawaj ten papier. – Wyrwała jej list z dłoni i oczywiście plan ucierpiał.

– Babciu, uważaj!

– To mnie nie stresuj.

– Ostatni raz! – Ewa zaczęła się wściekać. – To jest ostatni raz, kiedy mnie w coś wciągasz. Już nigdy więcej. Nigdy! Słowa „lojalność” nie można naginać...

– To idź, poskarż się dziadkowi.

Kochana babcia!

Wręcz rozkoszna staruszka, nic, tylko udusić.

Ewa postanowiła ochłonać. W tym celu poszła na dół, napiła się wody, ale babcia znalazła ją i tutaj.

– Tak tego dziadygi bronisz, a ten człowiek znieważył mnie parówkami. Parówkami!... – Dla lepszego efektu babcia zrobiła znaczącą pauzę i doprawdy ranga wydarzenia wzrosła. – Ja muszę dbać o rodzinę. Znajdziemy skarb i przecież nie zabiorę wszystkiego dla siebie. Co ty myślisz? – trajkotała. – Zresztą, nie wiadomo, co tam jest. Może kiedyś to była i biżuteria... A dzisiaj może te kosztowności myszy zjadły?

– Tak i dlatego srają diamentami... Dobra, spróbujmy zobaczyć, gdzie to jest. – Ewa wyjrzała przez kuchenne okno. Mogły się tak kłócić w nieskończoność, zwłaszcza że babcia na dźwięk niezbyt eleganckiego słowa już chciała ją besztać. – Znajdziemy jakiś pretekst i tam zajrzemy.

Niestety, w praktyce pomysł okazał się niewykonalny.

Dziadek dostał jakiegoś amoku z tymi zabezpieczeniami, teraz zamknął domek na cztery spusty, pomimo że wyszedł tylko do ogrodu, co do tej pory jeszcze się nie zdarzyło. Przeszły się więc z babcią wzdłuż rzędu słoneczników i usiadły w altance, ale dziadek odłożył sekator, powiedział, że idzie do sklepu, i tyle go widziały.

– Chodź, zajrzemy przez okno – wydała komendę babcia i wpakowała się w krzaczki mięty, delikatnie je przy tym rozsuwając.

Ewa poszła w jej ślady.

Przyjemnie było pooddychać wieczornym powietrzem zmieszonym z olejkami ziół, ale za wiele z tego nie wynikło. Tyle tylko że przez szparę w firance zobaczyły, że dziadek przestawił wersalkę – stała dokładnie w miejscu prasy do owoców.

– Jak na to patrzeć? – Babcia obracała potargany i wyblakły plan, na którym przysiadła właśnie jakaś uciekająca przed nadciągającym deszczem muszka.

Ruszył się wiatr.

– Jutro zeskanuję w pracy – obiecała Ewa i sama próbowała coś wydedukować. – Poza zarysem budynku nic nie widać, trzeba by to wyostrzyć w jakimś programie. – Zdmuchnęła skrzydlatą pięknotkę i stwierdziła, że plan musiał przemoknąć, dlatego jest nieczytelny. – Może Paweł sobie z tym poradzi, przecież robi różne wizualizacje. A właśnie, jutro na obiad przyjdzie moja koleżanka, Klaudia. Będę w pracy, ktoś musi się nią zaopiekować.

– A to niemowlaczek czy odłączona od respiratora?

Babcia wróciła na ścieżkę i otrzepała swoje ulubione crocsy.

Spojrzała w niebo i wystawiła twarz do wiatru, który podjął wyzwanie i zaczął buszować w jej białej grzywce. Czemu nie była taka na co dzień? Odprężona, spokojna... Z delikatnym uśmiechem, który powędrował z ust do policzków, a stamtąd aż do zmrużonych oczu.

– Blisko – stwierdziła Ewa. – Jest chora z miłości.

– A to się powinna, bidulka, leczyć.

– Tylko że ona jest chora z miłości do Pawła, szaleje za nim.

– O, Matko! – Babcia w jednej chwili otrzeźwiała. Przyglądała włosy i znowu wyglądała jak nobliwa nauczycielka; czar prysł. – To dawaj ją tu!

– Właśnie nad tym pracuję. Dlatego, babciu, zrobimy tak...



Adam zrobił próbę generalną i przed nocną wyprawą po auto założył strój malarza – spodnie, koszula, tunika, do tego fantazyjny szal. Ujdzie. Wyglądał trochę jak sanitariusz w Tworkach albo poganiacz wielbłądów, ale wszystko było lepsze od stroju à la Mietek Hajduk. Na Wiejską postanowił dotrzeć na piechotę, do Ewy miał przecież niedaleko, wystarczyło trzymać się parkingu przy Silesii, a za rondem wejść w Sportową.

Poza tym zerwał się wiatr.

Grzmiało.

Po tygodniowej fali upałów nawet najlżejsze drgnienie powietrza było jak

dar niebios, ale nawet jeśli miałby spaść deszcz, to wcale nie gwarantowało, że kolejny poranek wstanie rześki i chłodny. Adam Gryziewicz chciał się więc tą zmianą w przyrodzie nacieszyć.

Cieszył się do Dębowej, później odniósł wrażenie, jakby trafił na plan filmowy. Horroru. Między kamienicami, mimo późnej pory, snuli się ponurzy mieszkańcy, w większości przypadków upojeni alkoholem. Nie byli jednak agresywni, choć może to kwestia rachunku prawdopodobieństwa – gdyby tak jeszcze chwilę pospacerował, na pewno oberwałby w dziób.

Dąb *by night*.

Przyspieszył, bo mijając autochtonów, wyobraził sobie wiele, wiele rys na swoim nowym autku, w wyniku czego na miejsce dotarł w niecałe dziesięć minut.

Akurat wybiła pierwsza.

I wtedy w wiszącym nad Katowicami niebie coś ostatecznie się popsuło: spod kopuły czarnych chmur dał się słyszeć ostrzegawczy pomruk. Najpierw jeden, potem drugi. Podstępny dźwięk aż zatelepał budynkami, a potem między kamienice wtargnął bezlitosny wiatr. Wiał i dał tak mocno, że bez trudu łamał gałęzie, unosił w powietrze trawy i piasek, a ten uderzał w twarz tysiącami drobnych pocisków. Zaraz potem wokół zaczęły się rozlegać trzaski zamykanych w pośpiechu okien, ludzie i zwierzęta szukali schronienia.

Gdyby Adam dotarł tu chwilę później, pewnie nie zobaczyłby Ewy walczącej z oknem, więc nie pomyślałby, że chwila może i nie jest najlepsza, ale z drugiej strony – każda chwila jest dobra, żeby wytłumaczyć własną niewinność.

I schować się przed ulewą.

Tylko czy Ewa go wpuści, przecież mogła podejrzewać, że ukradł obraz.

A gdyby tak zatrzeć złe wrażenie romantycznym gestem?!



Tak, na jutro już wszystko było gotowe. Uprzedzona była także najważniejsza osoba, czyli Waleria Strzegomska, teraz pozostał już tylko Paweł. Ewa dzwoniła do niego wieczorem, ale na obiekcie pałętała się Monika.

Umówili się więc na telefon około północy.

– Pawełku, mam dwie sprawy – powiedziała na początku, kiedy już się przywitała.

– Dawaj, dwie mogą być.

– Pierwsza zawodowa, druga rodzinna.

– A nie możesz mieć dwóch zawodowych?

– Nie dzisiaj. Dzisiaj poproszę cię o przysługę komputerową, bo mam jeden niewyraźny rysunek i potrzebuję, żebyś mi go wyostrzył. Może być? Babcia ci jutro przekaże.

– Nie ma problemu. Czyli sprawa rodzinna jest większej rangi?

– Chodzi o babcię i dziadka...

– Niemożliwe! To mnie zaskoczyłaś.

– Złośliwość, jak widzę, jest u nas dziedziczna.

– Niestety, z genami nie wygrasz. – Paweł nie miał wątpliwości. – No, co z tą sprawą?

– Chodzi o sklerozę dziadka i zaćmę babci.

– Babci nie można zaćmić, przyćmić...

– Paweł, nie rób sobie jaj. Dziadek nie pamięta o ważnych rzeczach, a z oczami babci nie jest dobrze – powiedziała zmartwiona. – Zresztą babcia też już zapomina niektórych słów.

– Tak. Przepraszam, proszę, dziękuję... – mruknął pod nosem i musiał się rzucić na kanapę, bo stęknął.

Dobrze, czyli braciszek się skupia.

– I w związku z tym zaprosiłam na jutrzejszy obiad znajomą lekarzkę, okulistkę, z facetem. Też lekarzem, specjalista sklerotyk.

– Taki stary?

– Taki dobry. I ona zajmie się babcią, a on dziadkiem. Bardzo fajni ludzie. Klaudię już zresztą poznałeś. Blondynka, szczupła, energiczna...

– Nie kojarzę – uciął. – No i?

– Tylko że ja zapomniałam, że mam jutro dyżur.

– I co z tego?

– Głupio. Zależy mi, to są naprawdę świetni lekarze, a Klaudia jest zapracowaną kobietą, trudno będzie się umówić następnym razem. Zajmij się nimi, proszę cię, broń ich przed babcią, błagam...

– Czyli co mam im robić? – Paweł zapytał tak niechętnym głosem, jakby go ktoś poprosił o darmowy striptiz w klubie Drag Queen Forever.

– A ja wiem co? Czyń honory pana domu. Bądź miły, ale nie za bardzo, ten facet jest cholernie zazdrosny, totalna szajba, więc się nie spoufalaj. O, właśnie! Będzie Monika? To sobie we czwórkę pogadajcie. Ona chyba potrafi prowadzić kulturalną rozmowę? O Heraklicie, Schopenhauerze...

– Siostra...

– Dobra, już dobra, Klaudia zna się też na tipsach.

– Ty jesteś w cholerę uprzejma.

– W cholerę. Jak to było? Z genami nie wygrasz? Bo wiesz, jakby do naszych rodzinnych genów zakradły się jeszcze geny Moniki...

Paweł sapnął w taki sposób, że Ewa już wiedziała.

Za chwilę żyłka mu pęknie.

– Mogę na ciebie liczyć? – wróciła do zasadniczego tematu.

– Jeden, dwa, pięć... – zaczął odliczać znużonym głosem, ale brzmiał już normalnie.

Jak brat gotowy do podjęcia współpracy.

Czyli szafa gra.

Po tak przygotowanym gruncie Ewa skoczyła pod prysznic, włożyła swoją ukochaną, choć rozwleczoną piżamkę w krokodyle i już zamierzała zanurkować w łóżku, kiedy rozszalała się burza.

Powietrze jeszcze bardziej się schłodziło, wiatr wydał firanki, zatrzęsł okiennicami, a potem bez zaproszenia wtargnął do środka – z taką ikłą, że nawet zdmuchnął ze stołu kilka kartek. Na zewnątrz również się działo. W ogrodzie rósł niepokojący szum, hałas wzrastał się i tężał, drzewa dygotały, drobne gałęzie niesione podmuchami wiatru uderzały o szyby, aż Ewa nie mogła się doczekać, kiedy to napięcie rozładuje burza. Lubiła burze. Ale okno trzeba było jednak zamknąć, bo w jednej chwili z nieba spłynęły takie potoki wody, że jeszcze moment, a we własnym pokoju musiałyby brodzić w kaloszach.

Zupełnie jakby ktoś odkręcił kran!

Drzewa dostały rzetelną kąpiel, jutro będą lśnić, warzywom, krzaczkom i ziołom również przyda się nawodnienie, już ledwo zipały. I w końcu będzie czym oddychać. Podbudowana tą myślą Ewa ułożyła się wygodnie wśród pościeli i sięgnęła po *Dary niedoskonałości* Brené Brown, kiedy...

Coś stuknęło o parapet.

Krople deszczu od kilku minut bezlitośnie go bombardowały, ale przed chwilą to nie był pocisk, to było łupnięcie.

O, znowu!

Podeszła zaniepokojona do okna i wyjrzała.

Tyle że nic nie było widać, podwórko zalewał mrok, dziadek zapewne wyłączył oświetlenie.

– ...aaa!

Ktoś krzyczał?!

– Ewaaa...

Pośród deszczu i wycia wiatru usłyszała czyjś wyraźny głos. A potem porobiło się jakoś tak, że przez chwilę walczyła ze skrzydłem drzwi, które jakby coś przyblokowało, a kiedy w końcu wygrała pojedynek i wystawiła głowę na zewnątrz, na trawie, w świetle sączącym się z pokoju, ujrzała... karykaturę Gryziewicza.

Żałośnie jęczącego na zgliszczach ogrodowej drabiny.

Przemokniętego i pokurzonego.

Głupka z różą w zębach.

Ale to nie był koniec, bo upadając, farbowany malarzyna narobił tyle hałasu, że w domku włączyło się światło, a w chwilę później na próg wyskoczył oszołomiony dziadek, z rozwianym włosiem, bez okularów i...

– Złodzieje! – krzyknął przejmująco, po czym na podwórku rozległ się upiorny dźwięk.

Teoretycznie był to odgłos paszczowy rozochoczonego jelenia, który w ten sposób zapraszał do kopulacji wahające się łanie, ale pośród odgłosów burzy wycie zabrzmiało jak ryk syreny strażackiej, i to takiej zepsutej. Oczywiście, tuba Faulhaber. Niemiecka robota, całe trzysta złotych, coś pięknego...

Ewa od tego ryku wpadła w taki rezonans, że poczuła pod czaszką podejrzany łomot.

– Dziadku! – zareagowała jednak błyskawicznie. – Dziadku, nie wyj, to pan Adam! – Usiłowała przekrzyczeć burzę. – Słyszysz?!

– Adam Gry... Kowalski. To ja, proszę nie wyć!

– Ty też mógłbyś przestać – rzuciła do nieproszonego gościa Ewa. Ale dźwięk chyba nie rozchodził się w dół, bo z poziomu gruntu znowu dobiegł ją jęk, jeszcze bardziej przejmujący niż poprzednio.

Niech jęczy, oszust jeden, bardzo mu tak dobrze.

– Panie Strzegomski, halo!

Dziadek wreszcie się poddał.

– Kto tu jest?!

– Dziadku, wszystko w porządku! To pan Adam! – krzyczała, choć bez początkowego entuzjazmu.

Dziadek wyteżył wzrok, ale niewiele to pomogło, więc wrócił do środka po okulary.

– Co tu się dzieje?! Ewunia!

– Jestem! – odpowiedziała i postanowiła zbiec na dół, już i tak miała całkiem przemoczoną głowę.

O dziwo, z pokoju babci dolatywało zwykle chrapanie – z sypialni można było wynieść nie tylko obraz, ale i babcię razem z łóżkiem – więc uspokojona Ewa przemknęła obok i dopadła schodów.

Przed domem szalał wiatr i deszcz, ale dziadek, stojąc po kostki w wodzie, pomagał zebrać się do kupy Gryziewiczowi.

– Przepraszam, potknąłem się... – tłumaczył nieudolnie amator nocnych eskapad, unikając przy tym ich wzroku.

– Tak, najgorzej to się potknąć o drabinę. – Dziadek był jeszcze trochę zły. – Zwłaszcza taką zamkniętą w komórce. I jak, nic panu nie jest? – Klepnął go jednak po ramieniu i spojrzał pytająco na Ewę.

Woda skapywała mu z okularów i wąsów strumyczkami, które łączyły się pod brodą w rwącą rzekę. Żeby się tylko nie przeziębził.

– My tu sobie poradzimy – zapewniła i poczuła chęć, żeby również klepnąć Gryziewicza.

Tak, żeby co najmniej dostał wstrząsu mózgu.

Książę pieprzony z romantycznym kwieciem...

– Wywał już tego badyła – warknęła i pociągnęła go do kuchni. – Dziadku, idź spać. Ja pogadam z... Adamem i potem wszystko sprawdzę.

Ale dziadek nie byłby sobą, gdyby nie obszedł podwórka. Pokrzytał się chwilę przy szklarni, obadał szkody, po czym Ewę dobiegł trzask zamykanych drzwi.

Teraz mogła się zająć ociekającym wodą kretynek.

– NO?! – spytała groźnie, kiedy już dotarli do jej pokoju i upewniła się, że oprócz stłuczonej kości ogonowej nic mu nie jest. – Zdejmuj buciory, bo mi tu nabrudzisz – zarządziła, po czym wydobyła z szafki ręczniki. Jeden rzuciła Gryziewiczowi. – I bądź cicho, babcia spi... Co ty wyprawiasz?!

– Wycieram się – padła rezolutna odpowiedź.

– W ogóle pytam. Co to ma być?!

Wreszcie zrozumiał.

– Zrobiło się chłodno i poszedłem na spacer. Mieszkam kilka ulic stąd, na Morelowej, przecież wiesz. I zaczęło padać, i pomyślałem, że u ciebie przeczekać, że ci wytłumaczę, że ja z tym obrazem nic... Przysięgam! Nie mam z tym nic wspólnego. Wierzysz mi? Ewa...

Gdyby z takim żarem przyznał się do swoich kłamstw!

– Że, że, że... I z tego powodu trzeba było walczyć z drabiną?!

– Bałem się, że dzwonek może kogoś obudzić, a zobaczyłem, jak zamykasz okno. – Zamrugnął czarnymi oczkami i Ewa stwierdziła, że jego rzęsy wyglądają na mokro jak malowane.

W ogóle wyglądał okropnie, ale przy okazji jednak ją rozbierał, więc może letni deszcz ma taką właściwość, że przemoczone nim typki tracą tę irytującą pewność siebie?...

I chociaż lepiła się do niego jakaś biała szmata, z szyi zwisał mu smętnie szaliczek, jego przylizane włosy zaczynały już wracać do życia.

Gryziewicz przeciwnie.

Zaczął się trząść.

– Co ci jest? I po co ci to prześcieradło? – spytała niezbyt miłym głosem.

– To tunika – wyszeptał, zerkając z obawą na drzwi.

– Co ci umyka?

– Tunika.

– A, tunika! Facet w tunice... mruknęła. – Rarytas, po prostu trafił mi się rarytas! Dobra, ściągaj to giezło...

– Słucham?

– Rozbieraj się, bo jeszcze zachorujesz. Dostaniesz podomkę babci.
– Po... co?
– Po to, że...
– Po... coś tam mam dostać. Mówiłaś, ale co to jest to po... coś? Babci. Ubranie? – spytał w takim przestachu, jakby go miała tą podomką co najmniej wykastrować.

WYKASTROWAĆ?!

To jest myśl!

Ale przecież ten efekt Ewa mogła osiągnąć w zupełnie inny sposób.

– A co, może chcesz mój stanik i bluzeczkę? – Spojrzała na jego zarysowane pod tuniką ramiona. Był od niej dwa razy większy. Obiecująco większy. – Jak kiedyś urodzę dwójkę dzieci i zamiast biustonosza będę potrzebować spadochronu, dam ci do rozciągnięcia, ale dziś dostaniesz podomkę babci. Ewentualnie mogę ci zorganizować fartuszek.

Malarzyna chrząknął i z pokorą uniósł dwa palce.

– To ja jednak poproszę fartuszek. Jeśli można. Albo najlepiej jakiś koc, w zupełności wystarczy mi koc.

– W praniu – skłamała z premedytacją, bo jednak perspektywa zobaczenia gada w ciuszkach babci była nęcąca.

– Dobra, fartuszek...

– A, proszę cię bardzo.

Skoczyła do kuchni, gdzie przy okazji się wytarła, zerknęła na przyozdobione wodnymi wzorkami szyby, a potem przyjrzała się krytycznym wzrokiem krokodylom na swojej piźmie. Zabawne, krokodyle podobno kochają się tylko podczas deszczu. Uderzające o wodę krople wprawiają je w miłosny trans, opasłe cielska zaczynają wibrować...

A otóż ona Adama Gryziewicza przeleci.

Każda kobieta, oczywiście w celach doświadczalnych, powinna chociaż raz przelecieć jakiegoś łajdaka i zobaczyć, co z tego wyniknie. Pan Dentysta w wiertło czesany na pewno robił to samo: uwodził kobiety i bawił się ich uczuciami.

Jaka miłość?!

Będzie jak u krokodyli.

Deszcz, szum i ekscesy w wodzie.

Z takim postanowieniem rozpięła kusząco bluzkę, poprawiła włosy i ruszyła na górę. Postanowienie było mocne, Ewa Schneider miała w sobie dużo samozaparcia, bardzo dużo, jednak kiedy stanęła oko w oko z półnagim mężczyzną, nogi się pod nią ugięły.

A potem wdepnęła w kałużę i reszta dokonała się sama.

Deszcz, szum i ekscesy w wodzie.



Ewa od wczorajszej nocy kojarzyła mu się z... letnią burzą.

Była gwałtowna, intensywna, a jednocześnie ciepła i nieprzewidywalna. Oczywiście wkomponowały się w to i grzmoty, i to jakie, ale po grzmotach przychodził spokój, a potem znowu: wietrzyk, kapuśniaczek, wicher, ulewa, cisza...

To nie był zwykły seks.

To był mega turboseksualny szal.

Takie coś zdarza się raz na tysiąc szczytowań!

Trudno się więc dziwić, że kiedy Adam zwał się z łóżka (wrócił o piątej rano!), myślał tylko o jednym. O umówionym spotkaniu z Alicją przypomniał sobie dopiero po włączeniu telefonu, a kiedy o jedenastej zadzwoniła do furtki, był już ubrany i z lubością sączył poranną kawę.

Dzień był jak pęczek rzodkiewek.

Rześki i ostry.

– Adaśku, to jest mój przyjaciel, o którym ci opowiadałam. – Alicja wyszła z gracją z czerwonego volkswagena kombi i na Morelowej zrobiło się jak na Truskawkowej.

Czerwona sukienka, czerwone buty, czerwona torebka...

Adamowi od tych krwawych plam zakręciło się w głowie.

Ale zdarzenia toczyły się szybko, musiał więc szybko reagować. Za Alicją wyszedł z auta młody byczek, który najpierw spojrzął na dom, później na stojące przed nim bmw, a dopiero na samym końcu raczył zauważyć właściciela.

Chłopak liczył sobie około trzydziestki, był niezłe umięśniony i niezłe uczesany, ale na malarza wyglądał mniej więcej tak jak on.

Czyli wcale.

Za to wygrałby casting do *Pitbulla*.

– Mów mi Thomas. – Niedbale wyciągnął z kieszeni rękę.

– Mów mi...

– Adaśku!

– Właśnie, mów mi Adasiek – powiedział z przekąsem Adam i zaprosił ich do środka, jednak Alicja już rozpoczęła proces zarządzania sytuacją.

– Panowie, przenosimy obrazy! – Wskazała na samochód. – Przygotowałeś pomieszczenie?

To już było do niego.

– Wniesiemy je na strych, jest prawie pusty – stwierdził Adam, bo rzeczywiście, strych na pracownię nadawał się najlepiej: był przestronny i dobrze oświetlony.

– Żadnych gratów? – upewniła się Alicja.

– Tylko łóżko z baldachimem, po poprzednim właścicielu. Mieszkam tu od niedawna.

Gdyby Alicja była kotką, oblizalaby teraz wąsy.

– Z baldachimem?...

– Właśnie. Nie wiem, jak tam trafiło, ale chyba musieli je montować na miejscu. Jest wielkie jak statek.

– Statek miłości... – zaśmiała się zmysłowo Alicja i spojrzała łapczywie na młodego byczka, a młody byczek przytrzymał jej wzrok.

W powietrzu wisiała kopulacja.

– To, co, wnosimy? – Adam postanowił sprowadzić gołąbki na ziemię.

Strych rozciągał się na całej szerokości domu i może nie był gigantycznie wielki, ale przyjemnie pachniało tu świeżością (panele Barlinek!), a przez okna wpadało do środka sporo światła. Łóżko stało drewniane i dumne, pokryte muślinową firanką, która niczym morska piana oblepiała maszt, a potem spływała w dół, zatrzymując skłębioną grzywę na podłodze.

– O, kurwa... – Thomas, mistrz pędzla, zakaszłał i ustawił obrazy pod ścianą. – Faktycznie, statek. Ile to może być warte?

– Adaśku, to jest stara robota! – Alicja na widok wyrka aż zapiszczała.

– Tak? – W przeciwieństwie do niej Adam nie znosił antyków. I zdecydowanie wołał, kiedy nad głową nie powiewały mu żadne szmaty. – Podoba ci się?

– Czy podoba? Jestem zachwycona!

Alicja rzuciła się do drewnianej ramy i zaczęła wygiętym paluszkiem pieścić ornamenty.

– W takim razie, jeśli z tego... – pokazał na strych – zrobicie mi do jutra prawdziwą pracownię, możecie je sobie wziąć. Jako dodatek do klocek. Taki będę szczodry. Ale dachu nie zrywamy! – zastrzegł, a Alicja z radości otarła się byczkowi o dorodny bok.

Widząc w ruchach Thomasa znaczące zwanie, Adam zmusił go do współpracy – mieli do rozpakowania cały samochód. Ruszyli więc na dół. Alicja tymczasem z *lady in red* przeistoczyła się w *red woman in work*. Zrzuciła sukienię i założyła robocze ciuszki, co w jej wykonaniu zachowało wiadomy wydźwięk: „Bierz mnie, pomimo szkolenia BHP”.

Sztuka to było coś, na czym Adam się kompletnie nie znał, ale kiedy już wszystkie płótna trafiły na strych, z ciekawości zdarł z jednego folię i...

– Co to jest? – Usiłował zrozumieć, na co patrzy.

W płataninie powyginanych rąk, powykręcanych łokci i stóp znajdowało się coś. Z ostrzem i rączką, całe czarne, jeśli nie liczyć małego akcentu zieleni. Czyżby golarka Wilkinson? Leżała na wyciągniętej do oglądającego dłoni, zresztą odrąbanej, na której namalowano rzędy cyfr. Nie, nie namalowano. Zapisano. Każda uwieczniona ręka i noga miała na sobie numer, jak w Oświęcimiu.

– *Nadzieja*. – Thomas dał na luz i zaparkował obok, wyprężając klatkę. – My, jako cywilizacyjne mięso, niby zlepek danych, zestawieni z symbolem tak zwanego postępu. Symbol tej, no...

– Higieny? – Adam w jednej chwili zwątpił w swoją artystyczną misję.

– No właśnie, nie higieny... – Młody byczek sprawdził, czy jego wyfryzowany czub aby nie opadł, a potem zniecierpliwiony pokręcił głową.

– Sztuki się nie wyjaśnia, sztukę się kontempluje – ruszyła byczkowi z pomocą Alicja. – Adaś! A co ty oczekiwałeś? Że ja ci tu przywiozę realiste?

Może jeszcze powinien stanąć przed tobą Matejko?! Zapomnij! Masz namalować portret – przemówiła czerwonymi ustami. – Ty, dentysta. Jak to sobie wyobrażasz?!

– A, właśnie... – Otrząsnął się. – Dacie mi kilka wskazówek?

– Pierwsza wskazówka jest taka, że będziesz przetwarzał. Żadnego odwzorowywania jeden do jednego. Bo wtopisz.

– Przetwarzał... Tak jak Picasso?

Thomas zachichotał i Adam po raz pierwszy poczuł ochotę na mały performans.

A gdyby tak zdefasonować mistrzowi ryj?...

– Coś w tym stylu. – Alicja znowu dopadła łóżka i zafascynowana uniosła firankę, ale zniechęcił ją kurz. Otarła bielutkie dłonie. – Na przykład Tomuś...

Byczek znacząco chrząknął i pani mecenas od razu się poprawiła.

Tak, w sztuce liczył się przecież również *image*.

– Thomas skłania się ku cielesności – kontynuowała. – To jest jego materia. Nawet nie bałabym się tego nazwać kosmiczną tkanką. Ciało jako policzalne i niepoliczalne narzędzie wyrazu, jako determinująca forma...

– Alicja, bardzo cię przepraszam, kosmiczna tkanka super, ale nie wiem, czy pamiętasz... – wtrącił nieśmiało Adam. – W naszej rozmowie w galerii wspominałem o Malczewskim. Że się na nim wzoruję.

– Malczewski? – Byczek wyraźnie się zainteresował, ale szybko wykrzywił usta.

– Tak, podziwiam Malczewskiego – oznajmił, starając się nie pokazać paniki. – I nawet chętnie kupiłbym jakiś jego obraz. Bo co ja powiem Ewie, jak będzie patrzeć na gillette czy innego wilkinsona?

– To nie jest żaden wilkinson. To jest konstrukt! – Byczek się nastroszył.

– Tomuś, spokojnie, nie tworzysz zakopiańskich obrazków, generujesz przekaz. – Alicja najpierw rzuciła się pocieszać protegowanego, a później przejęła dowodzenie. – Adaś, czy możesz mi zaufać? Tomasz jest malarzem pracującym na świadomości...

– Myślałem, że na ciebie – wtrącił.

– Dobrze, widzę, że musimy zrobić inaczej. – Alicja podparła się pod boki. – Przy swojej znajomej będziesz tylko szkicować, a Thomas za ciebie dokończy. A przynajmniej namaluje część pracy. I tak po kawałku. Zacznie od namalowania jej ręki.

– Ręka, noga, mózg na ścianie...

– Od ręki! – zaakcentowała Alicja. – Bo dzięki rękom jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

– Czyli na strychu.

– Nie splotaj, Adaśku, bardzo cię proszę. Miałam na myśli miejsce

w historii. Thomas...

– Dawaj sztalugi, zaraz ci wytłumaczę. – Byczkowi puściły nerwy, aż rwał się, żeby udowodnić swój geniusz.

– Jakie sztalugi?

– Alicja... – Piewca rąk, nóg i golarek westchnął jak twórca, którego nikt nie rozumie.

– Sztalugi, płótna, farby... Kupiłeś? – spytała Alicja.

Adam, zakłopotany, musiał zaprzeczyć. Dlatego zrobił swoim gościom kawę, przygotował drobny poczęstunek i na chwilę ich przeprosił. Niech pokontemplują choćby malarstwo iluzoryczne, on w tym czasie skoczy do centrum.

Nie mógł wiedzieć, choć się tego domyślał, że łóżko z baldachimem zostało podczas jego nieobecności porządnie wypróbowane. Ale o to chodziło. Przynajmniej Thomas porzeźbi w ciele, naogląda się rąk i nóg i dostanie weny.

Sztuka kopolacyjna.

Artysta musi skądś czerpać inspiracje.



Odwaga, właśnie odwagę Paweł Schneider cenił u kobiet najbardziej.

Preferował modele bojowe, gdyż tylko kobiety silne wiedziały, czego w życiu chcą. A on nie miał czasu na głupoty. Monika jak najbardziej wpisywała się w jego oczekiwania, czasem odnosił nawet wrażenie, że aż za bardzo, ale lepsze „za bardzo” niż „nie dość”. Chyba. Bo kiedy rozmawiali o wspólnym mieszkaniu, od razu zapowiadała wielkie zmiany. W jego czystym i ascetycznym wnętrzu, o dziwo, czuła się jak w szpitalu. Było jej tu za białe i za puste. Poza tym Monika nie znosiła nowoczesnego wzornictwa, a on z kolei nie trawił zbędnych ozdóbek i durnostojek.

Ale w porządku, przestrzeń, wiadomo, ważna rzecz.

Wpływa na człowieka i pozwala mu się zdomowić, tyle że jego ukochana piała z zachwytu nad taką tandetą, że wszystko w nim, jako architekcie, protestowało. Na domiar złego za bardzo nie rozumiała, czym w urządzaniu mieszkania jest konsekwencja, i była gotowa połączyć egipskie rzeźbienia z Myszką Miki! Totalny eklektyzm, na dodatek, musiał to przyznać, niezbyt poparty świadomością. Raczej zamiłowaniem do kiczu.

Ale czy to nie było fascynująco odmienne?

Nie będzie powierzchowny.

Monika imponowała mu siłą charakteru, poza tym była między nimi niesamowita chemia. Mogliby w ogóle nie wychodzić z łóżka. To znaczy Monika mogłaby nie wychodzić. On do tej pory uważał, że ma duży temperament, ale kiedy poznał Monikę, z przykrością musiał zrewidować swoje poglądy. Ostatnio przyłapał się nawet na tym, że wolałby obejrzeć w spokoju mecz i napić się piwa, niż znowu leżeć w łóżku i słuchać jej paplaniny, ale czy trochę nie przesadzał? Każdy facet marzył, żeby jego kobiecie chciało się chcieć.

Starając się odgonić głupie myśli, zjadł obfite śniadanie, potem zerknął na telewizję, a około trzynastej zadzwoniła babcia.

I przeżył szok.

– Paweł! Przyjeżdżaj!

– Ale umawialiśmy się na drugą.

– Do drugiej to tu się poleje krew! – zapowiedziała wojowniczo, jednak przy ostatnich słowach nieco spuściła z tonu.

– Babciu, jest niedziela... Czy możesz się nie kłócić z dziadkiem chociaż w niedzielę?

– Z jakim dziadkiem?! Chodzi o tę podstępłą żmiję. Niby taka miła, ułożona, a wiesz, co mi powiedziała? Jak się do mnie zwróciła?!... Tak traktować starszych, to niebywałe...

Trochę się jednak zaniepokoił.

– Jak: żmija? Ewa?!

– Jaka Ewa?! Ewa pobiegła do szpitala. Klaudia! Jej koleżanka. Okulistka, niby pani doktor, więc się człowiek nastawił, że będzie grzeczna, a tu takie buty...

– Ale czemu Klaudia? Umawialiśmy się na czternastą. – Spojrzał na wyświetlacz i dalej nie rozumiał.

– Przyjedziesz tu i zrobisz porządek czy nie?! Bo ja tej paniusi zaraz nawganiam! Tak mnie potraktować... – Babcia zaczęła żałośnie zawodzić i Paweł wyobraził sobie panią doktor.

Harpia.

Musiła nią być, skoro poradziła sobie z babcią!

Ale zamiast przerażenia poczuł pikającą w środku ciekawość.

– Tylko spokój może...

– Spokój?! A twój dziadek targa węża i siedzi w stołowym jak ten cieć. Nic, tylko bawi się kluczami. Żeby chociaż wypowiedział w obronie żony jedno słowo... Jedno słowo. Ale po co?! To może ja się teraz powinnam uczyć języka głuchoniemych? Może teraz będziemy oglądać tylko filmy z napisami? I to ma być mężczyzna?!

– Dobrze. – Paweł westchnął. Nie liczył, że dowie się więcej. – Zaraz przyjadę.

Niestety, Monika na propozycję przyspieszenia wizyty fuknęła, że jeszcze nie jest zrobiona, więc umówili się na Wiejskiej.

Harpia.

Czekało go spotkanie z harpią.

Dlatego kiedy po piętnastu minutach Paweł Schneider pojawił się na miejscu i zobaczył w salonie drobną blondynkę, zaniemówił.

Blond chucherko. Tak by ją określił. Przycupnęła skromnie na kanapce, a sukienka z białym kołnierzykiem leżała na niej tak ponętnie, że z trudem przyszło mu opanować galop myśli. Naprzeciwko, w najdalszym kącie pokoju, siedzieli na krzesłach dziadek z babcią i oboje wyglądali, jakby trafili do zoo, przed klatkę z lwem.

Nie do wiary!

– O! Jest pan Paweł. Dzień dobry, Ewa już nas kiedyś poznała – zaszczębiotała blondynka, a potem zdecydowanym ruchem wstała z kanapki i zadała mu rzeczowe pytanie: Czy pan też będzie szkalował polską służbę zdrowia?

On?!

Jakżeby śmiał.

Blondynka miała przepastne zielone oczy pokryte rzęsą...



Klaudia nie zamierzała udawać kogoś, kim nie była, dlatego po wczorajszym spotkaniu z Ewą przeszukała Internet. Na pierwszy ogień poszły, jak radziła koleżanka, idee irracjonalne. Nazwa jak nazwa, do terminów naukowych Klaudia była przyzwyczajona, ale po ludzku mówiąc, były to przekonania, które, w dobrej wierze, zapisało w nas społeczeństwo lub rodzice. Po co? Jak to: po co?! Żeby nas wychować.

„Musisz być miła”.

„Wszystko trzeba robić dokładnie”.

„Jesteś nic niewarta”.

I tak dalej, i tak dalej. Ileż się tego nasłuchiwała! I nie chodzi o to, że nie trzeba być dobrym w tym, co się robi, albo że wszystko trzeba robić byle jak. Chodziło o bzdurne przegięcia, czyli maksima. Właśnie dlatego Klaudia skończyła okulistykę, bo oko wszystko widzi, bo okulistyka to dokładność, precyzja. Kiedyś myślała, że jak będzie dokładna i grzeczna, to tata zrozumie, jaką ma fajną córkę, przestanie pić i pójdzie z nią w niedzielę na spacer. Ale im więcej robiła, żeby mu pokazać, jaka jest mądra i ile potrafi, tym bardziej ją ignorował. A kiedy zdała na medycynę i na liście studentów zajęła trzecie miejsce, zapytał: „A dlaczego nie pierwsze?”.

Więc zawsze chciała być pierwsza.

Byle lepiej, byle staranniej – na pewno ją docenią.

Tylko efekt był taki, że w klinice robiła za trzech pracowników. Nadmierna eksploatacja. Tak to się nazywało. Była przecież taka sumienna, taka dokładna, na pani Klaudii można zawsze polegać. Jasne. I pani Klaudia zapieprzała, nie wiedziała, w co włożyć ręce, a inni, którzy sprytnie przyjęli taktykę optymalizacji, mieli święty spokój – przecież nic nie potrafili.

Czyli może wcale nie opłaca się być zdolnym?

Albo zdolnym i nieasertywnym...

Wczoraj w nocy zrobiła rzetelny rachunek sumienia, porządnie nad sobą popłakała, a potem wyłączyła komputer i zakasała rękawy. Ewa mówiła o pięciu pytaniach w racjonalnej terapii zachowań – to już brzmiało gorzej, wręcz załatywało psychiatrą, ale odnalazła je w sieci i powoli, rozpisując wszystko na kartce, przepuściła przez nie swoje lęki. Nie od razu Rzym zbudowano. Nie wiedziała, czy to, co robi, w ogóle ma jakiś sens, ale kiedy zobaczyła pewne rzeczy wyłożone czarno na białym, trochę się uspokoiła.

Na początku był chaos.

Dlatego ważne, żeby się nie zniechęcać.

Po trzech godzinach psychologicznej katorgi Klaudia wydzieliła sobie nagrodę – pół kubek lodów czekoladowych – uśmiechnęła się do siebie i poszła spać. Oczywiście to nie był koniec, ale przynajmniej zobaczyła światło w tunelu.

A dziś obudziła się z przepysznym uczuciem, że da radę.

I nie pozwoli już nikomu niczego sobie wmawiać!

W dodatku Ewa zaplanowała ich akcję w najdrobniejszych szczegółach. Kiedy Klaudia przybyła na Wiejską – tak jak było umówione, przed czasem – została najpierw wycelowana w progu przez panią Walerię, a potem zaciągnięta w kąć słonecznej kuchni, gdzie wysłuchiwała dokładnych wskazówek.

– Czyli mówimy, że ten „twój” – pani Waleria mrugnęła okiem – nie mógł przyjść. I że pomyliłaś godziny. Resztę zostaw mnie.

– Myśli pani, że to się uda?

Pani Waleria spojrzała niemal obrażona, a jej postać odbiła się

w poustawianych w kredensie fajansowych kubkach.

Była w nich okrągła, wręcz pękata.

– Co ty w ogóle mówisz? I co to za wątpliwości? Popatrz. – Odwróciła ją, jak lalkę, do szyby. – No?!

Rzeczywiście, wyglądała dziś inaczej niż zwykle.

Zaryzykowałyaby nawet stwierdzenie, że jest ładna.

– Ale największą siłę trzeba mieć tu! – Pani Waleria dotknęła najpierw piersi, a potem popukała się w srebrzystą głowę. – Zawsze to Ewie powtarzam. Umiesz liczyć, licz na siebie! Takiej fajnej dziewczuszce miałoby się nie udać?!

– Bo... Ja mam udawać energiczną i silną, i w ogóle...

Pani Waleria aż sapnęła ze zniecierpliwienia.

– Dziecinko, ale jakie udawać?! Przecież ja widzę, że ty jesteś silna. Tylko jakaś taka przyczajona... Jak zając na miedzy.

– A to się czasem ze sobą nie kłóci? Silna i przyczajona?

– A dlaczego kłóci? Czasem to trzeba pokonać tyle lęku, zanim człowiek w siebie uwierzy, trzeba przegonić tyle zmór... A tu tylko chodzi o wiarę – stwierdziła. – I o to, jak się o sobie myśli. Inni się tym myśleniem na pewno zarażą. Jesteś laseczka cud malina i w ogóle nie ma o czym mówić! – W gorących oczach pani Walerii Klaudia dostrzegła tyle wsparcia, tyle przychylności, że prawie roześmiała się w głos.

Czyżby to było takie proste?

A potem usłyszała rozmowę babci z wnukiem i aż ją zatkało.

Mistrzynie!



Monika odłożyła telefon i dokończyła malować oko, które, pociągnięte kreską i błękitnym eyelinerem, zyskało magnetyczną, wręcz seksualną głębię. Turkus i czerń, klasa sama w sobie. A jak założy nową sukienkę i koturny...

Zdruzgocze ich wszystkich, łącznie z siostrzyczką.

Pani doktor!

Nie znosiła takich przemądrzałych panienek, które myślą, że co to one nie są. Taka mądra, a wyglądała jak córka sołtysa. Włoski rozkopane, żadnej fryzury, gęba nakrapiana jak indyjskie jajo, a na samą myśl o ubraniach przyszłej szwagierki Monika aż prychnęła do lustra. Trampki i jakieś wiszące w kroku gacie. Plus

indyjskie koraliki. Żenada. Brakuje tylko wetkniętego w ten zarozumiały tyłek kadzidełka.

I czy to nie skandal, że taka wieśniara dostaje co miesiąc na rękę kilka tysięcy?

A ona musi walczyć o przetrwanie...

Bo niby jakie miała w tym kraju perspektywy? Mogła siedzieć w Biedronce na kasie – z jej umiejętnościami, niestety, było bardzo trudno o ciekawą pracę – albo mogła znaleźć odpowiedniego faceta, co z jej umiejętnościami było akurat bardzo proste. Zwykły rachunek ekonomiczny. Żadnego wysiłku, czasem zdarzała się nawet przyjemność, ale kiedy Monika pomyślała, że musiałaby osiem albo więcej godzin dziennie harować po to, żeby pod koniec miesiąca zainkasować oszałamiającą średnią krajową...

To już wołała choćby Pawełka.

Pawełek wcale nie był taki zły, tylko za bardzo spięty. I poważny. Wszystko robił dokładnie, spokojnie, w ogóle nie potrafił zaszaleć. A Monika lubiła podróże, imprezy, ruch. Po prostu uwielbiała, kiedy coś się działo. Siedzieć w domu, przy garach? Bez sensu. Życie miało tyle odcieni, tyle smaków, trzeba je było chłonąć, a nie tylko chodzić w kółko i obwąchiwać. Bo kto wie, może za dziesięć lat jej już nie będzie?... Miałaby spędzić ostatnie dziesięć lat życia, szurając po mieszkaniu w rozdeptanych kapciach?!

I co jeszcze!

Takich idiotyzmów w ogóle nie brała pod uwagę, ale czas płynął: skończyła czterdzieści jeden lat i póki co wyglądała niegorzej, ale taki stan rzeczy nie potrwa długo. Dostawała co prawda po zmarłym mężu rentę, ale poza tym nie miała nic. A wynajmowanie mieszkania kosztowało. Do tego dochodziły pieniądze wysyłane teściowej na syna, opłaty, kosmetyki, jedzenie, ubrania i, rzecz jasna, życie towarzyskie: kawiarnie, restauracje, puby.

Skąd niby miała na to wszystko brać?!

Pawełek spadł jej więc jak z nieba, bo jeszcze parę miesięcy i tonęłaby w długach. Zachwyił się nią szybko, tu nie było żadnych problemów, znała się przecież na rzeczy, natomiast ta jego koszmarna rodzinka... Patrzyli na nią jak na końską kupę. Oczywiście starannie to ukrywali, ale Monika swoje wiedziała. Nie akceptowali jej. Rodzinkę miała gdzieś, nie zamierzała co niedzielę jadać ze staruchami rosółu, ale mogli zacząć jej bruździć. Paweł niby narzekał na swoją nadopiekuńczą babcię, ale latał tam przy byle okazji. I codziennie dzwonił. Zignorowanie tych prostych faktów mogłoby się dla niej źle skończyć. Monika postanowiła więc myśleć strategicznie i z tego myślenia wynikło jedno.

Musi zdobyć sympatię Strzegomskiej.

To ona była kluczem – ta sprytna wiedźma dobrze wiedziała, co robi. Kręciła nimi z zastanawiającą łatwością i jeśli Monika zamierzała tę kierownicę przejąć,

nie było wyjścia. Staruszka musiała zacząć jeść jej z ręki. Słowo „staruszka” okazało się kluczowe; stały za nim zasady, umiłowanie do rozmaitych rupieci, dom, kościół, kulinaria i szeroko pojęta grzeczność.

I w te punkty należało uderzyć.

Monika włożyła sukienkę, skropiła się ulubionymi perfumami (prezent od Pawełka) i sięgnęła po przygotowane wcześniej prezenty. Koszyk wiklinowy i słoiki z dżemami. *Hand made...* A raczej *head made*. Koszyk kupiła w kwaciarni, dżemy w Lidlu, ale zadbało się o pozory: owocowa masa trafiła do czystych słoików, do których wzorowa gospodyni sama wykonała etykiety.

Mogła zatem ruszać w drogę.

A właśnie, na zewnątrz świeciło słończko, niby umiarkowanie, świat za oknem wyglądał jak pocztówka z wakacji, ale miałyby w nowej sukience cisnąć się w tramwaju? Pogniecie się i spoci, poza tym koturny wcale nie były wygodne. O nie! Umówili się na miejscu, ale czy Pawełek nie powinien przyjechać po swoją ukochaną?

Niestety, Pawełek nie odbierał i to już wytrąciło Monikę z równowagi. Ma do niego wydzwaniać jak jakaś małolata?! Co za kompletny brak szacunku. Rozzłoszczona odczekała kilka minut, ale sytuacja nie uległa zmianie: ten sobek ją ignorował! Pewnie wcina ciasto albo dogadza babci, tak jakby ona, Monika, w ogóle nie istniała. Nie, tak dłużej być nie może, trzeba coś z tym bajzlem zrobić, w końcu, kto tu jest najważniejszy?

Ona czy jakaś stara baba?!

Ułożyła sobie w duchu, co powie Pawełkowi, zadzwoniła po taksówkę i chwilę później stanęła na Wiejskiej pełna żalu i pretensji.

Kiedy jednak Strzegomska powitała ją w progu, Monika całkiem straciła rezon. Starucha zachowywała się co najmniej dziwnie. Wzniosła oczy do nieba, jakby w podziękowaniu, po czym zaciągnęła ją przemocą pod koślawy kredens i tam zaczęła szeptem czynić wyrzuty:

– Dziecko, gdzieś ty się podziewała?! To znaczy, pani Moniko...

– Spoko, proszę się nie krępować – zachęciła babcię do mniej oficjalnej formy, choć najchętniej by ją ugryzła. – Mam dla pani mały upominek, sama robiłam. – Wyciągnęła przed siebie koszyczek, ale dar nie został należycie przyjęty.

Strzegomska podziękowała, ale jakoś tak umiarkowanie, po czym odstawiła prezent na stół, więc Monika z tłumioną irytacją wyjaśniła:

– Pawełek dzwonił, że przyjedzie wcześniej, ale musiałam umyć głowę. Coś się stało?

– Przecież mówię! Stało się i ciągle się dzieje. – Babcia pokazała na sufit. – Ale ja za to nie biorę żadnej odpowiedzialności! – zastrzegła, a zmarszczki wokół jej oczu poruszyły się jak pajęczyna na wietrze. – Żebyś nie myślała, że jak pod

moim dachem, to ja to pochwalam.

– Ale że co? No właśnie, Paweł nie odbiera moich telefonów!

– A nie odbiera, nie odbiera... A takie powiedzenie, że jak kota nie ma, myszy harcują, znasz?

Na schodach pojawił się bury kocur i mało uprzejmie zamiauczał, choć bardziej przypominało to szczeknięcie.

Co za potworny dom.

– Znam. I co?

Strzegomska podparła się pod boki, a jej groźna postać odbiła się w szybie kredensu. Była tak wielka, że gdyby założyła hula-hoop, na pewno by pasowało.

– I to, że zaraz zobaczysz. Na górze siedzi taka jedna...

Zaraz, zaraz, czy ona dobrze słyszy?!

– Jaka jedna?!

– Klaudia. Taka mała, podstępna zmiyka. Wiesz, jak mnie potraktowała?!

A do Pawełka to robi takie oczy, że dosłownie można nią słodzić herbatę. Tylko że to jest koleżanka Ewy i nie bardzo mogę cholere wyprosić. Dlatego czekam na ciebie jak na rozżarzonych węglach... Bo to się w głowie nie mieści, jakie te dziewczyny są teraz namolne! Aż przykro patrzeć. Kiedyś to była jakaś kultura, godność, a dzisiaj...

Ale Monika już nie czekała.

Skoczyła na górę, nie bacząc na koturny i płaczącego się po schodach kota.

To ona się dla niego stroi, maluje, nawet wzięła taksówkę, a ten zdrajca gzi się w stołowym z jakąś flądą?!



Ewa zamówiła w szpitalnym bufecie chłodnik z buraczków – poraził ją różowy kolor zupy w zestawieniu z soczystą zielenią koperku – ale po kilku łyżkach zrezygnowała.

W ogóle nie chciało się jej jeść!

W żołądku czuła delikatne smyranie, może nawet napięcie, a jej myśli wciąż wracały do skropionej deszczem nocy, do Adama, który był zaskakująco czuły, a momentami wręcz nieśmiały. Jak to możliwe?! W intymnych chwilach Gryziewicz nie zachowywał się jak sprawna seksmaszyna, ale jak... człowiek! Żadnych teatralnych gestów, przeliczania ego na centymetry, aż opanowała ją

wątpliwość.

Może to tak naprawdę fajny chłopak?

O szesnastej zdecydowała się zadzwonić najpierw do domu, jednak babcia zdała jej tak chaotyczną i przerywaną wykrzyknikami relację, że Ewa szybko się rozłączyła i postanowiła porozmawiać z Klaudią.

– Boże! Paweł jest taki słodki! I tajemniczo powściągliwy – nadawała. – Zupełnie jak Richard Gere.

– Tajemniczo powściągliwy? W sumie racja, Paweł przez całe dzieciństwo puszczał pawia, jak tylko zobaczył kawałek zielonego. – Ewa postanowiła do tej ożywczej wymiany zdań wprowadzić nieco równowagi. – Mam na myśli szpinak. I nie wypowiadał przy tym ani słowa.

Ale Klaudia jakby miała problemy ze słuchem.

– Od niego emanuje taki męski spokój. Taka siła. To jest nieprawdopodobne! Boże, jaka jestem rozstrojona, zupełnie nie potrafię się uspokoić.

Rozstrojona?

Ewa pomasowała żołądek i zakłęła pod nosem.

– Czyli, rozumiem, że się udało?

– Udało się, Boże, i to jeszcze jak się udało! Twoja babcia... Boże, jaką ty masz niesamowitą babcie! – Klaudia, dla odmiany, zmieniła obiekt uwielbienia i Ewa opadła na krzeselko.

Opór materii, trudno, przeczeka.

– Zdecydowanie niesamowitą...

– Ona jest wyjątkowa!

– Owszem, wyjątkowa.

– I mądra.

– Mądra. – Ewa znowu potwierdziła, choć w jej słowach trudno było doszukać się entuzjazmu. – A zdradzisz więcej szczegółów? Bo babcia bredzi w malignie tak samo jak ty. Jakbyście się umówiły. Już nie wspomnę, że na Wiejskiej awansowałaś na bohaterkę narodową...

– Ja? – Klaudia była zachwycona.

– Ty. Taka miła i dobrze wychowana osóbką. I ładna. A do tego bystra – powtarzała za babcią.

– Bystra?

– Zrobiłaś na dziadkach wrażenie, bez dwóch zdań. I z tego, co wywnioskowałam, z Pawłem również poszło niezgorzej...

Klaudia aż się zapowietrzyła.

– Naprawdę?! Chyba faktycznie wyszło niezłe. Rozmawialiśmy na mnóstwo ciekawych tematów.

– Tak? – Ewa pokiwała z uznaniem głową.

Braciszek nie lubił strzępić języka, wołał działać, więc chyba go uruchomiło.

– On ma taką wiedzę! – Z Klaudii z prędkością karabinu maszynowego sypały się kolejne wyznania. – Rozmawialiśmy nawet o chorobach siatkówki! Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło...

– Cóż, w końcu siostra pracuje nad jego prozdrowotną edukacją...

– Ale w ogóle. On ma imponującą wiedzę o świecie, to się rzadko zdarza. Wiedział, co to proksemika!

– O, matko! Gadaliście o takich świństwach?

Klaudia wybuchnęła cichutkim, acz zmysłowym śmiechem.

– To o przestrzeni i jej wpływie na ludzi. Bo Paweł to nie jest zwykły architekt... On do swojej pracy podchodzi bardzo serio, a mnie kręci urządzenie wewnątrz i...

– Aha, czyli znaleźliście wspólny temat. I co dalej? Zarzuciłaś przynętę? – dopytywała Ewa.

– Tak! – Klaudia nie posiadała się z radości. – Powiedziałam, że od dawna planuję remont i chcę przebudować mieszkanie, ale dzisiaj trudno o fachowców. I że szukam kogoś rozsądnego, kogoś z wyczuciem, kogoś, kto pomoże mi to wszystko zaaranżować...

– I?

– I nawet nie musiałam prosić. Sam się zadeklarował!

To była pierwszorzędna wiadomość.

Kiedy się o niej dowie Monika...

– Super. A co z Moniką? Bo babcia mówiła, że plan się sprawdził. Przyszła później...

– Tak, mieliśmy dla siebie prawie półtorej godziny! Boże, ta sukienka...

– Mówiłam. Mój brat to zboczek. Lubi kobiety z charakterem, ale najlepiej żeby wyglądały przy tym jak dziewczuszki z pierwszej C. I to takie zagubione w szatni. Jeszcze sobie powinnaś kupić dzienniczek i strój na wf. Co za ohyda...

– Ale ja się w tej sukience bardzo dobrze czułam! – Klaudia rzuciła się bronić swojej metamorfozy. – Bo to było seksowne, ale w taki subtelny sposób...

– Aha... A co się działo później? – dopytywała. – Z babci nie mogłam niczego wydobyć.

– Boże! – Klaudii się pogorszyło. Zaśmiała się tak, że omal nie dostała ataku kaszlu. – Babcia nad Moniką popracowała i ta szalona wpadła na górę jak jakiś pies gończy. Prawie się przewróciła na schodach. W oczach miała śmierć!

Uroczy to musiał być obrazek, bez dwóch zdań.

– Zbrzydła? – spytała Ewa z nadzieją. – Zazdrość zmienia człowiekowi rysy.

– I to jak! Miło sobie z Pawłem gawędzimy, a tu nad nami staje nagle jakaś zmora. Włosy w nieładzie, oko rozmazane, wyglądała strasznie. – Klaudia chrząknęła, a chrząknięcie zdradzało, że jest z siebie dumna. – Paweł dosłownie skamieniał. I nawet się nie przywitała, nic, tylko od razu zaczęła na niego

wrzeszczeć. Widziałam, że mu wstyd, więc się pożegnałam. Ale wcześniej zdążyliśmy się wymienić telefonami! – zakończyła z triumfem.

Ewa była pełna podziwu, nie tylko dla siebie i babci, ale przede wszystkim dla koleżanki, która musiała w sobie wiele przełamać.

– Byłaś dzielna. Trochę się martwiłam...

– Ale to wcale nie było takie trudne – zapewniła Klaudia. – Ja wiem, że jeszcze wiele pracy przede mną, ale w końcu zrozumiałam, że to ja siebie ograniczam. A właściwie uzmysłowiła mi to twoja babcia...

– Tak, moja babcia potrafi wiele uzmysłwić.

– Obie jesteście kochane!

– Tu już chyba przedobrzyłaś. – Ewa z przyzwoitości musiała zaprotestować.

– Obie jesteśmy niezłe ziółka, tak bym to raczej ujęła.

– Ziółka. Może być. Jesteście ziółka na dobre samopoczucie...



Andrzej Strzegomski myślał o sobie zawsze na końcu.

Kiedy jeszcze pracował, wszystkie pieniądze oddawał żonie i po uregulowaniu opłat to ona decydowała, co z resztą. I to ona kupowała mu ubrania i inne drobiazgi. Oczywiście mógł iść z Walerką i wybierać, ale w sklepach czuł się jak schwytyany we wnyki dzik, już nawet wolał koronografię, więc w praktyce zajmowała się tym jego druga połówka. W końcu to ona miała dobry gust.

Ale z chwilą przejścia na emeryturę wszystko się zmieniło.

Jakby stał się innym człowiekiem.

Ludzie potrzebują przecież pieniędzy, on w każdym razie potrzebował. Miał

prosić o kilka złotych, żeby iść z Bogusiem na piwo? Co za głupota. Więc się postawił. Oddawał emeryturę żonie, owszem, ale kilkaset złotych zatrzymywał na fundusz reprezentacyjny. Oczywiście nie sposób opisać trzęsienia ziemi, jakie tym wywołał, ale to było już po przeprowadzeniu się do domku, więc dał radę. Był wolnym człowiekiem, do licha! I należał mu się szacunek, choćby tylko w wymiarze ekonomicznym.

Aktualna zmiana była jednak o wiele większa, wręcz przełomowa.

Musiał powiedzieć o znalezisku Walerii, co do tego nie miał wątpliwości, ale jeszcze nie teraz. Teraz chciał się tym faktem nacieszyć, wszystko sobie poukładać i...

Zrobić coś dla siebie?

Szkoda, że przez tyle lat nie rozumiał, że wszystko, absolutnie wszystko jest zbudowane według prostej zasady fizycznej. Plus i minus. Wszystko ma dwa bieguny i jeden środek i odpychanie tych przeciwstawnych sił powoduje przepływ, ruch. I jeśli człowiek się zafiksuje na jednym biegunie – obojętnie na którym – nie jest dobrze. Po prostu szlag trafia równowagę. Można na przykład zbytnio rozumieć uczucia ludzi i przez to nie potrafić podejmować decyzji, a można nie rozumieć tych uczuć wcale i nie być z nikim blisko. Można kochać za bardzo i wstrzykiwać tę toksynę innym, a można kochać nie dość. I w końcu...

Ten, kto w ogóle o sobie nie dba, błędzi tak samo jak ten dbający za bardzo.

Andrzej Strzegomski przez większą część życia w ogóle sobie tego nie uświadamiał. Aż do teraz.

Nie był dla siebie dobry.

Ale zamiast się rozwodzić nad odkryciem, zamiast się nad sobą użalać, postanowił coś zmienić. Powolutku, małymi kroczkami, ale od razu. Choćby dieta. Rano wypili całą rodziną zioła, aż go skręciło, więc myślał, że chociaż wynagrodzi to sobie obiadem, ale Walerka jakby straciła smak. Obiad był tak słony, że nie dało się tego paskudztwa jeść! Obiad... Myślał, że chodziło o obiad, ale kiedy żona zeszła na dół, spróbował jej rosółu i okazało się, że... smakuje inaczej! A więc to tak, jego najstarsza małżonka oddawała mu za parówki. Cudownie. Podziękował, drugiego również nie ruszył, a potem się pożegnał i wrócił do domku, żeby obmyślić plan.

Zacznie sobie gotować.

I będzie słuchał Ewy i jadł głównie warzywa. Koniec z chowaniem się po krzakach. To znaczy słowo „dieta” jednak nie padnie, nie mógł się doczekać reakcji Walerki na efekty odchudzania, ale jutro oświadczy, że gotuje sobie sam. Niech sobie żoneczka nie myśli, że jest taka sprytna. To raz. Dwa, zacznie biegać. Albo szybko chodzić. I to już jutro, żadnego czekania. A za chwilę pójdzie do Silesii i kupi sobie dres. I buty. I może w nich wyglądać nawet jak Jane Fonda ćwicząca aerobik, cały Dąb może pękać ze śmiechu. W ogóle go to nie

interesowało, zresztą najlepszy do biegania będzie park.

I postanowił zrobić coś jeszcze.

Wczoraj wypatrzył w „Angorze” reklamę środka na odchudzanie. Środek miał kilka atestów, a producent zapewniał, że utrata wagi rozpocznie się już po tygodniu od rozpoczęcia kuracji. Jako były pracownik służby zdrowia bał się takich suplementów, ale czy właśnie nie postanowił, że przeprowadzi w swoim życiu rewolucję?

Bo gdyby tak połączyć wszystkie środki i zadziałać uderzeniowo?

Sięgnął więc po telefon i wybrał numer przyjaciela.

– Boguś, to ja, Andrzej. Słuchaj, mam prośbę. Potrzebuję coś kupić w Internecie, pomożesz mi?...



Wieczór w ogrodzie przypominał wizytę w perfumerii.

Ewa siedziała z babcią przy stoliku, który przyniosły pod drzewko czereśni, i tam raczyły się herbatą o sugestywnej nazwie. Czerwony Kapturek. I w sumie trudno było oddzielić te zapachy: jabłka, malin i trawy cytrynowej unoszących się nad szklanką od bogactwa woni wypełniających ich zielony świat. Zupełnie jakby ktoś rozpoczął nową buteleczkę perfum, podczas gdy ich ulubione były już otwarte, pełne intrygujących nut maciejki, róży, lawendy, floksa i mięty.

Ewa uważała, że każdy ogród pachnie inaczej i zdradza charakter właściciela.

Ich ogród może i był zadbany, a także urządzony według konkretnego planu, ale dziadek, pełniący funkcję naczelnego ogrodnika, nie chciał zniewolić absolutnie każdej rośliny i Ewa się z nim zgadzała. Dlatego w ich ogrodzie były zakątki nietknięte ludzką ręką. Pełne ptactwa, drobnych zwierząt i owadów; skłębione, dzikie, i to one zapewniały harmonię. Mali mieszkańcy trudzili się zapylaniem, zwalczaniem szkodników, spulchnianiem ziemi. Bez ich cierpliwej pomocy ogród nie byłby piękny, ale zwyczajnie martwy...

– Mysz! – Ewa zauważyła szare stworzonko przemykające w stronę domku, a babcia odłożyła przeglądaną książkę (*Magia numerologii* Gładys Lobos) i prychnęła.

– Trzeba obserwować. – Między jej przerzedzonymi brwiami zafalowała krótka, ale drapieżna zmarszczka. – Bo jak się gadziny rozplenią...

– Nie rozplenią się. Saper czuwa, przyniósł mi jedną o poranku. Podziękowałam mu, a potem ją zjadł. Pod moim łóżkiem. – Ewa na dźwięk ostatniego słowa zamknęła oczy i na moment jakby przeniosła się w inne miejsce.

Dość odległe.

Babcia jednak siedziała na krzeselku i trzymała nogi na ciepłej ziemi.

– Twój dziadek dzisiaj nic nie zjadł. Mówię o obiedzie. Oddał i pierwsze, i drugie danie.

– A co było?

– Rosół. Gotowałam od bladego świtu. Ponad dwie godziny! Najpierw wrzuciłam wołowinę, a potem indyka i kurczaka. Podałam z marchewką, selerem, z naszym lubczykiem...

Ewa upiła herbaty.

– Czyli psychota i szął ciał – oceniła, myśląc smętnie, że w ogóle, ale to w ogóle nie ma apetytu.

Za to w jelitach czuła obezwładniającą tęsknotę.

Wiadomo, o kogo chodziło.

– A potem były ziemniaczki z masłem, czosnkiem, szczypiorem... – wymieniała kucharka, ale w jej tonie zabrakło zwykłej, kulinarnej dumy.

– Z masłem? – podchwyciła Ewa.

– A co? – Babcia była już gotowa do odparcia ataku.

– Rozmawialiśmy wczoraj, że na czas odrobaczania zmieniamy dietę.

– Przecież zmieniam. Wiesz, ile dodałam zieleniny?!

– Dieta warzywna, babciu. Warzywna.

– A szczypiorek to twoim zdaniem co? Kotlet?! Warzywna! Też pomyśl... Jest niedziela, dziecko. Niedziela!

– Rosół jestem w stanie zaakceptować – zastrzegła z pośpiechem Ewa. – Ale na drugie lepsze byłyby ziemniaki i surówka, bez mięsa. Dużo surówki. A najlepiej, żeby drugie danie podać osobno i się nie przejadać.

Jej sugestie nie znalazły zrozumienia.

– Niedzielny obiad to jest niedzielny obiad i te swoje mądrości możesz sobie wetknąć. Nie powiem gdzie, bo jestem kulturalna. A oprócz dziadka wszystkim smakowało. Zajadali się tak, że ho, ho! Nawet Monika...

– Monika? A właśnie, i co z Moniką?

Na twarzy babci zagościł triumfujący uśmiech.

– Ze złości ta cała Monika była zielona. I żółta. Albo i to, i to. Jak zobaczyła Klaudię, myślałam, że ją udusi! Od razu pobiegłam na górę, żeby ewentualnie udzielić pierwszej pomocy, bo w powietrzu latały siekiery i tasaki.

– Ożeż... – W głosie Ewy zabrzmiał nieutulony żal. – Szkoda, że z wami nie byłam. – Zarechotała, a babcia pokazała na książkę.

– Nawet tu piszą, że piątka to niezłe ziółko. Posłuchaj... *Jeśli nie odnajdzie odpowiedniej dla siebie drogi, stanie się osobą niepohamowaną, gwałtowną, działającą w sposób destrukcyjny...* [1] I co ty na to? Przecież to o niej!

– A Paweł jak?

– No, chyba mu ten wybuch dał do myślenia. – Babcia zrzuciła klapki, po czym dotknęła stopami trawnika. – W każdym razie ziarno zostało zasiane...

– Reszta zależy od Klaudii.

– Poradzi sobie. – Babcia, o dziwo, wykazała się optymizmem. – Przeprowadziłam z nią rozmowę dydaktyczną.

– Babciu...

– Co?! Wy, młodzi, potrzebujecie autorytetów.

– Jak przestaniesz się ze wszystkimi kłócić, będziesz też moim autorytetem. Ale teraz wybacz...

– Proszę bardzo! – Babcia wydała z siebie głośny okrzyk: – Ha! A tu, zobacz, jakie rzeczy piszą o trójce!

– O jakiej trójce?

– Klaudia jest trójką po całości i siódmką z dnia.

– Już ją zdążyłaś przeświecić?

– A data urodzenia to jakaś wstydliva informacja? Nie spytałam przecież o rozmiar stanika.

Ewa pokręciła głową.

– I co kręcisz głową?

– Szkoda. Może z numeru stanika potrafiłabyś wyczytać, ile Klaudia będzie mieć dzieci albo czy profesor Pluta pójdzie w końcu na emeryturę...

– Możesz się śmiać. A ja ci mówię, że trójka po całości i siódmka z dnia to jest świetna wiadomość. Do naszego zamkniętego w sobie Pawełka pasuje jak ulał! Trójki są żywiołowe, energiczne, ale nie chcą narzucać swojego zdania, tak jak piątki. Tylko ta dziewczyna musi w siebie uwierzyć. Nic więcej. Tylko uwierzyć.

– Cały czas jej to powtarzam.

– I dobrze... À propos powtarzania. W nocy słyszałam jakies... No, właśnie... Powtarzające się dźwięki. Nie wiesz, co to mogło być?

Ewa usiadła sztywno na krześle i usiłowała wyczytać coś z twarzy babci, ale twarz babci, dla odmiany, była zupełnie pozbawiona wyrazu.

– A powinnam wiedzieć? – spytała badawczo.

– A kto ma wiedzieć, jak nie ty? Chyba że pan Adaś. Bo on, jak sądzę, też miał z tym coś wspólnego... Widziałam, jak się nad ranem wymykał.

– Czy te dźwięki...

– Podejrzewam, że trzeba będzie wezwać dekarza – oceniła babcia drwiącym tonem i to Ewę zirytowało.

Czy chociaż raz nie mogła sobie darować złośliwości?

– Czemu dekarza? – spytała, przeczuwając, że wcale nie spodoba się jej odpowiedź.

I rzeczywiście.

– Nie wiem, coś tam było o drganiu, że drgania i wibracje potrafią uszkodzić więźbę dachową...

– Mam w dupie więźbę – mruknęła.

– Po dzisiejszej nocy wolę nie wiedzieć, co moja wnuczka ma w...

– A kto mi w kółko powtarza, że powinnam sobie kogoś znaleźć?!

– Czy to ta sama osoba, która mówi też, że na rozkładanie rąk i nóg przychodzi odpowiedni moment? I że nie są to dwadzieścia cztery godziny od chwili poznania? – Babcia jak gdyby nigdy nic wyłowiła ze szklanki kwiat hibiskusa i ostentacyjnie odłożyła go na talerzyk. – Nigdy cię, Ewa, nie zrozumiem. Niby moja krew, ale...

– I to jest właśnie różnica pokoleń! – Ewa była coraz bardziej zła. – Bo wy dałyście sobie wmówić, że tylko facet ma prawo do niezobowiązującego seksu. Kobieta MUSI ten akt uświęcić. Miłością. A jak nie ma miłości, to jest grzech!

– Grzech dotyczy każdego – rzuciła babcia bez mrugnięcia okiem. – I nie rób mi tu osobistych wycieczek.

– A kto omawia moje życie seksualne?!

– A co mnie interesuje twoje życie seksualne?! Że postanowiłaś być rozwiązła...

Ewa miała dość.

Wstała od stołu i ruszyła na małą przechadzkę po ogrodzie. Po piętnastu minutach spędzonych wśród krzaczków malin powiedziała sobie w duchu, że każdy ma prawo do swojego zdania. Babcia może ją osądzać, w porządku, ale jej to nie interesuje. Ważne, że sama czuje do siebie szacunek i nie krzywdzi innych.

Ona nie krzywdzi, a Adam?...

– Ja się nie pozwolę w życiu zakrzyczyć i nie zamierzam być posłuszną dziewczynką – wypaliła po powrocie na miejsce. – Ale ty, babciu, widzisz tylko, że

ja robię coś złe. A Gryziewicz, niehonorowa świnia...

– Honorowej świni jakoś nie zdarzyło mi się spotkać – uściśliła dla porządku babcia. – I co, i co?

– Ta świnia mnie cały czas okłamuje.

– Czyli się znacie! – wypaliła z uciechą, w ogóle nie znajdując zrozumienia dla uczuć wnuczki. – Ja wiedziałam, że odstawiacie teatr. Że ktoś mi tu usiłuje wcisnąć kit.

– Owszem, facet udaje malarza, a jest zwykłym dentystą! – obwieściła triumfująco Ewa, czekając na wyrazy współczucia.

Ale się nie doczekała.

– Kim?!

– Dentystą.

– Dentystą?! A co ty masz do dentystów? Bardzo dobry zawód! – Babci od razu zaświeciły się oczy. – I wy w nocy naprawdę... Te dźwięki, więźba?... – zapytała z rosnącą nadzieją.

– Dobry zawód?! – Ewa się załamała. – Ty byś mnie opchnęła pierwszemu lepszemu Arabowi, byle tylko miał dostęp do ropy!

– Co ty wymyślasz, dziecko... Skąd ci się wziął Arab?!

– Już ja wiem, co wymyślam! Dentysta!

– A ma chociaż swój gabinet?

– Babciu!

– Co: babciu?... A ten twój Adaś to jest bardziej szczerzy od ciebie, tak przy okazji.

– Słucham?!

– Przecież wodzi za tobą oczami tak, że mu o mało nie wypłyną.

– Ale co to ma do rzeczy?

– To, że jest szczerzy, jeśli chodzi o uczucia. A ty nie jesteś.

– A muszę być?! – Wzburzenie omal nie odebrało Ewie mowy.

– Nie musisz. Ale ja cię tchórzostwa nie uczyłam. – Babcia wypowiedziała ostatnie zdanie niemal obrażona.

Ewie coś w środku skamieniało.

– Czy ja się dowiem, o co chodzi? Dlaczego moja własna rodzina jest przeciwko mnie?

– Może znajdzie jakiś mniejszy dzwon. Bo ten, w który uderzasz, jest ciut za duży... Chłopak nie ukrywa, co czuje – powtórzyła babcia twardo. – Nie boi się pokazać własnej słabości. A ty co? Gdzie ta twoja deklarowana odwaga?

Waleria Strzegomska naprawdę potrafiła dać się we znaki.

– I to ja jestem ta zła? Nie ten podły kłamczuch...

– A co myśmy twoim zdaniem zrobiły? – Babcia pokazała na dom. – Mam na myśli obiad, Klaudię, Monikę... W miłości jak na wojnie. Wszystkie chwyt

dozwolone. Znasz przysłowie?

– Nie chcę słuchać żadnych przysłów!

– Domyślam się. Ale kto ma ci powiedzieć prawdę, jak nie babcia? Miarą siły człowieka jest jego odwaga w pokazywaniu słabości...

– I kto to mówi!

Babcia bardzo się zasmuciła, wręcz w jednej chwili przybyło jej z dziesięć lat.

Nagle Ewa zobaczyła, że cała ta jej srebrzystość, ten wigor, klapki przypominające krokodyle – to było coś, co można wyłączyć, odsunąć na bok. A zostawała... Po prostu kobieta. Nieważne: dobra czy zła, złośliwa czy nie.

Zostawał ktoś nieprawdopodobnie jej bliski.

– Babciu, dlaczego ty mi to robisz...

– Widzisz, Ewunia, do tego dochodzi jeszcze i to, że wiedzieć to jedno, a robić, wprowadzać w życie, drugie. Ale wciąż nie tracę nadziei, że w końcu mi się uda. Słodka nie będę nigdy. – Babci zadrżała broda. – Ale słodko-kwaśne potrawy też nie są złe!

Ewa otarła oczy, a potem ze stokrotkowej wyspy pod krzeselkiem zerwała kwiatka o krótkiej i twardej łodyżce.

– Dzięki, babciu.

– Polecam się na przyszłość. I tak się nad tą przyszłością zastanawiam... – Chrząknęła, wędrując spojrzeniem w stronę domku, po czym wyciągnęła z książki starannie złożony papier. – List Matyldy, przepisałam, żeby nie zniszczyć.

– Dziadka nie ma. – Ewa już prawie doszła do siebie, choć rozmowa z babcią mocno nadszarpnęła jej nerwy. – Dzwoniłam, ale nie odebrał.

– Gdzie ten staruch się włóczy? – Babcia rzuciła pytanie w powietrze, ale była wyraźnie zaniepokojona.

– Nic nie mówił?

– Chyba żartujesz. Zrobił się taki ważny jak jakiś portier. Milczy i tylko operuje kluczami. Nie wiem, co mu odbiło. Tylko zamyka się i zamyka. Ta jego mania przechodzi ludzkie pojęcie. Może on już powinien iść do psychiatry?

Zachodzące słońce powoli robiło się pomarańczowe, powędrowało nad dachy i kominy, a wraz ze zmianą jego koloru wszystko dookoła zaczynało błyszczeć i wyglądać jak polane złotym, morelowym sokiem. Nawet włosy babci.

Ewa postanowiła działać.

– To może weźmiemy zapasowe klucze i tam zajrzemy?

Babcia nie podzielała jej entuzjazmu.

– Nie ma.

– Jak to: nie ma? Kluczy nie ma? Są. W klatce z królikami...

– Pod parapetem i za szklarnią w gumowcu – dokończyła. – Co ty myślisz, że nie pamiętam?! Nie ma. Dlatego mówię o psychiatrze. Twój dziadzius pochował

wszystkie klucze.

– Ale czemu?!

– Chyba chodzi o włamanie. Przestraszył się czy coś. I nawet na chwilę nie zostawia domku otwartego.

Ewa najpierw się nieco przejęła, a potem stwierdziła, że ma pewien przewrotny pomysł...

– Ale musimy tam wejść!

Babcia uważała dokładnie tak samo.

– Już nawet zastanawiałam się nad podkopem – wyznała wśród rechotu, który okazał się zaraźliwy.

– To by była jakaś myśl, tylko że domek ma podpiwniczenie i betonową konstrukcję – przypomniała Ewa, nagle rozpogodzona. – Ja chyba wiem, co możemy zrobić, ale to wymaga... Jak to było? Odwagi.

– I bardzo dobrze. Powinnaś ćwiczyć.

– Ale to będzie wymagało odwagi od ciebie, babciu.

– Nie muszę nikomu niczego udowadniać.

– A sobie?

– Moja krew... – Babcia teatralnie westchnęła, bo już zważała podstęp. Mina Ewy była wymowna. – Jak wy to mówicie? Manipulacja?

– Babciu, żadna manipulacja. Przecież mówię wprost, że chodzi o wyzwanie.

– Wyzywać mogę.

– Tak, wiem. WYZWANIE. Chodzi o to, że musisz się umówić z dziadkiem na randkę – dokończyła i uśmiechnęła się szelmowsko.

Babcia przyjrzała się wnuczce, jakby sądziła, że również powinna zostać przebadana. Lęki i natręctwa, paranoje, elektroencefalografia...

Pełna diagnostyka.

– Czy tobie w nocy od tych drgań nie uszkodziło się coś pod sufitem?

– To naprawdę ma sens!... I miało być bez osobistych wycieczek – upomniała.

– Sens? Chyba raczej bezsens.

– A kiedy ostatnio spędzaliście razem czas? – spytała Ewa, a w oczach babci pojawił się popłoch.

– Spędzaliście czas... Jestem z tym dziadem codziennie! Codziennie na niego patrzę. I cierpię. To mało?

– No, właśnie, jak się na kogoś codziennie patrzy, to się nie widzi.

– I co, mam niby pójść na... – Prychnięcie. – Randkę?! – Prychnięcie. – I zrobić z siebie pośmiewisko? I czemu to niby ma służyć? Co to w ogóle jest?!

– Babciu, posłuchaj. – Ewa usiłowała dojsć do głosu. – Chodzi o to, żeby ta randka odbyła się u dziadka.

– W tej norze?! Mam się wpraszać na randkę do graciarni?! Ty jesteś

naprawdę pomyłona!

– A jak tam inaczej wszystko obadać?

– Jesteś tam ciągle. – Babcia broniła się rękami i nogami. – Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Ale domkowi trzeba by się przyjrzeć z bliska. Na przykład przestawić łóżko, które dziadek przesunął...

– Ja mam przestawiać łóżko?!

– Czemu przestawiać? – Ewa złożyła usta w ciup. – Dziadek przestawi. Tylko trzeba go do tego zmotywować. A kto jak kto, ale moja babcia potrafi namówić każdego. Do wszystkiego...



Obraz wyglądał z bliska, jakby namalował go ktoś upalony.

I to głównianym towarem.

Baba na portrecie zaciskała zęby jak po wyjściu od proktologa albo jakby właśnie parła, ale przyczyna wysiłków pozostawała nieznana. W tych hemoroidalnych rojeniach przygrywał jej na piszczałce jakiś kozioł, w porównaniu z damulką w kapeluszu znacznie urodniejszy, przez co zyskiwało się przekonanie, że baba musiała być niezłą gangreną.

Kamil Kościkiewicz nie potrafił odróżnić gniota od arcydzieła, a nawet uważał, że im większy gniot, tym szanse na arcydzieło rosną, ale nawet on słyszał

o Witkacym – mieli podobne zainteresowania, wszak tworzyli inspirowani różnymi substancjami. Może Malczewski też do nich należał?

Oby portret okazał się jednak oryginałem.

– Strzała – rzucił przez telefon do Tomka.

Tomek był domorosłym malarzyną po katowickiej ASP, który wierzył, że swoim pędzlem niczym czarodziejską różdżką wyczaruje uznanie polskiego świata sztuki, przy czym ostatnio mu odbiło i zaczął coś bredzić o przekazie. Że tworzy nowy prąd, że jego dzieła niosą przełomowe treści, ble, ble, ble. Niech sobie chłopiec dorabia historie do pasztetu, niech z korniszona robi, jak to było... Konstruktor! Nie jego broszka. Ale oby to nie były początki schizofrenii. Musiał mieć w środowisku zaufanych ludzi, nie było go stać na utratę choćby jednego.

– Witanko, Pigularz! – zakrzyknął Tomek jakiś taki rozochocony, że Kościkiewicz nadstawił uszu.

– Co jest?

– Jest moc, zorganizowałem zamówienie.

– Na twoje bohomy?

– O moich bohomych jeszcze usłyszysz i gul ci stanie, że nie doceniłeś. Na Malczewskiego jest zamówienie!

– Ale jak na Malczewskiego? – Kościkiewicz poczuł przyjemny dreszcz i baba z portretu wyładniała. Ale nie za bardzo. Może po prostu cierpiała na przewlekłą sraczkę? – Na konkretnego Malczewskiego?

– Jeden dziany koleś powiedział, że chce kupić Malczewskiego. Nie określił się. Tylko napięprzał, że Malczewskiego podziwia, że się na nim wzoruje, takie tam. Możemy spróbować. Ma kasy jak lodu.

– Epidemia... No, nic. Czyli co? Sprzedajemy.

– A jak inaczej? Sprzedajemy.

– Jaką rzuciłeś cenę? – spytał, czekając w napięciu na odpowiedź.

– Jaką cenę?! Stary, nie puściłem pary z ust.

Czyli wszystko w porządku, Tomek się spisał.

– A ten facet to jakiś znawca tematu? Kto to w ogóle jest? Nie poleci do glin?

– Coś ty, dureń jakich mało. Wymyślił, że jak się będzie pasjonował sztuką, polecą na niego wszystkie dupy. Poznała nas Alicja.

– O, widzisz! – ucieszył się Kościkiewicz. Ta okoliczność wiele znaczyła. – Miło słyszeć, w takim razie odpadłaby nam część kłopotów.

– Właśnie, od razu tak pomyślałem.

Tak, Tomek w myśleniu był mistrzem.

To Kościkiewiczowi również odpowiadało, chłopak może i miał przerost ambicji, może w uwiecznianych kikutach rąk i nóg widział świeżość i artystyczny przełom, ale potrafił uszanować rękę, która go karmiła.

Nie śmiał myśleć samodzielnie.



Lipcowa noc górowała nad Dębem jak rozłożyste drzewo.

Drzewo o tylu splątanych gałęziach, o tylu liściach, konarach i soku płynącym pod powierzchnią, drzewo tak wielkie, że przysłaniało sobą prawie cały

widnokrąg. Ewa miała wrażenie, jakby pod wiszącymi nisko chmurami nie było nawet skrawka wolnego miejsca i jakby chmury chciały owinać każdy dżgający niebo komin. Przypominały watę cukrową. Czarną watę cukrową.

Znowu będzie burza?

Dźwięk telefonu zabrzmiał więc w tych okolicznościach niemal jak złowrogi grzmot.

– Pani Ewa Schneider? – usłyszała ciche pytanie i zastanowiła się, czy zna rozmówcę.

– A kto pyta?

– Komisarz Piotr Marchewka. Bardzo przepraszam za tak późny telefon... – tłumaczył się, zmieszany. – Ale dopiero teraz mam wolną chwilę.

– Nic nie szkodzi, jeszcze nie spałam – zapewniła. – Coś się stało?

– Dzwonię, żeby przekazać, że do pani dziadka w interesującym nas czasie były dwa telefony. W tym jeden od pana Adama... Kowalskiego. Może chciała pani wiedzieć...

Pewnie, że chciała!

– Bardzo dziękuję. A ten drugi telefon?

– Drugi numer jest już nieaktywny. Abonent nieznany.

Ewa poczuła się zagubiona.

– A co to może oznaczać?

– To, że pan Adam mówi prawdę, choć to ustalenie tak naprawdę go nie uniewinnia.

– Ale przecież...

– Proszę poczekać. Zadam pani teraz bardzo ważne pytanie. – Komisarz westchnął. Chyba miał za sobą ciężki dzień. – Załóżmy, że do pani dziadka dzwoni mężczyzna i na pytanie o Ewę pani dziadek odpowiada, że rozmówca dodzwonił się właśnie do biura obsługi firmy Tauron...

Aż poderwała się z łóżka.

– Tak?

– Czy to możliwe? Dodam, że nasza rozmowa ma charakter nieoficjalny, stąd ta późna godzina. Próbuję ustalać różne wersje i pani pomoc mogłaby wiele wnieść. Zapytam jeszcze raz. Czy taki przebieg zdarzeń wydaje się pani prawdopodobny?

Cóż, trzeba będzie się przyznać.

Ale jednocześnie Ewa poczuła ulgę!

– Panie komisarzu – zaczęła, czując, że zalewa ją wstyd. – Umówiliśmy się z dziadkiem, że kiedy na jego telefon zadzwoni jakiś... zalotnik i spyta o mnie, to znaczy, że dziadek ma go... Delikatnie mówiąc... sflawic. Wiem, że to dziecinada, ale to się zaczęło parę lat temu i jakoś trwa do dzisiaj. I faktycznie z rozpędu podałam Adamowi numer dziadka, nie swój.

- Aha, czyli pani potwierdza?
- Tak, potwierdzam. To bardzo możliwe. Nawet nie mogło być inaczej – dodała.
- Czemu w takim razie pani dziadek o tym telefonie nie wspomniał, ale twierdzi, że rozmawiał z panem Adamem o obrazie?
- A nie rozmawiali o obrazie?
- Pan Adam twierdzi, że takiej rozmowy w ogóle nie było. Kiedy zadzwonił, został... Jak to pani ujęła... Został spławiony.
- Zaraz, coś tu się nie zgadzało.
- Nie rozumiem. W takim razie czemu Adam temu wszystkiemu nie zaprzeczył, kiedy rozmawialiśmy z panem w ogrodzie?
- A to już proszę wyjaśnić z nim. – Komisarz zakaszlał i był to na tyle nienaturalny dźwięk, że Ewa złapała pierwszą lepszą kartkę i wielkimi wołami napisała:

SKĄD KMIOTEK MIAŁ MÓJ ADRES?!

- Wracając do pytania. – Marchewka nie przestawał drążyć. – Jak pani uważa, dlaczego pan Strzegomski nie wspomniał o rozmowie, w której udawał przedstawiciela firmy Tauron?
- Właśnie się nad tym zastanawiała.
- Skoro były dwa telefony i Adam przyznaje się do jednego, może po prostu mówi prawdę?
- Nie wiem. Mój dziadek ma początki sklerozy. Może po prostu nie pamięta, a dziwnym trafem kojarzy rozmowę, w której ktoś podszył się pod Adama? Inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Ten drugi telefon...
- Tak, przyznam, że również brałem to pod uwagę – rzucił.
- Ale jak do tego doszło i skąd ta osoba znała jego imię... Nie mam zielonego pojęcia.
- Cóż, ja również, ale to mi wystarczy. Bardzo dziękuję i przepraszam.
- Panie komisarzu! – Ewę poraziła pewna myśl.
- Przecież zostawało jeszcze upozorowane przez babcię włamanie do domku, a z komisarzem rozmawiało się jej zupełnie nie jak z komisarzem.
- Dziwne, ale odtąd zaczniesz chyba uważać, że policjanci to też ludzie.
- Tak? Chciałaby pani coś dodać?
- W tej sprawie mogę tylko powiedzieć, że nie wierzę, że Adam jest złodziejem. Natomiast, gdyby pan chciał wysłuchać innej historii... Ale też prywatnie, nie jako policjant...
- Czy ta historia ma związek z prowadzoną sprawą? – spytał Marchewka

dość konkretnym tonem, ale Ewa usłyszała w nim również i życzliwość.

– Chodzi o włamanie do dziadka.

– A, to słucham.

– Założmy, że... – zawiesiła głos. – Że w domku dziadka stoi pewien grat, który bardzo babci przeszkadza.

– Próbuję to sobie wyobrazić, choć nie bardzo wiem, co oznacza słowo „grat”. Mogłaby to pani sprecyzować? – poprosił.

– Prasa do owoców. Wielka i ciężka jak dobrze odżywiony hipopotam. Żeliwna. Własność dziadka.

– Aha. Tak, już to widzę. Prasa do owoców. Wielka i ciężka.

– I założmy, że dziadek nie chce się jej pozbyć, a babcia bardzo. I kiedy w nocy dochodzi do włamania i kradzieży obrazu, a dziadka nad ranem jeszcze nie ma...

– Babcia postanawia skorzystać z okazji – odpowiedział komisarz.

– Dokładnie tak. Tylko że nie ma wprawy w dokonywaniu przestępstw i po wszystkim zamyka za sobą drzwi kluczem.

– Oczywiście. Kluczem.

– I... I co pan na to? – spytała z obawą.

– Powiedzmy, że akurat w tej kwestii śledztwo może być długie i żmudne. – Po chwili milczenia padła rezolutna odpowiedź.

Kochany!

– Bardzo długie i bardzo żmudne? – podchwyciła Ewa, wysyłając przez anteny nadawcze całe morze sympatii.

– Wie pani, jak jest. Mamy mnóstwo roboty, a mało pracowników... Słowem, szanse są spore.

– Ale złodzieja obrazu postara się pan złapać?

– Ma pani moje słowo – zapewnił Marchewka i niemal można było zobaczyć, że komisarz salutuje.

– Bo na tym obrazie jest moja prababcia, mama babci. Adelajda Piekarska. Osobiście jej nie znałam, ale babcia...

– Tak, wiem. Rodzina jest najważniejsza – potwierdził Marchewka już zupełnie miękko i Ewa pomyślała, że na jutrzejszą kolację ugotuje sobie marchewki z masłem i bułką tartą.

– Bardzo dziękuję.

– Bardzo proszę.

– Jeszcze jedna rzecz mnie martwi. Ale to już chyba bezczelność... – Ewa naprawdę się zawahała. Może gdyby za oknem nie wisało tyle chmur i gdyby w powietrzu znowu nie unosiło się to męczące napięcie, nie odważyłaby się odezwać. – Bo tak się składa, że do naszej rodziny chce wejść pewna osoba. Jej mąż zginął w dziwnych okolicznościach. Gdyby pan zerknął do akt... Nie proszę,

żeby mi pan zdradził tajemnicę śledztwa, w żadnym razie, ale gdyby mógł mnie pan uspokoić. Tylko uspokoić... Przepraszam.

- W porządku. Poproszę dane osoby. Ale nic nie obiecuję – zastrzegł.
 - Z tym, że mam tylko imię, nazwisko i adres zamieszkania. Wystarczy?
 - Może być ciężko, nie ukrywam. Najlepszy byłby numer PESEL.
- Ewa się zmartwiła, ale zaraz potem przypomniała sobie o numerologii. Okazuje się, że z liczb rzeczywiście można wiele wyczytać.
- Mam datę urodzenia!



Andrzej Strzegomski wyglądał w swoim nowym sportowym stroju jak młody wilk.

A raczej jak stary wilk – bo jeśli są młode wilki, dlaczego miałyby nie być starych? I jarych. W lesie jest przecież miejsce dla każdego. Owszem, można uznać, że życie kończy się w dzień siedemdziesiątych urodzin, i jeszcze tego samego dnia szukać trumny. Można również strzelić sobie nobliwy cmentarny portrecik i być na bieżąco z cenami granitu. Jeśli ktoś koniecznie chce przypieczętować własną śmierć, można. Można wiele rzeczy. Ale można też każdego dnia myśleć, że zaczyna się nowy dzień i tyle. Albo aż tyle. Można przeżyć każdy nowy dzień i się nim cieszyć, nie myśleć o cholernym reumatyzmie – albo myśleć pomimo niego.

Słowem można się koncentrować na życiu.

Pan Andrzej wypił paskudne ziółka, przekąsił własnoręcznie wyhodowanego pomidora, a taki pomidor smakuje jak włoska poezja erotyczna, po czym dał sygnał Bombie.

– Chodź, moja ty przebrzmiała myśliwska nadziejo... Twój pan zaczyna uprawiać jogging. Jogging, rozumiesz? Idziemy się zaprezentować w nowym stroju.

Dres był szary, z bordowymi paskami po bokach, ekspedientka w sklepie sportowym dobrała do niego „oddychającą” bordową koszulkę i bardzo wygodne buty. Też oddychające, cokolwiek to znaczyło. Ich biel była (może od nadmiaru tlenu) niepokalana, świetlista, nawiązywała kolorem do jego włosów i krocząc tak odmieniony przez podwórko, pan Andrzej wiedział, że wygląda naprawdę nieźle – nie przeszkadzał mu nawet brzuch.

– O, Matko Boska Piekarska! – Walerka stanęła w progu z siatką na zakupy. W jej oczach odmalowała się trwoga.

Od razu poprawił mu się od tego nastrój.

– Czyś ty zdurniał?! – Po kolei obejmowała wzrokiem bluzkę, spodnie, buty...

I zaczęła głośno... oddychać.

– Co, podoba się? – Wsadził ręce do kieszeni i wystawił przed siebie nogę.

Żywiłowy senior na wybiegu raz.

Voilà!

– A gdzieś ty się tak wystroił? Jak stróż w Boże Ciało!

– W Boże Ciało chodzi się w dresach? Nie wiedziałem. Idę się trochę poruszać – dodał z uciechą.

Ale Walerce nie było wesoło.

– Gdzie?! – Z lękiem spojrzała za płot. – Chcesz się tak pokazać ludziom?!

– Chyba nie małpom. Chociaż niektóre twoje kumy...
– Andrzej, ty się chyba z Mietkiem Hajdukiem na rozum zamieniłeś. Opanuj się! Tak chcesz wyjść na ulicę?!

– Ale o co ci chodzi, kobieto?

Zaczynał się już denerwować. Dres to przecież nie kałesony. Walerka, niby taka nowoczesna kobieta, a jak przyjdzie co do czego, zachowuje się jak Dulka.

– Przecież ten twój bandzioch... Przecież masz wszystko na wierzchu! – wykrztusiła z siebie, zerkając na różne szczegóły jego anatomii.

– Tak, mam brzuch. Ty nie masz? – Chciał ją poklepać, dotknąć, cokolwiek, ale odskoczyła jak oparzona.

To nie było miłe.

– Brzuch? To się nie nazywa brzuch, to się nazywa BĘBEN! – oceniła bezlitośnie, a na jej drobnej twarzy pokazała się odraza.

Tak, wsparcie żony.

Ale czego oczekiwał?

Że Waleria go uściska i pochwali?

– Właśnie tak, wyobraź sobie, że idę... pokazać ten bęben twoim sąsiadkom – oznajmił. – I chcę ci powiedzieć coś jeszcze. Otóż nie gotuj już dla mnie obiadów, wczoraj dosypałaś do mojego jedzenia soli...

– Co?!

– Sól. Dosypałaś do mojego rosółu, do ziemniaków i do surówki tony soli. Wiem, bo próbowałem z twojego talerza i mam porównanie. Gratuluję, widzę, że postanowiłaś truc własnego męża. Dlatego od dzisiaj będę gotował sobie sam – powtórzył.

Oczy Walerii robiły się coraz większe i coraz wścieklejsze, widać było, że chce coś powiedzieć i na pewno nie było to błogosławieństwo, ale ostatecznie szarpnęła siatką, trzasnęła drzwiami i na pożegnanie warknęła:

– Idę do sklepu. Rób, co chcesz! Stary dziwak...

Z tym gotowaniem musiało ją niezłe zabołoczyć, świadczył o tym już fakt, że nie wybuchła, ale znał swoją żonę.

Pokuta będzie długa i dotkliwa.

– Hej! – Z głębi domu dobiegł go zaspany głos Ewy. – Jest tam kto?!

– Ja jestem! – odkrzyknął, wspinając się po schodach. – A ty nie w szpitalu?
– Powitał wnuczkę dość wesoło, ale już stracił rezon.

Złość jest jednak podstępna i bardzo, bardzo zaraźliwa.

– Dzisiaj mam wolne. O! – Wnuczka na jego widok wyskoczyła z pościeli. – Dziadku, wyglądasz szałowo. Skąd to wytrzasnąłeś?!

– Kupiłem. Wczoraj.

– Bomba!

Przez okno dobiegło ich wesołe szczenięcie.

– To nie do ciebie! – krzyknęła Ewa i z rozmachem odsunęła firankę. – Rewelacja! I co za kolor. Malinowy, no, no...

– Babcia jest innego zdania. Twierdzi, że z moim brzuchem powinienem wychodzić co najwyżej do piwnicy – dokończył niezbyt optymistycznie i zaraz zbeształ się w myślach.

Nie chciał, żeby i Ewa zaczęła ten dzień od czarnowidztwa.

– Przecież wiesz, że babci trudno dogodzić. A w praktyce to jest wręcz niemożliwe.

– O to, to.

– Dlatego trzeba robić swoje, po prostu. – Wzruszyła ramionami.

– Idę pobiegać. To znaczy, taki miałem zamiar...

Owszem, trzeba robić swoje, tak sobie powtarzał, ale we wnętrzościach czuł coraz większy ucisk. Zupełnie jakby połknął kamień.

– I chyba nikt nie lubi, kiedy zmienia się jego najbliższa osoba. – Ewa naciągnęła na siebie szlafroczek, po czym uśmiechnęła się pokrzepiająco.

– Ja bym chciał, żeby babcia się zmieniła.

– Ale nie wszyscy lubią zmiany. Babcia na pewno nie lubi, chociaż wygląda, jakby lubiła.

Westchnął.

I chociaż czasem skarżył się wnuczce, to jednak zawsze pilnował, żeby z tymi narzekaniami nie przesadzać.

– Właściwie, to bym chętnie poczytał w komputerze o bieganiu – stwierdził, zmęczony. – Jak to robić, żeby było dobrze. Bo chyba nie można przeszarżować... Boguś wszystko sprawdza w sieci. Tak mówi. Sieć. Czyli Internet.

– A wiesz, że to bardzo dobry pomysł – ucieszyła się Ewa. – Mój laptop jest u babci, w pokoju. Ja wezmę prysznic, poradzisz sobie?

– Boguś mi pokazywał, jak wpisywać w Goglach...

– Google.

– Jak zwał, tak zwał. Ale nie mam okularów, nie przeczytam – zatroskał się nagle.

– Ale babcia ma, pewnie leżą gdzieś przy łóżku. Sprawdzisz?

Pomysł może był i dobry, ale finał okazał się tragiczny.

Kiedy Andrzej Strzegomski zasiadł przed laptopem, doznał wstrząsu.

Ze zgrozą wpatrywał się w to, co wyświetliło się na ekranie, a na ekranie wyświetlił się Heniek Mańkiewicz. Jego dawny kumpel z wojska. Poznał go od razu, mimo że Mańkiewicz miał teraz trzy razy większy brzuch od niego i był prawie łysy. Tylko przy uszach, zresztą nienaturalnie wielkich i czerwonych, jak jakieś spleśniałe muchomory, sterczały mu resztki poźółkłych kłaków.

Ale obleśny uśmiech został na tej nalanej gębie ten sam.

– nk? Co to jest nk? – Andrzej zamyślił się nad napisem w górnym lewym

rogu, a kiedy już napatrzył się na łysinę Heńka (nigdy nie lubił Mańkiewicza, zawsze ślinił się na widok Walerii), coś go podkusiło i kliknął w małą, podświetloną na niebiesko kopertę, na której widniała cyfra 6.

– *Zapraszam Cię na kolację...* – przeczytał i zrobiło mu się słabo.

Czy dobrze rozumiał?

Ta tłusta świnia miała czelność zapraszać gdzieś jego żonę?!

– *Nie widzieliśmy się tyle lat, u mnie wielkie zmiany... Tamtego lata zmarła moja Sabina... BARDZO CHCIAŁBYM CIĘ ZOBACZYĆ?!*

O co tu, do cholery, chodzi?!

Poczta, Wyświetl wszystkie...

Z korytarza dochodziły odgłosy zażywanej przez Ewę kąpieli, a Strzegomski czuł się, jakby był piecem wysokociśnieniowym. Takim, który właśnie się zepsuł. Przegrzewały mu się wszystkie styki, rury stukotały, poza tym miał dziwną pewność, że zaraz eksploduje i narobi poważnych szkód. Zaczął więc spuszczać powietrze.

Oddychał miarowo, bez pośpiechu i tak zastała go Ewa, kiedy zajrzała do pokoju z głową owiniętą ręcznikiem.

– Robię sobie maseczkę na włosy. Z oleju kokosowego, powinienś spróbo... Dziadku! Co ci jest?! – Widząc, że ledwo zipie, dopadła go i zaraz poszukała pulsu. Była poważnie przestraszona. – Możesz oddychać?

– Tak, już dobrze – uspokoił ją, ale wiedział, że Ewa tak łatwo nie odpuści.

Pewnie zaraz pobiegnie szukać ciśnieniomierza.

– Zaraz zmierzmy ci ciśnienie. Żebyś się stąd nie ruszył...

– Ewa! Poczekaj. Zobacz. – Wskazał na ekran, a potem odwrócił wzrok.

– Co to za dziadyga? – Ewa usiadła przed laptopem, a jego usadziła na łóżku.

– Znajomy z wojska. Wspólny znajomy, mój i babci. I on... Wejdz w kopertę – powiedział bardzo cicho, gdyż właśnie poraziła go pewna myśl.

A jeśli to nie pierwszy raz?

Może Waleria dlatego była tak oschła, bo flirtowała w tym komputerze z kim popadło?... I co jeśli rogi nad jego łóżkiem, rogi, z których jest tak dumny, co jeśli te rogi to najzwyklejsza przepowiednia?!

– Bardzo chciałbym cię zobaczyć?! – przeczytała Ewa, a w jej chropowatym głosie zawibrował niesmak. – Wielkie zmiany, bo mu zmarła żona? Przaśne. Niezłą ma facet hierarchię eventów. Co to w ogóle jest?!

– Obawiam się, że to jest dowód zdrady...

Ewa parsknęła śmiechem.

– Dziadku, proszę cię. Babcia i zdrada?! Nie spójrzałyby w oczy proboszczowi, przestań. I jaka zdrada? W tym wieku?!

– Ale dlaczego Mańkiewicz, ja się pytam. Dlaczego ON?! – krzyknął

z rozpaczą.

Właśnie to gryzło go najbardziej.

Zrozumiałby Staszka Wiśniewskiego, widział go tydzień temu, chłop jak dąb, nie posunął się nawet o centymetr. No, o centymetr może i tak, ale chodził wyprostowany, elegancki, Waleria zawsze dawała mu go za przykład.

Ale Mańkiewicz?

Czyli co, on jest już gorszy nawet od Mańkiewicza?!

– Dziadku, opanuj się! Babcia by cię nie zdradziła, zresztą tu możesz zobaczyć, co odpisała.

– Gdzie?!

– Poczekaj, zaraz przeczytam. – Wnuczka doszała się do monitora, po czym na jej twarzy pojawiło się tyle uciechy, że jednak postanowił nie upadać na duchu. Może nie wszystko stracone? – Ale numer! Tak jak myślałam. Boże, moja babcia jest wielka! Posłuchaj... *Cześć Heniu...*

– Heniu! Widzisz, jak mu słodzi?! A ja to jestem Andrzej albo stary dziad...

– Bo sobie pozwalasz. – Ewa przerwała czytanie, ale w jej orzechowych oczach wciąż błyszczał uśmiech.

– Słucham?

– Bo pozwalasz się obrażać. Dajesz babci za dużo praw, a sobie za mało – wyjaśniła jego mądra dziewczynka, zupełnie bez drwiny, za to spokojnie i z troską, aż do niego dotarło.

Prawda.

Myślał, że jak da z siebie wszystko, tyle samo otrzyma w zamian. I znowu dochodził do znanej mu konkluzji.

Plus i minus.

Dwa bieguny.

– Czytaj, czytaj...

Ewa pozbyła się ręcznika, zabawnie zmarszczyła nakrapiany piegami nos i kontynuowała:

– *Cześć, Heniu. To przykre, że wielkie zmiany są u Ciebie związane ze śmiercią małżonki. Bardzo Ci współczuję. Tym bardziej, że u mnie, na szczęście, wciąż brak zmian i mój kochany mąż, dobrze Ci przecież znany Andrzej, jest cały i zdrowy, a nawet tak zdrowy, że gdyby przeczytał Twoją wiadomość, to tych zmian miałbyś w życiu więcej, bo połamałby ci wszystkie żebra...*

– Tak napisała? Kochany?!

Ewa trzęsła się ze śmiechu.

– A jak miała napisać, przecież to prawda! Jesteś kochany.

– Ale że Walerka tak o mnie napisała... – Wciąż nie mógł uwierzyć. Co za ulga, w ciągu tych kilku chwil dosłownie zawalił mu się świat! – Przeczytaj jeszcze raz, od początku, albo daj, sam przeczytam. – Stał wyprostowany.

Energia znowu mu wróciła!

– Proszę cię bardzo. – Ewa wpuściła go przed monitor. – Widzisz, niepotrzebnie się martwiłeś. Tak to właśnie jest z podglądaniem. Albo z czytaniem czyjejs korespondencji. Gdzieś dzwonią, ale w jakim kościele i za jaki sznurek pociągają, nie wiadomo. A głupio zapytać.

I wtedy wnuczka uświadomiła mu coś jeszcze.

– Nie chcę nic mówić, klóćcie się od lat i tak naprawdę nie wiadomo, kto zaczął, po co i dlaczego... Ale gdybyś tak TY, dziadku, zaprosił babcię na randkę, to co?

– Nie rozumiem.

– Co by się stało? Gdybyście olali te wasze przepychanki i po prostu dobrze się ze sobą bawili? Bez wyklócania się o każdy drobiazg, bez wypominania. Tylko jeden wieczór. I czy to jest reguła, że im człowiek ma więcej lat, tym mniej w nim radości? Może właśnie na tym polega proces starzenia? – Ewa zadała ostatnie z pytań, jakby wcale nie licząc, że ktoś jej odpowie, i podeszła do drzwi. – A propos. Poproszę o twój aparat, bo muszę oddać go do serwisu.

– Zaraz przyniosę.

– I zapraszam na naleśniki.

– Dziękuję, Ewuniu, ale idę biegać! – oznajmił, poprawiając wąsa. – Chyba muszę być na czczo.

– Czczo – potwierdziła. – Dobra, to niech ZUS będzie z wami.

– I z KRUS-em twoim. – Zarechotał i zerknął na swoje nowe buty.

Owszem, można uznać, że życie kończy się w dzień siedemdziesiątych urodzin, i jeszcze tego samego dnia szukać trumny. Można również strzelić sobie nobliwy cmentarny portrecik i być na bieżąco z cenami granitu. Jeśli ktoś koniecznie chce przypieczętować własną śmierć, można. Można wiele rzeczy. Ale można też każdego dnia myśleć, że zaczyna się nowy dzień i tyle. Albo aż tyle. Można przeżyć każdy nowy dzień i się nim cieszyć, nie myśleć o cholernym reumatyzmie – albo myśleć pomimo niego.

Słowem można się koncentrować na życiu.



Nigdy by na to nie wpadła, że w wieku dziadka można szaleć z zazdrości.

Ale widocznie w każdym wieku można.

Ciekawe.

Dziadek wyglądał na wstrząśniętego rzekomą zdradą; widząc, jak bardzo zbladł, Ewa nawet bała się, że trafi do szpitala. Na szczęście obrót okazał się półobrotem, a nawet fikołkiem. Babcia dała czadu i absztyfikanta pogoniła. I to w jakim stylu!

Ale w miłości jak na wojnie – jeszcze dzisiaj słyszała słowa babci i musiała się z nią zgodzić. Adam rzeczywiście nieco mijał się z prawdą ale chwile bliskości

między nimi były porażająco szczere i może nie powinna się czepiać. W końcu to ona wyraziła nadzieję, że nie jest lekarzem.

Tylko kiedy ten pacan się przyzna?!

I skąd miał jej adres?

Nieco podniesiona na duchu, ruszyła do miasta. Przed spotkaniem z Klaudią musiała załatwić pewną niecierpiącą zwłoki sprawę, choć obawiała się, że nie będzie łatwo.

Facet w punkcie dorabiania kluczy na widok odcisku w maśle zbaraniał.

– Pani sobie chyba żarty stroi?

– Proszę pana, to jest łaciate. – Pokazała na masło tak, jakby prezentowała w korporacji jakiś ważny raport. – A to są dwie stówy – dodała, kładąc obok pieniądze.

Chudy blondyn o nosowym głosie odwrócił z niechęcią wzrok.

– Proszę mnie nie obrażać. Z wycisków nie robimy.

Ewa znowu sięgnęła do portfela, do którego przed wyjściem wsunęła jeszcze trzysta złotych.

W miłości jak na wojnie.

Albo jak na katowickim targu – dodała w myślach, zerkając na Rynek.

– Panie Krzysztofie – spojrzała na szyld, skąd odczytała imię i nazwisko – błagam pana. Więcej nie mam – oświadczyła z żarem, dokładając ostatnie banknoty. – Muszę mieć ten klucz. Muszę!

Facet z przerośniętym migdałkiem coś tam gmerał w swojej szmelcowni, coś wycierał szmatką, ale na pieniądze nawet nie spojrział.

– Od tego zależy szczęście mojego brata. Proszę zrozumieć! Czy wyglądam na złodziejkę? – Otworzyła szeroko oczy, które w takim wytrzeszczu wyglądały jak prażone orzechy w czekoladzie, i dopiero wtedy facet zmiękł.

Jednak nie do końca.

– Najlepsi złodzieje nie wyglądają na złodziei. Właśnie na tym to polega.

– Ale teraz najlepsi złodzieje w ogóle nie pokazują twarzy. Kradzież elektroniczna. Komu by się chciało dorabiać klucze? I po co? Żeby wynieść ze stołowego telewizor? – Tu pomyślała o wyniesionym z pokoju babci Malczewskim i głos się jej załamał.

Facet wywrócił oczami.

– Pani weźmie tę forszę. – Pokazał na blat. – Dwieście wystarczy.

W ten oto sposób po niecałych piętnastu minutach ścisnęła w rękę klucz do Sezamu, który zamierzała otworzyć. I miało to nastąpić szybciej, niż sądziła, bo ledwie wyszła na Warszawską, zadzwonił Marchewka.

– Pani Ewo, miałaby pani chwilę?

– Nawet dwie.

– To może się spotkamy? Gdzie pani jest?

– Stoję na Rynku, w Katowicach – powiedziała, kręcąc się w koło.

Rynek bardzo lubiła, a ilekroć się na nim znalazła, usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądał przed wojną. Jak czuli się tamci ludzie, starannie ufryzowani, spacerując po wielkim placu zastawionym rzędami kamienic, które dziś żyły tylko na pocztówkach: niewyraźnych, malowanych sepią. Czy mieli świadomość przemijania? Nie sądziła. Każdy i w każdej chwili na Rynku, pchlim targu czy na Forum Romanum myśli, że będzie trwać wiecznie.

Dzisiejsze budynki tonęły w ostrym świetle lipcowego słońca.

– A ja utknąłem na Wojewódzkiej. Może pani na mnie zaczekać w Chopinie?

– Tym tutaj?

– Tak, w Rynku, przy kwiaciarkach. Dziesięć minut.

Ewa zamówiła tort orzechowo-czekoladowy (jakżeby inaczej), usiadła na zewnątrz i przez moment cieszyła się nową aranżacją placu. Cholera, było tu naprawdę ładnie. I zielono, i pomysłowo, i...

– Dzień dobry, mam nadzieję, że nie pokrzyżowałem pani planów? – Marchewka, dziś nawet wesoły, odsunął delikatnym ruchem krzeselko i usiadł.

Na jego twarzy, jak rodzyнки w serniku, odznaczały się piegi. Ale nie było ich wiele, w tej konkurencji Ewa wygrywała prawie z każdym.

– Dzień dobry, nie pokrzyżował pan. Mam pół godziny, potem widzę się z koleżanką.

Komisarz zamówił u kelnerki szarlotkę i spróbował się uśmiechnąć.

– Pół godziny będzie w sam raz – zapewnił. – Zajrzałem do akt sprawy, o której wczoraj rozmawialiśmy...

– Tak szybko?

I niech jej ktoś powie, że policja działa opieszale!

– Tak, bo skojarzyłem, że znajomy o niej opowiadał. I... – Marchewka zawiesił głos, a potem przyjrzał się swojej rozmówczyni, jakby poznał ją tuż przed chwilą.

Miał nieduże, ale bystre oczy.

Ewa od razu wyczytała z nich poczciwość.

– I? Coś tam pan zobaczył? Coś niedobrego?

– Nie to, że niedobrego... Ale mówię pani o tym zupełnie prywatnie – dodał.

– I tylko dlatego, że jest pani znajomą Adama.

– Jakiego Adama?

– Yyy... – Znowu to wahanie.

A może Marchewka gryzł się właśnie w język?

– Gryziewicza? – Posłała mu więc znaczący uśmiech, ale nie dał się podejść.

– Adama – powtórzył.

– Czyli panowie się znają?

Westchnienie i dziabanie widelczykiem w szarlotce.

Twarde policyjne psy nie grzebią w szarlotce, o nie, w szarlotce grzebią płoche panienki. Marchewka coś ukrywał.

– A może po prostu pan jest jego pacjentem? Proszę się uśmiechnąć – zażartowała, ale komisarz dziwnie się spłoszył i... przeplukał zęby kawą!

– Coś nie tak z moim uzębieniem?

– Próchnicy w uśmiechu jeszcze nie potrafię rozpoznać. Ale kłamstwo już tak.

– Pani Ewo, nie mam powodu pani okłamywać – zapewnił i Ewa wiedziała, że policjancik jest w swoich intencjach szczerzy.

– Pan nie, ale Gryziewicz udaje malarza i myśli, że jestem idiotką – oznajmiła lekko, ale torcik i tak zdążył stanąć jej w gardle.

Tak, będzie to wszędzie rozgłaszać, może ten bęcwał w końcu coś postanowi!

– Przepraszam, ale to już wyjaśnijcie państwo między sobą. – Marchewka nieco się uniósł, ale po chwili wrócił do swojej zwykłej zdawkowości. – Teraz śmierć Bogdana Brzeżko... Pani Monika w noc tragedii była w pubie Kato, na Mariackiej. Potwierdziło to pięć niezależnych od siebie osób. Tak że mogę panią zapewnić, że nie miała z tą śmiercią nic wspólnego.

– Nic? – Ewie udało się jednak nie pokazać zawodu.

Ale kosztowało ją to przemieszczenie wątroby.

I ból za mostkiem.

– Nic – potwierdził policjant.

– A jej syn? Była z synem w Kato?!

– Syn państwa Brzeżko przebywał wtedy u babci, czyli u teściowej pani Moniki.

– Już wtedy go podrzucała?

Kukułka cholerna.

Ale jak to NIC?!

– Słucham?

– Nic, nic – zapewniła szybko. Tylko że na dnie było coś jeszcze, Ewa doskonale to czuła. – A ten Bogdan Brzeżko...

– Jeden z naszych najlepszych oficerów. Naprawdę duża strata.

– Proszę?

Co ten Marchewka wygadywał?

– Mąż Moniki był policjantem?! Ale mnie pan zaskoczył – wyznała, potężnie zdziwiona.

– Nie wiedziała pani?

– Skąd! Nawet nie wiem, czy mój brat wie. On jest aktualnym narzeczonym... pani Brzeżko.

– Aha. Tak, był policjantem, i to wyjątkowo zdolnym. Nawet chyba za zdolnym.

– I dlatego umarł? Czyli to nie było samobójstwo?

Marchewka podniósł znad szarlotki oczy pełne wyrzutu.

Czyżby znowu wchodziła w jakieś zakazane policyjne rewiry?

– Niestety, nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Słyszałam, że było dwóch świadków tego rzekomego samobójstwa i że oni też targnęli się na swoje życie. Jak w ogóle można być świadkiem samobójstwa?!

Zupełnie tego nie rozumiała, ale Marchewka nie tracił cierpliwości.

– Można. Brzeżko cierpiał na depresję i feralnej nocy pił z kolegami. Mówił, że ma dosyć, że nie może się dogadać z żoną...

– Z nią mało kto potrafi się dogadać.

– A potem Brzeżko odkręcił gaz – kontynuował beznamiętnie Marchewka. W jego oczach zagościł smutek, choć starał się to ukryć.

– I ci koledzy tam z nim byli?

– Podczas zdarzenia nie. Ale później przyjechali, bo nie mogli się do niego dodzwonić – wyjaśnił, a potem chyba uznał, że mówi za dużo.

– Panie komisarzu, sąsiedzi wiedzą wszystko, niech się pan nie przejmuj – pocieszyła go. – Wiem też, jak ci kumple zginęli. Skok do rzeki i wypadek samochodowy. Zgadza się?

Marchewka zbladł do reszty, a piegi na jego perkatym nosie zyskały wręcz brązową barwę.

– Tak, wciąż nie jest łatwo przyjmować śmierć kolegów...

– Czyli oni też? – Ewa podchwyciła. – To też policjanci?

– Owszem, pracowali we trójkę nad ciekawą sprawą...

– Niech zgadnę, do dzisiaj nie została rozwiązana?

Marchewka milczał.

Ale przytrzymał jej wzrok.

– I nie zdradzi pan, czego ta sprawa dotyczyła?

– ...

– Jasne. – Uśmiechnęła się i upiła kawy. Torcik był wyborny, jednak kawa niekoniecznie. Ewa wolała odmiany mniej kwaśne w smaku. – Podsumowując...

Uważa pan, że tych trzech samobójstw nie było?

– Oficjalnie nic nie mogę uważać. – Marchewka również sięgnął po filiżankę, głęboko się zamyślił i tym razem płukanie zębów kawą zyskało wręcz wydźwięk metafizyczny.

Ale samobójstwo Bogdana Brzeżko było bardziej fascynujące.

– Znaczący prokuratura wszystko umorzyła?

– Tak.

– Czyli załatwił ich ktoś, kto ma związek ze sprawą, nad którą pracowali.

Proste – stwierdziła stanowczo Ewa i to Marchewkę poruszyło.

W końcu miał przed sobą członka społeczeństwa, który nie godził się na nikczemność.

– Proste – niezbyt ochoczo przytaknął. – Ale i skomplikowane, ponieważ sprawy nie można ruszyć.

– Czyli... – zaczęła Ewa, a Marchewka dosłownie wpił się w jej usta spojrzeniem. – Czyli ten ktoś ma niezłe wtyki i kręci prokuraturą.

Marchewka drgnął nerwowo, ale na Ewę patrzył już w inny sposób. Jak na kogoś, kto wyraża jego własne zdanie. Albo jak na wyrocznię delficką, czy tam katowicką.

– Pani Ewo... – sapnął, a jego drobne ramiona sflaczały, jakby spadł z nich wielki ciężar.

– Co robić, taka Polska.

– Ale Polska wcale nie musi taka być. A już na pewno nie powinna taka być – dodał całkiem przybity, kiedy Ewa włożyła rękę do kieszeni plecaka i odnalazła klucz.

Sezamie, otwórz się!

Chętnie pogadałaby z Marchewką dłużej, nie wiadomo, do jakich wniosków by doszli, ale w plecaku wyczuła coś jeszcze – wibrujący telefon. To Klaudia zawiadamiła, że jest na miejscu. Ewa zaprosiła ją więc do Chopina i po chwili wymienili się przy stoliku z jej rozmówcą.

– Bardzo miły pan – stwierdziła Klaudia, odprowadzając wzrokiem komisarza, który stanął przy fontannie, zapatrzył się w kaskady wody, a potem pogrzebał w zębach i ruszył slalomem między małymi, kulistymi drzewkami porastającymi część placu.

– Komisarz policji, owszem, bardzo miły pan Marchewek. A właściwie Piotrek Marchewka.

– Komisarz policji? – zdziwiła się Klaudia i Ewa postanowiła ją wtajemniczyć w ostatnie wydarzenia.

– To macie wesoło – podsumowała koleżanka, której najbardziej spodobało się zniknięcie portretu prababci.

A że z portretem wiązała się postać Gryziewicza, Klaudia usłyszała kolejną historię, tym razem z podtekstem romantycznym.

Była wniebowzięta.

– Ale to wspaniałe!

– Znaczy co, za przeproszeniem, jest wspaniałe? – Ewa się zjeżyła.

Czyżby to, że zabiegał o nią facet przebierający się w malarskie kiecki? A pod tymi kieckami nie miał jaj?

– Tyle się dzieje... – Klaudia z lubością wystawiła policzki do słońca, które ochoczo skorzystało z zaproszenia i zmieniło jej twarz w drgającą świetlistą plamę.

– Zawsze tego ludziom zazdrościłam. Ruchu. U mnie nigdy się nic nie dzieje.

– Za dużo niedobrze, za mało też źle. Słodzisz?

– Odstawiłam cukier. – Klaudia zamrugała oczętami i wróciła na ziemię.

Przed nią stała filiżanka zwieńczona apetyczną pianką.

Niezły początek dnia.

– Słusznie. U nas wszyscy przeszli na miód – poinformowała Ewa, która prawie zawsze była gotowa rozmawiać o zdrowiu.

– Za to mleczę. Ale rozważam, czy w ogóle nie przestać. Mleko jest dobre dla cieląt. Widziałam wyniki badań związane z mlekiem UHT.

– Ja też!

Kolejny kwadrans upłynął im na miłej wymianie zdań związanych z kazeiną i antybiotykami aplikowanymi zwierzętom w hodowlach, po czym Klaudia przeszła do konkretów.

– Ewa, ja zupełnie nie wiem, co dalej – wyznała, pokazując tyle szczerzej bezradności, że Ewa poczuła się rozbrojona.

– Mówisz o moim braciszku?

– Tak. Umówiliśmy się, że pomoże mi zaplanować remont. I co? Mam do niego dzwonić? I kiedy? Najchętniej zadzwoniłabym teraz, ale on może pomyśleć, że się narzucam. – Poprawiła fałd spódniczki.

Strasznie musiała być w Pawle zakochana.

Ewa wpakowała sobie do ust kawałek tortu, odnotowując przy okazji, że ostatni kęs w zasadzie nie ma smaku.

Przyjemność trwała o wiele za krótko.

– Zaraz do niego pojedziemy.

– Zaraz?! – Klaudia była ucieszona i spłoszona jednocześnie.

– Pewa, że jacha. Dopijemy kawę i pędzimy na Tysiąclecie. Muszę od niego odebrać rysunek.

– Ale, co powie Paweł, jak mnie zobaczy?

– Hejka? Cześć mała, perwersyjna pensjonarko? – Ewa zachichotała. – Skąd mam wiedzieć, co powie.

– Ale to nie wyjdzie głupio? – Klaudia wciąż miała opory.

– Wbijasz mu się na chatę sama czy z jego ukochaną siostrą? I nie na chatę, tylko do biura.

Ewa ostentacyjnie odstawiła filiżankę i wyszczerzyła zęby, a Klaudia zrobiła taką minę, jakby chciała co najmniej wyznać, że bzyknęła Gryziewicza. Na taką myśl Ewa znowu poczuła, jakby miała jej pęknąć nabrzmiąta od żółci wątroba, i stwierdziła, że jest źle.

Zaczynała sobie do malarzyny łamane przez stomatolożyny rościć prawa.

– Z siostrą. Ukochaną... – Klaudia znowu miętoliła spódniczkę. – Ja cię podziwiam. I ci zazdroszczę. – Przemogła się, wyskoczyła z wyznaniem, a Ewa

omal jej nie opluła.

– Rany, Klaudia, ty mnie o takich zdarzeniach uprzedzaj – powiedziała, odstawiając pepsi.

– Serio. Jesteś zawsze uśmiechnięta...

– Zazdrościsz mi, bo jestem uśmiechnięta?! – powtórzyła w najwyższym zdumieniu. – Nie wiem, daj jakiś przypis, otwórz w nowej karcie czy coś, bo nie załapałam. I nie jestem zawsze uśmiechnięta.

– Ale często. A ja zazwyczaj jestem smutna.

Ewa uniosła w zdumieniu nie tylko brwi, ale i żołądek – skoro tyle razy ruszała dziś wątroba, niech inne narządy też coś z tego mają. Ale przezornie zamilkła. Zdaje się, że Klaudia próbowała powiedzieć coś ważnego.

– Przez całe dzieciństwo byłam smutna, zresztą za bardzo nie miałam się z czego cieszyć. I ciągle tylko słyszałam: „Uśmiechnij się!”. A to było jak komunikat, że taka, jaka jestem, jestem...

– Do dupy – odpowiedziała jednak Ewa.

– Tak, że jestem do niczego. Że mam jakiś defekt. I za to siebie nie lubiłam, za ten smutek. Inne dzieci były wesołe, roześmiane i ja też taka chciałam być, ale nie umiałam.

– Rozumiem... „Uśmiechnij się!” To jest normalnie przemoc! – odkryła nagle Ewa. – Albo... Uwaga, teraz będzie brzydkie słowo związane z ciałem i brudem – uprzedziła, ale nerw lekarski sprawiał, że w temacie fizjologii nie znała barier językowych. – „Zrób kupę!” Podobne, prawda?

Klaudia zatrzepotała rzęsami, a na jej usta wypłynął uśmiech, trochę skrępowany, ale jednak.

– Zrób... kupę – powtórzyła cicho, jakby sprawdzając, czy ktoś nie zechce spuścić wody. – Masz rację. To to samo. Człowiekowi się nie chce, ale musi, bo ktoś rzuca rozkaz.

– Wiesz, ja też jestem za filozofią pozytywną, żeby nie było. – Ewa próbowała myśleć na głos i nagle doznała oświecenia. Że też od razu na to nie wpadła. Stereotypy, chodziło o stereotypy! – Ale, do jasnej cholery pieprzonej w tę i nazad, trzeba jednocześnie dać ludziom prawo do smutku! Jedno drugiego nie wyklucza.

– Prawo do smutku – rzuciła zamyślona Klaudia, a korale na jej szyi, dziś zielone, niemal wypuściły listki. – Bardzo mi się podoba.

– Co nie? Prawo do smutku – wypowiedziała z zadowoleniem Ewa. – Smutek też jest potrzebny. Oczywiście przedłużany i w nadmiarze szkodzi...

– Wiem – zapewniła cicho Klaudia i Ewa porzuciła temat.

Już i tak zastanawiała się, czy koleżanki nie poucza.

– Czyli co, kierunek Tysiąclecie? – spytała kusząco, a jej towarzyszka nie zaprotestowała.

– Fajnie, że przy tobie nie muszę się sztucznie uśmiechać.
– Przy Pawle też nie musisz. Po prostu bądź sobą. Ale trochę tajemniczy by się jednak przydało – dodała Ewa po chwili namysłu.

– To znaczy?
– To znaczy, że najpierw go trochę przytrzymaj, nie wywalaj od razu wszystkich bebeczków na wierzch. Sobą trzeba być, jak najbardziej, ale tak w pełni to, dopiero jak Pawełek złapie haczyk. I jak się poczujesz z jego uczuciami bezpieczna.

Klaudia westchnęła, a w jej oczach pojawiła się dawna niepewność.

– Bezpieczna... – powtórzyła z przekąsem.
– Wiem, trochę to wszystko skomplikowane. Bądź silna, bądź sobą, bądź tajemnicza...

– Właśnie. Ciągle jakieś „bądź”... Można to jakoś pogodzić?
– Każdy chciałby mieć jeden przycisk do wszystkiego – stwierdziła filozoficznie Ewa, bo gdyby ona miała taki przycisk, może z Gryziewiczem poszłoby jej raz dwa, a tak musiała się z nim użerać.

Ale może dzięki temu dowiadywała się czegoś o sobie?

– Czyli znowu równowaga. W takim razie zacznę ćwiczyć – rzuciła Klaudia i uśmiechnęła się tak ślicznie, że przechodzący obok przypadkowy facet zdębiał.

Cud, że nie wywinął orła o beton.

A okulistka oczywiście pozostała ślepa na te objawy atencji.

Ech!

Dochodziło południe, Paweł był o tej porze w pracy, więc Klaudia z Ewą wsiadły w tramwaj i dotarły pod zoo. Stamtąd miały do pawilonu przy Piastów zaledwie parę minut.

– Jak wyglądam? – Klaudia po wyjściu z przejścia podziemnego dostała ataku paniki, a wyglądała przecież jak dobro narodowe. Godnie i elegancko. Pod spodem oczywiście kryły się kompleksy, ale co tam, można je przykryć flagą.

Niepotrzebnie tak przeżywała.

– Baletki są? – Ewa popatrzyła na jej nogi. – Są. Włosy związane w dziewczęcy koczek masz? Masz. Kiecka jest? Jest. Czyli Pawełkowi ugotuje się nabiół.

– Co mu się?... A! – W końcu skojarzyła.

Wyciągnęła z torebki mineralną, upiła kilka łyków i jakoś udało się jej oprzytomnieć. Zresztą Ewa wołała tej chwili nie przedłużać, pociągnęła koleżankę za sobą. Po chwili stanęły przed drzwiami z napisem „Paweł Schneider PRACOWNIA ARCHITEKTONICZNA I SPÓŁKA” i już nie było czasu na histerie.

– To... ty! To wy! – Braciszek na widok Klaudii zerwał się z fotela, a jego współnik, pucołowaty brunet w okularach, z wrażenia wytrzeszczył oczy.

– Miło poznać – przywitał się jednak i stwierdził, że idzie do sklepu, dzięki czemu zostały z Pawłem same.

Ewa zerknęła najpierw na spłoszonego Pawła, później na spłoszoną Klaudię i stwierdziła, że zachowują się tak samo. Jak dzieci na strzelnicy. Oboje chcieli wygrać misia, ale co z tego, kiedy bali się poprosić o strzelbę.

– Byłyśmy z Klaudią w pobliżu. Mam od ciebie zabrać rysunek, a Klaudia... Co ty od tego młotka chcesz?

Przecież nie będzie za nią mówić, niech kobieta sama wyjdzie z inicjatywą!

Klaudia uśmiechnęła się dość powściągliwie (punkt dla niej), zatrzepotała firanką rzęs, a były to rzęsy gęste i zacne, po czym wyjaśniła:

– Przywiozłam plan mieszkania, może Paweł zerknie...

Przywiozła plan mieszkania?!

Spryčiuła!

– Może Paweł zerknie? – powtórzyła Ewa, gdyż jej brat stał na środku pokoju i zastanawiał się, co zrobić z własnymi rękami.

Może powinien je sobie odrąbać?

– I zaproponuj kobiecie coś do picia – upomniała go. – Ale najpierw daj mi rysunek, ja pędzę.

Brat jakimś cudem wrócił do żywych.

– Rysunek... Gdzieś tu był. O, jest! – W końcu go znalazł i położył na biurku, jednak jak najdalej od Klaudii. – To chyba domek dziadka? – spytał, ale nie wyglądał na zainteresowanego.

Całe szczęście.

Ewa przejęła kartkę i schowała ją czym prędzej do plecaka.

– Chyba tak. Przepraszam, ale naprawdę muszę uciekać. Umówiłam się z babcią.

– A tak, z babcią... To pędź, dziecko! – Paweł puścił oko do Klaudii, która patrzyła w niego jak w obraz.

– Tylko jeszcze złożę wizytę w kibelku – uprzedziła Ewa, pożegnała się i zamknęła za sobą drzwi.

Jej wizyta w biurze brata była tylko pozornie przypadkowa.

Klaudia nie wpadłaby na pewne rozwiązania, jej poziom perfidii był równy zero, ale poziom perfidii Moniki był z pewnością inny. Komisarz twierdził, co prawda, że pani Brzeżko nie posłała swego małżonka na tamten świat, ale to wcale nie oznaczało, że nie potrafiłaby wysłać tam Pawła. Braciszek mógł zejść na zawał choćby podczas którejś z awantur, a że szwagierka potrafiła je urządzać, Klaudia z babcią mogły zaświadczyć.

Dlatego Ewa wyciągnęła z plecaka seledynowy ręczniczek z kokardką i z czułością powiesiła go przy umywalce, a potem postawiła na niej krem do rąk i paznokci.

W prześlicznym różowym opakowaniu.
Monika była tu z pewnością stałym gościem.



Waleria Strzegomska potrafiła wiele wybaczyć, gdyż miała wielkie serce, wiadomo, ale to, że jej własny mąż wolał się wyprowadzić do czworaków i wytyczył granicę biegnącą przez jej własne podwórko – tego nie umiała mu zapomnieć.

Wszyscy o tym mówili.

Wszyscy.

Śmiał się niej cały Dąb.

I właśnie za tę urażoną kobiecą dumę małżonek powinien zapłacić. I odpokutować. Pani Waleria chwytiała się różnych sposobów, choć te kulinarne należały do jej ulubionych, gdyż tak się składało, że Andrzej lubił dobrze zjeść. Ona z kolei cieszyła się, kiedy ktoś doceniał jej talent do gotowania, ale miała jeszcze Pawełka i Ewę i to im mogła dogadzać, a Andrzej niech je zimne, skoro nie potrafił uszanować żony. Regularnie się też z niego naśmiewała i obrzucała go wyszukаныmi inwektywami (ma się jeszcze fantazję), jednak głównie z tej przyczyny, że Strzegomski udawał niewzruszonego, więc siłą rzeczy postawiła sobie za punkt honoru, że go wzruszy.

I czasem się udawało.

Natomiast z dosypaniem soli do jego obiadu to była czysta improwizacja, ale tymi parówkami naprawdę ją rozwścieczył. Jak można być takim bezczelnym starym kretyńcem?! I niewdzięcznikiem! Na co dzień dźwigała tony zakupów, czasem pomagała jej Ewa, ale ona też miała w zwyczaju się wtrącać. Tylko kto tu gotował i wiedział, czego potrzebuje? To podstawa dobrej kuchni, bez pełnowartościowych składników nie ma dobrego jedzenia. Proste jak drut. Ewie nie chciało się jednak chodzić do różnych miejsc, wołała kupić wszystko hurtem – a Waleria wiedziała, kto ma w Dębie najlepsze mięso, gdzie są najświeższe warzywa czy która piekarnia piecze najlepszy chleb.

Starła się przecież dla rodziny.

I gotowała dla rodziny, a że jej pewien... członek nie zasługiwał na gorący obiad, to już zupełnie co innego. Ale ten posiłek był. Dzień w dzień. Zimny, bo zimny, ale DOMOWY. Znaczy, od serca. Nie umiała przecież gotować i nie wkładać w tę czynność miłości. Zimne uczucie to też uczucie! Zimne, bezmyślnie zestawione z ognia, przez lata zapomniane...

A teraz jeszcze ten stary błazen puszy piórka wystrojony w dres!

Piechniczek na emeryturze zakichany.

I ona ma go zaprosić na randkę?!

Koń by się uśmieł!

Waleria Strzegomska wracała właśnie z targu obładowana siatkami, kręgosłup pękał jej w kilku newralgicznych miejscach i, jak zwykle, nikogo to nie obchodziło, więc nie odczytała SMS-a, choć jego przyście oznajmiła dźwięczna melodyjka. Zajrzała do niego dopiero po rozpakowaniu zakupów.

I oniemiała.

Na wyświetlaczu pokazała się najpierw nazwa kontaktu („Emeryt Mąż”), a potem treść wiadomości:

Czy starość nie polega na tym, że przestajemy się bawić? Zapraszam Cię na kolację. Jutro wieczorem. Zgadzasz się? Andrzej.

Tego zupełnie się nie spodziewała i kiedy po chwili w drzwiach stanęła Ewa, rzuciła do niej w najwyższym przejęciu:

– Koniec świata!

– Z czym? – Niestety wnuczkę bardziej ciekawiły jej własne paznokcie niż stan psychiczny rodzonej babki. Typowe! Wystawiała przed siebie każdą z rąk, jakby ich miała kilka, kręciła nosem, aż piegi o mało nie pospadały jej z policzków.

– Ale się zapuściłam. A dzisiaj mam randkę. To znaczy pozuję...

– Randkę! Masz, czytaj, to jest po prostu komedia. Czysta komedia! Podstarzały satyr...

To ona usiłuje być odpowiedzialna, na jej głowie spoczywa cały dom, a ten łotr woli się bawić?!

– Ale o kim mówisz?

– Jak to o kim, o twoim dziadziusiu! Teraz chce odstawić młodzika. W dresie! – użyła koronnego argumentu, jednak dres nie wywarł na Ewie spodziewanego wrażenia. – Wypuścił się na Dąb w dresie. Buty to miał tak białe, że chyba zabrał chusteczki, na wypadek gdyby mu usiadł na tych trepach jakiś paproch... Dlaczego ten człowiek tak się ośmiesza?!

Ewa przejęła komórkę, a potem zaśmiała się szatańsko, jednak w tym rzeniu nie było nawet cienia dezaprobaty.

Proszę, jej wnuczka jak zwykle opowiedziała się za dziadkiem.

– Dziadek wygląda pięknie – zapewniła, jakby zachwalała właśnie kilo najświeższego schabu.

A tymczasem tylko ślepy by nie dostrzegł, że schab był stary, tłusty i pełen kości.

– Wam chyba obojgu padło na mózg.

– Babciu, dziadek zaprosił cię na randkę! Nie musisz już kombinować.

Ależ ta Ewa była naiwna.

– Dziecko, czy ty nie rozumiesz?! On mi właśnie napisał, że nie umiem się bawić. Zrobił ze mnie starą, zrzędliwą babę!

Ale zamiast ją pocieszyć, wesprzeć, Ewa spojrzała tak, że Waleria aż musiała sobie usiąść. W oczach wnuczki było tyle rozczarowania, bezradności i tyle... WSPÓŁCZUCIA, że każdemu zrobiłoby się nieswojo. I Waleria Strzegomska poczuła się naraz winna.

A właściwie dlaczego miałyby się czuć winna?!

– Patrzysz na mnie jak dziadek w parkomat.

– Patrzę i podziwiam, jak można rozpieprzać ludziom życie. I sobie przy okazji.

To się doczekała.

Takie podziękowanie, za jej dobroć.

– Nie myśl, że jak jesteś dorosła, możesz się w tym domu bezkarnie wyrażać – upomniała dla zasady.

– Będę się wyrażać!

Ewuni rozczarowanie już przeszło, przez jej opaloną buzię przeleciała teraz złość i, niestety, Waleria zobaczyła między tymi kształtnymi brwiami znajomą, groźną bruzdę. I już wiedziała, że z Ewy wypłynie zaraz potok słów i nie będą to słowa miłe, gdyż wnuczka w chwilach wściekłości nie panowała nad własnym językiem.

To również miała po kimś...

Bruzda była najpierw zwykłym grymasem, ale szybko zyskała szerokość rowu tektonicznego, co zapowiedziało potężny wybuch, a potem zaczęła tryskać strumieniami lawa.

– Już nie wytrzymam! – krzyknęła Ewa głosem ostrym jak zgrzyt kosiarki. – Nic nie można powiedzieć, wszystko odbierasz przeciwko sobie, jakby kręcił się wokół ciebie cały świat. To jest cholerny egocentryzm! Dziadek się stara, mimo że doprowadziłaś go do takiego stanu, że woli mieszkać osobno. Dlaczego jesteś taką zołą dla tych, których kochasz?!

Słowa padały i padały, Ewa zrobiła się cała czerwona, ale czerwona zrobiła się także i Waleria. Musiała być czerwona. Piekły ją usta, uszy, a w gardle dławił ją nieznośny ból.

Dlaczego jest taką zołą dla tych, których kocha?

Już wnuczki nie słuchała, ale drżącą ręką chwyciła za telefon i napisała wiadomość:

Bardzo się cieszę. Z chęcią. Ale wolę, żebyśmy zostali u ciebie. Może dla odmiany Ty coś ugotujesz? Tylko nie parówki. Dres jest ładny, ale za ciasny w genitaliach. A w butach wyglądasz jak biały królik wyciągnięty z kapelusza, naprawdę idiotycznie. Całuję. Waleria



Jak w kilka godzin odluksusować własny dom?

Andrzej Gryziewicz był załamany.

Kiedy tak patrzył na swoje dopieszczone i przytulne gniazdko, które do wieczora powinno przeistoczyć się w zapyziałą malarską norę, zaczynał w siebie wątpić. Czyli że co? Miał porzucić po panelach kiepy? Albo rozlać na nich jakiś kwas, żeby nie było widać, że są z prawdziwego drewna? Zresztą deska barlinecka to pół biedy, ale skórzane kanapy, meble, sprzęt RTV, lodówka z dozownikiem wody i wypasiona kuchnia to był dopiero problem. I niestety, nie dało się tego wszystkiego upchnąć w garażu.

A może powinien się przyznać?

Oczywiście, że się przyzna, co do tego nie było wątpliwości, Ewa coraz więcej dla niego znaczyła i po raz pierwszy w życiu czuł, że chce kogoś każdą komórką swojego ciała – kiszki również, wyrostkiem robaczkowym także, o innych organach nie wspominając. Bo można coś sobie wydumać, przetłumaczyć, ale ciało wie lepiej. Tylko że ani kiszka, ani wyrostek robaczkowy nie podpowiadały mu, jak się do tego wyznania zabrać. I jak zareaguje Ewa, kiedy dowie się, że ją oszukał...

Tak, przyzna się, to na pewno.

Ale jeszcze nie dzisiaj.

Może kiedy skończy malować portret? Może właśnie namaluje go on, nie Thomas. I kiedy Ewa zobaczy te wypociny, ale przecież i starania, bo będzie się starał z całych sił, zresztą Alicja udzieliła mu kilku cennych wskazówek, może Ewa przyjmie te wyjaśnienia z rozrzewnieniem? A do portretu dołączy się list! O, to było wyborne. I romantyczne. Ewa niby nie lubiła romantycznych gestów, ale w takim razie dlaczego wydarzenia burzowej nocy rozwinęły się w tak piorunującym tempie?!

Poza tym, kiedy obserwował, ile trudu wkładali w urządzenie pracowni Alicja i jej bawidamek, był pełen uznania. Strych po całym dniu ich wyteżonej pracy przeobraził się całkowicie; wchodząc tam, Malczewski dostałby z zazdrości czkawki.

Pełna profeska.

Ściany wypełnione obrazami (mnóstwo kikutów rąk i wyrwanych z bioder nóg), sztalugi, upačkane farbami ściery, ceramiczne dzbany z pędzlami, brud, brud i jeszcze raz bród oraz smród – osobiście rozlał za drzwiami butelkę terpentyny. Alicja przytachała nawet kilka rzeźb, a pod oknem wcisnęła regał pełen książek – tematyka wiadoma, choć od tytułów włosy stawały dęba: *Apollinaire i teoretycy kubizmu w latach 1908–1918*, *Farby i spojwa malarskie*, *Transformacje (wewnętrzny monolog)*...

Łóżka z baldachimem już nie było, za to w jego miejscu Alicja z Thomasem postawili na otarcie łez otomanę. Czy Ewa nie będzie się na niej pięknie prezentować? Już widział ją z rozrzuconymi rękami i nogami, które mocno trzymały się bioder i jeśli się wyrywały, to tylko do niego.

Upojny obrazek.

Miejsce do malowania było więc w porządku, ale co z resztą domu?

Myślał i myślał i w końcu wymyślił. Remont, powie, że rozpoczął remont, porzrzuca wszędzie gazety, pozasłania meble folią budowlaną, a kuchnię po prostu zamknie.

Co tam zamknięta kuchnia, grunt, że miał otwarte serce.

Ewa na pewno to doceni.



Ewa mogła wyglądać na co dzień jak ekomaniaczka albo jak dziewczę z kościelnego chóru, proszę bardzo, wcale jej to nie przeszkadzało, a nawet wolała pomykać po szpitalu w trampkach i wytartych szortach, podczas gdy jej koleżanki pracowały obcasami na skoliozę. Ich sprawa. Ale kiedy trzeba było zmiażdżyć faceta wyglądem, Ewa doskonale wiedziała, jak się do tego zabrać.

Wolny dostęp.

Tak to się nazywało, a polegało na wystosowaniu wizualnego komunikatu, że posiada się piersi, talię i inne seksualne artefakty, których szczęśliwiec mógł ewentualnie używać. Pokaż psu kość. Pomocne w tym przedstawieniu okazywały się dekolty, najlepiej po waginę, szpilki, minispódniczki, najlepiej po szyję. To tak w skrócie. Oczywiście na twarzy obowiązywał zachęcający uśmiech, bo gdyby facet, przez przypadek, zamiast uśmiechu napotykał myślące spojrzenie, o matko!, od razu wpadłby w popłoch. A nuż będzie się musiał wykazać inteligencją, a nuż okaże się, że to ona ma większe IQ – a im u kobiety większe IQ, tym u niego mniejsze... Wiadomo co.

Ewa przerabiała już takie historie, zakompleksionym amantom dziękowała, wołała myśliwych, którzy gonili za króliczkiem nie tylko dla samej pogoni, ale takich, którzy zwracali również uwagę na jakość mięsa. Bo ona sobie życzyła z tego polowania coś mieć. Kto powiedział, że zwierzyna nie może mieć? Na przykład przyjemności. A co to za przyjemność, jak złapie cię facecik, który zamiast dwururki ma koślawy kijaszek? A zamiast rozumu – sarnie bobki? Jej koleżanki mogły się oburzać, że przecież wskakują w najlepszą kieckę dla siebie, świecą biustem dla siebie, ale gumofilce też można założyć dla siebie, a żadna w nich jakoś na randkę nie przychodziła.

Ewa również darowała sobie akcenty rolnicze: w kombinezonie i w szpilkach wyglądała wystrzałowo jak mało która petarda. I nie dla siebie zrobiła cały ten cyrk z makijażem i czarną bielizną, zrobiła to dla Gryziewicza, który na jej widok powinien skakać jak małpa po gałęzi.

I wytrzeć tyłkiem wszystkie liście.

– Co to jest? – Babcia stanęła dokładnie na wprost Ewy, dzięki czemu jej nos znalazł się na wysokości eksponowanych środków perswazji.

Nie kryła niesmaku.

– W sensie, że chodzi o mój kombinezon?

– Raczej o to, co na wierzchu...

– Metka mi wystaje? – Ewa zakręciła się dookoła własnej osi, ale niczego nie zauważyła. Humor miała za to wyborny, chciała się z babcią poprzekomarzać.

– Co ty z siebie robisz? Moja wnuczka, a wygląda jakby szła do poradni wenerologicznej. Opamiętaj się, co ten chłopak sobie pomyśli!

Poradnia wenerologiczna Ewę rozbawiła, dlatego babci dostał się całus.

– Ja to sobie powinnam zapisywać.

– Złotymi zgłoskami. Jeszcze będziesz kiedyś wspominać moje słowa.

– Już je wspominam – zapewniła z uczuciem. – Przychodnia wenerologiczna, perełka! Babciu, powiedz coś jeszcze, błagam.

– Obyś się tylko nie śmiała baranim głosem. A skoro mowa o baranach... – Babcia z rezygnacją odłożyła na stół gazetę, która Ewę zaintrygowała, gdyż strona tytułowa była pozbawiona artykułu; ktoś go wyciął.

– A to co za strzępy?

Babcia przejmująco westchnęła i opadła na krzeselko.

– Żadne strzępy. Zwykła gazeta. Miałam zanieść dziadkowi.

– Taką pociętą? – Ewa zajrzała do środka i stwierdziła, że dziur jest więcej.

– Właśnie. Wiesz, jak by się wkurzył?! – W słowach babci zabrzmiało tyle żalu, że Ewa zachichotała, choć to nie było zbyt lojalne wobec dziadka.

– *Planowana nowelizacja prawa łowieckiego...* Zostawiłaś nagłówek!

– A jak inaczej?! Żeby wiedział, co traci!

– Perfidia.

– Perfidia?! – Babcia zachnęła się na taką niesprawiedliwość. – A to, że powiedział, że będzie sobie sam gotował, to co jest?!

– A powiedział?

– Powiedział. Że niby przesadziłam z solą czy coś...

– To może dobrze? Będiesz robić mniej zakupów, mniej dźwigać, krócej stać w kuchni...

– CO?!

I dopiero w tym momencie Ewę olśniło. Babcia nie mówiła o gotowaniu, to znaczy mówiła o gotowaniu, ale myślała o KOCHANIU. Bo gotując, wyrażała uczucie. A jeśli dziadek powiedział, że będzie gotował sam, to zupełnie jakby oznajmił, że uczucie żony jest mu do niczego niepotrzebne.

– Ale przecież wysłałaś dziadkowi SMS-a, że się zgadzasz na kolację. I żeby coś ugotował. On, dla odmiany.

– A co mu miałam napisać?!

– To po co ten SMS i co z tą gazetą? – Ewa zwątpiła.

A już tak dobrze im szło.

– Gazetę przygotowałam z rozpędu – wyznała skruszona babcia. – Bo sobie przypomniałam, co mi nagadał. Ale mu nie zaniosę.

– Bardzo mądra decyzja. Dziadek na pewno nie miał niczego złego na myśli. I w ogóle to można przecież porozmawiać. On na pewno nie zrezygnował z obiadów dobrowolnie, coś musi za tym stać – stwierdziła z przekonaniem, a potem ugryzła się w język.

Jeszcze chwila i zaczęłaby mówić o diecie.

Ale babcia miała już inny humor. A nawet jakby się ożywiła.

– A wiesz, że... może tak?

– Poza tym, czy najlepsza kucharka na świecie znaczy to samo co najlepsza żona na świecie? Można być rewelacyjną kucharką i złą żoną.

– Ja jestem złą żoną?!

Pomocy!

– Babciu, mówię teoretycznie. Po co się fiksować na jednej rzeczy? Są kobiety, które w ogóle nie gotują, i jest dobrze.

- Co ty opowiadasz!
- Stereotypy. Ktoś ci kiedyś wmówił, że dobra żona to dobra kucharka.
- Ja tego nie chcę słuchać!

W sumie, babcia nie musiała chcieć. Walka ze stereotypami nie mogła przebiegać bezboleśnie i nie każdy był na nią gotów. A już na pewno nie ktoś, kto ustalał w domu porządek za pomocą chochli...

– O kurczę! – Ewa coś sobie przypomniała, a to coś miało związek z domkiem dziadka. – Rysunek! Paweł obrobił szkic domku, a jeszcze do niego nie zajrzałam. Moment, schowałam do spodni.

Po chwili wróciła do stołu, rozkładając wydruk, który...

Pokazywał wyraźnie zaznaczony krzyżyk w miejscu starej prasy do owoców.

- Tylko nie prasa! – Babcia sięgnęła po okulary i już dossała się do rysunku.
- Ewa, zrób coś. Przecież jeśli Matylda ukryła te swoje drogocенności w prasie...
- Mogę? I poproszę jeszcze raz list prababci.

Rysunek był wreszcie wyraźny i jak by nie patrzeć, miejsce, w którym prababcia Matylda ukryła skrzynię z kosztownościami, wypadało dokładnie w rogu domku. Tam, gdzie od wieków stał zabytkowy gruchot.

- Po co ci list? – chciała wiedzieć babcia.
- Przeczytajmy fragment o biżuterii, może coś przeoczyliśmy.
- Zostawiłam w pokoju.

Ewa pognęła na górę, po czym wróciła i zaczęła głośno czytać:

Feliks – mąż mój kochany, gwałto... jest przecież mężczyzną i na zapas nie zwykł się martwić. Zresztą i tak by wszystko na polowaniach z kolegami przehulał, a do tego i jeszcze zachęcił Andrzeja, więc Ty się losem nasz... rodziny zajmij. Ty rozdysponuj to, co zostało, gospodaruj, inwestuj, a się nie przyznawaj, dopóki można. Drogocенności wszystkie dawno temu w metalowej skrzyni w pralni ukryłam, biżuterię i różne klejnoty, bądź... za to dobrze żyć, rysuję plan.

– W metalowej skrzyni... – powtórzyła w zamyśleniu babcia i chyba zaczęła się denerwować, bo rzuciła się do zlewu płukać czereśnie.

Ustawiła je przed Ewą w srebrnym durszlaku, dorodne i bordowe, po czym pokręciła głową.

– Nie ma możliwości, żeby do prasy weszła skrzynia. Tak jest napisane? Skrzynia, nie skrzynka?

– Skrzynia. Poza tym kto by ukrywał kosztowności na wierzchu. – Ewa musiała się zgodzić.

Zerknęła na owoce i z rozkoszą sięgnęła po największy z nich.

- Nie, prababcia Matylda na pewno nie ukryła niczego w prasie. Bez sensu.
- A to była mądra i przezorna kobieta – przypomniała babcia.

– Skoro nie w prasie, a na rysunku jest krzyżyk właśnie w tym miejscu, to pewnie POD prasą – dokończyła Ewa takim tonem, jakby codziennie zajmowała się odnajdywaniem pamiątek po przodkach, którzy zeszli z tego świata, a przed zejściem byli tak uprzejmi, że zostawili ukryty na ich podwórku majątek.

– Będziecie za to dobrze żyć... – analizowała babcia, a minę miała przy tym jak oficer śledczy.

– Skoro prababcia Matylda zostawiła biżuterię – Ewa znowu zerknęła do listu – i, jak pisze, drogocенności i różne klejnoty, to to nie mogło być byle co. Chińszczyzny wtedy jeszcze nie było?

– Jakiej chińszczyzny?

– Plastikowych błyskotek, sztucznych pereł, lalek Barbie, no, wiesz...

– Moja teściowa zmarła w siedemdziesiątym siódmym, opanujże się, dziecino! – Babcia była przeciwna traktowaniu tamtych czasów jak zamierzchłej przeszłości. – Dwie kosy, doskonale pamiętam. A co do biżuterii, zapewniam cię, że jeśli Matylda użyła słowa „kosztowności”, wiedziała, co mówi. I widziałam kiedyś jej ulubioną bransoletkę, choć na co dzień nie świeciła błyskotkami.

– Bransoletkę? – Ewa się ożywiła.

– Wtedy nie przykładałam do tego wagi, mnie jakoś też nie nęciły świecidełka. Ale bransoletka wyglądała na starą i była koloru złota. – Ostatnie słowo babcia wypowiedziała z zastanowieniem.

– Więc może po prostu była... złota?

Babcia w odpowiedzi rozłożyła ręce, a że nie lubiła marnować czasu, postanowiła je czymś zająć. Włączyła czajnik i ustawiła przy zlewie pomidory, które zamierzała sparzyć.

– Może i była. Wychodzi na to, że była – dodała zdziwiona.

– To myśl, babciu, już teraz.

– Nad czym?!

Ewa chętnie ukradłaby kawałek pomidora, ale bała się, że ucierpią na tym jej pomalowane usta.

– Jak odsunąć u dziadka wersalkę. Jutro, podczas waszej romantycznej randki.

– Nawet mnie nie denerwuj!

– Na pewno będzie miło. A jak się ubierzesz? – zastrzeżona babcię pytaniem.

– W fartuch i kozaki. Plus bawełniane gacie.

– Babciu...

Babcia wsłuchiwała się w szemrzący czajnik, ale jej wzrok pobiegł gdzieś daleko.

Złagodniała.

– Do czego to doszło. Kiedyś umawiałam się z ogierem, teraz mam spotkanie z ogrem... I jeszcze powinnam się dla niego stroić?!

Ewa zakrztusiła się czereśnią.

– Babciu, nie mogę płakać, rozpuści mi się makijaż – wydukała, tłumiąc atak śmiechu. – A co do ubrania, korona ci z głowy nie spadnie, jak się trochę wysilisz. Masz taką ładną, czarną bluzeczkę. Z krótkimi rękawkami, z kwiatem na ramieniu, wiesz którą? Będzie w sam raz.

Babcia musiała mieć dziś chyba jakieś natchnienie, gdyż chwyciła czajnik, poddała pomidory torturom, po czym wydeła usta i z politowaniem odparowała:

– Nie wiem, czy wiesz, ale twój dziadek potrafi odróżnić wampa od... wampira.

I gadaj tu z taką!



Niewątpliwie dziadek potrafił odróżnić wampa od wampira, ale już z andronami i Androidem miał problem. Ewa dotarła właśnie na ulicę Morelową i stanęła przed domem Gryziewicza, kiedy zadzwoniła komórka. Cała była rozedrgana (nie komórka, Ewa) i najchętniej odrzuciłaby połączenie, ale nie mogła tak potraktować dziadka.

Wciąż cieszył go nowy telefon.

– Cześć, dziadziuś. Zniknąłeś gdzieś w swoim sportowym smokingu – zaczęła żartobliwie, ale dziadek był poruszony.

– Jadłem dziś na mieście, żeby babcia sobie nie myślała. Ale same warzywa,

zdrowo i według planu. A w ogóle to się jej postawiłem – dorzucił z dumą.

– A mnie doniesiono, że ktoś tu posłuchał wnuczki i zaprosił babcię na kolację.

– To też, ale wcześniej zapowiedziałem, że będę sam gotował.

– Tak, słyszałam... Ale paliłam głupa.

– Facebooka?

Ewa przez chwilę myślała, że to ona potrzebuje aparatu słuchowego.

Jej dziadek wiedział, co to Facebook?! Chyba że znowu maczał w tym palce nieoceniony pan Boguś...

– Jakiego Facebooka? Mówię, że paliłam GŁUPA.

– Ewuniu, nie jesteś głupia. – W słuchawce usłyszała jakieś wycie i rżenie.

– Jesteś mądra kobieta, nawet tak o sobie nie mów. Sąsiad znowu kosi trawę, słyszysz?

Ewa przyjrzała się papugom na swoim kombinezonie, a potem różom zdobiącym podwórko Gryziewicza. Policzyła do pięciu, po czym wróciła do rozmowy.

– Tak, jestem mądra, a nawet przemądrzała. Dziadku, coś się stało, czemu dzwonisz?

– Poczekaj, powiedz, co to znaczy, kiedy mi wyskakuje... Ja sobie zanotowałem... Że usunięto niepotrzebne pliki, tu taki piecyk albo kosz i sześćdziesiąt dziewięć, przecinek, dziewięć MB dużymi literami. Zaawansowany czyściciel. O, i tu! Słuchaj!... – zakrzyknął z ożywieniem. – Zablokuj i złap szpiega! Włącz AppLock, aby chronić swoje aplikacje przed podglądaczami! Co ja mam włączyć, jakiego szpiega?! Może bym i złapał. Tylko jak?!

– Spokojnie...

– Ktoś mnie obserwuje?! – wykrzyczał już naprawdę przejęty, aż Ewie się udzieliło.

W dodatku nie była wprawiona w sterczeniu na obcasach przed cudzym płotem. Zaczynała tracić równowagę, nie tylko wewnętrzną.

– To jest tylko jakaś aplikacja – uspokoiła.

– Co jest co? Powtórz...

I tak, przekrzykując kosiarkę, Ewa doznała na Morelowej déjà vu.

Przecież takie coś już się chyba zdarzyło. Któregoś dnia w domku zadzwonił telefon i dziadek wrócił, żeby odebrać, a za płotem sąsiad dokazywał swoim rozklekotanym rżeniem.

A jeśli wtedy zadzwonił ktoś podszywający się pod Adama?

Z niedosłyszającego dziadka można było w tych okolicznościach wiele wyciągnąć!

– Apka, to apka!

– Jabłka?! Jakie jabłka?

I kiedy już Ewa zaczynała tracić cierpliwość, kosiarka ucichła, a w drzwiach bliźniaka stanął Adam. Bez słowa zmierzył ją wzrokiem i było w jego spojrzeniu coś takiego, że Ewa zyskała pewność, że byłby tak samo zadowolony, gdyby stanęła tu w fartuchu, kozakach i w barchanowych gaciach.

– Ewuniu, jakie jabłka? – dociekał dziadek, już poważnie sfrustrowany.

– Mówię, że to jakaś apka. Aplikacja. Pewnie zainstalowałeś Clean Master. Kliknąłeś wcześniej w taką niebieską motelkę?

– Tak, Boguś mówi, że usuwa śmieci i trzeba ją mieć.

– Więc nie panikuj. Nikt cię nie obserwuje, w przeciwieństwie do mnie... – dokończyła półgębkiem, nie potrafiąc odwrócić oczu od bruneta, który opierał się swobodnie o skrzydło drzwi i lustrował każdy element jej stroju.

– W czym do ciebie?!

– Nic, nic. Wyczyściłeś śmieci, nie ma żadnego szpiega. – zapewniła. – Oni tylko tak piszą.

– Jak to: tylko tak piszą?! – nie potrafił zrozumieć dziadek. – Atrament to atrament. Słowo pisane ma swoją wagę...

– Dziadku, to tylko komórka. Nie bierz wszystkiego tak dosłownie. Muszę kończyć. Nie ma żadnego szpiega! – powtórzyła jeszcze raz, po czym przycisnęła czerwoną słuchawkę.

Adam również kliknął w jakiś elektroniczny sprzęt i furтка stanęła przed nią otworem.

– To mój dziadek, kupiłam mu telefon i teraz co połączenie to niespodzianka.

– Też coś dla ciebie mam. – Adam, cały rozpromieniony, wyciągnął do niej rękę.

– Ale to przeżyję?

– Tak, dzisiaj nastawiamy się na przeżycia. – Pociągnął ją na podjazd wyłożony kostką brukową i namiętnie pocałował, ale Ewa nie poczuła się zbrukana.

Mógłby ją tak brukać i brukać, uwolnić w końcu z tych papug, szpilek, szmatek i zachwycić się jej nową bielizną, mógłby...

Wyjaśnić to i owo?

– Skąd wzięłeś mój adres?! – rzuciła bez mrugnięcia okiem, trochę zimno, ale sobie zasłużył. – Dziadek wcale ci go nie dał, tylko udawał kogoś z biura obsługi klienta. Firma Tauron?

Gryziewicz lekko osłupiał, ale nie dał się zbić z tropu.

– Taaak... – odpowiedział przeciągle i Ewa ujrzała tysiące trybików, które aż grzały się pod tymi ciemnymi lokami. – Twój dziadek udawał kogoś innego, ale był na tyle mało przekonujący, że się zorientowałem i na podstawie telefonu namierzyłem adres.

– Jak: namierzyłeś? I czemu siedziałeś w krzakach?!

– Słuszna uwaga. – Znowu się zawiesił. Czyżby chciał zyskać na czasie? – Powiedzmy, że nie miałem pewności, czy adres jest właściwy, więc postanowiłem zaczekać tam w towarzystwie komarów...

– Pozwoliłeś sobie dla mnie upuścić krwi?

Może niepotrzebnie tak go dociskała. Czajenie się w krzakach pod domem kobiety to nie było coś, czym normalny facet chciałby się chwalić.

– Tak, przelałem krew, ale w słusznej sprawie. – Uśmiechnął się już po swoim i Ewa postanowiła zrezygnować z przesłuchań.

Pozwoli się uwieść.

W końcu po to tu przyszła.

– A co z tą niespodzianką? Mówiłeś, że coś dla mnie masz.

– A widzisz! – Wyciągnął z kieszeni prześliczną apaszkę i zarzucił ją Ewie na ramiona. – To dla ciebie. Ale później. Teraz zawiążę ci oczy.

– Uprzedzam. Szpilki plus zasłonięte oczy równa się wymiana tapety czy tego, co masz w przedpokoju – ostrzegła. – I jestem umalowana.

– Do malarza umalowana? – Zachichotał, a potem tak nią zakręcił, że po chwili szła z nim za rękę potulna jak cielę prowadzone na rzeź.

Oby tylko nie została przerobiona na parówki...

– Za chwilę zobaczysz pracownię mistrza. A potem mistrz cię rozbierze i uwieczni.

– A jak nie będę rozebrana, nie doznam tego zaszczytu?

– Już jesteś uwieczniona. Pod moimi powiekami! – zawołał górnolotnie, a w jego głosie wciąż czaił się śmiech. – Ale żeby przekonać cię do artystycznej otwartości, bo jednak nagie kobiety maluje się lepiej, po prostu farba odpowiednio przywiera do płótna, upoję cię winem – obiecał. – Teraz wejdziemy po schodach. Jak chcesz, możesz ściągnąć swoje kamaszki...

– Torebusia – mruknęła pod nosem, wspominając ich pierwsze spotkanie, ale od razu skojarzył.

– A tak, z plecaka zrobiłem torebusię, pamiętam. To niech będą pantofelki. Lepiej? Ale dlaczego artysta malarz miałby się znać na szczegółach damskiej garderoby...

Tak mile gawędząc, dotarli wreszcie do celu i Adam rozplątał chustkę.

– Pracownia! – zupełnie nie wiedziała, jak zareagować na to, co zobaczyła, a zobaczyła naprawdę nastrojowe pomieszczenie.

W ogóle nie przypominało gabinetu, gdzie łąta się sztuczne szczęki. Pachniało tu przyjemnie drewnem i farbami, a pomimo kłębiących się gdzieś tam upačkanych szmat i papierów, poddasze sprawiało wrażenie artystycznego, uroczego gniazda. Minus obrazy, były jednak odrobinę dziwaczne.

Ewa nie przestawała się jednak zastanawiać, jakim cudem dentysta mógł

mieć na strychu najprawdziwszą pracownię?! A jeśli faktycznie malował? Przecież nie można było tego wykluczyć. Może wcale jej nie okłamywał? Czując w głowie coraz większy mętlik, pozwoliła się posadzić na eleganckiej kanapie, gdzie gospodarz zaserwował jej kieliszek różowego wina.

Zrzuciła szpilki.

– Tu jest... bardzo ładnie. – W ostatniej chwili zabrakło jej słów.

Adam był czarujący.

Rzadko spotykała mężczyzn uważnych, którzy potrafili wykazać się troską, a Gryziewicz przygotował sztalugi, puścił nastrojową muzykę, a potem przyniósł jej z dołu pled!

– Tak jak mówiłem, będę cię zachęcał do negliżu. Boję się, że zmarzniesz.

Miałaby zmarznąć w lipcowy wieczór, kiedy serce zaczynało jej walić jak szalone?

– A czy artysta malarz podczas... aktu twórczego nie mógłby również zrzucić ubrań? Bo modelka uważa, że gdyby najpierw rozebrał się mistrz...

– Chcesz obnażyć mistrza? – Pogroził jej ołówkiem.

– Obnażanie się we dwoje jest na pewno bardziej art.

– Art... – powtórzył i po chwili na parapecie wyładowała jego tunika. – Przekonałaś mnie. Teraz ty. Może uwolnimy to ptactwo? – Wskazał kombinezon, a papugi na jej piersiach zerwały się do lotu.

Podjęła wyzwanie.

Siedziała na kanapce w majteczkach i biustonoszu, Gryziewicz nie miał już spodni, a kiedy znowu przyszła jej kolej, poczuła tremę. Żeby odwlec punkt kulminacyjny, postanowiła najpierw pozbyć się biżuterii. Jednak ręce drżały jej tak bardzo, że kiedy zdjęła jeden z kolczyków, ten wpadł za łóżko.

– Chwilka...

Nic nie zapowiadało dalszego biegu wypadków.

Niebiosa się nie rozstąpiły, trąby anielskie nie zabrzmiały, wręcz przeciwnie – na poddaszu trwała błoga cisza, jeśli nie liczyć nastrojowej muzyki i dalekich odgłosów centrum handlowego.

Ewa wykonała leniwy skręt (w tej pozycji jej biodra wyglądały szczególnie zachęcająco) i zanurkowała ręką pod kanapę. Nurkowała coraz głębiej, nurkowała, aż trafiła palcami na... materiał? Niewiele myśląc, wydobyła to coś na zewnątrz i stwierdziła, że właśnie udało się jej wyciągnąć zza cudzego łóżka...

Czerwone stringi.

Ale dlaczego artysta malarz miałby się znać na szczegółach damskiej garderoby?...

Czerwień, wszędzie widziała czerwień.



I proszę, jak wymyślił!

Remont, owszem, ale zaraz po tym, jak omotał połowę sprzętów folią budowlaną, skoczył do Silesii i kupił dla Ewy jedwabną apaszkę. Przynajmniej w jedną stronę będzie mieć zamknięte oczy, a po pozowaniu do portretu jego modelka będzie tak upojona i oszołomiona, że nie zechce oglądać domu.

Genialne.

Jednak na widok Ewy – tak innej niż zwykle – zapomniał o wszystkich genialnych pomysłach. Burzowa noc przekonała go, że ma do czynienia z kobietą

wyjatkową, ale ta wyjątkowość jak dotąd była zamknięta w ścianach sypialni, a teraz podkreślona, ukazana w świetle dnia wręcz ścięła go z nóg. Papugi, jakże zazdrościł tym lotnym gadzinom – siedziały Ewie na piersiach i miały do nich swobodny dostęp. On mógł jedynie patrzeć, one mogły ugniatać... Poza tym była w szpilkach! Uwielbiał szpilki, koniecznie czarne, a już czerwone usta, byle nie w wykonaniu Alicji, również rozpały jego wyobraźnię.

Wszystko szło gładko i tak jak sobie wymarzył.

W pracowni, na otomanie, leżała wspaniała kobieta, która w dodatku się dla niego rozbierała. Czy można chcieć więcej? Można. On chciał. A nawet pożywał. Napił się wina, próbował wykonać jakiś szkic, uwiecznić choćby zarys jej ciała, ale ciało Ewy było tak doskonałe, nie tylko w kształcie, ale i w kolorze (szwajcarska mleczna czekolada), że stwierdził, że nie ma sensu kopiować natury.

I wtedy stało się.

Idealnie skomponowany obraz okazał się najzwyklejszym kiczem.

Ewa przegięła się na kanapce w tak sugestywnej pozie, że zamiast wina powinien wyłopać wiadro wody, i to lodowatej, ale w chwilę potem jej chętne ciało zaczęło komunikować coś zupełnie innego. Za otomanę wpadł kolczyk, ale zamiast biżuterii Ewa wyciągnęła z za mebla... jakąś czerwoną szmatkę.

Wygiętą i jakby zużytą.

– Przepraszam, że pytam... – Jego modelka zmieniła się niepokojąco na twarzy, a on poczuł pod żebrem ukłucie. Nie lubił takich ukłuć, zwykle zwiastowały nieszczęścia. – Ale zasadniczo siedzę tu prawie nago i wyciągam z za łóżka faceta, dla którego zresztą robię striptiz, czerwone majtki, więc chyba mam podstawy, żeby domagać się wyjaśnień...

– Co to jest?! – wyraził zdumienie.

Czy on chodził kiedykolwiek w czerwonych slipkach?!

Jakieś paseczki owszem, może i by się znalazły, jednak...

Ewa nie czekała, włożyła w bieliznę obie ręce i z odrazą zaprezentowała mu tragizm sytuacji.

Zamorduje Alicję, naprawdę ją zamorduje!

– Ach, stringi...

– Ach, stringi?! Masz nowotwór mózgu czy co? Ach, stringi! – W Ewie jakby coś zaczęło rosnąć. Zrobiła się tak czerwona, że pierwszy raz nie mógł dostrzec piegów na jej policzkach. – Tylko tyle? A może to właśnie twój sposób na panienki?! Może moje majtki też powinny tam wylądować?!

Z jej rozedrganych ust wciąż sypały się pytania i chętnie by odpowiedział, ale miał w głowie totalną pustkę.

– Ewa, to nie tak...

I kiedy sądził, że nie może być gorzej, otrzymał ostateczny cios.

– Nie tak? A jak, panie GRYZIEWICZ? Przed każdą kobietą udaje pan

malarza czy tylko przede mną?! I co to w ogóle jest?! – Pokazała na obrazy, później na siebie i zaraz potem w jej oczach zobaczył wstyd. – Zrobiłeś ze mnie idiotkę.

Wiedziała, kim jest?!

To go całkiem powaliło, totalny nokaut.

– Ewa... – wydukał zdruzgotany, ale jego muza nie chciała słuchać.

Zeskoczyła z otomany i zaczęła się pospiesznie ubierać, co zbytnio jej nie wychodziło. Cała się trzęsła.

Czy po tym wszystkim miał u niej jeszcze jakiekolwiek szanse?

– Zamierzałem ci po...

– Cipo?! – fuknęła, usiłując trafić nogą do nogawki wdzianka. – Że z ciebie taki malarz jak z mojej babci baletnica, wiem od początku... Ale że mnie potraktowałeś jak pierwszą lepszą, tego ci nie daruję.

– Przestań. Przecież wiesz, musisz wiedzieć... – jąkał się. – Ile dla mnie znaczysz. Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo chciałam zobaczyć, ile masz jaj... Czy w ogóle masz jaja! – płątała się nie tylko w kwestii ubioru. – Co za cholerstwo! – W końcu nie wytrzymała, rzuciła kombinezon na podłogę i...

Zaczęła płakać.

Chyba płakać: usiadła na otomanie i ukryła twarz w dłoniach.

Teraz to dopiero się przeraził!

– Słuchaj, głupio mi, jak nie wiem co i bardzo cię przepraszam. Chciałem ci po... Chciałem powiedzieć! – Drgnął przestraszony, bo Ewa wyprostowała się i spojrzała na niego strasznym wzrokiem. – Przysięgam. A te czerwone, te... Majtki. Te majtki są mojej znajomej. Alicji. Ona tu wszystko urządziła – dokończył cicho i usiadł przy Ewie jak nad własnym grobem.

Był załamany?

To również, ale załamaniu towarzyszyło jakieś niejasne uczucie, którego nie potrafił nazwać.

– Moi koledzy jakoś nie zostawiają u mnie majtek – mruknęła, ale już z mniejszą niechęcią i Adam zobaczył światełko w tunelu. – A mam tyle miejsca za meblami... Co za marnotrawstwo.

– To nimfomanka – rzucił spontanicznie, ale zaraz pojął, że może zostać źle zrozumiany. – Alicja prowadzi galerię sztuki, więc poprosiłem ją o pomoc. I przyszła tu wczoraj ze swoim chłopakiem. Wyskoczyłem do sklepu, oni zostali sami... reszty mogę się tylko domyślać. Słowo honoru! – Walnął się w pierś z taką siłą, że prawie odbił sobie opłucną.

Ewa rzuciła mu z ukosa spojrzenie, w którym wyczytał dawną orzechowość.

Jak to wspaniale, że jednak nie była histeryczką. Przyjąłby ją z dobrodziejstwem inwentarza, ale dobrodziejstwo bez hysterii było pełniejsze.

Znacznie pełniejsze. Uspokojony zaczął myśleć i...

– Mam! – krzyknął. – Poczekaj, nie ruszaj się! – zarządził i pobiegł na dół po komórkę.

Ewa będzie musiała mu uwierzyć.

Po dwóch minutach był już z powrotem i wybierał odpowiedni numer, modląc się w duchu, żeby Alicja akurat się z nikim nie bzykała i odebrała telefon.

– Adaśku?

Jest, udało się!

Niemal ucałował swojego iPhone'a, a potem przełączył Alicję na tryb głośnomówiący, obserwując w napięciu reakcję Ewy. Ale siedziała cicha, skupiona, nie dała po sobie niczego poznać.

– Cześć, Alicja. Dzwonię, żeby jeszcze raz podziękować za strych. Odwaliliście z Tomkiem kawał niezłej roboty...

– Ależ cała przyjemność po naszej stronie, dla ciebie prawie wszystko – zapewniła niskim, zmysłowym głosem, więc czym prędzej przeszedł do szczegółów.

– Właśnie przesunąłem otomanę i coś za nią znalazłem. To coś... jest koloru czerwonego i wygląda na koronkę. Obstawiam, że to stringi.

– O, nie! Naprawdę je tam zostawiłam?! – Alicja zachichotała, a na ustach Ewy w końcu zagościł uśmiech.

Co prawda było w nim sporo niedowierzania, ale jednak.

– Tak, naprawdę. I niestety, zobaczyła to również moja... dziewczyna.

Pozwolił sobie użyć tego słowa, za co zaraz otrzymał nagrodę – Ewa pokazała mu język.

– Ta od portretu?

– Dokładnie ta sama.

– Ale mówiłeś, że ona jest rozsądna, więc chyba nie nabroiliam?

W środku aż jęknął na takie pytanie, ale zapewnił, że wszystko gra, po czym grzecznie się pożegnał.

Ale jego radość trwała krótko.

Ewa poprawiła włosy, uporała się wreszcie z wdziakiem i patrząc mu głęboko w oczy, powiedziała:

– Wcale nie jestem rozsądna. To cię będzie sporo kosztować.

– Zgadzam się na wszelkie koszty – zapewnił, jednak miejsce pod żebrem znowu zawibrowało i już wiedział, że Ewa nie blefuje.

– Trzeba uwieść pewną kobietę... – oznajmiła. – Monika Brzeżko, narzeczona mojego brata. Ordynarna kreatura, która z niejasnych powodów chce go zaciągnąć przed ołtarz. Ale ty, jako wprawny pożeracz niewieścich serc, z pewnością do tego nie dopuścisz. Inaczej... Z nami koniec.

Już wiedział, jak opisać swoją sytuację.

Nie brzmiało to może zbyt wzniośle, ale właśnie to mu się przytrafiło.
Najgorzej jest się poślizgnąć na własnym gównie...



Alicja mogłaby tak patrzeć na Thomasa godzinami.
Zwłaszcza kiedy przyrządzał dla niej w negliżu kolację.
Tu ich potrzeby się pokrywały, Thomas uwielbiał czuć na sobie spojrzenia
pełne podziwu – pod ich wpływem rozkwitał, stawał się nawet zabawny, choć na

co dzień zdarzało mu się nie łapać żartów. Ten niewinny przejaw narcyzmu jednak Alicji nie przeszkadzał, zważywszy, że młodzieniec posiadał zasadniczą zaletę: jego prostata działała bez zarzutu, reszta maszynerii również.

I był dla niej dobry.

– Myszko, kto dzwonił? – Wystawił z kuchni najpierw głowę, a później umięśnione udo.

Uwielbiała jego uda.

– Adaś Gryziewicz. Mówi, że zostawiłam u niego swoje majteczki...

Na udzie zarysowały się mięśnie, a w głosie jej ukochanego pojawiła się smakowita zazdrość.

Alicja zadrżała.

– Co zostawiłaś?!

– Majteczki. Czerwone stringi. Koronkowe. Miałam je na sobie wczoraj, kiedy u niego byliśmy i wiesz...

Ale, ku jej rozczarowaniu, temat nie został podjęty.

– To się świetnie składa, trzeba się z nim umówić i pokazać mu Malczewskiego.

Thomas był popularny w swoim środowisku, miał mnóstwo znajomych i kiedy ktoś chciał sprzedać obraz, zwracał się właśnie do niego. A tak się złożyło, że jakiś przyciśnięty do ściany kolekcjoner chciał się pozbyć rarytasu – zupełnie nieznaney pracy Jacka Malczewskiego. Ale to był Malczewski, tego Alicja była pewna, a nawet, jako doświadczony rzeczoznawca dzieł sztuki, zgodziła się wystawić dokument potwierdzający autentyczność.

Obraz stał pod ścianą, a uwieczniona na nim ponura kobieta mierzyła Alicję wzrokiem pełnym odrazy. Przygrywający na fujarce Satyr wręcz przeciwnie – zerkał, jakby chciał ją zjeść.

– Ale popatrz, co za przypadek – rzuciła w powietrze, odchylając szlafrok i odwracając kobietę twarzą do ściany. – Zaledwie wczoraj rozmawialiśmy o tym z Adasiem.

– Dlatego kiedy zadzwonił mecenas, od razu pomyślałem o nim.

– Mecenas? A może pan mecenas ma więcej takich perełek? Nie miałabym nic przeciwko.

Pewnie, że by nie miała, dzięki sztuce było ją stać choćby na Thomasa, który może i lubił dojrzałe kobiety, ale jeszcze bardziej lubił pieniądze, co do tego Alicja nie miała żadnych wątpliwości.

Przyjemne z pożytecznym.

Tak to sobie tłumaczyła i wołała się nad tym zbytnio nie zastanawiać.

– A wiesz, że chyba ma? – odpowiedział rozochocony Thomas, a po domu rozeszła się apetyczna woń pieczonego w tymianku kurczaka. – Czyli mogę na ciebie liczyć, gdyby znowu chciał coś sprzedać?

– Jeśli tylko tego nie ukradł... – zagruchała, stając w progu.

Szlafroczek był ponętny, ona w szlafrocuku tym bardziej, a brak bielizny był dla Thomasa jak zaproszenie.

Nigdy żadnego nie odrzucił.

– To mój stary znajomy, możesz być spokojna – wymruczał, odstawiając pieprz, a później popchnął ją na stół.

Kurczak, jako danie główne, z pewnością potrzebował jeszcze kilku chwil, żeby dojść.



Adam upierał się, że Ewę odprowadzi, ale jeszcze nie było ciemno, poza tym Ewa chciała być sama. Omal się o to na wyjściu nie pokłócili, ale Gryziewicz jeszcze unosił się na fali skruchy, więc ustąpił, choć nalegał, żeby do niego zadzwoniła, jak tylko dotrze do domu. Nie udawał troski, w ogóle niczego nie udawał, jego żal był najprawdziwszy z prawdziwych i przez chwilę nawet Ewie zrobiło się go żal, ale niech sobie śmierdziel nie myśli, że da się tak łatwo przeprosić.

Pokutę wymyśliła mu pierwszorzędną.

Oczywiście uwodzenie narzeczonej Pawła wcale mu się nie spodobało, próbował ją od tego pomysłu odwieść, ale słowo się rzekło, kobyłka, znaczy Monika, u płota, nie ma przebaczyć. I co z tego, że jej nie znał, dostał adres i niech chłopak kombinuje. Wyznaczyła mu nawet termin – przyszły weekend. Zadania bez terminu wykonania są o tyłek roztrząś, realizacja się wydłuża, a należało działać szybko.

Czerwone stringi...

Na samą myśl o żenuacji dekady Ewa pokręciła głową, ale musiała być uczciwa. Od razu stanął jej przed oczami zestawiony u brata ręczniczek i krem do rąk. Owszem, kobiety takie rzeczy robią, nie ma się co oszukiwać. Wymyślają intrygi, znaczą teren i tak dalej. Może ta cała Alicja też tak miała? Może chciała coś ugrać i niekoniecznie chodziło o Gryziewicza?

Tak na dobrą sprawę Ewa wcale nie chciała go stracić.

Oczywiście z końcem znajomości to był bluff, jednak Adam to kupił. Po półgodzinnych pertraktacjach stanęło na tym, że spotka się z Moniką raz czy dwa na kawę albo pójdzie do kina i tak nią zakręci, że w jej doskonałym związku z Pawłem zacznie się coś psuć – tę chwilę wykorzysta Klaudia.

W teorii brzmiało nieźle.

Po powrocie do domu okazało się, że babcia ogląda swój serial i nie życzy sobie rozmów, więc Ewa zadzwoniła do brata. Nie liczyła na wiele, Paweł nie przepadał za telefonicznymi pogaduszkami, ale już sam jego głos zadziałał jak podręczna apteczka, a konkretnie jak plaster.

Tego właśnie potrzebowała.

– Czego? – burknął na powitanie.

– Nie ma to jak serdeczny kontakt z bratem...

– Miałabyś serdeczny kontakt z bratem, gdybyś mu nie robiła świństw, poczwaro. – Paweł komunikował się z otoczeniem w bardzo prosty sposób, zazwyczaj mówił to, co myślał. – Ten ręczniczek i kremuś w biurze to oczywiście twoja sprawka?

– Zdrabniasz, Pawełku. I to jest w twoim wykonaniu dziwne.

– Bo mnie wkurzasz.

– Czy jeden mały ręczniczek i kremus do rąk jest w stanie zrujnować twój długotrwały, trzymiesięczny związek?

– Masz mnie za idiotę? – zapytał równie słodko.

– Jesteś facetem, więc to nie taka głupia teoria, ale jednocześnie jesteś moim bratem, płynie w nas ta sama krew i dlatego...

– Zrób to jeszcze raz, a będziesz mnie widywać tylko na Wiejskiej – oznajmił rzeczowo i Ewa uwierzyła.

Mogli się przekomarzać, ale jej brat mało mówił, a dużo robił.

A właśnie...

– I jak to mieszkanie Klaudii? Już coś wymyśliłeś? To moja serdeczna koleżanka, żebyś nie odwalił chałtury.

– Czy kiedykolwiek odwaliłem chałturę? – Trochę się zjeżył, jednak po chwili w jego głosie zabrzmiały zupełnie inne tony. – Ty znasz tego jej faceta?

Zadał pytanie niby mimochodem, ale nie dała się nabrać.

– Znam, a co?

– Nie wiem... Oni tam razem mieszkają? Bo skoro mam planować czyjąś przestrzeń, trzeba by uwzględnić przyzwyczajenia... wszystkich mieszkańców.

Ewa pogratulowała sobie w duchu brata, podchody nieźle mu wychodziły. Ale trudno się dziwić, lata praktyki pod okiem Walerii Strzegomskiej.

– Z tego, co wiem, Klaudia nie myśli o nim poważnie. Mieszka sama.

– Nie myśli poważnie, ale z nim jest? To do niej trochę nie pasuje.

– Serio? Już ją zdążyłeś tak dobrze poznać? – Postanowiła dać braciszkowi prztyczka w nos. – A co na to Monika? Nie będzie zazdrosna?

– Tak pytam, z zawodowej ciekawości...

– Nie mieszkają razem i raczej nie zamieszkają – zlitowała się i w komórce, choć to raczej niemożliwe, usłyszała ulgę. – Klaudia w ogóle się zastanawia, czy z nim nie zerwać.

– Niech zrywa, z kim chce – rzucił na pozór obojętnie.

– Też tak uważam.

– A w ogóle to się streszczaj. Zaraz przychodzi Monika.

O, to była cenna informacja.

– W takim razie może zadzwonię później?

– Będzie nocować, mów teraz.

– Aha. Nie, nic. Chciałam ci tylko podziękować za rysunek i cię usłyszeć. Jakoś mi dziwnie...

Paweł od razu się zainteresował.

– Czemu dziwnie? Coś się stało?

– Zdaje się, że doszło dziś do poważnej różnicy zdań między mną a moim... znajomym. Kolegą. Bliskim kolegą... Dość bliskim, chociaż, przysięgam, na

początku wcale nie chciałam, żeby był bliski... Ale jak go nie widzę, czuję, że jest blisko, a nawet im dalej...

Paweł nie czekał, aż dokończy, parsknął śmiechem.

– Co?! – Wcale nie spodobała się jej ta reakcja.

Z czego rżał, patafian?!

– Czy ty siebie słyszysz? – odpowiedział pytaniem.

– A czy ty siebie rozumiesz? – nie pozostała mu dłużna, ale braciszek znowu pozwolił sobie na rechot.

– Też cię lubię, siostra.

– Też cię nie znoszę. Całuj psa w nos.

– Oddaj się do adopcji...

Po pożegnalnych czułościach Ewa poczuła się tak dobrze, że poszła sobie zaparzyć melisy (z goździkami, miodem i cytryną – szaleństwo!), po czym wybrała jeszcze jeden numer. Ale najpierw wszystko sobie przemyślała.

Z tych rozmyślań wynikło jej jedno.

– Czy ty jesteś dziś w nocy bardzo zajęty? – zagruchała do Adama, kiedy przywitał ją tak serdecznie, jakby widzieli się nie przed godziną, ale co najmniej miesiąc temu, i poczuła w żołądku znane już entomologiczne ruchy.

Motyle.

– Wolałbym być. Ale na razie mam bardzo banalne plany. Jak kretyń zamierzałem spać, uwierzysz?

– A gdyby się okazało, że potrzebuję pomocy? – zaczęła ostrożnie, ale przecież nie będzie mu tłumaczyć wszystkiego przez telefon.

O planowanych włamaniach z pewnością lepiej rozmawiać twarzą w twarz.

– Jestem do twojej dyspozycji – zapewnił Gryziewicz bez zbędnych ozdobników i o to chodziło.

– Dobra, w takim razie u mnie o trzeciej.

Trzecia musiała go lekko ogłuszyć, ale nie dał po sobie niczego poznać.

– Trzecia w nocy na Wiejskiej? – powtórzył jak wierny giermek i Ewa pomyślała, że jeśli połączy ich wspólne przestępstwo, nie będzie odwrotu.

Weźmie się i zakocha.



Adam Gryziewicz musiał się jakoś po wydarzeniach wieczoru pokrzepić.

Najlepszym sposobem wydała mu się najpierw gorąca kolacja, czyli jajeczniczka na boczku, ale kiedy się głębiej zastanowił, stwierdził, że nawet to nie pomoże. Zszedł więc do piwnicy, gdzie urządził małą siłownię, i w ciągu czterdziestu minut wylał z siebie hektolitry potu.

Dopiero wtedy przestało go dźgać pod żebrem.

Ale że niby nie miał jaj?!

O, to była gruba przesada, tak w biały dzień posądzić go o tchórzostwo. Przecież chciał się przyznać, musiał się tylko do tego psychicznie przygotować.

Zebrać siły, może zrobić małą symulację. Ale przyznałby się na pewno, jakżeby inaczej. Jednak nawet teraz, kiedy prawda wyszła na jaw, a Ewa niby przestała się dąsać, wciąż było mu głupio, tak strasznie głupio, że kiedy zadzwoniła i poprosiła o pomoc, był gotów rzucić dla niej każdą sztangę.

Potrzebował CZYNU.

Do umówionej godziny dotrwał tylko dzięki PlayStation i Wiedźminowi, a potem ruszył na Dębową. Pora, choć znowu późna, była wręcz wymarzona na spacer. Temperatura spadła, choć niewiele, w dodatku czuło się odświeżającą rześkość. A może to trening tak na niego zadziałał? W każdym razie na Wiejską Adam dotarł niesiony endorfinami albo... miłością. Ale miłość to też hormony, więc w sumie co za różnica.

– Hej... – usłyszał gdzieś z krzaków przy ogrodzeniu i po chwili obok stanęła Ewa.

Ale jeśli dotąd spodziewał się, że może być pomocny w jakiejś intymnej sytuacji, od razu pozbył się złudzeń.

– Nasłuchujesz jak świnia grzmotu – przywitała go rzeczowo, ale rzeczywiście chwilę tu stał i nasłuchiwał.

Po historii ze zniszczoną drabiną postanowił być jednak ciut ostrożniejszy.

– Chciałem ci wysłać SMS-a, że już jestem.

– Ja też jestem.

– Tak, czuję. Ładnie pachniesz. Ładniej niż kwiatki... – bąknął i złapał ją za rękę.

Była drobna i lekko spocona.

– Poszwendamy się razem? – padło pytanie, którego zbytnio nie rozumiał, ale w ustach Ewy zabrzmiało jak oferta *all inclusive* na objazdówkę po Szwecji.

Czy kiedykolwiek spotykało go coś podobnego?

Kobiety, z którymi się umawiał, były raczej przewidywalne. Doskonale wiedział, którymi szlakami neuronów podążały ich myśli i, tego był pewien, szwendanie się kojarzyły jedynie z wyprawą do galerii handlowej. Ten oczywisty fakt wiele mówił i o nim, ale jak dotąd interesowały go tylko dwie sprawy: kariera zawodowa i odpoczynek. Na poważne amory nie miał czasu, dlatego do niedawna wolał rozwiązania praktyczne, czyli po prostu nieskomplikowany seks z przypadkowymi ochotniczkami.

– A gdzie będziemy się szwendać? – zapytał, bo spacer bez konkretnego celu lekko go niepokoił.

W końcu kto tu był samcem alfa?

– To tu, to tam. – Samica, którą prowadził, jednak także należała do pokrewnego rodzaju. – Zobaczysz. Powiedzmy, że... idę ci na rękę.

– Chodź mi na rękę, chodź. – Pociągnął ją do siebie i już nie mogła się wyrwać, co zaraz wykorzystał.

– Całowanie jest lepsze niż kochanie – oznajmiła po chwili bardzo zadowolona i dopiero teraz zyskała pewność, że jego kłamstwa pójdą w niepamięć.

Pod mięśniami trójgłowymi ramienia urosły mu potężne skrzydła.

– Kochanie też jest niczego sobie – zapewnił. – Jeśli będziemy się szwendać w jakimś ustronnym miejscu, jestem gotowy cię do tego przekonać...

– Miejsce raczej nie będzie ustronne, a idziemy z misją wywiadowczą i musimy być skoncentrowani – odparła.

– Z jaką misją?

– Wywiadowczą. Zajrzymy do Moniki Brzeżko – wyjaśniła Ewa z zachęcającym uśmiechem, zupełnie jakby proponowała wypad do baru.

– Wizyta o trzeciej w nocy? – powtórzył rozbawiony.

– Trzecia jest najlepsza. Nawet jak ktoś jest nocnym markiem, o trzeciej pada – odrzekła rezolutnie samica alfa i pociągnęła go w Chorzowską.

Wtedy jeszcze niczego nie podejrzewał.

Ulica była intrygująco pusta, jego dłoń pełna dłoni Ewy i w tym wspólnym kroczeniu przez wielkie i ciche miasto był coś nierealnego, wręcz magicznego. Potem skręcili w osiedle Tysiąclecia i dotarli do obrośniętego drzewami stawu, gdzie zapach trzciny mieszał się z perfumami podążającej obok kobiety i Adam w uniesieniu stwierdził, że mógłby tak obejść cały Śląsk.

– To tutaj. – Głos Ewy wkomponował się w jego błogie rozmyślanie.

Stali pod dziesięciopiętrowym blokiem tonącym w drzewach.

– Co tutaj jest?

– Kto. Tu mieszka Monika. – Ewa z zadowoleniem wskazała na blok.

Dopiero teraz uwierzył, że ktoś tu planował wizytę, i to na poważnie – jego towarzyszką przycichła, patrzyła w napięciu na ścianę okien.

– Ale o co chodzi? Ona tam na nas czeka?

– Tak, wywaliła przez balkon czerwony dywan...

– Wyjaśnisz mi, co się dzieje? – poprosił i nerwowo chrząknął. – Bardzo proszę.

– Masz poznać Monikę, tak? To do dzieła!

– A czy to musi być teraz? Może nie być w nastroju. – Jakoś przestała mu się ta wyprawa podobać.

To znaczy podobała mu się, szalenie mu się podobała, ale nie miał pewności, czy to najlepsza pora na odwiedzin.

– Oj, po szczytowaniu na pewno jest – oznajmiła Ewa. – Tyle że śpi u mojego brata.

– W takim razie... Dlaczego tu stoimy?

– Właśnie, dlaczego stoimy, chodźmy!

– Gdzie?!

I wtedy kobieta, z którą chciał przemierzyć Śląsk, ruszyła w stronę klatki

schodowej, dzierżąc przed sobą wyciągnięty z kieszeni klucz. Na jego oko do drzwi Gerda. Powłókł się za nią.

– A jak myślisz?

– Wolałbym nie myśleć – wyznał, nie kryjąc obawy. – Bo gdybym zaczął, zastanawiałbym się, do czego mnie namawiasz. A w popełnianiu przestępstw nie mam zbyt wielkiego doświadczenia. Raz zdarzyło się, że spałem z piętnastolatką...

– Co?! Boże, idę na włam z pedofilem...

– Ale wyglądała jak dwudziestka, więc jestem usprawiedliwiony! Co?! – Tym razem go zatkało. – Na włam? Na jaki WŁAM?!

– Otrzeźwiej! Na gorącą czekoladę do Mont Blanc jednak się nie wybieramy. Nie, żadną windą! – Powstrzymała go, kiedy chciał nacisnąć przycisk.

– Mogą być kamery...

– Ewa! – syknął w panice.

Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego ubrała się cała na czarno.

– Gryziewicz, ty cholerny skunksie! – zawołała z półpiętra. – Znowu tchórzysz?

O, nie, może i źle zrobił, udając malarza, ale wolał być malarzem niż...

Włamywaczem!

I nie pozwolił sobie wchodzić na ambicję, nie w sprawie, która mogła się skończyć odsiadką.

– Nigdzie nie idę! – oznajmił i zatrzymał się przy schodach.

– To sobie tu stój! – fuknęła. – Myślałam, że chcesz zgromadzić o Monice informacje, zanim się do niej dobierzesz...

– Zanim co?! Nie zamierzam się do nikogo...

– Oj tam, nie czepiaj się słów!

Zaraz, czy to nie był jego tekst?

Ta kobieta doprowadzała go do szału. Uchyliła drzwi korytarza i wślizgnęła się do środka, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Tak jakby był przezroczysty.

Nie, tego już za wiele!

Zaklął cicho, ale już po chwili ruszył za nią, nie mógł przecież pozwolić, żeby biegała w obcym mieszkaniu bez ochrony.

– Adaś, jesteś... – wyszeptała, kiedy stanął obok i posłała mu naprawdę śliczny uśmiech.

Chyba zaczynał rozumieć napięcie przedmiesiączkowe.

Góra, dół, góra, dół...

Ale jemu nie pomoże NO-SPA.

– Jesteś pewna, że nie ma jej w domu? – zapytał, również zniżając głos.

– Coś ty, ona się już u Pawła zagnieździła. Jak karaluch czy inny szkodnik. Częściej jest u niego niż u siebie. Nic się nie bój.

– Wolę się bać.

Strach ma wielkie oczy, ale on tych oczu teraz bardzo potrzebował, bo kiedy weszli do środka, na chwilę otoczyła ich kompletna ciemność.

Ewa szła przodem.

– Poczekaj, sprawdzę teren, znam rozkład mieszkań – wysapała mu do nosa.

Ucho znajdowało się gdzie indziej i w tej chwili łądziło każdy dźwięk. Ale oprócz szumu rur niczego nie było słycać. Adam zaczekał chwilę w przedpokoju, gotów jednak w każdej chwili biec za Ewą i jej bronić, ale nie było takiej potrzeby.

– I stała się jasność! – zawołała, a potem włączyła światło.

Serce po raz kolejny skoczyło mu do gardła.

Dopadł tapczanu i chwilę do siebie dochodził, a Ewa w tym czasie rzuciła się do szuflad w meblościance.

Mieszkanie było kawalerką i też wolałby się gnieździć u kogoś, gdyby tu mieszkał. Meble z płyt pilśniowych, stary fotel, poplamiona wykładzina... Za to na każdej wolnej powierzchni stały aniołki, ohydne figurki, których przeznaczenia nie zamierzał dociekać, a całość była skąpana w sztucznych kwiatach.

Brakowało tylko zniczy.

– O, a tu masz *sweet selfie* – zakwiliła Ewa, biorąc do ręki stojącą na półce ramkę. – To się nazywa samozajebistość. Dziewczyna mogłaby dawać korepetycje z poczucia własnej wartości.

– To źle? – Zerknął jej przez ramię i pojął wagę projektu.

Fotografia przedstawiała opaloną brunetkę, która składała usta w nadęty dzióbek. Na zdjęciu numer jeden. Bo na kolejnym dzióbek nie był już kapryśny, ale seksowny, przynajmniej w zamiarze. Trzecia podobizna przedstawiała Monikę z odchylną głową, dzióbek konsekwentnie w rozwarciu. Dzióbek czwarty...

– Ja piernicę! – Adam znowu odczuł potrzebę, żeby usiąść. – W co ty mnie wpakowałaś!

– A nie mówiłam?! I ta panna chce mojego brata, a mój brat jest tysiąc razy fajniejszy ode mnie. Tak że sobie wyobraź. A jego zdjęcia jakoś nigdzie nie widzę...

– I co ja mam z nią?... – nie dokończył.

Zabrakło mu słów.

– Co uważasz. – Ewa zatrzepotała rżesami. – Ale mam przeczucie, że forsa załatwi wszystko. Pokaż jej swój samochód, teraz trochę porysowany, ale wciąż piękny i niebieski...

To małpa!

– Czyli wiedziałaś, że jest mój?! – wykrzyknął.

– Pytasz, czy wiedziałam przed zarysowaniem, w trakcie czy po?

Stała dokładnie pod wielkim żyrandolem i spływające z góry światło rozjaśniało ją tak, że do złudzenia przypominała walające się po półkach aniołki.

Tak, aniołek...

– Dobra, już nieistotne. – Machnął ręką. Chyba wolał nie wiedzieć. – To może od razu zaproszę ją na randkę do mojego gabinetu? – rzucił, wcale nie myśląc o tym poważnie.

Ale Ewa była zachwycona.

– W punkt! Jaki ty jesteś bystry facet. – Zachichotała i znowu oddała się pracy śledczej.

Tym razem odsunęła szufladę biurka.

I chyba tam coś znalazła.

– Zobacz, klucze... – Przywołała go gestem, a później zaczęła się zastanawiać. – To nie od tego mieszkania, ani od mieszkania Pawła.

– A ta kawalerka należy do... Moniki? – spytał, znowu zerkając na galerię dzióbków.

– Nie, podobno ją wynajmuje.

– To może to są klucze od poprzedniego mieszkania? Może też wynajmowała – zasugerował lekko, ale chyba trafił, bo Ewa na chwilę zamarła, a potem powiedziała coś, co go zmroziło.

– Ciekawe, gdzie umarł jej mąż?...

– Czy oczekujesz odpowiedzi ode mnie?

– Głośno myślę. – Ewa badała teraz wzrokiem każdy sprzęt, każdy drobiazg.

– Znowu będę musiała pociągnąć za język Pawła... Albo nie! Ty będziesz ciągnął. Monikę. No, przecież!

Tak, już się rozpędził.

Ale skoro został wrobiony w jakąś podejrzaną aferę, a wszystko na to wskazywało, przynajmniej życzył sobie uzyskać komplet informacji.

– Aha, czyli jest i trup, wspaniale! A może zdradzisz trochę więcej szczegółów? Bo dzielisz nimi jak Gierek pomarańczami... – Natchniony meblościanką przywołał dawnego wodza, a Ewa wpadła nagle w wyśmienity humor.

Lubił, kiedy się śmiała – był to dźwięk do złudzenia podobny do skrzypienia Orbitreka, ale działał identycznie.

Tak samo go odprężał.

– Muszę przyznać, że zasłużyłeś... współniku.

Przetrzepała jeszcze szafę z ubraniami, sprawdziła, czy nie zostawili po sobie żadnych śladów, po czym ruszyli w drogę powrotną.

Do ulicy Wiejskiej znał już całą historię.



W całym wszechświecie nie było o godzinie ósmej rano przytulniejszego miejsca niż ich kuchnia. Kiedy Ewa zeszła na dół (po nocnej wyprawie długo nie mogła zasnąć, a wstała skonana), posiedziała chwilę przy stole, napiła się wody z cytryną i dopiero wtedy poczuła, że wracają jej siły. Punkt mocy, zdarzały się tego typu historie i kuchnia na Wiejskiej z pewnością się w taką opowieść wpisywała, choć nie leżała pośrodku puszczy. Powinny tu ciągnąć zranione jelenie, a pastuszkowie powinni się przy tym stole zatrzymywać na popas.

I czy tak nie było?

Najważniejsze sprawy Ewa omawiała z babcią właśnie tutaj.

Słońce łaskotało leniwymi promieniami meble, w radiu Złote Przeboje leciała Whitney Houston, a babcia robiła rzucane na wrzątek kluseczki z serka waniliowego, które nazywała pampuchami. Jajko, serek, mleko, mąka plus cukier puder i sól. Niby nic, ale kluseczki babci polane masłem, posypane brązowym cukrem i cynamonem stanowiły osobny rozdział.

Rozdział nosił tytuł ROZKOSZ O PORANKU.

Babcia uważnie się jej przyjrzała.

– Ale tyś jest, dziolcha, cała wymła – rzuciła ich wspólnym żartem, a potem postawiła przed wnuczką filiżankę kawy.

Ewa nie marzyła dziś o ziólkach. A raczej marzyła, że babcia o nich zapomni.

– Jakie ja mam szczęście! – zawołała z uczuciem i podciągnęła nogi pod brodę.

Już nie była śpiąca.

– Usiądź prosto, krzywisz sobie kręgosłup.

– Tak lubię najbardziej. Zobacz, babciu, jak na świecie jest czadowo. Jemy pyszności, nikt z nas nie choruje i mamy rodzinę...

– Yhm. Czadowo. – Babcia nałożyła na talerz parujące kluski, a po chwili twarz Ewy zanurzyła się w chmurze zapachów.

Aż zawibrował jej od pary nos.

Cynamon – kropka nad i.

– Czemu się ze mną nie ekscytujesz? – Próbowwała zarazić babcię dobrą energią.

– A czym tu się ekscytować?! Od rana nie usiadłam. Tylko gary i gary...

I czy człowiekowi nie może wszystko opaść?

Albo przynajmniej skłęsnąć?

– Przecież dzisiaj dziadek szaleje w kuchni, macie randkę.

– Randkę! Ja się muszę przed kolacją najeść, co ty myślisz? – natarła babcia.

– Że mi wystarczą jajka na twardo?! Poza tym nie wypuszczę cię do pracy bez obiadu. Nie ma mowy. Już i tak jesteś chudzina...

– Ale czemu jajka na twardo?

– A sądzisz, że co on ugotuje? Gęś w pomarańczach?!

Prawda, nie ma to jak pozytywne nastawienie.

– Na noc nie jest się dobrze obżerać – przypomniała dla porządku Ewa i stwierdziła, że kluski rozplývają się w ustach.

– Nie zaczynaj. Jajko mądrzejsze od kury! – marudziła babcia, ale w końcu usiadła naprzeciwko.

Upiła łyżeczek kawy i przymknęła oczy.

Ewa nauczyła ją pić kawę z mlekiem kokosowym, zwykłego mleka nalewały tylko odrobinę i ta nowa odsłona napoju w końcu babcię przekonała. Dziś piła

tylko taką.

– Pyszne – oceniła, a później zerwała się z miejsca. – Masz, spróbuj. – Energicznym ruchem postawiła przed Ewą słoiczek z dżemem Moniki.

– Ale teraz?

– Teraz. Język ci nie odpadnie.

Ewa skosztowała i musiała stwierdzić, że dżem jest niezły. Dość lekki, nie tak gęsty jak dżemy babci, ale niezły. Mocno truskawkowy.

– I co? – Babcia w napięciu czekała na werdykt.

– No, da się zjeść. Smakuje jak...

– Jak?

– Jak ze sklepu. – Ewa szukała właściwego porównania i to chyba było najlepsze, choć komplement pod adresem Moniki ledwie jej przeszedł przez gardło.

– Jak ze sklepu! – Babcia klasnęła w dłoń. – Wypisz, wymaluj! A konkretnie z Lidla, moja droga. Przecież nikt nie będzie ze mnie robił wariatki. Masz, porównaj! – Postawiła przed wnuczką słoiczek z napisem Sympathica Dżem truskawkowy, a malujące się na jej twarzy mściwe zadowolenie było jak dowód przestępstwa.

Babcia знаła cały asortyment okolicznych sklepów, dotyczyło to również marketów na Tysiącleciu.

Można jej było wierzyć.

Zresztą dżem z Lidla naprawdę smakował identycznie.

– Jaka... – Ewa była oburzona. – I jeszcze zrobiła naklejkę!

– Ostatnio poczęstowała mnie tym dżemem koleżanka, dlatego miałam w pamięci – wyjaśniła zadowolona babcia. – I wczoraj specjalnie poszłam do sklepu, żeby się upewnić. Ta Monika to jest kłamliwa bestia. Podstępna nawet... Biedny Pawcio! Piątki to są szuje, oczywiście mówię o źle wibrujących...

A otóż i Ewa wiedziała, jak poprawić babci nastrój.

Na chwilę ją przeprosiła, po czym pobiegła na górę, po plecak. Wyciągnęła z niego zabrane w tajemnicy przed Adamem klucze i po chwili dzwoniła już nimi babci przy uchu.

– Wiesz, co to jest? – spytała z uciechą. – To są prawdopodobnie klucze do poprzedniego mieszkania... Czarnej Mamby. Ale ten marchewkowy komisarz zapewnił mnie, że Monika nie ma nic wspólnego ze śmiercią męża... Szkoda. – Pociągnęła nosem.

Babcia zachłannie wysłuchiwała historii opowiedzianej Ewie przez Marchewkę, ale zachwycona nie była. Za to pomysł, żeby Adam uwiódł narzeczoną wnuczką, wręcz ją zelektryzował.

– I on to zrobi?! – dopytywała przejęta.

Ewa uśmiechnęła się z wyższością.

– Cóż...

– Takie buty... Ale ty się nie boisz? – spytała.

– Czego?!

– Że Monika się przetrzuci... Że się SKUTECZNIE przetrzuci na twojego kawalera.

– Ale że Adam się w niej zakocha?! – Ewa prychnęła w niedowierzaniu. – Babciu, proszę cię... My z Adamem... – Nagle zamilkła, bo w oczach babci zobaczyła mnóstwo irytującej uciechy.

– No, już, już. My z Adamem... Bardzo dobrze, pracujcie na przedłużenie linii Strzegomskich.

– No, tak, zapomniałam, że to najważniejsze – zakpiła i znowu naląła sobie kawy.

– Rodzina zawsze jest najważniejsza... Jest i będzie, pamiętaj. W porządku, a co z tymi kluczami? – Babcia wróciła do tematu i zatrzęsła nad Ewą swoją siwą czupryną. – I po coś ty się do tej Moniki włamywała?! Przecież gdyby wróciła...

– Paweł mówił, że zostaje na noc. Nie było opcji.

– Naprawdę tam z Adasiem weszliście? – Na jej twarz w końcu wypłynął uśmiech.

– Chciałam mu pokazać jej zdjęcie, a poza tym pomyślałam, że jak sobie chłopak zerknie na środowisko naturalne maskary, będzie mu ją łatwiej wyrwać.

– Dziecko, jakiego ty używasz ordynarnego słownictwa... – burknęła babcia niby zgorszonym tonem. – I co, i co?

– I ja też chciałam się rozejrzeć – podjęła Ewa. – Niby nie zabiła męża, ale mały rekonesans nie zaszkodzi. Trzeba trzymać rękę na pulsie.

– A, to wiadomo! I co? Coś tam znalazłaś?

– Oprócz kluczy nic – zakończyła niezbyt zadowolona, jednak te klucze napawały ją dziwnym optymizmem. – Ale coś mi mówi, że powinnam szukać dalej.

– Ale czego?!

– Nie wiem. A jeśli mam ochotę ustalić, jak to było z tymi wszystkimi samobójstwami?

– Po co, na Boga?! – Babcia zaczynała się wycofywać, pewnie wyobraziła sobie, że na jej wnuczkę czyhają rozmaite niebezpieczeństwa.

– Babciu, nie wiem. Po prostu chcę to wyjaśnić, w tym jest coś dziwnego.

– Od dziwnego jest policja.

– Właśnie policja ma związane ręce. Mąż Moniki pracował nad jakąś ważną sprawą i ją utracili.

– Kto?!

– A ja wiem kto? – Ewa wzruszyła ramionami. – Nikt nie wie kto, i w tym rzecz. A może ja sobie życzę mieszkać w normalnym kraju? Gdzie ludzie odpowiadają za przestępstwa?

– Matko kochana! Ty i ten twój idealizm...

– Mam w nosie idealizm, nie znoszę idealizmu – zaciętrzewiła się, bo babcia wszystko przekręcała.

Idealizm prowadził do perfekcjonizmu, a ten z kolei do przeróżnych nerwic i patologii, ale przekonanie, że dobro powinno zwyciężać, to zupełnie inna sprawa. Chodziło o zwykły wybór między dobrem a złem. Jak można było tego nie rozumieć?!

Ale babcia skutecznie opierała się wszelkim próbom perswazji.

– A ja nie znoszę zbierać gruszek – stwierdziła zupełnie bez związku i Ewa już wiedziała, jak spędzi przedpołudnie.

– Mam pozbierać?

– Pozbieraj, osy już żyć nie dają, wszędzie ich pełno. Zrobimy... dżem. – Z szatańską miną spojrzała na kosz, z którego następnie wydobyła słoik z Lidla. – Jabłkowo-gruszkowy. I poczęstujemy Monikę.

– W tym jej dasz?! – Ewa zachichotała.

– A jak inaczej! Tylko w tym!

Tak, Waleria Strzegomska to również była podstępna bestia, choć numerologiczna... dwójka.

A właściwie jedenastka.

Czyli cyfra mistrzowska.

Tylko czy wibrowała pozytywnie?...



Poderwanie przedstawicielki płci pięknej nie stanowiło dla Adama Gryziewicza większego problemu. Ale nigdy by nie przypuszczał, że będą go przed tym powstrzymywać względy... moralne? Moralność w aktualnym scenariuszu zdarzeń była jednak dość pokrętna, gdyż jego wybranka wręcz go do wiarołomstwa nakłaniała.

A już myślał, że zna życie.

Ale w porządku, skoro się zobowiązał, skoro dostał numer ofiary, nie było na

co czekać. To jak z bólem zęba. Samo nie przejdzie, a odwlekanie wizyty u dentysty kończy się stanem zapalnym. I chociaż żartował z randką w klinice, nagle stwierdził, że to świetny pomysł. Zupełnie jakby położył przed Moniką wypełniony PIT.

Wiertła w dłoń!

– Pani Olu... – Podeszedł do recepcji i dał dyskretny znak, że ma sprawę.

Pani Ola, długonoga blondynka o szerokim uśmiechu, zwykle przychodziła mu z pomocą, nie dlatego żeby miała w związku z nim jakieś dalekosiężne plany (mąż i dwójka dzieci), ale darzyła go najzwyczajszą sympatią. On także nie pozostawał jej dłużny, między innymi z tego powodu, że kiedyś skutecznie mu się oparła.

– Słucham, panie doktorze.

– Ale to tylko między panią a mną... – zastrzegł.

– Będę trzymać język za zębami – obiecała, puszczając do niego oko.

Docenił aluzję.

– I to jest najlepsza odpowiedź z możliwych, właśnie otrzymała pani premię... Pani Olu, mam tu pewien numer. – Do jej rąk powędrowała karteczka. – I jakby się dało pod niego zadzwonić i poinformować, że w tym tygodniu mamy dwadzieścia procent zniżki na przegląd jamy...

Pani Ola usiłowała zachować powagę.

– Czy ta osoba jest kobietą?

Niestety, Adam znowu wspomniął galerię dzióbkowych zdjęć i mina mu zrzędała.

Co za ironia losu. A ktoś mu ostatnio powiedział, że dzióbki już wyszły z mody. Teraz na czasie jest podobno *thighbrow*, czyli pozowanie do zdjęć w takim ułożeniu ciała, żeby wyeksponować linię bioder i ud.

Chyba by wolał, nawet w wykonaniu pani Brzeżko.

– Tak, chyba tak. To kobieta.

– Może w takim razie po prostu powiem, że mamy zniżki na konsultację? – zaproponowała rejestratorka, błyskając w uśmiechu bielutkimi jedynekami.

Metoda nakładkowa.

Jego dzieło.

– Już pani najlepiej wie, co powiedzieć – uznał. – Ale potem połączy pani bezpośrednio ze mną. Tylko proszę rozmawiać tak, żeby wyszło naturalnie...

– Rozumiem. Kiedy zadzwonić?

– Teraz.

Trochę się denerwował, ale to było nic w porównaniu z tym, jak skoczyło mu ciśnienie, kiedy po paru minutach telefon zadzwonił, a w słuchawce usłyszał piskliwy i natarczywy głos. Gdyby trzymał w ręku szklanę, na pewno by pękła.

Sopran, to musiał być sopran.

– Halo?! Czy rozmawiam z lekarzem?... Halo!
– Dzień dobry, tak, tu doktor Gryziewicz.
– Super. A może pan mi podać kierownika?
– Nie ma takiej potrzeby. Prowadzę klinikę do spółki z ojcem –
odpowiedział nieco zdziwiony, ale starał się brzmieć serdecznie. – Słucham, czy
coś się stało?

– Mogę wiedzieć, skąd macie mój telefon?! – Nie czekając na dalszy rozwój
wypadków Monika od razu na niego natarła. – To jest prywatny numer i ja sobie
nie życzę akwizycji.

– Rozumiem, dzwoniłiśmy tylko, żeby zaproponować ofertę
stomatologiczną.

– Ale skąd macie mój numer?! – nie odpuszczała.

– Kupujemy różne numery. Czasem podaje się gdzieś nieopatrnie
komórkę... W każdym razie mogę zapewnić, że nie mieliśmy złych intencji.

– Tak, tylko chcieliście na mnie zarobić!

– Chwileczkę – zaczął przemawiać jak zaklinacz węży, a ćwiczył na wielu
pacjentach. – Doskonale rozumiem, że mogła się pani poczuć niekomfortowo.
Telefon to w końcu nasza prywatność...

– No, raczej!

– Dlatego chcę pani coś zaproponować... Jak ma pani na imię?

– Monika. A co to ma do rzeczy?

– Wolę mówić ludziom po imieniu, zresztą swojego imienia również nie
ukrywam. Adam... A imię Monika podoba mi się szczególnie.

– Srata tata... – rzuciła wciąż nieco naindyczona, ale w jej głosie czuł już
lekką zachętę. – Co zaproponować? Mówił pan, że chce coś zaproponować...

– Jeśli naruszyliśmy pani prywatność, pani Moniko, chciałbym panią
zaprosić do gabinetu. Zupełnie bez zobowiązań – wymruczał uwodzicielsko i omal
nie puścił pawia w swoim sterylnym miejscu pracy. – Proszę mnie źle nie
zrozumieć – zastrzegł od razu. – Mam na myśli przegląd.

– Jak w aucie? – Monika w końcu się rozluźniła.

– Nie obiecuję, że będzie pani miała niezły odjazd... – podjął wyzwanie
i stwierdził, że po pracy strzeli sobie whisky. – Zajrzę pani tylko do ust, ale...

– Tak?

– Ale usługa będzie gratisowa i może coś z tego wyniknie...

– Ta, chyba leczenie kanałowe – zarechotała, a Adam odstawił od ucha
słuchawkę.

– Proszę być dobrej myśli. I proszę od razu przyjść do mnie.

– A wie pan, że przyjdę! Gdzie to jest?

– Artyści Uśmiechu, osiedle Tysiąclecia...

– Przecież to niedaleko!

– Naprawdę?! Mieszka pani na osiedlu? – Radość, powinien okazać radość.
– To może od razu się umówimy?
– A co mi tam, nawet wybieram się dziś w pana okolice.
– Teraz? – postanowił iść za ciosem.
– Może być teraz. Będę o dwunastej.
– Jak Kopciuszek... Świetnie! Jeszcze muszę pani coś wyznać. Przepraszam, ale ma pani... intrygującą barwę głosu. To była moja pierwsza myśl, kiedy się połączyliśmy... To znaczy – zaśmiał się kusząco – kiedy odebrałem połączenie. Dobrze, w takim razie czekam.

Do południa odwołał planowane na dzisiejszy dzień wizyty (ojciec się nie ucieszył), potem wynikła nieskomplikowana ekstrakcja i wreszcie miał wolny kwadrans. Postanowił go wykorzystać i zadzwonić do Ewy. Poszedł na pięterko, ulokował się w pokoju konferencyjnym, po czym zapomniał, gdzie jest. Nawet nie zamknął drzwi.

To nie było zbyt rozsądne.

Pięć minut przed dwunastą na piętro wszedł wysoki mężczyzna ze szramą na lewym policzku, pokręcił się chwilę przy automacie do kawy, a że z pokoju dobiegł go znajomy głos, zatrzymał się przy drzwiach i nadstawił uszu.

Usłyszał tylko kilka zdań, ale w zupełności mu wystarczyły.

– A wiesz, z kim mam zaraz spotkanie?... A w zasadzie wstępną randkę... I właśnie w pracy, ale mam nadzieję ją stąd wywieźć. Myślisz, że szampan w południe to dobry pomysł? W Stanach to się nazywa *brunch*. Tak, właśnie z nią! Monika Brzeżko, moja... nowa dziewczyna.



Kamil Kościkiewicz potarł szramę na policzku, po czym bezszelestnie zszedł na dół.

Uśmiechnął się do wypłowiałej blondyny w recepcji i z udawaną rezygnacją opadł na fotel. Oczywiście jego przyszywany tatuś nie mógł rzucić wszystkiego i wyjść, kazał mu czekać, choć umówili się o wpół do dwunastej – matka narzekała ostatnio na serce, męczyła się nawet po przejściu kilkunastu metrów, więc trzeba było coś postanowić.

Ale w porządku, poczeka. Na recepcji, z pacjentami. Jakby był jednym z nich. I chociaż za każdym razem, kiedy tu przychodził, wściekał się jak diabli,

dziś stwierdził, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – gdyby się nie nudził, nie włóczyłby się po klinice, a wtedy na pewno nie usłyszałby swojego przyrodniego braciszka obwieszczającego całemu światu, że ma randkę! Ciekawe, czy to ta sama dziewczyna, o której wspominał staruch na Wiejskiej.

Wnuczka.

Wyśmienicie.

A więc szykuje się ciąg dalszy.

I on już zadba, żeby ta konkretna bajeczka miała odpowiedni koniec. Nie będzie żadnego „żyli długo i szczęśliwie”. Z prostej przyczyny. Nienawidził dupków, którzy uważali, że mogą wszystko, bo są jedynakami tatusia. Gdyby nie tatuś, dupek Adaś nie miałby nic. I musiałyby walczyć tak jak on. I wtedy ciekawe, czy byłoby go stać na BMW i włoskie ciuchy.

A oto i lalusz we własnej osobie.

Zszedł ze schodów zadowolony, odgarnął loczki, a na widok brata odwrócił wzrok i mruknął coś pod nosem. Wspaniałe powitanie. Więc Kamil ani myślał budować rodzinnych relacji, w odpowiedzi tylko skrzywił usta. Ale satysfakcja go ominęła, lalusz stanął jak zdobywca Złotej Plomby, drzwi się otworzyły i do recepcji weszła...

Musiał przyznać, że niezła sztuka.

Brunetka, a brunetki Kościkiewicz lubił najbardziej, w dodatku figurę miała wręcz komiksową; klepsydra jak się patrzy. W pasie objąłby ją jedną ręką i jeszcze zostałyby miejsce na palec. I te piersi... Jak pierzyny na Syberii – wpadasz, a tam ciepło i miękko, tylko ci uszy wystają. Marzenie! Twarz też niezła. Trochę sukowata, ale suki mają przynajmniej jakiś charakter. I są dobre w łóżku. Zdecydowanie wolał kobiety z pazurem, a nawet z tipsem, niż zadbane, ale porządne. Porządnie to on się mógł napalić, a od kobiety oczekiwał czegoś więcej.

Słowem, lalusiowi się trafiło.

Jak ślepemu hulajnoga.

– Pan Gryziewicz zaprasza. – Blondyna za ladą posłała mu bezbarwny uśmiech, ale już wiedział, co powinien zrobić.

– Proszę przekazać panu Gryziewiczowi, że czekałem pół godziny, teraz może mnie łapać przez telefon...

Wypłowiwała nie zmieniła wyrazu twarzy, skinęła głową, debil junior porwał brunetkę do gabinetu, więc Kościkiewicz stwierdził, że nic tu po nim. Trzasnął drzwiami i ruszył na parking. Frajerzy mogli kupować BMW, proszę bardzo, ale niech mu ktoś powie, że Volvo XC90 to zły wybór. Najbezpieczniejsze auto na świecie.

Z dumą odpalił silnik, przez chwilę wsłuchiwał się w ten hipnotyczny dźwięk przypominający mu wieczory nad Morzem Tyrreńskim (szum fal i cykady), po czym wyjechał na ulicę i zaparkował za sznurem samochodów. Miał co prawda

zaplanowane mnóstwo spraw, ale teraz interesowało go jedynie miejsce zamieszkania Moniki Brzeżko. Dla tej informacji mógł jeździć za swoim przyrodnim bratem, debilem, choćby do wieczora.

Brzeżko...

Zaraz, czy on nie znał czasem tego nazwiska?



Kopciuszek?

Chyba raczej Kopciuch!

Monika tak śmierdziała papierosami, że Adam był pewien, że w ciągu najbliższych miesięcy zejdzie na raka płuc. Bierne palenie to też palenie. A czynne grzebanie w ustach palacza – ostatnio czuł się tak, kiedy gmerał pogrzebaczem w piecu babci.

Po to studiował medycynę, żeby teraz robić za zduna?!

– Już, gotowe. Pani Moniko – spojrzał na nią przeciągle – ma pani kilka ubytków, ale to nic poważnego. Zaskakujące jak na... – trochę się zaplątał – jak na tak piękną kobietę. Liczyłem, że nie zobaczę u pani ani jednej dziurki. To znaczy, jedna by się przydała... – bredził, czując pod ramieniem jej spory biust, a pewne impulsy budziły się przecież w mężczyznach w sposób naturalny.

Na szczęście Monika nie skojarzyła.

– Czyli że co?

– Czyli że będziemy się widywać. Jeśli będzie się pani u nas leczyć.

Pod przyczernionymi powiekami zobaczył naraz mnóstwo sprytu.

– A ile to będzie kosztowało?

– Zależy od kilku czynników, cennik może pani obejrzeć w recepcji, a jeśli się pani zdecyduje...

– Na pewno się nie zdecyduję. Nie stać mnie – oznajmiła, wysuwając ostrą brodę, ale nie odrywała od niego wzroku.

Chwila, czy ona mu tego biustu pod ramię sama nie wpychała?!

To było jeszcze gorsze niż zaloty Alicji!

Adam wzdrygnął się w środku, ale na zewnątrz nie dał po sobie niczego poznać.

– Czyli... już się nie zobaczymy? – spytał z żalem.

– A chciałby pan? – Monika poprawiła się na fotelu z miną znieczulonej eterem kocicy, a spódniczka podjechała jej niemal po kości biodrowe.

– Chciałbym – odparł, po czym uśmiechnął się jak Robert Redford.

Oszczędnie, ale obiecująco.

Kobiety od tego miękły.

– To co za problem? – Monika również się nie oparła. – Możemy się przecież umówić.

– Pod jednym warunkiem... – wymruczał.

– Czyli?

– Że zacznie mi pani mówić po imieniu. I że skoczmy na szampana. Teraz, zaraz. W parku jest niezła restauracja. Kamienny Kasztel. Co pani... Co ty na to?

Monika na propozycję przystała co najmniej z ochotą, a zanim dotarli do celu, wiedział już o niej prawie wszystko, łącznie z tym, że syna wychowuje teściowa, że aktualnie Monika mieszka sama i że w pewnym miejscu na ciele ma tatuaż. W porównaniu z tym ostatnim szczegółem wyciągnięcie z niej adresu

poprzedniego lokum nie stanowiło dla Adama specjalnej trudności.

Znacznie trudniejsze było dla niego dojście po tym wszystkim do siebie.



Tak, pan Andrzej dostrzegał zmarszczki, wałeczki, dostrzegał przerzedzone i siwe włosy, tak samo jak rejestrował kwaśne miny, ale w swojej Walerii wciąż widział smukłą dziewczynę i nic nie było w stanie tego zmienić.

Może to jakaś wada wzroku?

Jeśli tak, ta zastanawiająca przypadłość przydarzyła się nie tylko jemu; Boguś również patrzył na swoją „starą” (tak do niej mówił, Waleria by mu za takie coś urwała głowę!), a widział młodą. I takich jak oni było wielu. Jeśli ktoś kochał, padało mu na wzrok. Pewnie nie bez przyczyny mówi się „co z oczu, to z serca”.

A gdyby jego żona jednak oszalała i pozwoliła się uwieść Mańkiewiczowi?

Kiedy o tym myślał, robiło mu się gorąco, a teraz powinien się zająć przygotowaniem kolacji, a nie wymyślaniem ponurych scenariuszy. Od dzisiejszego wieczoru wiele zależało, kto wie, może nawet postawi przed Walerią skrzyńeczkę z kosztownościami?

Co do menu, zamierzał podać jajka na twardo w majonezie kieleckim, surówkę z pomidora, zielonego ogórka i cebuli – choć Ewa jej nie uznawała, gdyż podobno ogórek zabija w pomidorze witaminę C – do tego twaróg z rzodkiewką i szczypiorem. Plus świeżutkie pieczywo, po które poszedł o poranku aż na osiedle Tysiąclecia (w pawilonie mieli wyborny żytni chlebek). Dietetyczne to może wszystko i nie było, ale dziś znowu jadł same warzywa, poza tym...

Wziął środek na odchudzanie.

Boguś zamówił go w niedzielę wieczór, więc tempo mieli w tym sklepie nadzwyczajne, bo kurier zapukał do drzwi z samego rana. Pan Andrzej przyjął więc pierwszą tabletkę, teraz nadszedł czas na kolejną i musiał przyznać, że czuł się znakomicie. Może tylko było mu ciut za gorąco... Ale to z emocji, randka z żoną, tego jeszcze nie grali! A jeśli grali, to bardzo dawno temu.

O wiele za dawno.

Człowiek działa jak automat, pracuje, wychowuje dzieci, a druga osoba staje się coraz bardziej przezroczysta. I co najgorsze: traci płęć. Kiedyś przyłapał się na tym, że myśli o Walerce jak o siostrze albo matce, i był przerażony. Ale jego żona robiła się coraz starsza, bolała ją kręgosłup i nie chciała myśleć o głupotach – tak to nazywała. Ale czy miłość i bliskość to głupoty? Nawet w ich wieku? Kto tak powiedział? Najwyraźniej nie Mańkiewicz. Bo inaczej nie ciągnąłby jej na kolację, stary cap...

Pan Andrzej w popłochu sprawdził zegarek, a potem odruchowo przegonił Bombę, która oddała się niedawno odkrytemu zajęciu – z zapalem tarosiła nowe legowisko, gryzła je szarpała, warcząc przy tym tak, jakby toczyła walkę z dzikiem.

Brzegi legowiska ledwie wytrzymały.

– Żebyś ty tak dokazywała w lesie – mruknął, po czym spróbował sprawdzonej metody dydaktycznej. Zaczął suce tłumaczyć: – Bomba, daj spokój, bo zniszczysz, a pan ci kupił ładne spanko. Teraz musimy posprzątać, na ósmą tu musi wszystko lśnić, inaczej pani nas zamięczy. Rozumiesz? Zamięczy...

Bomba radośnie zaszczekała, gdyż słowo „sprzątać” kojarzyła z najlepszą zabawą.

I nie pomyliła się.

Jej pan najpierw zamiótł podłogę (taniec ze szczotką, rewelacja), potem ją wyszorował (zabawa w mokre łapki), a potem zaczął wyносить różne rzeczy na strych i tu już była frajda na całego. Bomba uwielbiała strych, zawsze coś na nim znalazła. Jak choćby klosz na lampę – świetne miejsce, żeby zrobić panu psikusa i się ukryć.

Ale jej pan był dziś nieswój, jakby się czymś denerwował.

I ciągle ocierał z czoła pot.

– Mamy godzinę – oznajmił, sapiąc, gdyż maszyna do pisania, którą właśnie zaniósł na piętro, była potwornie ciężka. – I żebyś nam nie przeszkadzała, dam ci zaraz parówki. Dam mojej dziewczynce parówki, dziewczynka utnie sobie drzemkę i nie będzie na panią skakać. Umowa stoi?

Roboty było sporo, ale pan Andrzej nie bał się wysiłku, znacznie bardziej bał się języka swojej żony. Dlatego kiedy wybiła dwudziesta, domek pachniał świeżością, a stół uginał się od smakołyków. Z gramofonu Bambino (kiedyś kupił cały zapas igieł), sączyły się dźwięki francuskich melodii i w końcu doszło do spotkania na szczycie.

W progę jego królestwa stanęła Waleria.

Wyglądała zachwycająco.

Delikatnie umalowana, w sukience, z błyszczącymi włosami, ułożonymi w regularne fale, które w przedziwny sposób zmiękczały jej twarz. I była to twarz bez grymasów, nawet pogodna, gdyż na drobnych ustach małżonki gościł uśmiech.

– Co tu tak wali? – spytała na wejściu, rozglądając się krytycznie.

– Kto pali? – nie zrozumiał, a może znowu nie dosłyszał? – Ja nic nie paliłem, ani nie przypaliłem. Ugotowałem...

– Jajka na twardo? – Walerka miała w oczach radar.

W ciągu kilku sekund zdążyła dokonać przeglądu wszystkich sprzętów łącznie z garnkiem na piecyku i przesuniętą wersalką, po czym zatrzymała wzrok na legowisku. Bomba leżała w nim najedzona, uśmiechnięta, co wcale nie przeszkadzało jej skubać obszycia.

– Czemu ona to żre? I po co kupować psu takie głupoty, skoro można położyć koc?

– Chyba tobie położę koc – powiedział szybciej, niż pomyślał, na szczęście półgłosem i do Walerki nie dotarło.

– Leżeć! – krzyknęła tymczasem jego lepsza połowa i faktycznie, nawet on poczuł, że chętnie by odpoczął, choć komenda nie była skierowana do niego.

Bomba pisnęła i położyła po sobie kudłate uszy.

– Widzisz, tak się rozmawia z psem. A nie tui, tui. Pies ma czuć mores.

– Mores... Otworzysz szerzej okno? – poprosił i opadł na wersalkę.

Ależ dziś panował upał.

– Coś nie tak?

– Nie, trochę mi duszno. Sprzątałem...

Walerka podeszła do łóżka i... złapała go za rękę.

– Andrzej, ty mnie nie strasz... Ale puls masz w normie – oceniła.

Bardzo było mu miło, mógłby tak leżeć i leżeć, czując przy swoim boku obecność troskliwej żony.

– Nie strasz się... To znaczy nie bój się, trochę się zasapałem, ale zaraz będę jak nowy – zapewnił i uśmiechnął się do niej w tych falach, miękkościach, w tej sukience w kwiatki.

Była jak podmuch lata.

– Wstajemy! – stęknęło lato i nagle poczuł, że drobna dłoń Walerii ciągnie go do góry. – Przestawimy wersalkę, w tym rogu w ogóle nie ma powietrza.

– Nie szkodzi, jeszcze momencik...

– Andrzej! Przesuwaj tego grata i nie marudź, tu chodzi o twoje zdrowie. No, już!

– Walerka...

– Leżeć! – zawołała.

– Wstawać, leżeć... Zastanów się, kobieto.

– Co ty głupka udajesz, przecież to było do psa. Ty masz wstawać! – Znowu zaczęła go ciągnąć za rękę.

– Nie mów do mnie jak do psa.

– Oszaleję. Andrzej, wstawaj, sama nie dam rady!

Była niemożliwa z tym swoim wydawaniem komend, ale wstał, kolacja czekała.

– Zostaw, daj spokój.

– Przestawiasz wersalkę czy mam się nabawić przepukliny?! – zaciętrzewiła się, choć zupełnie nie rozumiał dlaczego.

– Czemu się tak uparłaś?! Wersalka i wersalka. Już mi nic nie jest. Chodź, siądziemy przy stole. Zrobiłem twoją ulubioną surówkę, z naszych warzyw. I puściłem twoje piosenki...

Walerka stała przez chwilę przy nim bezradna, widocznie może nie było aż tak źle, może nie był jej obojętny, po czym z obrażoną miną odsunęła krzesło.

A z lata zrobiła się jesień.

– Za jajka dziękuję. Ale pomidory z ogórkiem chętnie zjem, wyglądają nawet... apetycznie. A skórka? Czemu nie ściągnąłeś z pomidorów skórki?!

Jego Waleria.

A może się mylił, może w byciu razem wcale nie chodzi o to, żeby mieć święty spokój?



Jeśli ktoś się w życiu nudzi, powinien zostać lekarzem.

Ewa zdążyła pozbierać gruszki, a nawet je pokroić, ale potem musiała przysiąść nad nauką. To nieprawda, że lekarze pracują tylko w szpitalu. Ci, którzy chcą być dobrzy, ciągle muszą się uczyć, a Ewa chciała być najlepsza. I chyba marzyła o kardiologii. Posiedziała więc do obiadu nad pewnym ciekawym przypadkiem, przedarła się w związku z tym przez dwa artykuły w pismach medycznych i prawie udało się jej przed wyjściem do pracy nie zdenerwować.

Prawie.

Na dole babcia wesoło nuciła jakiś przebój, na piętro dochodził zapach gotowanych owoców, kiedy zadzwonił Adam. Chciał się pochwalić, że ma randkę z... nową dziewczyną. Szybko przeszedł do rzeczy, nie ma co, jeszcze nie wybiło południe. Żartował, oczywiście, ale te żarty wcale nie były zabawne. Niby sama go do tego namawiała, powinna więc unieść dumnie głowę i przejść nad tym do porządku dziennego.

Ale szampan?!

To nie było na porządku dziennym.

Nie mógł jej postawić browara w jakiejś spelunie na Załężu, tylko od razu bąbelki?

Przez następne pół dnia Ewa była dziwnie podminowana i kiedy pod wieczór na wyświetlaczu komórki znowu zobaczyła napis „Malarz Kmiotek”, wcale nie zamierzała być wylewna.

– Jestem już po – obwieścił tak kretyńsko zadowolonym z siebie głosem, że Ewa aż zakrztusiła się herbatą.

– Czad. Ile to w sumie godzin?

– Jakich godzin?! Z Moniką rozmawiałem do drugiej.

Nie, nie będzie go rozliczać z czasu, jeszcze czego.

– A potem pojechałem do siebie – dokończył i była mu za to wyjaśnienie wdzięczna. Do diabła, co się z nią działo?! – Sprzątałem, bo... Chciałem cię znowu do siebie zaprosić. Wczoraj to była jakaś porażka. Zapraszam cię na kolację. Ugotowałem...

– Jajka na twardo?

– Nie, ale jeśli lubisz...

– A co ugotowałeś? Nie mów, że gęś w pomarańczach, bo zemdleję.

Ewę paliła ciekawość.

– Ziemniaki. Do tego pieczony kurczak nadziewany fetą i suszonymi pomidorami – usłyszała i wokół rozzwoniły się dzwony i fletnie Pana. – W sosie szpinakowym. Mamy też alkohol, tylko nie wiem, co wolisz...

– Tylko nie szampan!

– Czemu?

– Zdaje się, że już dzisiaj piłeś?

Na moment zapadła cisza.

– Z tobą mogę pić nawet kefir i będzie smakował jak ambrozja. Ale nie, żaden szampan. Różowe wino. Musujące. Może być? Już czeka w lodówce... Kiedy kończysz? – spytał.

– Za kwadrans.

– To czekam na dole – rzucił jak gdyby nigdy nic i Ewa skoczyła do okna, skąd miała widok na ulicę.

Jest!

Pod szpitalem zobaczyła turkusowe bmw, a przy nim Adama – stał oparty o maskę i... pucował koszulą rysy. Wspomniała mu, że dzisiaj będzie w szpitalu, chciał wiedzieć w jakim, ale żeby facet tak sam z siebie wyszedł z inicjatywą?

Poleciała do niego niemal sprintem, a potem została zawieszona na Morelową. Adam szarmancko otworzył jej drzwi auta, potem przepuścił ją w furtce, a w końcu wpuścił do domu.

– Rozejrzyj się, śmiało.

Dom nie porażał rozmiarem, jak to bliźniak, ale za to był gustownie urządzony. Ewie podobał się zwłaszcza salon, gdzie pod jedną ze ścian Adam urządził coś, co można by nazwać... domową oranżerią. Cała podłoga, półki były zastawione różnymi roślinami. Imponujące, zwłaszcza że wiedziała przecież co nieco o ogrodnictwie.

– Nie wierzę, sam o to wszystko dbasz?

– Sam. Jestem jak... Wierny ogrodnik – rzucił tytułem filmu, a potem nalał jej kieliszek wina. – Oglądałaś?

Wino było przyjemnie kwaskowate.

– Tak. A propos wierności... Jak ci się rozmawiało z Moniką, nic nie mówisz.

– Już, tylko pstryknę kurczaka – rzucił wesoło i przeprosił ją na chwilę.

Gotujący mężczyzna, babcia nie uwierzy!

– Zatem Monika okazała się przy bliższym poznaniu rozmowna... – zaczął po powrocie.

– Przy bliższym? Czyli do bliskości wystarczy butelka szampana? Fajowo.

Adam odstawił kieliszek i nie zwracając uwagi na komentarze, opowiedział o spotkaniu. Zakończył dość pochopnym wnioskiem, przynajmniej jak dla Ewy.

– Nie wiem, może i ta Monika nie kocha twojego brata...

Może?!

– Na pewno kocha. Kocha, tylko gzi się w krzakach z obcym mężczyzną! – rzuciła poirytowana.

Czy on udaje, czy się zgrywa, tego Ewa nie umiała ustalić, ale zaczynała się denerwować.

– Nie gzi się, tylko rozmawia, i nie w krzakach, tylko w parkowej restauracji. Na tarasie – uściślił, nie tracąc spokoju. – Tak słuchałem tej Moniki i słuchałem, i muszę stwierdzić, że ona nie jest taka zła...

Następny!

– Co ty mówisz?! – Ewa poczuła się bardzo dziwnie. Jakby zdradził ją przyjaciel? – A może ja cię przyjmę na oddział i przebadam? Owsiak fundnął nam aparaturę diagnostyczną, nie pożałujesz...

– Mogę dokończyć? – Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Gryziewicz przybrał tak rzeczowy ton, że jednak zamilkła. – Dziękuję. Ciągłe mi przerywasz...

Tak, uważam, że Monika nie jest taka zła – powtórzył. – Mała korekta. Nie jest ani zła, ani dobra. Po prostu usiłuje przeżyć.

– Możesz to jakoś rozwinąć? – spytała w napięciu.

Co to znaczy, że Monika usiłuje przeżyć? Ona też usiłuje przeżyć, podobnie jak miliardy ludzi na świecie. Zwierzęta i owady też nie chcą umrzeć. Ani skąposzczety. Tyle że to ludzie mają coś takiego jak rozum.

Adam zaczerpnął tchu, widać było, że starał się skoncentrować.

– Podrywanie dobrze sytuowanych mężczyzn to, jak sądzę, jej życiowa taktyka – oznajmił, a jego oczy wydały się Ewie pełne...

Cholera, miłości i pokoju?!

Chyba nie zaczniesz nawijać o Jezusie?

– Pasożytnictwo, to się nazywa pasożytnictwo. – Nie byłaby sobą, gdyby nie dokonała drobnej korekty.

– Tak sobie myślę, że ludzie mają czasem w życiu pecha.

– Tak? A może powinni go przegonić uczciwą pracą?

– Nam jest łatwo mówić. Mamy nieco inną perspektywę. – Gryziewicz, nagle pełen miłosierdzia, przemawiał jak ksiądz w duchu odnowy. Chyba. Ale była również i taka możliwość, że dentysta okazał się po prostu przyzwoitym człowiekiem... Ale numer! – Nie wiemy, jak to jest, kiedy się nie ma na chleb... O, kolacja! – Z kuchni dobiegło ich piknięcie piecyka, więc Adam przerwał w pół słowa i zostawił Ewę samą.

Co tu się właściwie wydarzyło?

Nie, już nie była zazdrosna, Adam by się nie zachwycił Moniką, a zatem po co były te całe rekolekcje? Może Gryziewicz chciał jej dać do zrozumienia, że się do Moniki najzwyczajniej uprzedziła? Nawet jakby, co z tego. Nie może chcieć, żeby Paweł związał się z kimś, kto ma inne pomysły na życie?! Niech kandydatka handluje kiszoną kapustą, nawet marchewkami, ale niech coś robi! A nie żeruje na innych.

Jednak w tej krótkiej chwili już zdążyła ochłonąć, przestała nawet podejrzewać Gryziewicza o przystąpienie do zielonoświątkowców – tym bardziej że na stół wjechała tak szaleńczo pachnąca potrawa, że szkoda było tracić czas na kłótnie.

Były nawet serwetki!

– Ten kurczak... I ziemniaczki, to wszystko... – usiłowała wyrazić swój zachwyt, kiedy przełknęła już ostatni kęs i otarła usta. – Oddałabym za to bilet na Hawaje – wyznała z taką rozkoszą, że Adam cały pojaśniał.

– Miło słyszeć. Chciałem ci wynagrodzić wczorajszy wieczór. – Uśmiechnął się dość nerwowo.

– Tak, wczoraj przysięgałam, że moje cztery litery nigdy już nie zobaczą czerwonych majtek.

– Musisz być taka kategoryczna? – zarechotał.
– Tylko w niektórych kwestiach. A co do Moniki... Będę robić swoje, ale spróbuję już nie pałać do niej taką niechęcią – obiecała.
– Robić swoje?
Ewa pomyślała o leżących na biurku kluczach.
– Wyjaśnię morderstwo jej męża. A przynajmniej spróbuję. Na początek dowiem się, gdzie wtedy mieszkali.
– Chyba będę coś dla ciebie miał...
– Deser? – poczuła, że do ust napływa jej ślinka.
– Może być deser, zaraz coś wymyślimy. – Adam uprzątnął stół i zaprosił ją gestem do kuchni. – Ale to coś lepszego. Adres.
– Adres? Poprzedni adres Moniki?!
– Ulica Tysiąclecia czterdzieści siedem, mieszkania osiemnaście.
Adam szedł do kuchni z talerzami, ręce miał zajęte, więc Ewa zaryzykowała i wystosowała dziękczynnego buziaka. Z tego powodu talerze omal się nie potłukły, a właściciel domu z trudem łapał oddech.
– Może wody? – Ewa wyplątała się z jego ramion i wskazała na lodówkę z dozownikiem.
– A dziękuję, wybieram wino.
W dalszej części wieczoru naczynia wylądowały w zmywarce, a Ewa na skórzanym narożniku.
– Tak się zastanawiam – rzuciła, wygodnie się układając. – Dlaczego w mieszkaniu Moniki nie było w ogóle rzeczy męża? Myślałam, że znajdę jakieś jego notatki, papiery... Może policyjny notes – westchnęła.
Adam szybko jej to wyjaśnił.
– Może rzeczy męża oddała teściowej? Skoro się przeprowadziła i zamknęła pewien etap...
– Do teściowej... – Ewa musiała mieć dość znaczącą minę, bo Adam się przestraszył.
– Ale nie będziesz się już nigdzie włamywać?
– Niby gdzie? Tak się składa, że nie mam pojęcia, gdzie mieszka jej teściowa.
– A poprzednie mieszkanie Moniki?
– Skoro było wynajmowane, czego tam szukać? – starała się przekonać samą siebie. – Pewnie już tam mieszka ktoś nowy.
– Racja. Ale obiecaj mi... – Adam pogłaskał ją po rękę.
– Tak?
– Że już nigdy nie będziesz włamywaczką.
– Pomywaczką? – próbowała żartować.
Tylko że bycie włamywaczką bardzo jej się podobało. I to poprzednie

mieszkanie Moniki... Niby nie było sensu się tam pchać, ale czy Edison wynalazłby żarówkę, gdyby rozwiązywał problem utartymi sposobami?

Adam już był gotów naciskać i pewnie złożyłaby jakąś dwuznaczną deklarację, kiedy zadzwonił telefon.

– Alicja... – stwierdził, wahając się, czy powinien odebrać.

Jednak łaskawe spojrzenie Ewy go przekonało.

– Dam na głośnomówiący – postanowił i w salonie rozległ się pełen entuzjazmu głos właścicielki koronkowych majteczek.

– Cześć, Adaśku, jesteś w domu?

– Yyy... To zależy – odpowiedział wymijająco.

– Bo coś dla ciebie z Thomasem przynieśliśmy. Będziesz zachwycony.

– Stary, dawaj! – doleciał ich męski głos, który... brzmiał nie tylko w komórce.

Dziwnym trafem usłyszeli go również... na ulicy!

– A gdzie jesteście? – spytał w popłochu Gryziewicz.

– Adaś, Adaś! – dobiegło zza okna.

Ewa rozłożyła ręce. Wolałaby, rzecz jasna, ten wieczór spędzić inaczej, ale Adam nie należał do facetów, którzy się ukrywają. Nawet we własnym domu.

– Poczekajcie, już otwieram... – rzucił, po czym obiecał, że spławi ich pod byle pretekstem.

– Zaraz wracam. Nie krępuj się.

Ewa nie zamierzała się krępować.

Kiedy Adam znikł za drzwiami, po cichutku ruszyła jego śladem. Z czystej ciekawości zamierzała tylko zerknąć na Alicję, a potem wrócić, ale się przeliczyła. Po pierwsze, pomiędzy holem a przedsionkiem nie było żadnego okna, po drugie, Adam zamienił ze znajomymi zaledwie kilka słów i już prawie byli w środku.

– Jesteś... Ewa, to cię chyba powinno zaciekawić – oznajmił.

Alicja, kolorowa jak ptak i jak ptak rozświergotana, od razu przypadła Ewie do gustu, głównie z tej przyczyny, że nie interesowała się Adamem – adorowała młodzieńca w skórzanych spodniach, który napinał dla niej muskulaturę. Natomiast młodzieniec, pomimo samczego anturażu, wydał się Ewie kompletnie nijaki.

Adam przedstawił sobie towarzystwo.

– Alicja, Ewa. Ewa, Thomas, czy jak mu tam dali na chrzcie.

– Kościół anglikański? – Ewa zachichotała, a młodzieniec udał, że nie słyszy.

Z Alicją natomiast uściślały się jak dobre znajome.

Adam ulokował gości, po czym rzucił w kierunku Ewy:

– Alicja wie, że przepadam za Malczewskim... – zaczął zmieszany, przyglądając się znacząco pakunkowi na kolanach Thomasa. – I dlatego...

– Adaśku, nie kryguj się tak. – Alicja, jak to ona, od razu przejęła pałeczkę. –

Czy to jest ta ślicznotka od portretu?

Ewa nigdy nie uważała się za ślicznotkę, jednak wzrok Adama sprawił, że to słowo nabrało dla niej nowego znaczenia.

– Wspaniale widzieć was razem. Adam i Ewa. – Alicja złożyła w zachwycie dłonie. – Ale z was słodziaki... W porządku, przejdźmy do interesów. Cenisz Malczewskiego, tak? – spytała Adama, który z zapałem przytaknął głową.

– Ja też go bardzo cenię – dodała Ewa.

– O, i wspaniale, że się zgadzacie. Wspólna pasja to podstawa. – Alicja mrugnęła okiem do napompowanego młodzieńca, który zaczął ściągać z pakunku papier. – Znajomy Thomasa chce sprzedać obraz. Oczywiście mowa o Malczewskim, inaczej nie zawracałabym wam głowy. Adam powiedział, że chętnie by kupił. To nieznaną pracą, ale jak najbardziej autentyczną. Daliśmy jej tytuł... *Nostalgiczny portret z fujarką*.

Nostalgiczny portret z fujarką?!

Ewa oniemiała.

Widziała zaledwie część obrazu, ale od razu rozpoznała prababcię! To była jej prababcia i jej... *Portret kobiety z biegunką!* W prawym górnym rogu widniała plama, którą zrobiła osobiście, kiedy niezbyt czystymi rękoma zabrała się za wycieranie kurzu – wcześniej jadła placki ziemniaczane. Jak doszło do tego, że tłuszcz skapnął na płótno, nie miała pojęcia, ale teraz sobie gratulowała. Inaczej nie wiedziałyby, że to jej własność!

– Czy coś nie tak? – Alicja doskonale czytała sygnały niewerbalne, wystarczył jej rzut bystrego oka.

Ewa postanowiła nie działać pod wpływem emocji, choć w ciągu tych kilku minut poczuła w skroniach pulsujący ból.

Prababcia!

– Przepraszam, mogę na chwilę prosić Adama?

Adam również dostrzegł jej wzburzenie, więc czym prędzej za nią podążył.

– Czemu... – zaczął odrobinę zbyt głośno.

Ewa przyparła go do lodówki i zakryła mu usta.

– To jest mój obraz. Moja prababcia Adelajda! – zaczęła gorączkowo szeptać. – To mój obraz! Ten skradziony.

Adam delikatnie uwolnił się z uścisku i również przeszedł na szept.

– Niemożliwe.

– Adam, to jest mój obraz, ma plamę po plackach w prawym górnym rogu. Wiem, co mówię. To portret, którego szuka Marchewka. Mój skradziony obraz. Ten sam.

– Ale jak...

Ewentualność, że gości w domu złodziei, chyba go przerosła.

– Nie wiem jak. Zapytaj Alicji, ale to mój obraz i tak tego nie zostawię!

– Tylko bez nerwów... – próbował łagodzić. – Jesteś pewna?
– Wyglądam na blondynkę? – zadała kluczowe pytanie i Adam zgłupiał.
Chyba zatrzymał się na uczernianiu brwi węglem. – To jest moja prababcia. Moja!
– Moment, daj mi pomyśleć.
– Nad czym tu myśleć, w salonie siedzi dwójka złodziejasków!
– Ale skąd by wiedzieli, Ewa, to bez sensu! – przekonywał.
– Mówiłeś Alicji o Malczewskim? – spytała oskarżycielsko. – Mówiłeś, sama słyszałam.
– Ale nie o twoim Malczewskim, wtedy w ogóle nie wiedziałem, że masz jego obraz! Ogólnie mówiłem, o malarzu.
– Mam jego obraz i ten obraz leży na twoim stole. Wyjaśnijmy to w końcu.
Dzwonię po komisarza! – zapowiedziała i wtedy Adam znalazł rozwiązanie.
– Kupię go – oświadczył.
– Co? Zwariowałaś?! Chcesz pertraktować ze złodziejami?!
– Alicja nie jest złodziejką. Znam ją od lat. To szurnięta nimfomanka, ale nie złodziejka – zapewnił. – Może Tomek?... Zresztą nie wiem. – Skapitulował. – Nie chcę nikogo oskarżać. Kupię dla ciebie ten obraz i po krzyku.
Zupełnie odjęło jej mowę.
– Ewa, zgadzasz się? – dopytywał przejęty.
– Ale czemu... kupię? To nieuczciwe. To jest moja własność.
– Mam taką fantazję, nie wolno mi? Chodź... – Złapał ją za rękę.
W salonie, jak w każdym pomieszczeniu, w którym przebywała Alicja, atmosfera pęczniała od seksualnych skojarzeń. Ewie przemknęło przez myśl, że tym razem znajdą za narożnikiem stanik i szpicrutę – bo kiedy wrócili, zastali Alicję na Thomasie w pozycji na jeźdźca.
Tymczasem na ich widok Thomas w roli konia stanął dęba. To znaczy, nerwowo drgnął, po czym zrzucił amazonkę i z powrotem wrócił do stołu.
– I jak? Jest decyzja? – zagadał do Adama.
– Tak. – Adam cały się spiął. – Ile proponujecie?
Ewa z całych sił starała się nie eksplodować i wszystkiego nie popsuć.
Handlują prababcia!
– Trzysta siedemdziesiąt tysięcy. – Thomas rzucił ceną bez mrugnięcia okiem, ale zdumione oko Alicji mrugnęło.
Zdaje się, że ktoś tu był pazerny.
– Trzysta dziesięć, więcej nie mam – powiedział Adam twardo.
– Trzysta sześćdziesiąt pięć.
– Thomas, chyba żartujesz?! Trzysta dziesięć. Mówiłem, że więcej nie dam rady.
– Ty? Ty nie dasz rady? Zrobisz jakiejś paniusi sztuczną szczękę i będzie git.
– Thomas wyduł usta i Ewa wyobraziła sobie, że chłoptaş trafia do nich, na

urazówkę. Zadbaliśmy, żeby doszło do awarii prądu. – Trzysta pięćdziesiąt...

– Trzysta dwadzieścia, niech stracę. – Adam w końcu uległ. – Ale więcej nie dam.

– Dobra, trzysta trzydzieści i *Nostalgiczny portret z fujarką* jest wasz.

– Niech będzie.

Trzysta trzydzieści. – Ewa omal się nie rozplakała, ale jednocześnie pomyślała, że babcia zobaczyłaby w tym dwie trójki. Czyli podwójne szczęście. Ale trzy plus trzy równa się sześć, a szóstka oznacza miłość.

Albo rodzinę.

Kiedy ona dochodziła do siebie, a Adam omówił już szczegóły – stwierdził, że musi załatwić kilka spraw, i poprosił, żeby mu dali czas do jutra. Pójdzie do banku, potem się odezwie. Był uprzejmy i opanowany, dlatego kiedy Alicja z Thomasem zamknęli za sobą drzwi, a on nagle zerwał się z miejsca, Ewa była w szoku.

– Już, wstawaj, jedziemy za nimi! – zarządził i rzucił się do przedpokoju.

Ewa najpierw skamieniała, a potem włączyła turboprzyspieszenie.

– Tak jest!

Kiedy odpalili bmw (na szczęście stało na ulicy) i dotarli do Ściegiennego, zdążyli zobaczyć, że samochód Alicji skręca w Chorzowską.



W to, że Alicja została złodziejką, nigdy by nie uwierzył.

Złodziejki nie noszą naszyjników z klocków LEGO. Poza tym Alicja pod tą swoją żarłoczną seksualnością była w porządku i tyle.

– Adam, jesteś szalony! – Ewa spojrzała na niego orzechowymi oczkami i poczuł, jakby go ktoś poczęstował gorącą czekoladą. – Piłeś alkohol.

– Tylko kieliszek, potem chciałem sobie dolać, ale mnie zagadałaś. Poza tym... Kto z kim przestaje, takim się staje.

– Co ty nie powiesz. – Niby się przekomarzała, jednak wiedział, że swoją spontaniczną decyzją zdobył u niej sporo punktów.

Ale przecież nie robił tego dla punktacji.

– Ten Thomas... Wcale mi się nie podoba! – stwierdził, skręcając za Alicją w Sikorskiego.

Znajdowali się na kolejnym osiedlu w Katowicach przyczepionym końcem do Doliny Trzech Stawów. Zakątek był uroczy, mieszkańcy Paderewskiego mieli gdzie spędzać wolny czas, samo osiedle również było niezgorsze, ale jeśli Thomas mieszkał w bloku, ustalenie jego adresu było praktycznie niemożliwe.

Nie znali przecież nazwiska!

A jeśli któreś z tej dwójki miałyby być złodziejem, Adam wiedział, kogo obstawiać.

– Podejrzany typek. Z jaką wprawą się targował – zauważyła Ewa. – Co zamierzasz?

Co zamierzał?

Dobre pytanie.

Chciał kupić obraz, naprawdę chciał go kupić, ale kiedy usłyszał o paniusi i sztucznej szczęce, coś go trafiło. Jakim prawem cwaniaczek w skórzanych gaciach będzie kpił z jego pracy?

– Chciałem sprawdzić, gdzie ten piękny mieszka, ale widzę, że będzie trudno – stwierdził.

– A skąd wiesz, że tu nie mieszka Alicja? – Ewa wskazała na blok, pod którym właśnie zaparkowali.

Blok składał się z kilku części, był dziesięciopiętrowy i przytłaczał ilością okien. Czerwone kombi zatrzymało się samym końcu.

– Alicja ma domek. O, zabrał Malczewskiego! – zakrzyknął Adam.

Gołąbki chwilę pogruchały, a potem amator skórzanych wdzianek wysiadł z samochodu. Trzymając obraz pod pachą, pomachał swojej oblubienicy, po czym rozkołysanym krokiem wszedł do klatki.

– No i dupa – podsumowała po swoim Ewa, a jej zachrypnięty głos i słodka mina tworzyły tak zabawny kontrast, że Adam nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Może pobiegniemy za nim na pełnym gazie i... – zaczęła z ogniem w oczach.

– Poszukamy gospodarza bloku? – podsunął rozbawiony.

– Na przykład.

– Tak, ale wtedy gość przekaże Thomasowi, że szukał go brunet z kręconymi włosami albo olśniewająca, piegowata blondynka...

Olśniewająca blondynka wykrzywiła się szkaradnie.

– Czyli faktycznie dupa. Ale założmy, że zdobyliśmy adres – wysunęła hipotezę. – I wtedy co?

– Hm...

– Bo ja miałam obiecać, że nie będę się włamywać, ale ostatecznie nie obiecałam...

Owszem, przeleciało mu to przez głowę.

– Tak, ale do kawalerki Moniki miałas klucz. A skoro o tym mowa... Jak go zdobyłaś? – zainteresował się, a Ewa zaczęła z fascynacją oglądać samochody na parkingu.

– OK, nie było pytania... A gdybyśmy tak na przykład wtajemniczyli Alicję?

– Wtajemniczyli Alicję? – powtórzyła, nie dowierzając. – Czy ty eksperymentowałeś z denaturatem? Nie widzisz, jaka jest w niego wpatrzona?! To jest beznadziejny przypadek. Ta kobieta jest gotowa dla niego zmienić nawet grupę krwi! – zawołała. – Poza tym, widziałeś go od tyłu? Takim tyłkiem mógłby podbić warszawkę. I te plecy, ramiona...

Już chciał powiedzieć, że tyłek Thomasa jest ostatnią rzeczą, jakiej zamierzał się przyglądać, i jeśli ktoś ma w domu siłownię, może mieć lepszy, kiedy jego uwagę zwrócił podjeżdżający pod blok samochód.

I dziabnęło go pod żebrem.

Wóz należał do nikogo innego jak do Kamila Kościkiewicza, czyli do jego przyrodniego brata.

Odludka i buca.

– Ja pierniczę! – zawołał. – Tego tu jeszcze brakowało.

– Kogo?! – Ewa powędrowała wzrokiem w tym samym kierunku i wyciągnęła głowę.

Na szczęście zaparkowali w taki sposób, że mogli obserwować plac i przylegający do bloku teren, sami pozostając jednak w ukryciu.

– To mój brat, to znaczy przyrodni brat. Rodzice się rozwiedli, ojciec ma nową żonę. I ten burak to jej syn. Czarna chmurka na błękitnym nieboskłonie mojej nowej rodziny – mruknął, bo przypomniawszy sobie troskę ojca. – Próbowałem się z nim dogadać, ale próżny trud.

Kamil pojechał na koniec uliczki i zaparkował w tym samym miejscu co Alicja. Ale nie wyszedł na zewnątrz. Zgasił silnik i czekał.

Co tu, do licha, robił?!

Mieszkał w Chorzowie. Nie żeby mieszkańcy Chorzowa nie mieli wstępu do Katowic, ale tak się składało, że czekali z Ewą pod blokiem, usiłując namierzyć złodzieja. A braciszek, cóż, Adam widział raz tę jego aptekę i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak. Nie zajrzał do środka, podjechał pod budynek, ale w ciągu pół godziny do apteki weszło kilku dziwnie wyglądających typków. I nie wyglądali, jakby przyszli tam po rutinoscobin.

Poza tym którego aptekarza stać na tak wypasione volvo, nie mówiąc o chacie w ekskluzywnej dzielnicy? Jak ojciec mógł się w ogóle w to wtrącać? Kościkiewicz nie miał pięciu lat, to był dorosły i cwany facet.

– Czemu czarna chmurka? – chciała wiedzieć Ewa.

– Aspołeczny typ. Mój ojciec jest naprawdę świetnym człowiekiem, zresztą mam nadzieję, że go poznasz – dodał. – Przychyliłby nieba każdemu. Chciał jakoś pomóc, bo... synuś prowadził w sieci sklep i podobno różnie mu szło, choć ja w to nie wierzę. Więc mój staruszek zasponsorował pasierbowi aptekę, żeby burak miał stały dochód. Ale ten mu nawet nie podziękował.

– Zasponsorował aptekę... A kliniki chorób serca twój tata by mi nie fundnął? – rzuciła z humorem.

– Tata niekoniecznie, ale ja mógłbym rozważyć...

Ale Ewa nie słuchała.

– O, rany! – Drgnęła w zdumieniu. – Znają się!

Z klatki wyskoczył ukochany Alicji – w kapciach nie wyglądał już tak apetycznie – i poczłapał prościutko do volvo. Braciszek nawet się nie pokwapił, żeby wyjść do kumpla. Opuścił tylko szybę i po chwili trzymał w ręku... pakunek.

Tej samej wielkości co ich obraz!

Papier był tego samego, szarego, koloru, więc Adam niemal zyskał pewność. *Portret kobiety z biegunką* trafił w łapy Kamila Kościkiewicza.

– To jest groteska, normalnie groteska. – Nie mógł uwierzyć.

– Co robimy? – Ewa nie przeżywała rozterek rodzinnych, była nastawiona na działanie i postanowił zrobić to samo.

– Jak to: co? Chyba chcesz wiedzieć, gdzie będzie dziś spała twoja prababcia? Śledzimy głąba!

Po dwudziestu minutach okazało się, że Kamil pojechał prosto do swojego domu, na ulicę Węzłowiec w Chorzowie.

– Niektórzy to sobie mieszkają – rzuciła Ewa z nutką zazdrości. – Nie żeby na Morelowej był jakiś zaścianek, ale wiesz...

Adam pokiwał głową.

Chętnie by się z braciszkiem zamienił, szkoda, że ojciec nie widział tego gniazdka.

Dom był wielki i nowoczesny, wykończony kamieniem, ogród też wyglądał niczego sobie, a że Adam nie podejrzewał brata o bieganie ze szpadlem i grabiami, myśl o ogrodniku nasuwała się sama. Ktoś wkładał w to wszystko mnóstwo serca. A że buraki nie posiadają tego organu...

– Nic nie rozumiem – oznajmił, kiedy zawrócili, po czym przezornie zaparkowali na sąsiedniej ulicy.

Powoli zapadał zmierzch i mieli stąd dość ograniczony widok na dom, ale każdy, kto wybierałby się do braciszka, musiałby przejechać przed ich nosem. Schowali się za krzewem bzu.

– Zastanawiasz się, skąd twój brat ma moją prababcie? – spytała Ewa przyciszonym głosem i z tak ujmującą wyrozumiałością, że prawie się rozczulił.

Niesamowite, że potrafiła być również delikatna.

– Nawet nie wiesz, jak mi wstyd – wyznał. – Niezłą mam rodzinę, jak się okazuje...

– Może to nie on ukradł, może to Thomas?

Adam wolał się nie łudzić.

– Powiem tak... Jeśli ktoś wyskakuje w laciach z bloku, mało prawdopodobne, żeby był mózgiem operacji.

Trudno było się z taką logiką nie zgodzić, więc Ewa na chwilę zamilkła.

– Dobra, koniec sentymentów. – Postanowił zebrać się do kupy. – Nie wiem, czym zajmuje się ten głąb, i się nie dowiem, ale fakty są takie, że ma twoją własność. A komu jak komu, ale jemu nie zapłacę ani złotówki. Odbijemy go.

– Nie nadażam. Obijemy brata czy odbijemy obraz? – spytała z humorem Ewa.

– Najchętniej zrobiłbym i jedno, i drugie – zapewnił. – Ale poprzestaniemy na odbiciu obrazu.

– Tak! Ale mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. Na co dzień mam szacunek do prawa, ale sprawy zaszły za daleko.

– Aż do Chorzowa. Dobrze, że to nie Sosnowiec – rzuciła, chichocząc.

– Teoretycznie moglibyśmy wezwać...

– Marchewkę. – Ewa czytała mu w myślach.

– Moglibyśmy wezwać Marchewkę, ale kto wie, co by z tego wynikło – kontynuował. – Policja działa opieszale, śledztwo mogłoby się ciągnąć latami. A nam chodzi tylko o odzyskanie obrazu. Chyba że tobie chodzi jeszcze o coś innego? – zapytał.

– O nic więcej. A tobie nie chodzi o brata? Gdybyśmy wciągnęli Marchewkę, wtedy wiadomo...

– Braciszek dostałby inną celę niż ta tutaj – mruknął, ale rzeczywiście uważał, że chyba nie znajdą lepszego rozwiązania. – Czyli postanowione. Odbijamy prababcie.

Ewa zasalutowała.

– Rozkaz! Dzisiaj?

– Hola, hola! – Zaśmiał się w głos. – Do tego trzeba się przygotować. Ciągłe męczy mnie jedno...

– Tak?

– Czy ten ćwok wie, komu chce tę prababcie opchnąć?

– Na dwoje babka wróżyła – błysnęła powiedzonkiem Ewa i oboje stwierdzili, że świetnie się bawią.

Parkować pod domem brata, choćby przyszywanego, i planować włam?

Jedyne w swoim rodzaju.

– Bo trochę dużo w tej historii zbiegów okoliczności – podzielił się ostatnią myślą. – Tobie ginie obraz, a ja dzwonię do dziadka, bo ty mi giniesz. Z kolei twój dziadek upiera się, że mówił mi o Malczewskim, gdy tymczasem ja o nim nie wiem, ale wie ten głąb. – Pokazał na sąsiednią ulicę. – Na koniec głąb wpada na pomysł, żeby mi go odsprzedać. Popaprane, nie uważasz?...

Ewa wywróciła oczami.

– Przynajmniej nie jest nudno.

– Tak, aż strach pomyśleć, jakich będziesz chciała atrakcji, kiedy to wszystko się skończy...

Musiał to chyba wypowiedzieć w złą godzinę, ponieważ ledwie skończyli chichotać, z ulicy Węzłowiec wyszedł swobodnym krokiem bohater wieczoru. Osiedle spowijała lekka szarość, w okolicznych ogrodach darły się już niedobitki dzieciaków, a Kamil Kościkiewicz prowadził przez sobą... bydlę.

Bulteriera.

Wielkiego i podobnego w kolorycie do kiełbasy białej parzonej: sierść była na nim ni biała, ni różowa, a na sierści, przy uszach, widać było drobne, przypominające pieprz plamy.

Spuszczone ze smyczy bydlę od razu rzuciło się na leżący przy trawniku metalowy kołpak, więc właściciel zbeształ go groźnym basem:

– Nie zmieści ci się do pyska. I po co się rwiesz?... Draco, do nogi!



Ewa obudziła się w środowy poranek lekka jak piórko.

Wczorajsza kolacja, emocjonujący pościg (najpierw jeden, potem drugi), znowu kolacja, bo po wizycie w Chorzowie wrócili z Adamem na Morelową i pochłonęli resztki, to było coś. Trzeba jednak przyznać, że ten bulterier skutecznie podciął im skrzydła. Co prawda cały wieczór główkowali, próbowali wymyślić plan B, ale nie da się ukryć, że Draco był poważną komplikacją. Postanowili jednak nie upadać na duchu i zakończyli dzień intensywnymi ćwiczeniami – nie, nie w siłowni, choć Adam zabrał ją do swojego sportowego królestwa i zapewnił, że jeśli ona lubi twarde tyłeczki, to on jest gotów. W sypialni, ćwiczenia odbyły się

w sypialni. Może dlatego Ewa dziś tak dobrze spała.

Babcia trzaskała na dole talerzami, a cały dom tonął w zapachu smażonych gruszek.

– Mogę trochę dżemu? – zapytała Ewa, wchodząc do kuchni.

Słońce rozrabiało tu na całego, aż babcia musiała zaciągnąć rolety.

– Co za gorąc, a dopiero dziewiąta!

– Bo smażysz... A, babciu, powiedz, jak wrażenia po waszej randce?

Babcia spojrzała na domek z troską.

– Ten tam od samego rana... Zresztą, szkoda gadać przy jedzeniu. –

Postawiła przed Ewą rogaliki i kawę, ale jej wzrok znowu pobiegł za okno. – Już dwie rundki zrobiłam ze stoperanem.

Ewa się zaniepokoiła.

– Ale co? Wymiotuje?

– I nie tylko. Jedzie na dwa biegi.

– O, kurczę! – Już chciała wszystko rzucać i biec, ale babcia ją powstrzymała. – Czekaj, teraz zasnął. Nie trzeba mu przeszkadzać, sytuacja pod kontrolą.

– Coś zjadł? Nie rozumiem...

– Chyba z kopę jajek. – Babcia westchnęła cierpiętniczo i również zasiadła do posiłku.

– Ale ugotowanych?!

– Dziecko, a ty już myślisz o salmonelli... Opanuj się. Jajka były na twardo, a moim zdaniem to jest zwykła jelitówka. Typowe objawy.

Babcia nie wyglądała na przerażoną, pomimo braku dyplomu trochę domowników w życiu wyleczyła, więc Ewa postanowiła jej zaufać. Co nie przeszkadzało dopytać o szczegóły. Usłyszawszy jednak, jakie działania zostały podjęte, odzyskała spokój.

– Zjrzę do niego, jak zjem – stwierdziła. – I co, udało się przesunąć wersalkę?

– A, zawracanie głowy! – Babcia nagle się zirytowała.

– Czyli nie?

– Czy ty uwierzysz, że on mi zrobił scenę zazdrości?!

Wersalka w porównaniu z zazdrością nie miała żadnych szans.

Ewa postanowiła nie przerywać.

– Serio? – zaśmiała się. – To rewelacja.

Babcia spojrzała na nią jak na ofiarę wypadku samochodowego, do którego doszło w wyniku czołowego zderzenia.

– Gdybym nie przyszła do szpitala tuż po twoim porodzie, tobym pomyślała, że cię wysiedziała kura – rzuciła z pobłażaniem złotą myślą, a Ewa pomyślała, że zaraz się udusi.

– Przekażę mamie. A co do waszego romantycznego tête-à-tête to miło, że ciągle wzbudzasz w dziadku uczucia. I co to znaczy scena zazdrości? O kogo?

– I tu jest wielka niewiadoma! – W babci wciąż drgał nerw matematyczny. – On mówił ogólnie, że niektórzy na stare lata wariują, że chcą jeszcze pożyć... A co to, ja nie żyję? Trzeba mi do tego jakiegoś obcego starucha? Co ten Andrzej w ogóle wymyślił! No, tak się uniosłam...

– A wersalka?

– Wersalka... Została na swoim miejscu. Nie udało się, był uparty jak osioł, chociaż próbowałam. Jak mi Bóg miły, próbowałam. Ale jak w tych jego czworakach śmierdzi psem!...

Ewa posmarowała rogalika gorącą złocistą masą, wgryzła się w niego, nie zważając, że przy okazji brudzi sobie policzki, i stwierdziła, że gdyby posiadała ogon, na pewno by nim zamerdała.

– Śmierdzi psem, bo tam jest pies – stwierdziła po chwili fakt.

– Ta Bomba to jest jakaś niewyżyta bestia. Tak rozpuścić sukę... – Babcia weszła w stadium, kiedy słuchała tylko siebie, a Ewa...

Suka, niewyżyta bestia – ależ ona miała świetny plan!

Może jeszcze nie plan, raczej załączek planu, ale czuła, że trafiła w sedno.

– Babciu, poczekaj, muszę zadzwonić!

– Gdzie zadzwonić?! Przecież dokończ śniadanie! No i poleciała... Co za wstrętny bachor!



Wcale nie chciała podsłuchiwać.

Waleria Strzegomska poszła na górę, ponieważ słoik z Lidla postawiła na szafce obok łóżka – żeby czasem nie zapomnieć, gdzie go schowała. I kiedy wyszła na korytarz, poprawiła dywanik, a kiedy poprawiła dywanik, zza drzwi pokoju Ewy dobiegła ją rozmowa, a właściwie jej fragment.

Tak dziwny fragment, że jednak nadstawiła uszu.

– Suka, rozumiesz? – W głosie wnuczki brzmiał zachwyt. – Bingo! Przecież na polowaniach zawsze latały za nią psy, nie wiem, na czym to polega, ale dziadek dostawał szału. Kupił psa myśliwskiego, a Bomba, zamiast ganiać za kaczkami,

przez całe polowanie siedziała w krzakach... Nie, nie kopulowała, wariacie! Uciekała przed nimi albo się bawiła, a tamci dostawali małego rozumu... Co? Czemu niby pies nie może dostawać małego?... Miałaś kiedyś psa?... Królika?! Biedaku... To się nie wypowiadaj. Tamci dostawali, więc Draco też dostanie... A wymyślisz coś lepszego? Trzeba spróbować... Jak to: kiedy, dzisiaj! Dzwon do Alicji i powiedz, że pieniądze skołujesz najwcześniej za dwa dni. Że masz lokatę, że to trwa i tak dalej. Jak nam się nie uda włamać dzisiaj, spróbujemy jutro... I jeszcze mi przypomnij, jaki tam jest adres, sprawdzę w Street View. Poczekaj, odpalam laptopa... Powtórz jeszcze raz... Chorzów, ulica Węzłowiec sześćdziesiąt pięć...

Mniej więcej w połowie Waleria przestała cokolwiek rozumieć, jednak na słowo WŁAMAĆ zareagowała jak każda babcia. Powtórzyła usłyszany adres w myślach, po czym pobiegła do kuchni i starannie go zapisała.

A potem postanowiła nie spuszczać wnuczki z oczu.

W nocy, bo teraz musiała zająć się dżemem.

Nikt przecież za nią tego nie zrobi.



Babcia jakoś podejrzanie często się jej przyglądała.

Ewa po kilku takich rzuconych z ukosa spojrzeniach straciła cierpliwość.

– Czy mam na czole napis ERROR? – zapytała słodko, ale babcia dmuchnęła w grzywkę i wzięła się pod boki.

– Zaraz będziesz mieć napis THE END. Bo to akurat wiem, co znaczy.

– Sorki, z rozpędu palnęłam... Czy coś nie tak? Coś mi się zrobiło z twarzą?

– Tak się zastanawiam... – Babcia zaczerpnęła powietrza. – Wersalka stoi tak jak stała, a ty się przecież już do Moniki raz WŁAMAŁAŚ...

– Po co to tak akcentować?

– ZAKRADŁAŚ...

– Zajrzałam, babciu, zajrzałam. Zresztą nie powiem, kto mnie za to pochwalił.

– Ja?

– Nie, ksiądz proboszcz!

– A co ty masz do mojego proboszcza?! Co ty mi insynuujesz, że co?...

Ewa pojęła, że kierunek był błędny.

– Mogę wiedzieć, czemu rozmawiamy o wersalce i Monice? – spytała. – Jaki to ma związek?

– I chcesz się znowu WŁAMACĆ, przecież myślisz o jej poprzednim mieszkaniu. Machałaś mi nad głową kluczami...

– I co? – Wciąż nie wiedziała, do czego to wszystko zmierza.

– To, że skoro już się tych kluczy tyle NAKRADŁAŚ, to może doprowadzisz też komplet dziadkowi? Żeby mnie, starą kobietę, zmuszać do szarpania się z wersalką, to trzeba naprawdę nie mieć wyobraźni! I, co gorsza, dałam się do tej głupoty namówić...

– Klucze dziadka? – powtórzyła Ewa po namyśle. – A może z tym zaczekamy? Dziadek i tak jest chory.

Babcia pokręciła nosem, nie wyglądała na przekonaną.

– Może, może... Ale nie wiem, czy z tymi włamaniami to jednak nie grzech.

Proszę, w końcu padł strzał.

Na szczęście Ewa już skończyła ucztę.

– Babciu, dzemik... Ostatnie życzenie straceńca. Znaczy, wybitny – dodała, widząc krzywą minę kucharki. – I ja się nie włamywałam, żeby kraść, ale żeby wyjaśnić sytuację... Muszę uciekać, już jestem spóźniona.

– A co dzisiaj... planujesz?

– Zajrzę do dziadka i biegnę do przychodni. Na obiedzie będę o trzeciej. Potem mam spotkanie z Adamem. Aha, i zabieram dziś Bombę do weterynarza – rzuciła na koniec, licząc, że uda jej się wymknąć.

– Ale po co, przecież jest zdrowa!

– Yyy... Trzeba jej zrobić przegląd. Od ostatniej wizyty minęło pół roku.

– Poczekaj!

– Tak?

– Uważaj na siebie. – Babcia powiedziała ostatnie zdanie tak poważnym głosem, że Ewa poczuła się nieswojo; w końcu jechała do pracy, nie na misję do Afganistanu.

Ale naprawdę gonił ją czas, przed przychodnią zamierzała jeszcze pójść na ulicę Tysiąclecia. Do miejsca, gdzie prawdopodobnie zmarł Bogdan Brzeźko, mąż Moniki. Nie była pewna, co spodziewała się tam znaleźć, a raczej obstawiała, że nie znajdzie niczego, ale dla świętego spokoju wołała nie informować o tym fakcie

babci. Tak samo jak postanowiła nie wspominać o odnalezieniu obrazu. Po co robić staruszce nadzieję, kiedy nie wiadomo, jak skończy się ta historia.

Dziadek wyglądał na zmęczonego, ale nie miał gorączki, smacznie pochrapywał, więc Ewa nasypała Bombie karmy, postawiła dziadkowi przy łóżku butelkę mineralnej i pognęła na tramwaj.

Blok stał niedaleko ronda, za przystankiem autobusowym, a dawne mieszkanie Moniki znajdowało się na pierwszym piętrze. Ewa tam dotarła, stanęła przed właściwymi drzwiami i dopiero teraz zaczęła myśleć. Nie przygotowała wcześniej scenariusza, zresztą jakie miała pole manewru, mogła co najwyżej zadzwonić do obcego mieszkania i...

A tego tym bardziej nie przewidziała.

Obce mieszkanie właśnie się otworzyło, ledwie zdążyła odskoczyć.

Wyszła z niego młoda kobieta z dzieckiem, spojrzała na Ewę jakoś tak przychylnie i Ewa postanowiła improwizować. Już drugi raz tego krótkiego dnia; skoro potrafiła wymyślić wymówkę z weterynarzem, i to na poczekaniu, poradzi sobie i teraz.

– Dzień dobry, przepraszam...

– Tak? – Kobieta zadzwoniła kluczami i miło się uśmiechnęła.

Stojąca obok niej dziewczynka była jej kilkuletnią kopia, również miała w twarzy coś ujmująco sympatycznego.

– Szukam mojej siostry, Moniki Brzeżko. Mieszkała tu kilka miesięcy temu...

Na dźwięk nazwiska kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Pani Brzeżko? A tak, musiała mieszkać, co prawda osobiście jej nie poznałam, też wynajmuję, ale wciąż przychodzą do niej listy.

– Tak? – Ewa spytała takim tonem, jakby nie wierzyła, że jej siostra jest taką gapą. – Nie widziałyśmy się szmat czasu, byłam w Anglii i przyjechałam z zaskoczenia, chciałam zrobić siostrze niespodziankę...

Dziewczynka nie przestawała się jej przyglądać.

– Mamo, kto to?

Ewa ukloniła się małej. Zawsze uważała, że nie powinno się lekceważyć ani dzieci, ani starszych.

– A siostra nie wspominała pani o przeprowadzce? – wyraziła zdumienie kobieta, ale widać było, że gest w kierunku córki został doceniony.

– Teraz dopiero sobie przypominam, że chyba coś takiego padło, ale siostra często się przeprowadza i przestałam to już rejestrować. Cieki wodne – dodała ze współczuciem i pomyślała, że powinna dziś na swój widok w lustrze zwymiotować.

I nie zażyć stoperanu.

– Słucham?

– Siostra jest wrażliwa na promieniowanie. Wszędzie tam, gdzie pod mieszkaniem biegną skrzyżowania żył wodnych, Monika umiera. Bóle głowy, nudności...

– Ale że tutaj?... – Kobieta spojrzała na córkę i się złękła.

Ewa również!

– W zasadzie moja siostra trochę... Jak by to ująć... Trochę wyolbrzymia. Nie chcę powiedzieć, że jest hipochondryczką, ale tam, gdzie ona czuje się fatalnie, mnie nic nie jest.

– Przykro słyszeć. Ale pod nami chyba nie ma żadnych żył?... Patrycja często choruje.

– Tak? – Ewa jeszcze raz zerknęła na małą i dopiero teraz zauważyła, że dziewczynka ma cienie pod oczami.

Zabawne, ile można wyczytać z ludzkiego ciała, jeśli się wie, gdzie patrzeć.

– Nerki?

Kobieta spojrzała zdumiona.

– Skąd pani wie?

– Mała ma zawsze takie podkrążone oczy?

– Zawsze. I ciągle walczę z białkiem w moczu. Biegam od lekarza do lekarza...

Ewa wyciągnęła notes i zapisała numer telefonu swojej znajomej, bardzo dobrej pani nefrolog.

– Jestem internistą i nie pomogę, ale tu numer do kogoś, kto się na tym naprawdę zna. Mogę uprzedzić, że pani zadzwoni... Patrycja?

Dziewczynka skinęła blond głową i uśmiechając się, pokazała lukę w uzębieniu.

Później nastąpiły podziękowania, a jeszcze później...

Mama Patrycji wróciła do mieszkania, po czym wręczyła Ewie stos kopert – było ich chyba ze dwadzieścia, w tym jedna żółta i pękata.

– Proszę, to dla siostry.

Wychodząc z bloku, Ewa postanowiła, że najdalej jutro wrzuci to wszystko Monice do skrzynki, ale...

Najpierw się z tą korespondencją zapozna.

Gdy później ją spytano, dlaczego otworzyła akurat żółtą kopertę, nie potrafiła odpowiedzieć, ale zawartość nią wstrząsnęła. Przejrzała ją w autobusie i z trudem powstrzymała się od wydawania odgłosów. W foliowych woreczkach opisanych czarnym markerem znajdowały się... dowody rzeczowe!

Do tego był dołączony list.

Monika!

Bogdan nie popełnił żadnego samobójstwa. Został zamordowany przez

niejakiego Kamila Kościkiewicza, mendę jakich mało – widzieliśmy go tej nocy pod waszym blokiem, ale kiedy weszliśmy na górę, Bogdan już nie żył. Pracowaliśmy we trójkę nad jego sprawą, głównie prochy i metoda na wnuczka, pewnie słyszałaś. To on ją wymyślił. Zbudował firmę, wszystko ma przemyślane, wszystkich... przepłacanych. Zebraliśmy dowody, przesyłam to, co udało się uratować, musisz to komuś zanieść. Nie mam pojęcia komu, bo wszystko się pieprzy. Dowody giną, świadkowie wycofują zeznania, innych uwalniają papugi. Cyrk na kółkach, my z Markiem też się boimy o własne życie, nie wiadomo, komu ufać...

I tak dalej, i tak dalej...

Czytając te rozpaczliwe słowa, Ewa miała ciarki na plecach. List z zaświatów – zdaje się, że napisał go jeden z kolegów zmarłego, który również popełnił... „samobójstwo”.

Dlaczego tak jest?!

Nie umiała odpowiedzieć na żadne z pytań, które przemknęły jej przez głowę, Marchewka z pewnością również nie potrafił, ale kiedy wysiadła z autobusu, chwyciła za telefon. Ucieszyła się, słysząc jego znużony, ale opanowany głos.

– Witam panią Schneider. Co tam u was dobrego?

Zaczerpnęła tchu.

– Dzień dobry. Czy to by był wielki problem, gdyby podjechał pan teraz na Ligotę?... Coś dla pana mam.



Worek z absztyfikantami.

Monika miała wrażenie, że rozsypał się worek z absztyfikantami i powinna podjąć decyzję, gdyż takie rzeczy nie zdarzają się często, zwłaszcza w jej wieku, a jeśli się zdarzają, kończą się tak samo szybko, jak się zaczęły. Pawełek jako koło ratunkowe zdecydowanie sflaczał, teraz mogła wybierać! I wcale nie musiało chodzić o pożytek, mogła w końcu pomyśleć o przyjemności. Choćby taki dentysta, urodny brunet, włosy miał nawet ładniejsze od niej. Wysoki, świetnie ubrany, grzeczny. Ale też był jakiś taki niezdecydowany, nie żeby kobietę ścisnąć i sponiewierać. Proszę, dziękuję, przepraszam... I tak cały czas. Bułkę przez

bibułkę.

A gdzie się podzieli prawdziwi faceci?!

Monika westchnęła i skierowała wózek do działu z nabiałem, gdyż snuła swoje rozważania w Tesco. Tu było najtaniej, zostawała jej jeszcze Biedronka, ale musiałyby w tym upale maszerować pod górkę. Dlatego wystawiła szpiczaste ramiona pod schłodzoną szybą z serami, przy twarozku wiejskim stwierdziła, że Paweł to jednak wieśniak, po czym ruszyła szukać masła.

Stomatolog, to jej się trafiło...

Gładki i miętki, ale forsy miał jak lodu; przy takim mężczyźnie mogłaby zwiedzać świat, nosiłaby szalone ubrania, kupiłaby auto i w końcu wyprowadziłaby się z tej obskurnej nory! Wzięliby ślub, parę lat by się tak pobujała, a potem „Zegnaj Gienia, świat się zmienia”.

Byłaby już w zupełnie innym punkcie.

Bo dziwnym trafem państwo jakoś się nie kwapiło, żeby jej zapewnić godną starość, ceny były coraz wyższe, nawet zwykłe masło potrafiło kosztować pięć złotych!

– Przepraszam... – usłyszała tuż obok niski męski głos, a kiedy spojrzała w twarz, którą przecinała seksowna blizna, oniemiała.

I stwierdziła, że z nabiału powinna przenieść się na napoje.

Wody!

– Mogłaby mi pani coś doradzić?

Stojący przed szybą wysoki szatyn wyglądał na zakłopotanego, ale jednocześnie szła od niego taka siła, że Monika poczuła biegnące wzdłuż kręgosłupa ciarki.

A może to zimno idące od zamrażarek?

– Nie ma sprawy. A w czym?... – spytała kusicielsko.

A potem stwierdziła, że pomiędzy doradzić a dogodzić jest niewielka różnica i jeśli ten oszałamiający macho z blizną nie będzie jej, to ona się nie nazywa Monika Brzeżko.

Wypięła powabną pierś.

Przystojniak mógł przecież szukać mleka.



Chyba rzadko zdarza się, żeby dżem truskawkowy zdecydował o czyichś losach, i Paweł podszedł sceptycznie do odkrycia babci, ale kłamstwem Moniki nie był zachwycony. Tak samo jak nie był zachwycony przesłuchaniem, które mu urządziła, widząc w biurze ręcznik i krem do rąk. Przecież musiałyby być kompletnym kretynem, gdyby nie starał się ukryć dowodów swojej rzekomej zdrady.

To go siostrzyczka załatwiła. Zrobiła to specjalnie, co do tego nie miał żadnych wątpliwości, ale nie potrafił się długo gniewać. Oczywiście chodziło o ferment, bo nawet ona nie wierzyła, że Monika da się złapać na tak tanią

sztuczkę, ale Ewa dopięła swego.

Pokłócili się.

Potem pół nocy pracowali nad rozejmem, ale o poranku Monika znowu kręciła nad wszystkim nosem i cała impreza zaczęła się na nowo. Szczerze mówiąc, był wykończony. Wiedział, że związek Moniką nie będzie nijaki, właśnie dlatego go zaczął, ale na razie musiał podładować akumulatory.

I właśnie ten moment wybrała babcia.

Zwabiła go na obiad, a kiedy Ewa pobiegła dokądś z tajemniczą miną, babcia postawiła przed nim dwa słoiki i kazała próbować. A potem się zaczęło. Że Monika to kłamliwa piątka, że jak teraz urządza takie podchody, to co będzie później, że jest od niego starsza, że decyzję o ślubie podjął zbyt pochopnie... O tym ostatnim doskonale wiedział, ale słowo się rzekło. Rzucił któregoś wieczoru taką myśl, a był to wieczór, kiedy wszystko układało się tak idealnie, że... Że się zapędził. Monika jednak szaleństwo podchwyciła, zaczęły się rozmowy, najpierw żartem, potem, nie wiadomo kiedy, zrobiło się poważnie.

Miał się wycofać?

Poza tym podobała mu się perspektywa, że wróci po pracy do domu, a tam będzie czekał ktoś bliski.

– Proszę bardzo. – Babcia postawiła przed nim słoik z Lidla, tyle że wypełniony jakąś żółto-brązową breją. – Dasz to Monice.

– Co to?

– Mój dżem. Gruszkowy, niech dziewczyna ma porównanie.

– Ale czemu w tym słoiku? – Zerknął na etykietę, gdzie widniał napis: Sympathica Dżem truskawkowy. – Przecież ona się zorientuje, że wiemy.

– Chcesz robić z siebie frajera?

Babcia zawsze potrafiła odpowiednie dać rzeczy słowo.

Ale wziął dżem, choć ani myślał Moniki demaskować.

– A ja nie dostanę?

Dostał, oczywiście, kilka słoiczków. Ale dżemowe kłamstwo tak bardzo nie dawało mu spokoju, że postanowił ukochaną odwiedzić. Nie uprzedził jej, ale czy to konieczne? Niedługo i tak będą razem mieszkać. Wsiadł w samochód i po chwili podjeżdżał już pod jej blok. Jakie było jego zdumienie, kiedy na ławeczce przed blokiem zobaczył...

Monikę!

Nie była sama, obok siedział jakiś zakapior z blizną przez pół twarzy i...

Miział ją po ramieniu!

A Monika sprawiała takie wrażenie, jakby chciała być miziana, czemu nie, ale po innej części ciała. Znał ją dobrze, a przynajmniej tak sądził do teraz, ale zajrzeć tak znieczeka w twarz ukochanej i zobaczyć, że te same gesty, kuszące spojrzenia znaczyły tyle co żeton do marketowego wózka? Obok nich leżały

rozrzucone reklamówki z Tesco, ale Paweł zamiast reklamówek widział porozrzucane ubrania.

Bardzo chciałby się mylić.

Ale coś z jego najgłębszego środka mówiło mu... Żeby nie był frajerem. I nieistotne, czy to były słowa babci czy jego samego. Chwycił za wiadomy słoik i jednak postanowił dokonać konfrontacji.

– Cześć, wybacz, że muszę wam przeszkodzić, ale coś dla ciebie mam... – zaczął, zatrzymując się kilka metrów przed ławeczką, ale nawet stąd widział, że turkusowe powieki Moniki uniosły się najpierw w popłochu, a potem...

Zagościła pod nimi ulga.

Tak, to na pewno była ulga, nie ma się co łudzić.

Natomiast facet najpierw się wyprostował, gotów bronić terytorium, ale szybko stwierdził, że to nie pomyłka. Odtąd z pewną miną tylko obserwował rozwój wydarzeń. I wtedy rzeczywiście Paweł poczuł się zrobiony w bambuko.

– No, cześć... Jak to: coś masz? – Monika zatrzepotała rękami.

– Dziwne, prawda, że mógłbym coś dla ciebie mieć? A miałem sporo... Teraz zostało jedynie to. – Wręczył jej słoik. – Nie jest to, co prawda, czarna polewka...

– Czarna porzeczką? – Monika zarzuciła nonszalancko nogę na nogę. Już nie była speszona. – Co ty mówisz, przecież to jest żółte.

I naprawdę chciał powiedzieć na zakończenie coś prawdziwego, może nawet życzyłby jej szczęścia, ale czarna porzeczką rozłożyła go na łopatki. Spojrzał w jej pomalowane oczy i naraz ujrzał w nich taką pustkę, że głośno się zaśmiał.

Pustki nie można przecież wypełnić pustką.

Nie przestając się śmiać, odszedł bez słowa i wszedł do samochodu, gdzie na tylnym siedzeniu leżał rozłożony plan mieszkania Klaudii.

Czy nie miał czasem ważniejszych rzeczy do zrobienia?



Bombie na Morelowej podobało się szaleńczo.

Tarzała się po trawniku za domem, obwąchiwała każdy z kątów i jeśli gdzieś na posesji była mysia dziura, z pewnością wepchnęła do niej swój wilgotny nos.

– A jeśli ten Draco rozszarpie ją na kawałki? – Adam chyba zdążył Bombę polubić, bo patrzył na nią jak na przekąskę mięsną dla bulteriera.

Z żalem.

Zdecydowanie wolałby mu rzucić kość niż psa jej dziadka i Ewa odnotowała ten fakt z czułością. Ale niepotrzebnie się martwił, nie naraziłaby Bomby na niebezpieczeństwo. Była jak członek rodziny.

– Najpierw się ją kawalerowi zaprezentuje, obwąchają się przez płot i dopiero wtedy zobaczymy, co i jak.

– A jak się okaże, że kawaler na nią nie leci? – Adam przyjrzał się dość sceptycznie kudłatym uszom i ogonowi, który przypominał wysłużoną szczotkę do czyszczenia toalet, i nabrał wątpliwości.

– To będziemy myśleć. A teraz mam dla ciebie inną bombę. Kryminalną. – Ewa pociągnęła Adama w kierunku ławeczki ocienionej krzewami.

Zamierzała mu powiedzieć o wszczęciu śledztwa w sprawie zabójstwa Bogdana Brzeżko, ale w tej historii założyła pewną modyfikację. Przecież nie przyzna się, że to ona zdobyła najważniejszy dowód, czyli list, bo musiałyby wspomnieć o kradzieży kluczy z kawalerki Moniki, a podejrzewała, że Adam nie byłby z tego zadowolony. Zresztą, czy to ważne, jak doszło do przełomu? Ważne, że doszło i trzeba się cieszyć.

W każdym razie Marchewka był wniebowzięty.

– Jak kryminalną, to słucham. – Adam spojrział na nią z szerokim uśmiechem. – Też mam bombę, ale taką bardziej sercową.

– O, nie. To sercowa będzie pierwsza – zdecydowała.

Adam nie dał się długo prosić.

– Ale trochę się waham, to niezbyt dobrze o mnie świadczy...

– To tym bardziej. Mów! – Zatarła rękę.

– Dostałem kosza.

– Kosza? Od kogo?!

– Od Moniki.

– Od Moniki? Od Moniki Pawła?!

Trudno było w to uwierzyć.

– Od Moniki Pawła – przytaknął. – Zadzwoiłem do niej w okolicach obiadu, chciałem jak najszybciej odrobić pańszczyznę i gdzieś ją zaprosić, ale ona... – Zerknął na podwórko, gdzie Bomba w pogoni za wróblami niemal wzbijała się w powietrze.

– No, mów! Co ci zrobiła?

– Ni mniej, ni więcej, tylko powiedziała, żebym spadał – dokończył skonsternowany.

– Ale jak? Tak po prostu? – dopytywała Ewa.

Adam chrząknął, ale chyba zaczynał się niezłe bawić.

– „Spadaj, doktoru”. Czy to nie dość wymowne? – zachichotał, a Ewa...

Ewa odetchnęła z ulgą.

Zresztą po ostatnich rekolekcjach sporo sobie w tym temacie przemyślała i stwierdziła, że Adam miał rację. Po co się do kogoś źle nastawiać. A Paweł jest dorosły i ma prawo do własnych błędów. Ku swojemu zdziwieniu, po prostu sobie odpuściła. Po znalezieniu listu – tym bardziej.

– Jakoś mnie to nie smuci – oświadczyła wesoło.

– Mnie również. Wolę się koncentrować na jednej osobie – powiedział niby żartem, ale Ewa wiedziała, że mówi jak najbardziej poważnie.

– W porządku, teraz moja bomba – zarządziła.

– Kryminalna, nie mogę się doczekać...

– Rozmawiałam dzisiaj z Marchewką...

– Tak? – Adam ogromnie się zainteresował. – A jakim sposobem?

– Ludzkim. Toczy się śledztwo w sprawie obrazu, nie pamiętasz? – odpowiedziała nieco burkliwie, ale była zadowolona. Miło, kiedy ktoś tu jest umiarkowanie zazdrosny. – I Marchewka zdradził, że policja weszła w posiadanie listu, który napisał przed śmiercią kolega Bogdana Brzeżko. Ten list był do Moniki.

– Ale jakim cudem? Teściowa go znalazła?

– Czemu teściowa?

– Gdyby znalazła Monika, od razu oddałaby policji. A w jej kawalerce nie było rzeczy męża...

 Czy on nie mógł być odrobinę bardziej tępy?!

 Pewnie by mógł, ale czy by go wtedy chciała?...

– Nie wiem, po prostu znaleźli list. – Wzruszyła ramionami. – Kumpel męża napisał, że w noc zabójstwa widział pod ich blokiem jakiegoś typa, podał imię i nazwisko... Coś z kością. Konstanty Kamiński? Czy jakoś tak, nie pamiętam. W każdym razie ta sprawa, którą prowadził Brzeżko, dotyczyła właśnie jego. Metoda „na wnuczka”. Facet okradał starszych ludzi i handlował dopalaczami. Oni to we trójkę odkryli i wiadomo, jaki był finał...

– Okradanie starszych ludzi to jest zwykła podłość – ocenił Adam. – To mogą robić tylko najgorsze hieny. Starsze osoby są bezbronne...

– Mnie to mówisz? Żyję z dziadkiem i babcią. To znaczy moja babcia mogłaby załatwić niejednego Kamińskiego, ale moja babcia należy do wyjątków.

– Może po prostu ma dobre geny? – Puścił do niej oko. – Zresztą, co ja mówię. Dobre? Najlepsze!

– Nie smaruj mnie tu wazeliną, kolego. – Pogroziła mu, ale nie umiała powstrzymać uśmiechu. – Słuchaj dalej... Do listu było dołączonych kilka ważnych dowodów i podobno to wystarczy, żeby tego kolesia zamknąć. Zresztą władza się zmienia, jest możliwość, że tym razem śledztwo będzie biegło inaczej.

– Oby.

– Skoro Marchewka się za to wziął... On jest bardzo fajny ten Marchewek – oznajmiła, po czym zatrzymała wzrok na swoim rozmówcy.

– Tak, mamy twardą marchewkę do zgryzienia – podjął Adam, poprawiając kosmyk jej włosów. – Dziś odbijamy obraz i trzeba to dokładnie omówić. I żebyś nie myślała, że chcę cię zamknąć w domu, stawiam kolację. Trochę wczesną – spojrzał na zegarek, który wskazywał dopiero siedemnastą – ale podejrzewam, że

ją szybko spalimy. Bombie już przygotowałem miejsce w garażu. A ty? Dasz się porwać do Drewnianego Bociana?



Zupa krem z pomidorów pelati była boska.

Ewa zjadła ją ze smakiem, później jeszcze skosztowała kawałek pizzy (Adam pochłonął całą resztę), a potem zaczęli planować... przestępstwo. Tak to chyba należało nazwać. I mimo że nie mieli w tym zbytnej wprawy, dość szybko

doszli do tego samego wniosku. Potrzebowali współnika.

A najlepiej dwóch.

– Wkradniemy się razem, ty i ja... – Adam zniżył głos. – A kto będzie zabezpieczał tyły?

– I nie możemy pojechać twoim samochodem, bo braciszek go chyba widział?

– Raczej. Nie tylko widział, ale pozazdrościł. Myślisz że dlaczego kupił volvo?

Ewa ścierpła.

– Szczerze mówiąc, pojedynki na metki mam... Nie powiem gdzie, siedzimy w przyzwoitym lokalu. – Wskazała na gigantyczną fotografię starych Katowic, która zasłaniała ścianę, na uroczę zielone lampki, wreszcie – na czajniczek z przepyszną herbatą serwowaną z konfiturami z dzikiej róży.

Z babcinego ogródka, nomen omen, taka nazwa napoju widniała w karcie.

– Racja, trochę mnie poniosło... – Zakaszłał zmieszany i wrócił do tematu. – I przede wszystkim, kiedy będziemy się włamywać, przydałoby się, żeby ktoś odwrócił uwagę mojego braciszka. Nie wiem, może jakaś awantura przed bramą? Nie miałbym też nic przeciwko, gdybyśmy go po prostu obezwładnili... – zasugerował, oblizując łyżeczkę, jednak Ewa nie dała się nabrać.

Adam nikogo by nie skrzywdził.

– Podsumowując, przydałby się ktoś do pomocy, to chcesz powiedzieć? – zapytała, czując pismo nosem.

Chyba miała kandydata.

– Tak by było najlepiej. Ale kogo możemy poprosić o pomoc? Przecież nie twoją babcię...

Ewa uśmiechnęła się nad resztkami pizzy jak Gioconda.

– Moją babcię, wykluczone, chociaż z obezwładnieniem przeciwnika akurat by sobie najlepiej poradziła. Babcię nie, ale... Mojego brata?

Adam otarł usta serwetką, a potem uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nada się?

– I to jak! – zapewniła, sięgając po telefon. – Tylko muszę nad nim popracować... Moment, zadzwonię.

Paweł odebrał dziwnie ożywiony.

– Hejka, co jest?

– Czy oddałbyś siostrze nerkę? – zaczęła konwersację w sprawdzony sposób.

– Nerkę? Ale jedną?

– Może być jedna.

– Jedną... bym oddał.

– To właśnie masz okazję. Mogę do ciebie wpaść?

Paweł na chwilę się zawiesił i Ewa wyczuła w polu rażenia kobietę.

Monika, jakżeby inaczej.

– Nie bardzo. Bo jestem u... Klaudii.

Jej brat u Klaudii, ależ się wybornie składało.

Najwyborniej!

Ewa poczuła, że palą ją policzki.

– W końcu zacząłeś podejmować właściwe decyzje. Tak trzymaj...

A możesz mi ją dać?

Klaudia również była w szampańskim nastroju.

– Ewa, jaka miła niespodzianka!

– Niespodzianka, dobrze powiedziane... Paweł cię nie słyszy? – spytała konspiracyjnym szeptem.

– Tak, dokładnie tak jak mówisz – odpowiedziała koleżanka i Ewa dopiero teraz zyskała pewność, że Klaudia jako szwagierka będzie w sam raz.

– Musisz mi pomóc. Od tego zależą losy mojej rodziny... – zaczęła.

– Ależ tak, ma się rozumieć. Tak, spędzamy miły wieczór... Mów śmiało – paplała radośnie, darując sobie pytania, za co Ewa była jej wdzięczna.

– Nie to, że chcę popsuć wasze tête-à-tête, ale zaraz do was przyjadę i zachwycisz się tym, co powiem, zgoda? Choćby to było... nieco oryginalne. I pomożesz mi przekonać do tego Pawła.

– Oryginalne? – Klaudia się zawahała. Ale tylko przez momencik. – Tak, twoje nowe buty są oryginalne. Jasne, że się zachwycę, też bym takie chciała mieć...

– To za chwilę będziemy.

– Będziemy?

Ale Ewa już nie traciła czasu na tłumaczenia.

Adam od razu pojął, co się święci, więc poszedł uregulować rachunek i po chwili już wsiadali do samochodu. Dotarcie na Józefowiec również poszło im szybko i kiedy po niecałym kwadransie Klaudia otworzyła drzwi mieszkania, była zaskoczona, ale i szczerze ucieszona wizytą.

– To jest... nieobojętny mi mężczyzna. – Ewa dokonała prezentacji, gdyż do przedpokoju wbiegł truchtem Paweł.

Jej brat wesoły jak szczygiełek?

Tego jeszcze w remizie nie grali.

– Adam – przedstawił się Gryziewicz i uścisnął wyciągnięte do niego ręce.

– Jak bardzo nieobojętny? – dopytywał brat, przyglądając się Adamowi z sympatią.

– Właśnie? – podłapał sam zainteresowany.

– A wy co? Zgadaliście się na Facebooku? Słuchajcie, jest sprawa... – zaczęła, ale Klaudia nie pozwoliła jej dokończyć.

– Tutaj?! – zakrzyknęła, pokazując przedpokój. – Nie ma mowy. Wchodźcie

dalej. Rozgościcie się.

Rozgościli się i nie odmówili kawy.

I dopiero wtedy można było przejść do sedna. Klaudia знаła część historii, Paweł również, tyle że jeszcze bardziej okrojona wersję, Ewa opowiedziała więc całość, a Adam w odpowiednich momentach tłumaczył szczegóły.

– Tak to wygląda... – zakończyła, popatrując na Pawła, który jednak musiał coś brać albo pić, bo zachowywał się dziwnie. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, na Klaudię patrzył jak na majową jutrzenkę, aż dziw, że od emitowanego przez nią blasku nie oślepl. – Wchodźcie w to?

– I to jest ta nerka? – upewnił się.

– To jest obraz naszej prababci, więc niech ci nie przyjdzie na myśl odmówić.

W tym momencie tych dwoje wymieniło się spojrzeniami, w których było tyle intymnego porozumienia, że Ewa w końcu zaczęła rozumieć. Czyżby Monika jakimś przedziwnym sposobem odeszła do przeszłości?!

Spojrzała pytająco na Klaudię, a ta nieznacznie skinęła głową.

O, święci Pańscy!

– Czyli czego od nas oczekujesz? – zapytał Paweł.

Chyba pojął, że żarty się skończyły i to nie jest zwykłe spotkanie przy kawce.

– Pomóżcie nam odebrać naszą własność – powiedziała Ewa najprościej jak tylko potrafiła.

– To jest bardzo... racjonalne. – Klaudia poparła koleżankę, ale wyszło jej średnio.

Liczyły się jednak chęci.

– Ale co jest racjonalne? Włożenie jakiemuś kolesiowi na chatę, której pilnuje bulterier? – Brat usiłował być miły, jednak odziedziczona po babci ironia wylażaby spod każdego blasku.

– Już mówiłam, spróbujemy mu podłożyć Bombę – tłumaczyła Ewa. – Podejmiemy z nią do ogrodzenia, a jeśli przypadną sobie do gustu...

– Przerzucimy ją przez płot – wtrącił ucieszony braciszek. – Super! Oby nie pękła jej wątroba, ale może wytrzyma. Dziadek pasie ją parówkami i pewnie ma otluszczoną... A co w ogóle z tym domem, znacie jego rozkład? I gdzie jest portret?

– A skąd mamy wiedzieć?! – Ewa zaczynała tracić cierpliwość.

– A ten twój przyszywany brat... – Paweł zagadał tym razem do Adama. – Będzie w środku?

– Yyy... – Adam pod lawiną pytań chyba zaczął tracić entuzjazm. – Właśnie przyjechaliśmy to wszystko z wami skonsultować. Szczerze mówiąc, rozważaliśmy neutralizację...

– Ale że jak? – Zielone oczy Klaudii pociemniały.

– Nie! Chyba mnie źle zrozumiałaś – Adam pospieszył z wyjaśnieniami. – Nic bym mu wielkiego nie zrobił, najwyżej dostałby w łeb...

– Patelnię – uzupełnił Paweł, chichocząc, po czym spowaźniał. – Ech... Włamywacze za cztery dychy. Niech mi ktoś poda adres... Klaudia, włączysz komputer?

Szybko okazało się, że architekt to jednak nie byle kto – Paweł pogmerał w Internecie, zajrzał w kilka miejsc i po chwili oglądali już plan domu przy ulicy Węzłowiec. Z najmnieszymi detalami!

Adam był wniebowzięty.

– No, teraz to co innego!

– Jakiego innego, a jak tam jest alarm? – Paweł ściągnął go na ziemię.

– Sprawdzimy. – Ewa nie widziała problemu.

– Jak?

– Wrzuci mu się coś przez balkon...

– Chyba psią kupę – zakpił Paweł. – Draco robi z pewnością wielkie... Powodzenia. Ile mamy czasu?

– Chcieliśmy tam wejść dzisiaj w nocy – bąknął Adam.

– Pogięło was, normalnie was pogięło... – Braciszek wstał od komputera. Chyba był w lekkim szoku. – Dobra, trzeba coś ustalić. – Sprawdził godzinę. – Dochodzi dwudziesta. Dzisiaj co najwyżej możemy obejrzyć teren.

– Dzwoniłem do Alicji i powiedziałem, że pieniądze dostanę pojutrze – poinformował Adam. – Czyli mamy dwa dni, a konkretnie dziś i jutro...

– W porządku. Koniec pogaduszek, zbieramy się – zdecydował Paweł, a Klaudia spojrzała na niego wzrokiem zarezerwowanym dla bohaterów.

– A Bomba? Zabierzmy Bombę, jest na Morelowej, u Adama. Od razu sprawdzimy, jak zareaguje Draco. I może byśmy się przebrali?... – zaproponowała spontanicznie Ewa, ale brat znowu ją wyśmiał.

– Tak, Klaudia pożycz mi małą czarną. Ty się, siostra, naoglądałaś za dużo filmów. Ale z Bombą to jest akurat dobry pomysł. Psie zaloty. Będzie niezła zabawa...

Nikt nie przypuszczał, że miły wieczór, który rozpoczął się tak absurdalną rozmową, zwieńczy realny finał.



Po pięćdziesięciu latach życia z wojskowym Waleria Strzegomska doskonale zdawała sobie sprawę z tego, czym jest strategia. I wyszło jej, że Heniek Mańkiewicz to, niestety, jedyny sensowny wybór. Andrzej leżał w łóżku, Pawła ani myślała w to wciągać, a nie będzie się przecież rozbijać po mieście taryfami. Straciłaby fortunę! Poza tym nie wiadomo, o której Ewa chce zrobić to całe włamanie, i ona co, ma ze swoim kręgosłupem sterczeć na ulicy jak ten słup?

Waleria na samym początku rozmowy ustaliła czy satyr Mańkiewicz posiada auto (posiadał!), po czym rozpaczliwym głosem zagubionej w głuszy staruszczeni, tfu, dziewczeczki, wyznała, że potrzebuje pomocy, że Andrzej ją zawiódł, a ona ma

na dzisiejszy wieczór wyznaczony patrol.

Patrol Mańkiewicza zaintrygował.

– Ale jaki patrol, Walerio?

Waleria zgrzytnęła protezą, gdyż tej formy swojego imienia akurat nie znosiła – zupełnie jakby ktoś zwracał się do niej nazwą kropli na uspokojenie – po czym zaczęła cierpliwie tłumaczyć:

– Patrol różańcowy. U nas w parafii jest taka inicjatywa, że w kilka osób modlimy się za młodych ludzi.

– A za starych... Znaczy, za tych w średnim wieku nie warto?

– Niektórzy w średnim wieku są już straceni – odpowiedziała bez wahania i ignorant po drugiej stronie parsknął obleśnym śmiechem.

Waleria wyobraziła sobie jego trzęsący się brzuch i czym prędzej dotknęła łańcuszka z cudownym medalikiem.

Matka Boska Niepokalana.

Jak nie doda jej sił, to koniec.

Powie Mańkiewiczowi, co o nim sądzi.

– I co z tym różańcem, opowiadaj. Czemu patrol? A czołgiem jeździecie? – chichotał.

– Patrolujemy konkretne miejsca, gdzie spotyka się młodzież i spożywa alkohol – odparła z godnością. Starła się mówić głośno i wyraźnie, bo może Mańkiewicz jest głuchy? – I tam próbujemy z nimi rozmawiać i wspólnie się modlić. Dzisiaj jest moja kolej, ale znajomym coś wypadło. Wolałabym nie iść sama. Może ty... – Przełknęła ślinę. – Może wybralibyśmy się razem?

– Nocą? – zagruchał. – Za nic sobie takiej draki nie odpuszczę!



Na ulicy Węzłowiec w Chorzowie, pełnej jednorodzinnych domków tonących w zieleni, późny lipcowy wieczór uzmysławiał niektórym, że normalni ludzie spędzają lato w nadmorskich kurortach albo w innych uroczych zakątkach, gdzie można zapomnieć o pracy i całym tym kołowrotku. Tacy ludzie wylegują się na plaży i cieszą oczy błękitem nieba, które zlewa się z piaskiem, wodą, a potem ludzie zmywają ze skóry sól i idą na smaczny posiłek.

Za to ci nienormalni (Adam z pewnością się do takich zaliczał) cisną się wieczorem w aucie, które z morzem miało tyle wspólnego, że przypominało puszkę pełną sardynek.

– I co, będziemy tu tak siedzieć w nieskończoność? – Ewa spojrzała na towarzystwo bykiem, po czym otworzyła drzwi.

I w tej samej chwili do środka wpadł zapach grillowanego mięsa.

– Smażona kiełbaska. – Paweł przełknął ślinę i usiłował namierzyć źródło zapachu, ale nad osiedlem unosiła się chmura rozmaitych woni i nie sposób było z niej niczego oddzielić. – Czyli tak... Przed bramą stoi niezły wózek. To brata? – Zatrzymał wzrok na srebrnym volvo.

– Zgadza się – odparł Adam, lustrując okolicę.

Czuł się dziwnie niespokojny.

– Czemu nie w garażu?

– No, też się zastanawiam...

– Może zamierza gdzieś jeszcze wyskoczyć? – Siedząca obok Ewy Klaudia wyciągnęła telefon. – Dopiero dochodzi dziewiąta.

– Może tak, a może nie – rzucił Paweł, przyglądając się szczelnym oknom. – Ma klimatyzację. Inaczej nie siedziałby tam zamknięty na cztery spusty.

– Co to dla nas oznacza? – chciała wiedzieć Ewa, która od kilku minut nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

Może dlatego, że Bomba raczej nie rozumiała znaczenia słów „dyskretna obserwacja”, a jeśli chodziło o smażoną kiełbaskę, wyczuła ją już dawno temu. Adam poznał to po drapaniu w fotel, po czym stwierdził, że do jej brązowego, wilgotnego nosa musiało dotrzeć coś więcej. I to coś było tak smakowite, że Bomba zakręciła się pod siedzeniami, a potem przeciągle zawyla.

Na odzew nie trzeba było długo czekać.

Z głębi posesji nadciągnął tłusty, różowo-biały zalotnik, ożywiony aż miło. Dopadł ogrodzenia, cały zwarty i gotowy, podrobił przez chwilę przy jałowcach, postawił szpiczaste uszy, po czym szczechnął krótko, acz zachęcająco.

– Wy oceńcie – zarządziła Ewa. – Czy tak się zachowuje napalony facet?

Adam z Pawłem popadli w zamyślenie, a zniecierpliwiony Draco przysiadł na tylnych nogach, demonstrując przy okazji to i owo...

– Ja bym powiedział, że jest moc. – Pierwszy odezwał się Adam, a Klaudia wyciągnęła głowę, po czym szybko ją odwróciła.

– O, nie! – wydała pełen odrazy okrzyk i atmosfera w aucie uległa ożywieniu.

– Co? – Obaj z Pawłem spojrzeli na nią z udawanym wyrzutem, a Draco znowu szczechnął.

– To zabrzmiało jak: „Idziesz, maleńka, czy nie”... – Ewa zachichotała.

– *Come here, babe. I have something for you. Something special...* – dołączył do niej brat, a Klaudia wymierzyła mu kuksańca.

– Przestań, to obrzydliwe!

– A może ją podprowadzimy pod płot? – wyszedł z nieśmiałą propozycją

Adam, co nie umknęło uwadze Ewy.

– Stręczyciele... To jest normalnie handel żywym towarem – rzuciła, choć Bomba aż rwała się do nawiązania nowej znajomości.

Szczeknęła kusząco, a kawaler znowu wzbił się pod jałowcami w powietrze.

Czy Adamowi się zdawało, czy od tych podskoków drżała ziemia?

– Ale nie możemy latać z suką przed główną bramą – powiedział stanowczo Paweł i Adam musiał mu przyznać rację. – I może lepiej, żeby poszła któraś z was. – Odwrócił się do dziewczyn. – Jakby była wtopa i tamten by wylazł, to kobiety nie opieprzy.

– Ładna mi pociecha – mruknęła Ewa, po czym zerknęła porozumiewawczo na Klaudię, która już nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. – To, co, może pójdziesz ze mną? We dwójkę różniej stręczyć...

– Jakby mi ktoś powiedział, że dzisiaj będę uczestniczyć w psich zalotach...

– Klaudia wciąż była nieco zdegustowana, ale widząc ich wzrok, nie wytrzymała i jednak parsknęła śmiechem. – Pójdę z tobą, oczywiście... Co my wyprawiamy?!

– Wiesz... – Paweł starał się przybrać poważny ton, ale mrugnął do niej okiem. – Gdybyś się kiedyś bardzo nudziła, wystarczy jeden telefon do mojej siostry.

– A to na pewno.

– Chcecie mnie obrazić?! Bomba! – Ewa trzymała smycz z całych sił. – Co za kobieta!... Rwiesz się, a ten cały Draco wygląda na lenia i tłuściocha. Poza tym to jest wybitnie dominujący typ, tylko by tobą rządził.

Adam zaśmiał się pod nosem.

Święte słowa i w ustach Ewy z pewnością wiele znaczyły, ale postanowił je przeanalizować później. Teraz ważniejsze było bezpieczeństwo. Paweł uważał tak samo, więc jeszcze raz przyjrzeni się dokładnie ulicy.

Zaparkowali tuż pod płotem Kamila, ale mogli sobie na to pozwolić: ich samochód miał przyciemniane szyby, poza tym na chodniku stało kilka innych aut. Tyle że ledwie Ewa z Klaudią skręciły w ścieżkę za ogrodzeniem – szczęśliwie niewidoczną od strony domu z racji obrastających ją krzewów – w budynku otworzyły się drzwi i na podjazd wyszedł właściciel posesji.

Kamil Kościkiewicz, odpicowany jak na góralskie wesele.

Biała koszula, spodnie w kancik, lakierki – ledwie wylazł na zewnątrz, już rozglądał się za swoim pupilem, ale to, co Adama zastanowiło, to reakcja Pawła.

Na widok Kamila spięło go tak, że omal nie urwał kierownicy.

Pobladł, cały się zatrzęsął, po czym wyjąkał:

– To fiut!

Miło, że zgadzali się z Pawłem i w tej sprawie, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Musiał uprzedzić Ewę.

– Spuście Bombę! – wykrzyczał do słuchawki, bo szczekający z radości Draco zagłuszał jego słowa. – Spuście Bombę i się schowajcie. Szybko!!!



Ewie nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Po nieznoszącym sprzeciwu głosie Adama wiedziała, że gdzieś tam, z przodu, zaszły nieoczekiwane okoliczności, więc po jego telefonie zrobiła to, co trzeba. Nie zwlekając, spuściła Bombę ze smyczy, a potem bez słowa pociągnęła

przeżoną Klaudię w rosnące za ogrodzeniem krzewy. Zbyt ekscytujące to nie było, siedziały w kryjówce podrapane i przez fruujące wszędzie paprochy przez chwilę nic nie widziały, ale zdążyły na czas.

– Draco! Noga! Draco... – Tuż za płotem usłyszały basowy głos i na moment przestały oddychać. – Co ty wyprawiasz?!

Brat Adama musiał dostrzec wdzięczną się przy płocie Bombę, bo oniemiał. Ale raczej nie z zachwytu.

– Widzę, że też cię wzięło? Ale, że z taką... Nie mogłeś se znaleźć lepszej? „Se znaleźć lepszej”?!

Ewa trzymała głowę w dość dziwnej pozycji, ale tylko wciśnięta między nogi nie była narażona na zetknięcie z cholernymi śmietkami, jednak tak bezczelna obelga rzucona w stronę tak mądrej i kochanej psiny dotknęła ją do żywego.

Co za tuman!

Jednocześnie pomyślała, że to wspaniale, że między nim a Adamem nie ma prawdziwego pokrewieństwa.

– I co teraz? Muszę wyjść, a ty powinienes pilnować domu. To sobie porę wybrałeś... Podoba ci się ta maskara?

Pełne euforii szczeknięcie Draco nie pozostawiło żadnych wątpliwości i Ewa poczuła, że zaraz wyskoczy jej serce. Ścisnęła rękę Klaudii najmocniej jak tylko potrafiła.

Koleżanka oddała uścisk.

– No, już, włącz! – Przy krzakach coś cichutko skrzypnęło, Bomba zapiszczała i musiało dojść do spotkania kochanków, bo dobiegły je odgłosy gonitwy i miłosne pomrukiwania. – Draco, przed północą będę z powrotem i panienska wraca tam, skąd przyszła, rozumiano?...

Brat Adama zamilkł, odgłosy psiej zabawy wręcz przeciwnie – było je słyszeć na całej ulicy, poza tym od strony podjazdu dał się słyszeć dźwięk odpalanego silnika, więc Ewa z Klaudią odważyły się wyjść.

– Co za dupek! – Ewa otrzepała buty i przywarła wzrokiem do Bomby, która jednak miała się wybornie.

O dziwo, Draco, nie przeszedł od razu do konkretów, ale ganiał za swoją wybranką jak za złotą kością, a na jego pysku malowało się takie uczucie, że Ewa odetchnęła.

– Wyglądają na szczęśliwych – wyszeptła Klaudia.

– A jak on ją zgwałci? Przecież to bydlak. Bombka wygląda przy nim jak okruszek.

– Po co się martwić na zapas. Może nie zgwałci?... Pozory bywają mylne.

– Dziadek by mi nie darował, ja bym sobie nie darowała. – Ewa westchnęła ciężko, ale w tym samym momencie zadzwonił telefon.

Adam.

– Ewa, przychodźcie tu! – Znowu ten władczy głos i znowu przeszedł ją dreszcz. – Pakujemy się do środka!

– Jak: do środka, przecież przyszliśmy tylko sprawdzić...

– Wyjechał, chata pusta! – emocjonował się Adam. – Mamy tu stać jak jakieś tępaki? Paweł uważa tak samo. Zaczyna się ściemniać, poza tym taka okazja może się jutro nie powtórzyć. Szybko!

– Nie ma pośpiechu, twój brat powiedział do psa, że wróci dopiero przed północą – poinformowała. – Wpuścił na podwórko Bombę... – dodała w popłochu.

– Widzimy, nieźle dowodzą.

– Ale ja jej muszę pilnować!

Adam zrozumiał.

– Bomba dobrze się bawi, nic jej nie jest – uspokoił pokrzepiającym głosem.
– A wy z Klaudią i tak zostanieie w aucie, przecież nie będziemy was narażać. Wchodzimy z Pawłem sami. Dacie nam tylko sygnał jakby co...



Adam z Pawłem biegli ramię w ramię.

A raczej ramię za ramieniem, gdyż ścieżka była wąska, ale prowadziła na tyły domu, gdzie, jak doniosła Ewa z Klaudią, dostrzegły uchylone okno. Może właściciel czuł się bezpiecznie, zostawiając na podwórku bulteriera? A może faktycznie w domu uruchamiał się alarm?

Pawła nic nie było w stanie zniechęcić.

Kiedy zobaczył tę paskudną gębę, w głowie zafurczały mu reklamówki Tesco i poczuł tak silną żądzę zemsty, że aż go zakłuło w piersiach. Odbije prababcie, choćby nie wiem co! Ale że bulterier? Draco ganiał za Bombą i do

domu mógł się wkraść nie tylko on z Adamem, ale i cały zastęp przestępców. A że koleś z bliźną był jakiś szemrany, Paweł wiedział od razu. Pewnie współpracował z Moniką. I to ona opowiedziała mu o portrecie, kto wie, może nawet wspólnie się z niego naśmiewali?!

Czuł taką wściekłość, że kiedy przeskoczyli ogrodzenie i podeszli pod okno, postanowił nie sprawdzać, czy alarm jest czy go nie ma – nawet jeśli facet zdecydował się na formę bardziej perfidną (zero wycia, za to postawienie na nogi najbliższego komisariatu).

Paweł był jak taran.

Nie do zatrzymania.

Na szczęście zapadał mrok, zresztą zakradli się od strony krzaków, za nimi znajdowało się niewielkie wzniesienie, a potem długo, długo nic.

– Wchodzę pierwszy i szukam na dole. Ty bierzesz piętro – oznajmił Adamowi, po czym podciągnął się, wgramolił na parapet i pchnął szybę. – Piętnaście minut, nie więcej. Potem się zwijamy. Z obrazem czy bez. Jasne?

Chłopak Ewy skinął lekko przestraszony głową, ale zatarł ręce i po chwili powtórzył jego wyczyn.

Byli w środku.

– Dobra, nie ma czasu, jedziemy na bezczela. – Zdecydowanym ruchem podszedł do ściany, włączył światło i mogli obejrzeć salon w całej okazałości.

Pomieszczenie było imponujących rozmiarów, rozwiązania architektoniczne również wymyślił ktoś niegorsze, nie mówiąc o szczegółach wystroju, ale Paweł nie zamierzał się rozpraszać. Żadnej zawodowej ciekawości, żadnego podglądania.

Portret, interesował ich tylko portret.

Adam pojął w lot jego strategię, bo nie czekając, pobiegł na schody i po chwili dobiegły Pawła odgłosy przesuwanych sprzętów. Zrobił więc to samo. Najpierw zlustrował pokój, potem odsunął narożnik, poprzesuwał meble, ale oprócz kilku abstrakcji na ścianach, zresztą dość ciekawych, niczego nie znalazł. Dopiero szafa w przedpokoju...

W szafie znajdował się sejf i na widok blaszanego potwora za rzędem ubrań Paweł zbladł.

No to po ptakach...

Znaczy po prababci.

Strzępką świadomości rejestrował dźwięki na zewnątrz, ale paradoksalnie czuł się bezpieczny. Ewa na pewno ich zaalarmuje. Słyszał odgłosy psich zalotów, niedaleko przejechało auto, później kolejne, coś gdzieś stuknęło, może dobiegły go nawet czyjeś kroki. Bomba zaczęła piszczeć, Draco warczeć, ale to wszystko było nieważne.

Kiedy stał tak, wpatrując się jak zahipnotyzowany w srebrne cielsko sejfu, na schodach pojawił się Adam.

– Ja piernicę, jest! – wykrzyczał z uciechą, jakby sam nie mógł uwierzyć. – Słyszysz? Jest, mamy obraz!

Na dowód wyciągnął przed siebie pakunek owinięty szarym papierem, ale jego warstwy nie przylegały zbyt ściśle. Bok obrazu wystawał i Paweł spojrzał w oko prababci. Patrzyło z naganą, nieco ironicznie, a potem...

Z salonu zaczęły nadciągać duchy.

Później również nie potrafił znaleźć lepszego określenia. W przedpokoju pojawiły się trzy duchy. Z tym że nie białe. Czarne. Całe czarne. Począwszy od stóp w czarnych buciorach po czarne hełmy. Wymierzona w nich broń również nie błyskała tęczą.

– Gleba! – padł okrzyk.

Dopiero wtedy Paweł mógł przyjrzeć się podłodze.

Żaden gres czy inne badziewie, marmur. Przedpokój był wyłożony najprawdziwszym marmurem.



Dom powinowatego Adama znajdował się na końcu ulicy, w dodatku był oddzielony od pozostałych zabudowań niewielkim brzozowym zagajnikiem, więc odpadał przynajmniej problem sąsiadów. Pora również im sprzyjała, choć nie do końca. Było prawie ciemno, ale posesja rozbłysła nagle światłami. Tymi w środku, ale i tymi na zewnątrz – widocznie zadziałały czujniki. Na ulicy kilka razy pokazał się jakiś spóźniony przechodzień, ale Ewa z Klaudią nie musiały się martwić.

Nikt nie zapędzał się aż tutaj.

Co prawda kilka razy wydało im się, że w parkujących opodal autach ktoś siedzi, ale jeśli chodziło o środki transportu, interesowało je wyłącznie srebrne

volvo. Poza tym pojawiła się nowa komplikacja.

Draco chciał więcej.

– Nie mogę, co za natrętny gad! – Ewa otworzyła drzwi, znowu zerknęła na ulicę, po czym dopadła ogrodzenia.

Białe bydlę usiłowało chwycić Bombę za kark i to już nie wyglądało dobrze.

Bomba była tego samego zdania. Przysiadła i żałośnie zapiszczała, a jej pani spróbowała groźby ustnej:

– Pójdiesz ty?! Uciekaj, tłuściochu!

– Czemu wychodzisz?! – upomniała ją z niepokojem Klaudia.

– Przecież on jej zaraz złamie kręgosłup! – Słyszając rzewne piski, Ewa podjęła ostateczną decyzję.

Obiecały, że nie będą wychodzić, że będą czekać w środku i obserwować, to prawda, ale chyba nie w przypadku użycia wobec Bomby PRZEMOCY FIZYCZNEJ?!

– Odgonimy go i po nią wejdę – oznajmiła z mocą, po czym otworzyła bagażnik.

I pomyślała tęsknie, że przydałaby się choćby sztacheta, ale o profesjonalnych narzędziach mogła w obecnych warunkach tylko pomarzyć. Okolica nie stwarzała takich upojnych możliwości, wszystkie płyty wykonano starannie, żaden nie stał zaniedbany i zniszczony.

Co za pech.

Za to w bagażniku Ewa znalazła lewarek.

– Jak: wejdiesz?! – Klaudia najpierw wykonała na przednim siedzeniu kilka płynnych rzutów tułowiem, po czym wreszcie pojęła, że albo koleżance pomoże, albo wydarzy się coś złego.

Jeśli już się nie wydarzało...

– To jest bulterier! – próbowała przemówić jej do rozsądku.

Na próżno.

– Tak? Co ty nie powiesz. A to jest lewarek. – Ewa zaprezentowała Klaudii żelastwo, ale obie spojrzały na przyrząd dość krytycznie.

Metalowa wajcha podejrzenie się gibała, w każdej chwili mogła się rozlecieć.

– Chcesz tym rzucić w psa? – spytała z niedowierzaniem Klaudia.

– Raczej nie zamierzam go tym łaskotać...

– A jak mu zrobisz krzywdę?

W tym samym momencie Draco powalił swoją partnerkę na trawnik, Bomba przejmująco zaskomlała i Ewie puściły hamulce.

– Pieprzyć lewarek. Paweł wozi zapasowy akumulator! Chodź, pomożesz mi...

– Akumulator?! – panikowała Klaudia. – Boże! Chcesz rzucać w psa

akumulatorem? Jeszcze lepiej... Przecież go zabijesz! Ewa...

– Jakie zabijesz?! Będę rzucać obok.

– To już rzucaj lewarkiem!

Fakt.

Kiedy jednak Ewa stwierdziła, że lewarek na preludium nadaje się całkiem nieźle, do jej rąk trafiła podłużna czerwona paczka.

Bagażnik Pawła śmierdział smarem i benzyną.

– Może najpierw walnę bydlaka trójkątem ostrzegawczym? – rozważała. – Jak sądzisz?

– Co?! – Klaudia w końcu stanęła obok.

Ręce jej się trzęsły, wciąż nie przestawała oglądać się nerwowo na boki.

– Nic, żartowałam...

– Zaraz dostanę zawału! Jak masz czymś rzucać, to w końcu rzucaj, bo nie wytrzymam...

Czy można narażać Klaudię na zawał?!

Ewa chwyciła za lewarek, wspięła się na kamienny stopień, a przerażona Klaudia podtrzymała ją za cztery litery. Teraz pozostawało tylko wycelować... Ale co innego nieruchomy cel, a co innego cel napalony, w dodatku podduszający bliską sercu pupilkę.

Rzut lewarkiem, o dziwo, miał jednak sens.

Żelastwo upadło obok, narobiło niezłego rumoru, a Bomba, bystra psina, wyrwała się zaskoczonemu oprawcy i wpadła pod stojącą za jałowcami skrzynię (prawdopodobnie przechowywano w niej piasek). Skrzynia była niewysoka, drewniana i stała na nóżkach.

Bomba w sam raz się pod nią zmieściła, tłusciuch Draco niekoniecznie.

– I co, łyso ci?! – zakrzyknęła przyciszonym głosem Ewa. – To teraz poczujesz, jak to jest, kiedy ktoś mierzy do ciebie akumulatorem.

– Ewa, daj spokój! – nawoływała podtrzymująca ją Klaudia, ale do Ewy nie docierało.

– Podładujemy sytuację! – zagrzmiała, zeskoczyła z podestu i galopem ruszyła do bagażnika.

Napięcie sięgnęło zenitu.

Rzut lewarkiem Klaudią wstrząsnął, rzutu akumulatorem już by chyba nie przeżyła, dlatego zaczęła w panice myśleć.

I wymyśliła.

– Tam jest parasol ogrodowy – obwieściła nowinę, która wyrwała Ewę z amoku.

– Gdzie?!

Akumulator był paskudnie brudny, ale obok leżały rękawice...

– Tam, blisko ogrodzenia. – Klaudia pokazała w kierunku ścieżki. –

Możemy go wyrwać i wskoczyć z nim na podwórko. Rozłożysz go i będziesz nas osłaniać jak na corridzie, a ja wyniosę Bombę.

Pomysł był przedni.

– Klaudia, jesteś genialna!

– Chyba nieźle walnięta. Niech to się już skończy...

Koniec rzeczywiście się zbliżał, choć nie taki, jakiego by sobie życzyły.

Kiedy Ewa wygrała walkę z parasolem i wisząc na ogrodzeniu, usiłowała nie wpaść twarzą w tuje, a Klaudia z całych sił ciągnęła ją do tyłu, na ulicy dał się słyszeć potworny dźwięk podjeżdżającego pod dom samochodu i przed bramą pojawiło się srebrne volvo.

Struchlały.

Naprawdę trudno było w tej sytuacji zawiadomić współników, dlatego kiedy przy furtce Ewa rozpoznała głos babci, najpierw poczuła się jak w programie *Mamy cię!*, potem skamieniała ze zdziwienia, a w następnej kolejności wylądowała na ścieżce sztywna jak kloc. Przewróciła przy okazji Klaudię i dopiero wtedy zdołała się opamiętać i sięgnąć po telefon.

W ciszy wieczoru zabrzmiały jednocześnie dwa głosy, choć głos Ewy bardziej przypominał szept i chyba do nikogo nie dotarł („Nie odbierają”). Za to głos babci...

Głos babci był pełen werwy, niósł nadzieję i pokrzepiającą otuchę.

Całe morze otuchy.

Ocean!

– Dobry wieczór i szczęść Boże! Czy pan jest przypadkiem wierzący?...



Po godzinie spędzonej z Heńkiem Mańkiewiczem w ciasnym aucie Waleria Strzegomska stwierdziła, że jej mąż jest aniołem. Strażnikiem ogniska domowego, ukochanym małżonkiem, wiernym przyjacielem, starcem mądrym i dobrym.

Stetryczałym, owszem, ale jednak świętym.

Mańkiewicz natomiast był najzwyczajszym troglodytą. I chamem. Bez zbędnych ceregieli opowiedział historię swojego małżeństwa (z zawstydzającymi szczegółami!), a swoje rozliczne wyskoki w sanatoriach odmalował z taką dumą, że Waleria poczuła się zniesmaczona. I wstrząśnięta. Nigdy nie była świadkiem aż takiej wylewności ze strony mężczyzny, poza tym ta zgnilizna moralna...

Coś ohydneho.

Najgorzej, że tą wylewnością Heniek chciał jej zaimponować.

I był pewien, że mu się uda!

Uśmiechał się, stroszył włosy w nosie i poza nosem, choć nie było czego stroszyć, za uszami zostały mu jedynie resztki, i jednak Walerii nie pozostało nic innego.

Postanowiła skonfrontować erotomana gawędziarza z rzeczywistością.

– Człowieku, czy ty nie wpadłeś ostatnio pod pendolino? Po co mi to wszystko opowiadasz?!

W samochodzie zaległa chwila krępującego milczenia, ale Waleria nie traciła czasu. Obserwowała podjazd na końcu ulicy, z którego najpierw odjechał srebrny samochód, a potem znowu zaczęło się tam dziać. Z samochodu Pawła wysiadła Ewa, potem Klaudia, potem obie stanęły przy ogrodzeniu, Ewa próbowała się na nie wspiąć...

– Przepraszam cię, Walerio, ale sądziłem, że nasza eskapada... – zaczął Mańkiewicz, ale chyba niczego nie pojął.

To uwielbiała najbardziej.

Męską tępotę.

– Heniek, ja tu przyjechałam na patrol. – Ostatnie słowo wypowiedziała szczególnie DOBITNIE, ale może właśnie delikwenta należało DOBIC.

– Ależ Walerio, siedzimy tu sami przeszło godzinę i nic, jaki patrol... Przecież wiem, że to był pretekst... – Wyciągnął w jej kierunku obleśną łapę i tego już było za dużo.

A że na podporządku Waleria Strzegomska miała jedynie różaniec – bardzo solidny, wykonany z drzewa oliwnego, wykończony zapachowym krzyżykiem – pomyślała, że to nie będzie żadna profanacja.

Ileż to razy słyszała, że ktoś walczył różańcem?

Że z różańcem szedł przez życie...

A otóż ona szła, szła i doszła. Do takiego momentu, w którym musiała bronić swojej czci. Dlatego dłużej się nie zastanawiała. Zadedykowała zboczeńcowi w myślach jedną z tajemnic chwalebnych, ucałowała z namaszczeniem krzyżyk, po czym smagnęła na odlew Heńka różańcem po łapie.

Aż syknął.

A potem się zaczęło.

Usłyszała, że jest starą wariatką, że on Andrzejowi współczuje, że zawsze uważał, że jego kumpel żyje z dewotką i jakie te wierzące baby są biedne i ograniczone. Zrobił się cały purpurowy (pewnie wieńcówka), a potem... powiedział, że się bardzo spieszy, kazał jej wysiąść i odjechał z piskiem opon.

I bardzo dobrze.

Waleria Strzegomska uznała, że sytuację należało uregulować. Tym bardziej

że właśnie minęło ją wiadome auto i wyhamowało przed willą, co napełniło ją najprawdziwszym lękiem.

Przecież gdzieś tam błąkały się jej niewinne wnuczęta!

Ruszyła więc z kopyta i zdążyła akurat wtedy, kiedy wysoki mężczyzna wysiadł z samochodu i spojrzał zdumiony w okna.

– Co jest?!...

Musiała go jakoś zatrzymać.

– Dobry wieczór i szczęść Boże! Czy pan jest przypadkiem wierzący?... – palnęła, stając tuż za nim.

Pytanie osadziło faceta przez chwilę w miejscu, ale potem Waleria usłyszała znajome szczeknięcie i ten dźwięk ją sparaliżował.

Bomba?

Tutaj?!

– Co mi pani dupę zawraca... – rzucił facet burkliwie i już pędził do furtki, więc Waleria uczepiła się jego ramienia i jednocześnie wrzasnęła, ile jej starczyło sił:

– Ewaaa! Paweee!

Już widziała, że facet bierze rozmach, więc bez względu na kręgosłup, a może właśnie dzięki niemu, bo żeby uniknąć bólu regularnie ćwiczyła, wykonała zwrot i ręka brutalna zawisła w powietrzu.

A potem Waleria sięgnęła po sprawdzoną broń.

Różaniec z drzewa oliwnego.

I już nie patrzyła. Nogi, ręce, nerki – lała łotra gdzie popadło. Jeśli taki potrafi podnieść rękę na kobietę... Ale nie dokończyła dzieła, gdyż stało się coś bardzo dziwnego. Nie wiedzieć skąd, na ulicy znaleźli się jacyś ubrani na czarno mężczyźni, pod bramę zajechało wielkie auto, drzwi się odsunęły i wyskoczył z nich...

Komisarz Marchewka!

Tamci od razu unieszkodliliwili psa, gruchnął o ziemię aż miło, a komisarz, uśmiechając się w świetle ulicznych lamp pożółkłymi zębami, serdecznie się z nią przywitał.

– Już, już, wystarczy, pani Walerio, i tak go pani nie nawróci. Ale miło, że pani próbowała...



Jeśli Ewa sądziła, że limit wrażeń na tę noc został już wyczerpany, była w błędzie.

Na ulicy Węzłowiec spędzili prawie dwie godziny, na które składały się przesłuchania i wizje lokalne, szczególnie męczące było powtarzanie w kółko tego samego, ale przynajmniej mogli wrócić do domu. Paweł z Adamem zostali wielkodusznie uznani przez zachwyconego Marchewkę za „przypadkowych przechodniów”, obraz trafił do policyjnego magazynu, a... Kamil Kościkiewicz, bo to był on, brat Adama, został odtransportowany na Mikołowską, gdzie znajdował się areszt. W jego domu siedzieliby z pewnością znacznie dłużej, gdyby nie babcia.

Wciąż się do wszystkiego wtrącała, próbowała pouczać policjantów, aż nerwy puściły i samemu Marchewce.

Dlatego oddelegował dla babci i Ewy radiowóz (u Pawła wszyscy by się nie zmieścili) i przed północą wylądowali z Adamem na Wiejskiej. Klaudia wróciła z Pawłem, a o ciąg dalszy Ewa postanowiła spytać o poranku. Teraz zamierzała zdjąć trampki i napić się czegoś zimnego. Obecność Adama wcale jej w tym nie przeszkadzała, wręcz przeciwnie – nie potrafiłaby zasnąć, gdyby najpierw nie omówili tej całej awantury.

Kamil Kościkiewicz był jego przyrodnim bratem!

Babcia nie miała nic przeciwko.

– A gadajcie sobie, mnie nic nie ruszy, idę spać – poinformowała, rzucając na kuchenny stół klucze i komórkę. – O, ktoś się próbował dodzwonić... Dziesięć nieodebranych!

Ewa z Adamem zatrzymali się na schodach.

– Od kogo?

– Od dziadka!

Głos się babci załamał, więc Ewa nie czekała – runęła na dół i rzuciła się przez podwórko do domku.

Już stukając do drzwi, wiedziała, że nie jest dobrze, Bomba również. Pognała za nią, nie przestając popiskiwać, a w chwilę potem pod drzwiami znalazła się również babcia i Adam. Wszyscy pukali, łomotali, ale nie odniosło to żadnego skutku. Dziadek nie odpowiadał. Przez okno nie dało się niczego zobaczyć, w środku było ciemno i Ewa zaczęła cała się trząść.

Przecież dziadek ostatnio ciągle do niej dzwonił, cieszył się telefonem i ostatnia przerwa w kontaktach powinna ją zastanowić.

– Wezwiemy ślusarza. – Adam wykazał się inicjatywą, ale ta cisza w domku i jeszcze wycie zrozpaczonej Bomby...

Ale Ewa także nie zamierzała się poddać.

Z zamiarem znalezienia fachowca wyciągnęła komórkę, odblokowała ją, a na wyświetlaczu pojawił się komunikat o nieodebranych połączeniach. Dziadek dzwonił również do niej – trzy razy – ale oprócz jego numeru pojawił się jakiś inny.

Stacjonarny z Katowic.

– Nie odbiera! – panikowała babcia, wciąż usiłując nawiązać połączenie.

Ewa dotknęła zielonej słuchawki, odeszła na bok i czekała.

– Lekarz dyżurny, słucham... – padło z tamtej strony.

– Dobry wieczór, oddzwaniam – wyjąkała, czując suchość w gardle. – Ewa Schneider, wnuczka Andrzeja Strzegomskiego. Czy mój dziadek... Czy trafił do państwa mój dziadek?...



Dziadek leżał w szpitalnym łóżku biały jak opłatek.

Tak biały i tak przezroczysty, że Ewie ścisnęło się serce. Niestety był też zimny, leżał pod cieniutkim kocem, i chociaż noc należała do ciepłych, Ewa zostawiła przy dziadku babcię i ruszyła z Adamem zorganizować do przykrycia coś grubszego.

Lekarz na ich widok rozciągnął usta w wątlm uśmiechu.

– Siadajcie państwo, chciałem z wami porozmawiać...

– To nie jelitówka? – spytała Ewa, czując w sercu potworny ból, a Adam złapał ją za rękę.

– Obawiam się, że nie. Do jelit... trafiło to. – Lekarz postawił przed nimi czarno-czerwone opakowanie z napisem Fat Burning Turbo Power.

Dół pudełka był ozdobiony tańczącymi płomieniami i Ewa otarła z policzka kilka łez. Ale żadne łzy nie potrafiły ugasić ognia, który musiał eksplodować w ciele dziadka. Nawet nie chciała sobie wyobrazić szkód w narządach wewnętrznych.

Jakim cudem TO przeoczyła?

I jak dziadek to świństwo zdobył?!

– Rozumiem – rzuciła jedynie. – Trzustka?

Lekarz uniósł w zdziwieniu brwi.

– Jestem lekarzem – wyjaśniła.

– W takim razie nie muszę owijać w bawełnę. Uszkodzenie trzustki. Na szczęście niegroźne, ufam, że obędzie się bez ingerencji chirurgicznej – dodał, łypiąc na Adama. – Ale na przyszłość zalecam inny rodzaj diety. Już upomniałem chorego, proponuję zostawić wyjaśnienia na później. Jest osłabiony. I tak nam bardzo pomógł, zabierając z sobą preparat. Bardzo rozsądny i zdyscyplinowany pacjent...

Ewa ani myślała teraz dziadka besztać; najważniejsze, żeby był zdrow.

Tymczasem na sali szalała babcia.

Zapłakana i spuchnięta.

– Andrzej, Andrzejku... – powtarzała w kółko i Ewa znowu poczuła, że mięknie.

I wtedy dziadek otworzył oczy.

Na widok babci uśmiechnął się z czułością, zatrzymał wzrok na Ewie, zauważył też Adama, a potem cichutko westchnął.

Z ulgą.

– Jak to dobrze was widzieć. Domek, klucze... – wyszeptał, wskazując wzrokiem na szpitalną szafkę, jakby to było najważniejsze.

Kochany, zawsze myślał o innych.

– Andrzej!

– Walerciu, moja mama...

– Widzisz Matyldę?! – Babcia zaczęła nagle szlochać i rzuciła się w rozpacz na dziadka. – To koniec!

– Babciu, udusisz go! – Ewa z kolei rzuciła się na babcię, Adam na Ewę.

– Yyy – jęczał dziadek.

Adam przejął dowodzenie.

– Przepraszam bardzo, ale tak nie można. Proszę się odsunąć! – zarządził, ściągając babcię z dziadka i Ewę z babci. Upewnił się również, czy na tej

szarpaninie nie ucierpiała kroplówka. – Panie Andrzeju, słyszy nas pan?

– Słyszę. Wszystko w porządku – zapewnił dziadek i poprawił wąsa.

Bardzo powoli, ale gest był tak dziadkowy i swojski, że babcia znowu zaczęła pochlipywać.

– Boże, Andrzej! Andrzejku – zawodziła. – Może ja go inaczej ułożę? – Poraziła ją nagle myśl.

Dziadek łypnął na żonę i w odpowiedzi mruknął:

– Kobieto, myślisz, że po pięćdziesięciu latach jeszcze mnie nie ułożyłaś?

I dopiero wtedy z Ewy zeszło napięcie.

Ale to nie był koniec rewelacji.

– Nie mogę dłużej czekać, muszę wam coś powiedzieć – zaczął dziadek, popatrując niepewnie na babcię. – Chyba mnie tu kilka dni potrzymają, a do domu było włamanie, znikł obraz, więc wy musicie pilnować. Znalazłem biżuterię mojej matki. Była w metalowej skrzynce, pod prasą do owoców, tylko że... Za nic nie pamiętam, gdzie ją schowałem...



Ewa szukała skrzyni od tygodnia.

Bez efektu.

Dziadek wciąż leżał w szpitalu niańczony przez babcię i lekarzy, na szczęście z każdym dniem czuł się lepiej, a w kwestii skarbu przypomniawsobie tylko tyle, że rozdzielił go na dwie części i ukrył gdzieś w domku. Potem już jego stan pogorszył się tak bardzo, że wszystko wyleciało mu z głowy.

– A mogłam nie ściemniać z facetem Klaudii, tylko leczyć dziadkowi sklerozę – rzuciła Ewa do Adama, który wylegiwał się przed domkiem na leżaku.

Czekali na Marchewkę.

A że komisarz obiecał zdradzić kilka szczegółów, oboje próbowali zapanować nad zniecierpliwieniem.

– Komu ściemniać i co? – zainteresował się Adam, ale Ewa wyszła na zewnątrz, wręczyła mu szklankę wody i go ucałowała.

– Przejęczyczenie.

– Jakie przejęzyczenie?! – Pokazał oburzony na policzek. – Było bez języka. To nie fair!

– Co za dużo, to niezdrowo. Bomba! – zakrzyknęła Ewa, bo jamniczkę znowu coś opętało.

Odkąd dziadek trafił do szpitala, włączyła się po domku ze smutną miną i najchętniej gryzłaby tylko swoje legowisko.

Gardziła nawet parówkami.

Teraz też leżała pod lodówką i z zaciętością tarłowała brzeg posłania.

– Przecież jesteś głodna. Widzę. Już nie wiem, co wymyślić... – westchnęła z troską Ewa. – Może przemycimy ją jakoś na oddział? – spytała, ale jej wybranek nie wyraził aprobaty i już zamierzała powiedzieć, co sądzi o mężczyznach, którzy nie wspierają swoich kobiet, kiedy...

Bomba w końcu dopięła swego.

Szarpnęła zębami materiał z taką zaciętością, że pękł, a wtedy z brzegów legowiska wypadła...

Złota bransoletka!

– Adam!

– Dobra, jak ci tak bardzo zależy, coś wymyślimy...

– Przyjdź tu natychmiast! Proszę cię!

Adam przyszedł.

A nawet przybiegł i kolejny kwadrans, śmiejąc się w głos, spędzili na wypatroszaniu legowiska Bomby. Czego tu nie było! Broszki, łańcuszki, pudernice, pierścionki... Wszystko ze złota i wszystko wykonane tak misternie, że kiedy Ewa usiłowała oszacować, ile to mogło być warte, poczuła zawrót głowy.

Tym większy, że znaleźli dopiero pierwszy schowek.

Jednak świadomość, że w domku, jak w skrytce bankowej, jest ukryta i druga część, była bardzo krzepiąca.

Ewa pozbierała kosztowności i przełożyła do pudełka po butach.

Próbowała się uspokoić.

– Samo to wystarczyłoby, żebym się stąd wyprowadziła. Zresztą, co ja mówię! – Oblizwała w przejęciu usta. – Tego by wystarczyło na dwa albo trzy domy. Chyba...

– Na pewno – zgodził się Adam, który również był pod wrażeniem. – Jeśli chcesz... Jeśli planujesz przeprowadzkę, wystarczy... Jeśli na pewno tego chcesz... – wydukał. – A Bomba nie ma czasem drugiego łóżeczka? – dokończył

szybko, ale nie zdążyła mu odpowiedzieć.

U furtki rozległ się dzwonek.

Marchewka!

Komisarz przywitał ich z błogim uśmiechem na ustach i zaraz pojęli przyczynę.

Na jego serdecznym palcu połyskiwała obrączka.

– Ach, widzę złoto! – zaśmiała się na powitanie Ewa, a Adam zmieszany chrząknął.

– Tak jest! – potwierdził Marchewka. – W niedzielę wziąłem ślub. Z najwspanialszą kobietą pod słońcem.

– Z tym ostatnim bym polemizował. – Adam, żartując, zaprosił komisarza do altany, gdzie wszystko już na nich już czekało, a Ewa pobiegła do domku zamknąć drzwi.

Tak na wszelki wypadek.

Na stoliku czekał biszkopt z galaretką i owocami, w termosie parzyła się kawa i kiedy komisarz zasiadł wygodnie na miejscu, można mu było zadać mnóstwo pytań.

Długo na to czekali.

– Ale wy już, państwo, prawie wszystko wiecie! – Marchewka złożył ręce tak, że obrączka zabłyszczała i widać było, że ten błysk sprawia mu ogromną przyjemność.

– Jakie wszystko? – Ewa złożyła stanowczy protest. – A skąd Konstanty... Kamil Kościkiewicz – poprawiła się, gdyż wciąż nie opuszczało jej poczucie winy, że to ona doprowadziła do aresztowania brata Adama, choć Adam nie ustawał w zapewnieniach, że nie ma żalu. – Skąd Kościkiewicz wiedział, że jest u nas obraz Malczewskiego? Już pan to ustalił?

Marchewka pociągnął skromnie nosem.

– Pan Kościkiewicz zrobił się nad wyraz rozmowny, kiedy zrozumiał, jak bardzo może się to przyczynić do skrócenia odsiadki... Przepraszam, to jest...

Adam uciszył go uspokajającym gestem.

– Panie komisarzu, mnie z bratem nic nie łączy, tak że proszę mówić swobodnie. Szkoda tylko, że ten patafian sprawił ból mojemu ojcu, ale mój ojciec ma swoją rodzinę, a ja... Ja myślę o swojej... Mamie. I ogólnie o swojej...

Mamusia Ewę lekko zdziwiła, ale nie zamierzała tego komentować.

– Dobrze, w takim razie swobodnie – podjął Marchewka, nakładając na talerzyk kawałek ciasta. – Tak jak mówiłem. Kościkiewicz jest rozmowny i dlatego wiemy, jak doszło do kradzieży. W jego ręce wpadła w przychodni pewna kartka z numerem telefonu...

– Mojego dziadka? – podłapała Ewa, a Adam pokiwał głową.

Teraz dopiero rozumiał.

- Jaki ze mnie kretyn...
- Nigdy nie mów o sobie źle. – Pogroziła mu palcem. – Nie w mojej obecności.
- Bardzo słuszna uwaga – przytaknął Marchewka, uśmiechając się szeroko, a Adam nie potrafił się powstrzymać i przyjrzał się jego zębom.
- Otrzeźwił go dopiero kopniak w kostkę.
- Pan Kościkiewicz zadzwonił do pani dziadka – kontynuował komisarz – i wyciągnął z niego informację o obrazie, a także o istnieniu... wnuczki. Co do obrazu sprawa jest prosta. Obraz znalazł się w jego rękach, ale to nie koniec. Trzeba było przecież znaleźć nabywcę i tym zajął się pośrednik...
- Thomas – warknął Adam.
- Niech tak zostanie. Thomas, nazwiska są zbyt cenne – zgodził się Marchewka. – Thomas spiknął się z niejaką panią Alicją, oczywiście nieświadomą procedury. A pani Alicja zwróciła się do swojego kolegi. – Wskazał Adama.
- Myślałem, że w tym był jakiś podstęp – wyznał ten ostatni.
- Nie było żadnego podstępu. Czysty przypadek.
- Trudno w to uwierzyć. – Adam nie wyglądał na przekonanego.
- Ale tak już jest. Przestępcy, ofiary... Czasem łączą ich przedziwne zależności. Na przykład pana i brata łączyła niechęć. W przypadku Kościkiewicza tak silna, że bardzo chciał panu zaszkodzić – oznajmił komisarz. – W jakikolwiek sposób, byleby pan to odczuł. I dlatego zainteresował się panią Moniką Brzeżko, którą na skutek splotu przeróżnych okoliczności wziął za... pana dziewczynę. Czyli wnuczkę. I dlatego na początku nie skojarzył, że tak naprawdę wiąże się z żoną człowieka, którego kilka miesięcy temu uśmiercił.
- Bogdan Brzeżko – powtórzyła Ewa, patrząc w ogród, który na skutek zachodzącego słońca powoli zmieniał kolor.
- Tak. Bogdan Brzeżko. Policjant pracujący nad sprawą Kościkiewicza.
- Metoda na wnuczka, czytałam o niej – zawiadomiła. – Choć w tym przypadku raczej na wnuczkę... I to naprawdę on ją wymyślił?
- Tak, wymyślił, usprawnił... – Marchewka pokiwał głową i Ewa nie mogła oprzeć się wrażeniu, że był w tym pewien podziw. – Zresztą zatrudniał do tego całe mnóstwo pracowników. Niektórzy zajmowali się wywiadem, bo nie wystarczyło mieć nazwiska wnuczka i dziadka czy babci. Trzeba było posiadać inne wiarygodne informacje, żeby ktoś, kto dobrze słyszy i nie ma sklerozy, zechciał przelać środki. Nie każda starsza osoba jest przecież niedołączna. Inni specjalizowali się w rozmowach... Długo by opowiadać.
- A dopalacze? – spytała Ewa.
- Kościkiewicz zawsze uważał, że trzeba mieć dwie nogi, więc to była jego druga specjalizacja. I tu to samo. Podział zadań, pracownicy. Jak w firmie.
- I mąż Moniki to wszystko odkrył?

– Może nie wszystko, ale sporo. I niestety, nie chciał iść na układ. Dlatego...
zatrzał się gazem.

– Ale jak Kamil... Jak ten burak to zrobił? – chciał wiedzieć Adam.

– Bardzo prosto. Zapukał do drzwi, Brzeżko mu otworzył i Kościkiewicz go ogłuszył. Sekcja zwłok wykazała różne dziwne ślady. Między innymi więzów na rękach i nogach. I właśnie ten dokument zaginął, ale kolega Bogdana zrobił wcześniej kopię i wysłał ją wraz z listem do pani Moniki. Tyle że list szedł długo i ona już się z tamtego mieszkania wyprowadziła.

– Ale co z tymi śladami? – Ewa zakręciła się w miejscu, przewiercając Marchewkę wzrokiem. Chyba pamiętał, że nie powinien ujawniać jej udziału w zdobyciu koperty.

Pamiętał.

Spojrzał na nią krótko, ale znacząco, po czym podjął przerwany wątek:

– Bogdan Brzeżko zmarł na skutek zatrucia gazem, ponieważ Kościkiewicz go ogłuszył, związał, po czym włączył kuchenkę i wyszedł zaczekać na balkon. Tylko że nie przewidział, że po wszystkim spotka na dole kolegów, którzy się o Bogdana martwili. Dlatego później zamordował także ich.

– Bezlitosny facet – podsumowała Ewa i jakoś przeszła jej ochota na deser.

– Zgadza się. Monika Brzeżko też cudem uniknęła śmierci.

– Jak to?! – zakrzyknęli oboje z Adamem.

– Tak przypuszczamy. Do tego Kościkiewicz się akurat nie przyznał, ale ten wieczór, kiedy go zatrzymaliśmy...

– Wrócił przed czasem – przypomniała Ewa.

– Koło Moniki Brzeżko zakręcił się, bo na początku uważał, że jest dziewczyną pana Adama – podjął opowieść Marchewka. – I chciał ją bratu najzwyczajniej odbić. Ale szybko zorientował się, że doszło do pomyłki. Wyciągnął z pani Moniki zwierzenia o zmarłym mężu i tego samego wieczora umówił się z nią na randkę. Tyle że na nią nie dotarł.

– Czemu?

– Chodziło o jego psa, Draco. Miał do niego wielką słabość...

– Miał? Chyba nic się nie stało z tym tłu... z psem? – Mimo że tłusciuch nie przypadł Ewie do gustu, szkoda by było, gdyby trafił do schroniska.

– Draco został adoptowany. – Marchewka zakaszła, chyba nie był pewien, czy użył właściwego słowa. – Żona pana ojca...

– Tak, wiem – uciął Adam. – Z ojcem będę się spotykał jedynie w pracy – dodał z godnością, a Ewa pozwoliła sobie na uśmiešek.

– Wracając... W dzień zatrzymania Kościkiewicz zamierzał spotkać się z panią Moniką, już nawet wyjechał z domu, ale Draco...

– Zaangażował się emocjonalnie. – Adam znowu wszedł w słowo komisarzowi i tu Ewa musiała zaprotestować.

– Chyba żartujesz!

– Przypomnę, że moja macocha zaadoptowała tego słodziaka i regularnie muszę wysłuchiwać, jaki to kochany i uczuciowy zwierzak. I z tego wnioskuje, że jednak nie było tak źle, jak mówisz...

Ewa nie zamierzała ponownie wałkować tego tematu, dlatego obrzuciła Adama wyniosłym spojrzeniem i zagadała do komisarza:

– I czemu ten Kościkiewicz przyjechał z powrotem?

– Najpierw pomyślał, że sprawi psu przyjemność towarzystwem... suki. – Marchewka znowu się zająknął.

– Tak, tak? – dopingowała Ewa.

– Ale potem stwierdził, że su... Bomba, że Bomba może go czymś zarazić...

– To bałwan!

– Ale dzięki temu pani Monika Brzeżko żyje. W bagażniku odkryliśmy przedmioty, które jednoznacznie wskazują na planowany przebieg tego spotkania.

– Ale założył białą koszulę!

Ewie trudno było sobie pewne sprawy wyobrazić, dlatego Marchewka jej pomógł.

– W bagażniku czekał roboczy kombinezon. Plus eter, linka, piła tarczowa, folia budowlana i worki... – wyliczał, sięgając po dokładkę ciasta.

Ale cofnął rękę, widząc wyraz oczu gospodyni.

Ewa Schneider otarła łzę, po czym oświadczyła:

– Tak. I pomyśleć, że prawie życzyłam jej śmierci. Coś okropnego. Teraz mam nadzieję, że będzie żyła długo i szczęśliwie...

Komisarz miał doskonałe wycucie chwili, gdyż przeprosił ich i pomaszerował do samochodu. Ewa zdążyła w tym czasie wpaść w czyjeś twarde ramiona, a kiedy się z nich wydobyła, stwierdziła, że twarde ramiona sprawdzają się o wiele lepiej niż twarde tyłeczki.

W każdym razie, kiedy wrócił Marchewka, była już w zupełnie innym nastroju.

I taką zastała ją również prababcia Adelajda, która popatrywała z obrazu na ogród, na kręcącą się pod stołem Bombę, na brudne talerze...

– *Portret kobiety z biegunką?* Tak go pani nazywa? – spytał komisarz, przekazując jej własność. – Mogę spytać dlaczego?

Ewa już układała odpowiedź, przecież nie może znowu wciągać Marchewki w sprawy rodzinne, ale przy ogrodzeniu rozległ się głos oburzonej babci:

– Ewa, dziecko! Ty wiesz, co się stało?! Paweł jest z Klaudią! Czy ja się muszę dowiadywać takich rzeczy od obcych ludzi?!...



Nad Jeziorem Paprocańskim w Tychach serwują niezgorsze lody.

Jeziro przypomina kształtem rogalik i jeśli ktoś chciałby zabrać swoją kobietę na Mazury, a nie ma środków albo czasu, przejażdżka do Tychów jest świetnym rozwiązaniem. A już na pewno pozostaje w pamięci.

– Ale tu odlotowo!

Ewa była w tym miejscu po raz pierwszy i od razu postanowiła, że będzie tu wracać. Na pewno będzie wracać, bo wokół wody unosił się zapach... wakacji. Przestrzeń, wiatr, chlupanie przy brzegu – uwielbiała takie odgłosy. Wprawdzie dookoła panowała ciemność, ale spacer przez molo przeniósł ją do zupełnie innego

świata. W dodatku nie mogła przestać patrzeć na kołyszące się na wodzie fontanny, które, podświetlone od dołu, wyglądały niczym kryształowe żyrandole w pustej sali balowej.

Po zejściu na brzeg zajrzeli do restauracji, skąd wyszli, unosząc po rożku lodów śmietankowych. Ręcznie robionych.

– Poezja – wymamrotała Ewa.

– Usiądziemy? – Adam wskazał na ławki, które wkomponowały się w drewnianą promenadę urządzoną na kształt morskich fal.

Było tu sporo takich jak oni spacerowiczów, ale i tak znaleźli dla siebie wolne miejsce. I kiedy już uporali się z lodami, Adam wyłuskał z kieszeni zawiniątko.

– Coś dla ciebie mam. Ale... to nie ma niczego wspólnego ze złotem – zastrzegł pośpiesznie, a Ewa zarechotała.

Tuż nad ich głowami przeleciał nietoperz.

– Widziałeś?! – krzyknęła ożywiona.

– Tak, nocek duży. Przylatują nad wodę żerować.

– O, jeszcze jeden! I tam, i tam... O, rany! – Przylgnęła do Adama.

Upiorne, ale i urocze – nietoperze pikowały nad wodą, strzelając haczykowatymi skrzydełkami.

– A jak nam któryś wpadnie we włosy?!

– Coś ty, echolokacja. To by musiał być jakiś nietoperz inwalida... I mam dla ciebie broszkę – dodał, a Ewę zalało od środka ciepło, co w zestawieniu z przełkniętym przed chwilą lodowym deserem było dosyć ciekawe. – Jest mała i srebrna, całkiem niepozorna, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale kiedy się poznaliśmy...

– Czy to było wtedy, kiedy wciskałeś mi, że jesteś malarzem?

– Tak, w zasadzie to było wtedy. Czyli wieki temu... Wtedy powiedziałaś, że masz serce z kamienia.

– Ja? Ja tak powiedziałam?! – Nie mogła sobie przypomnieć.

Co z niej za trąba jerychońska, naprawdę...

– Tak. Właśnie tak powiedziałaś. Do tej kobiety na przystanku autobusowym...

– Szczęść Boże?

– Tak. I ona wtedy odpowiedziała: „Może i kamień. Czasem trzeba być twardym. Ale jak kamień to... bursztyn”.

– Nie wierzę! Zapamiętałeś jej słowa?

– To były bardzo ładne słowa. Dlatego... Kupiłem ci broszkę z bursztynem. I jeszcze sobie myślę, że gdybyś nadal chciała się wyprowadzić... Gdybyś była tego pewna... – Chrząknął. – To na Morelowej nie mam co prawda marmurów ani złota... Ale... Tak jak mówiłem, jestem gotów zainwestować w klinikę

kardiologiczną. A także w rodzinę. Bo serce... Bo serce jest ważne... Musi bić mocno!

14 maja 2017 r.

[1] Gladys Lobos, *Magia numerologii*, Katowice 2009, s. 69.

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

* * *

Karta redakcyjna

Copyright © by Marta Obuch, 2017

Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: Olga Reszelska

Fotografie na okładce: © Fotolia/iStock/Shutterstock

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Kinga Zalejarz

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-331-0

FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

